



Emily

GIFFIN

Pierwsza
przychodzi miłość





EMILY
GIFFIN
Pierwsza
przychodzi miłość

tłumaczenie Martyna Tomczak



OTWARTE

Kraków 2016

*Dla Suzie – z miłością,
i dla Boba Gipe'a, którego nie ma już z nami*

PROLOG

Daniel był jeszcze całkiem mały, gdy pewnego razu oznajmił swojej matce, że czas to skomplikowana sprawa. Kiedy pragniemy cieszyć się chwilą, ta mija w mgnieniu oka, a coś, co chcemy mieć szybko za sobą, ciągnie się w nieskończoność. Elaine Garland zapisała te słowa w dzienniku, ponieważ w ustach ośmiolatka brzmiały niezwykle błyskotliwie.

Wiele lat później wróciła do tego zapisku i pomyślała, że podobnie jest ze wspomnieniami. Obrazy, które wolelibyśmy wyrzucić z pamięci, wracają z uporem i brutalną wyrazistością, a szczegóły, które pragniemy zatrzymać, wymykają nam się niczym sen tuż po przebudzeniu. Jej rodzina właśnie tego doświadczała, choć rzadko o tym rozmawiali, szczególnie we własnym gronie. Piętnaście lat minęło powoli, a zarazem nie wiadomo kiedy.

To się stało dzień po dwudziestych piątym urodzinach Daniela, a trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Daniel był w połowie trzeciego roku studiów medycznych w Yale i niedawno zakończył staż w laboratorium neurobiologicznym. Przyjechał na święta do domu ze swoją dziewczyną Sophie: piękną Brytyjką z wyższych sfer, którą uznawał za najbardziej czarującą wśród znanych mu kobiet. Spotykali się od ponad roku, ale nigdy wcześniej nie była w Atlancie i dopiero teraz miała po raz pierwszy spotkać się z rodziną Daniela. Wieść o tej wizycie wzbudziła u wszystkich, choć z różnym natężeniem, obawy, ekscytację i nadzieję. Najbardziej denerwowała się Elaine – z natury była nerwowa, a poza tym Daniel nie miał dotąd szczęścia do dziewczyn. Licealna sympatia oplatała go niczym bluszcz, a ukochana z college'u chciała go całkowicie kontrolować.

Jednak prawie natychmiast po ich przyjeździe Elaine poczuła ogromną ulgę. Od razu polubiła Sophie. Prawdziwy skarb, orzekł Rob, wyraźnie dumny, że jego syn, nie dość że studiuje medycynę, to jeszcze zdobył serce tak niezwyklej istoty. Siostry Daniela również ją zaakceptowały. Josie, zafascynowana stylem i urodą wybranki brata, otwarcie podziwiała jej kosztowne europejskie stroje i buty, a Meredith, która często oskarżała siostrę o płytkość, polubiła Sophie nawet mimo tej otoczki. Co najważniejsze, wszyscy dostrzegali, że dziewczyna wyzwała w Danielu najlepsze cechy – a tych mu nie brakowało. Bez wątplenia był najjaśniej świecącą gwiazdą w całej rodzinie.

Sophie zaskarbiła sobie jeszcze więcej sympatii następnego ranka, kiedy uparła się, by Daniel tak jak zwykle pojechał razem z ojcem na urodzinowe śniadanie do Waffle House. Ucałowała go na do widzenia i wypchnęła za próg, po czym pomogła Elaine piec tort czekoladowy, co również należało do rodzinnej tradycji Garlandów.

– Jaki był Daniel w dzieciństwie? – zapytała, niezdarnie mieszając ciasto. Chwilę wcześniej wyznała, że nie ma pojęcia o gotowaniu.

Elaine zastanowiła się przez moment, po czym odparła, że taki sam jak teraz. Typowy ambitny

pierworodny. Perfekcjonista. Wrażliwy i sentymentalny, nieco ekscentryczny, ale też życzliwy.

– Jedyne, co się zmieniło, to temperament – dodała ze śmiechem. – Dzięki Bogu, że z niego wyrósł.

– To znaczy, że kiedyś był porywczy? – zapytała Sophie.

Elaine przytaknęła. Opowiedziała dziewczynie, jak pewnego dnia Daniel rozwalił ścianę w swoim pokoju kijem baseballowym, bo Josie zabazgrała różową kredką jego cenną kolekcjonerską kartę z Hankiem Aaronem.

– Wciąż widać łatę z gipsu – dodała rozczulona Elaine.

– Czy to ta sama karta, którą wciąż nosi w portfelu? – zainteresowała się Sophie. Arystokratyczny akcent sprawiał, że w jej głosie nieustannie dźwięczała pełna szczerości powaga.

– Ta sama – potwierdziła Elaine i wyjaśniła, że dzień po tym incydencie Daniel wygrał mecz i od tej chwili karta stała się jego talizmanem.

*

Tego wieczoru wybrali się wszyscy do Blue Ridge Grill na kolację z okazji urodzin Daniela. Jak przystało na sztywnego studenta Ivy League, solenizant włożył marynarkę, a mankiety koszuli spiął srebrnymi spinkami w kształcie supełków, które dostał od Sophie. Dopełnieniem stroju były eleganckie czarne mokasyny w szpic, zgodnie z europejską modą, niepodobne do niczego z szafy Roba. Wysiadając z samochodu, ojciec i syn przekomarzali się: „Gdzieś ty dorwał te trzewiczki, Danny”. „A te twoje chwosty? Jak u starego piernika...”. „Masz na włosach tyle żelu, że koń by się nim udławił”. „Przynajmniej mam włosy”.

Elaine wiedziała, że te docinki to wyraz wzajemnego przywiązania, i w jej sercu wezbrały czułość i wdzięczność. Kelner jak zwykle zaprowadził ich do stolika przy kominku. Elaine nie była pewna, kiedy to się stało, ale jej syn wyrósł na prawdziwego mężczyznę, a wkrótce miał też zostać pierwszym w rodzinie lekarzem. Zresztą nie tylko Danielowi się powiodło. Życie pozostałych członków rodziny również układało się wspaniale. Rob świetnie sobie radził w pracy i od trzech lat nie miał w ustach kropli alkoholu. Josie i Meredith nadal stanowiły pewne niewiadome. Josie miała zostać nauczycielką, ale na razie trudno było ją okiełznać, a marząca o karierze aktorki Meredith była nieco zbyt humorzasta, lecz obie realizowały swoje marzenia.

Tego wieczoru rozmowa toczyła się wartko, inteligentna i ożywiona, pełna odniesień do bieżących wydarzeń. Jedenasty września wciąż tkwił świeżo w pamięci, jak otwarta rana. Nad Afganistanem wisiało widmo wojny. Energetyczny gigant Enron ogłosił bankructwo, a Winona Ryder wyszła ze sklepu bez płacenia. Były też informacje, które zdawały się interesować tylko Daniela i Sophie: w Mongolii zanotowano rekordowo wysokie ciśnienie, wynoszące ponad tysiąc hektopaskali. Wtedy ta liczba nic nie znaczyła dla pozostałych członków rodziny, ale Elaine zapamiętała ją na długie lata.

– Ty kujonie – powiedziała Josie, szturchając brata pod żebra, choć w duchu podziwiała jego inteligencję.

Zawsze polegała na sile własnej osobowości, ale znajomość z Sophie skłoniła ją do przemyśleń i Josie postanowiła poważniej potraktować ostatni rok nauki w college’u.

Również Meredith tego wieczora zastanawiała się nad swoim życiem. Dorównywała bratu pracowitością i pilnością, była jednak samotniczką i często czuła w sercu pustkę, której źródła nie potrafiła określić. Obserwując Daniela i Sophie, pomyślała, że może chodzi o miłość. Może właśnie tego jej brakuje.

Po kolacji wrócili do domu na tort. Elaine wyjęła ze spiżarni najlepszą porcelanę i srebra, Rob zapalił dwadzieścia pięć świeczek i wszyscy, oprócz Sophie dysponującej czystym sopranem, fałszując, zaśpiewali sto lat, a potem patrzyli, jak Daniel zamyka oczy i za jednym razem zdmuchuje wszystkie świece.

– Czego sobie życzyłeś? – zapytała Josie.

Zawsze któreś z nich zadawało to pytanie. Daniel, rzecz jasna, nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko tajemniczo. Rob pokroił tort, a jego syn rozpakował prezenty: skórzaną aktówkę od rodziców, flanelową piżamę od Josie i album o baseballu od Meredith. Posiedzieli jeszcze chwilę, a potem poszli spać. Elaine udawała, że nie słyszy skrzypienia podłogi przed drzwiami gościnniej sypialni.

Następnego dnia zbudziła się dosyć wcześnie. Deszcz bębnił o dach, a Rob pakował się przed wyjazdem na spotkanie z klientem w Memphis. Elaine wstała i zaparzyła mu kawę, a pożegnawszy go, poszła z dziewczętami na siłownię. Każda z nich miała w planie zrzucić trzy kilo, choć wiedziały, że po świętach trzy zamienią się w sześć. Po powrocie do domu odświeżyły się, a resztę dnia spędziły, przedzierając się najpierw przez korki, a potem przez tłumy kupujących w ekskluzywnym centrum handlowym Lenox Square i raz po raz wdając się w sprzeczki.

Wróciły o zmierzchu. Daniel wychodził właśnie, żeby odwieźć Sophie na lotnisko, skąd wylatywała do Londynu. Przestało padać i niebo się roz pogodziło, ale jednocześnie spadła temperatura i wszyscy drżeli z zimna, stojąc na podjeździe, wymieniając pocałunki i uściski oraz życząc sobie nawzajem bardzo wesołych świąt. Kiedy młodzi wsiedli do samochodu, Sophie jeszcze raz podziękowała za gościnę.

– Do zobaczenia niedługo – odpowiedziała Elaine, która nie lubiła pożegnań.

*

Godzinę później siedziała przy stole i pakowała prezenty, gdy nagle drzwi się otworzyły i do kuchni wpadł Daniel, niosąc ze sobą zimny podmuch i ślad zapachu perfum ukochanej. Elaine szybko przykryła papierem kapcie, które mu kupiła, i upomniała syna, żeby nie podglądał.

– Nie będę – obiecał Daniel, kręcąc głową.

Nigdy tego nie robił, w przeciwieństwie do sióstr, które szczyliły się umiejętnością odnajdywania nawet najlepiej ukrytych prezentów.

Usiadł przy stole i westchnął: najwyraźniej już tęsknił za Sophie.

– Gdzie dziewczyny? – zapytał.

– Meredith jest u siebie. Josie wyszła..., ale nie wiem dokąd.

Daniel skinął głową i pomógł matce pakować prezenty – podawał jej taśmę klejącą albo przytrzymał kciukiem wstążkę. Z natury nie był gadułą, ale tego wieczoru okazał się wyjątkowo rozmowny. Przede wszystkim zachwycił się Sophie. Zwierzył się matce, że poważnie traktują ten związek i zamierzają razem odbyć staż na oddziale chirurgicznym.

– Myślisz, że to ta jedyna? – zapytała Elaine.

– Tak – odparł, rozmarzony. – Ona jest niesamowita... I nie mógłbym sobie wyobrazić lepszej matki dla moich dzieci.

Elaine uśmiechnęła się na myśl, że mimo młodego wieku i sporych ambicji jej syn wie, co jest w życiu najważniejsze. Zastanawiała się, czy to zasługa jej i Roba, czy może Daniel po prostu się taki urodził. Uznała, że i jedno, i drugie, pocałowała syna w czoło i udała się pod prysznic.

Po drodze do swojej sypialni Daniel minął otwarte drzwi pokoju Meredith. Podniosła wzrok i zapytała, czy pożyczy jej swoją płytę Macy Gray. Przyniósł krążek, upominając, by go nie porysowała.

– Nie jestem Josie i nie psuję wszystkiego, czego dotknę – odparła.

Miała ponurą minę, ale nie mogła na to nic poradzić: winiła zbliżający się okres, pogodę i starszą siostrę, z którą się posprzeczała, zanim ta wyszła z domu w za ciasnych dżinsach i przykrótkiej bluzce.

– Wszystko w porządku? – zapytał Daniel.

– O co ci chodzi?

– Jesteś jakaś smutna.

– Po prostu mam taką twarz – burknęła.

Przysiadł na skraju łóżka i wypytywał ją o zajęcia z aktorstwa, i czy jest ktoś, kto jej się podoba. Jakiś chłopiec. Meredith była bliska, by powiedzieć bratu, jak bardzo ostatnio czuje się samotna, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Daniel dał za wygraną i poszedł do łazienki. Meredith pomyślała, że powinna była wspomnieć o Sophie i powiedzieć mu, jak bardzo ją polubiła. Zrobi to jutro. Jutro będzie dla wszystkich miłsza, postanowiła w duchu. Potem zamknęła oczy i słuchała, jak Macy Gray śpiewa: „*I believe that fate has brought us here*”^{*}.

Mniej więcej godzinę później, po długim, gorącym prysznicu, Daniel znowu zjawił się w kuchni. Elaine obwiązywała wstążkami blaszane pudełka z paluszkami serowymi domowej roboty, którymi co roku obdarowywała sąsiadów.

– Jadę na hamburgera – oznajmił.

Zerknęła na niego i zmarszczyła brwi.

– Z mokrą głową? Przeziębisz się.

Daniel zdjął z haczyka przy drzwiach czapkę z daszkiem z logo Yale i zielony szalik w kratę. Gdy je włożył, Elaine zadowolona skinęła głową i wróciła do zawiązywania dużej czerwonej kokardy na jednym z pudełek.

– Zaraz wracam – powiedział i otworzył drzwi.

– W porządku.

Tym razem nie podniosła wzroku. Nie miała pojęcia, że to ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do swojego syna.

*

Na pogrzebie Rob mówił o tych ostatnich dniach, o tym, jakim wspaniałym synem był Daniel, jak bardzo kochał rodzinę, przyjaciół i Sophie. O dumie, jaką odczuwali, myśląc o jego dokonaniach, które bledły jednak wobec jego dobroci i siły charakteru.

– Przez dwadzieścia pięć lat ani razu nie sprawił nam zawodu – ciągnął, urywając co chwilę, by opanować drżenie głosu. – Ani razu.

Później Elaine zastanawiała się, ile spośród zgromadzonych w kościele osób uznało, że jej mąż przesadza. To jasne, że ojciec chwala zmarłego syna, jasne, że przedstawia go z jak najlepszej strony. A przecież Daniel był niezwykły i czasem, wbrew logice, wydawało się jej, że jego wyjątkowość czyniła go bardziej podatnym na tragedię. Gdyby Daniel miał wiele wad albo był po prostu typowym beztroskim, pozbawionym ambicji dwudziestokilkulatkiem, który oddaje się pijaństwu i uprawia przygodny seks, może nadal by żył. Ale jej syn był wspaniałym dzieciakiem, zbyt dobrym dla tego świata.

Czasem nie mogła się powstrzymać i rozmyślała, „co by było gdyby”. Zadawała sobie wtedy pytanie, czy przystałaby na taką wymianę. Co by było, gdyby Daniel nie wyszedł po hamburgera? Gdyby poprosił, żeby zamiast tego zrobiła mu jajecznicę? Gdyby zatrzymała go na tyle długo, że zawiązałyby porządnie zielony szalik w kratę? Gdyby po prostu do niego podeszła, pocałowała w nieogolony policzek, powiedziała coś, cokolwiek, byle nie „w porządku”?

Elaine zna odpowiedzi na te pytania. Wie, że to by wystarczyło, żeby Daniel nie zginął w zderzeniu z dżipem, który wpadł w poślizg na skrzyżowaniu Moores Mill i Northside, nieco ponad trzy kilometry od ich domu. Pół godziny później w drzwiach zobaczyła siwowłosego policjanta. Na trawniku złowieszczą pulsowały czerwono-niebieskie światła. Zadzwoiła do Roba, a potem gorączkowo uderzała w przycisk automatycznego wybierania, aż w końcu odebrał telefon na lotnisku w Memphis. Musiała wypowiedzieć te słowa na głos, a chwilę później powtórzyć to samo wyrwanej

ze snu Meredith. Bezskutecznie próbowała skontaktować się z Josie, po czym pojechała do szpitala z jednym z trójki swoich dzieci, samolubnie modląc się o pomyłkę, z nadzieją, że zastanie tam kogoś innego. Do końca życia miało ją prześladować wspomnienie byłego już męża, który dotarł na miejsce kilka godzin później, i wczepiony w ciało ich syna ze szlochaniem powtarzał bez końca jego imię.

W tym równoległym wszechświecie, o którym daremnie marzyła, Daniel poślubiłby Sophie i miał z nią trójkę dzieci. Pracowałby jako lekarz, najlepiej na miejscu, w Atlancie, i każdego dnia ratował komuś życie. W grudniu skończyłby czterdzieści lat i byłby starszą, mądrzejszą wersją chłopca, którego tak dobrze znała. Rozumiałby, że na świecie nie ma nic ważniejszego od rodziny. Że miłość zawsze stoi na pierwszym miejscu.

Próbowali sobie o tym przypominać – o tym, kim był ich syn i czego by im życzył. Czasem nawet podejmowali decyzje przez wzgląd na jego pamięć albo wyobrażali sobie, że patrzy na nich z góry. To jednak w żaden sposób nie łagodziło bólu. Minęło prawie piętnaście lat, Daniel nie żył, a oni stali w miejscu. Oszołomieni, pełni żalu, zastanawiali się, co by było gdyby.

* – Wierzę, że przywiodło nas tu przeznaczenie (przypis tłumaczki).

ROZDZIAŁ 1

Josie

Pierwszy dzień szkoły to moment symboliczny i pełen nowej nadziei, a przynajmniej tak sobie wmawiam. Założyłam najlepszy codzienny zestaw: złote czółenka na płaskiej podeszwie, szare spodnie i wyszywany cekinami różowy bezrękawnik. Dzieci siedzą po turecku na obszytym frędzlami dywaniku. Niektóre uśmiechają się od ucha do ucha, inne patrzą na mnie z beznamiętnym wyczekiwaniem. Na tym polega urok pierwszoklasistów: czysta niewinność i zero blazy.

Całkiem możliwe, że miały świadomość wygranej na nauczycielskiej loterii, zanim jeszcze zbliżyły się do drzwi klasy, do których przymocowałam wycięty z brystolu klon, a na nim zawiesiłam dwadzieścia jeden sikorek – każda inna – oraz napis „Witajcie w gniazdku panny Josie”.

Od czternastu lat pracuję w tej samej podstawówce i mam opinię osoby wesołej, kreatywnej i pełnej energii. Nie uważają mnie za surową, choć zarazem każdy wie, że nie dam sobie wejść na głowę. Nawiasem mówiąc, mówią o mnie też „ta ładna”, co niektórzy rodzice (zarówno matki, jak i ojcowie) zdają się cenić równie wysoko jak inteligencję. Zawsze mnie to zdumiewało, a nawet lekko irytowało. To prawda, nie uczę fizyki kwantowej, ale wtlaczam dzieciom do głów podstawowe życiowe umiejętności: dodawanie i odejmowanie, korzystanie z zegarka, liczenie pieniędzy i, co najważniejsze, czytanie. Razem wchodzimy w tajemniczy świat kombinacji głosek, abstrakcyjnych dźwięków zlepionych w słowa, z których powstają zdania wypełniające karty książek – tych, które mają obrazki, i tych bez ilustracji. Pewnym osobom – a są wśród nich koleżanki i koledzy po fachu, którzy naprawdę powinni zmienić zawód – może się to wydawać nieznośnie monotonne, ale ja uwielbiam to, co robię, i z dreszczykiem emocji obserwuję, jak co roku w umysłach kolejnych zastępów dzieciaków zaskakują odpowiednie trybiki.

Jednak radosnemu oczekiwaniu jak zawsze towarzyszy tęskna świadomość końca lata, a także dobrze znane poczucie niepewności i kłujący niepokój. To samo czułam, gdy byłam uczennicą. Myślę o wszystkich majaczących na horyzoncie kłopotach, o tym, z iloma przypadkami ADHD, dysleksji i innych powszechnie występujących zaburzeń przyjdzie mi się zmierzyć w tym roku. Kto zostanie w tyle i przez to straci zapal do nauki? Ilu wiecznie niezadowolonych rodziców będzie mnie bombardować mailami lub telefonami, nedorzecznie żądając zmian w programie i wytykając mi błędy gramatyczne pod pozorem konstruktywnej krytyki? (Obojętnie jak skrupulatnie to sprawdzam, w rozsyłanych do nich informatorach zawsze znajdzie się literówka lub źle użyty apostrof, a z jakichś

powodów takie pomyłki bardziej rażą u nauczycielki niż, powiedzmy, u prawniczki czy lekarki).

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze frapująca kwestia Edie Carlisle, pierworodnej Willa Carlisle'a, mojej dawnej wielkiej miłości. Choć Will i ja zerwaliśmy wiele lat temu – dokładnie osiem – wciąż nie zdołałam w pełni się z tym pogodzić. Trudno mi uwierzyć, że jego córka trafiła właśnie do mojej klasy. Z marnym skutkiem próbuję o tym nie myśleć, planując treść powitalnej przemowy, która nie bardzo różni się od tych wygłaszanych w poprzednich latach.

Witajcie, dziewczęta i chłopcy! Proszę, mówcie do mnie panno Josie. Wychowałam się tu, w Atlancie, a studia skończyłam na Uniwersytecie Georgii. Kocham zwierzęta, a najbardziej na świecie Revisa, pieska, którego wzięłam ze schroniska. Mam siostrę i cudowną czteroletnią siostrzenicę Harper. Uwielbiam kolor różowy – taki, w jakim jest mój sweterek. Lubię pływać, czytać książki, piec ciasteczka, tańczyć i grać w gry planszowe. Umiem dochować tajemnicy i jestem lojalną przyjaciółką. Mam nadzieję, że i wy się ze sobą zaprzyjaźnicie. Bardzo chcę was poznać i cieszę się, że będę waszą nauczycielką!

Mowa jest niezła, a jeśli wygłoszę ją z odpowiednim entuzjazmem, z pewnością okaże się piątkowa. W głowie mam jednak wersję rozszerzoną, która brzmi mniej więcej tak:

Gdy ktoś mówi do mnie „panno Josie”, to kojarzy mi się to ze striptizerką. Któregoś lata w czasie studiów zastanawiałam się nad tym zajęciem, ponieważ striptizerki zarabiają zwykle dużo więcej od kelnerek, a skoro już przy tym jesteśmy, to także od nauczycielek. Mam psa oraz siostrę, która ma na imię Meredith i doprowadza mnie do szału. Chętnie zerwałabym z nią kontakt, ale bardzo kocham jej córeczkę Harper. Miałam też starszego brata, ale zginął wiele lat temu w wypadku samochodowym. Nie lubię o tym rozmawiać, zwłaszcza z uczniami.

Temat ulubionego koloru jest potwornie nudny, ponieważ w zasadzie niewiele mówi (ulubiony kolor czego – samochodu, torebki, a może ścian w sypialni?). Jednak z jakiegoś niepojętego powodu wszyscy za nim przepadacie, dlatego mówię, że najbardziej lubię różowy. Mniej więcej połowę z was niezmiennie to zadowala, a co najmniej jedna trzecia będzie zachwycona tym, że podzielałam wasze gusta. Pływanie trudno nazwać moim hobby, po prostu od czasu do czasu idę na basen, żeby nie stracić figury, bo mam skłonności do tycia w okolicach brzucha (od tych wszystkich ciasteczek, które piekę, a potem zjadam). Wy na szczęście tego nie zauważacie, a nawet jeśli, to raczej wam to nie przeszkadza. Lubię planszówki, choć wolę grać w nie po kilku drinkach, ze znajomymi, a jeszcze chętniej chodzę ze znajomymi tańczyć (czy wspomniałam, że siedem kilo temu mogłam zostać striptizerką?). Dochowuję tajemnic, zwłaszcza własnych, i całe szczęście, bo gdyby wasi rodzice wiedzieli o niektórych sprawach, to prawdopodobnie złożyliby petycję, żeby mnie wyrzuciono z pracy. Przyjaźń jest dla mnie wszystkim, ponieważ mam trzydzieści siedem lat i nadal nie znalazłam przyzwoitego kandydata na męża. To przygnębiające, nie tylko dlatego, że nie chcę być sama, ale i dlatego, że uwielbiam dzieci. Wiem, wiem, czas płynie, a moje szanse na urodzenie dziecka nieubłaganie maleją. Proszę, bądźcie w tym roku dla siebie mili, bo jedynym, czego nie mam zamiaru tolerować, są wredne numery, choć szczęśliwie te zaczynają się zazwyczaj w drugiej klasie i między innymi właśnie dlatego uczę pierwszaki. Bardzo się cieszę, że was poznam, każdego z osobna, nie wyłączając ciebie, Edie Carlisle. Czy ojciec ci wspominał, że rzucił mnie tuż przed ślubem z twoją matką i twoimi narodzinami? Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to nie zaważyło na naszych

stosunkach, ale proszę, okaż odrobinę miłosierdzia i ogranicz do minimum historyjki o szczęśliwym życiu rodzinnym.

Uśmiecham się do ich jasnych, pełnych zapału twarzączek.

– Chcecie jeszcze o coś zapytać?

Czworo dzieci podnosi rączki. Zaczynam się zastanawiać, które z nich zada to najbardziej znienawidzone pytanie, kiedy ruchliwy, kędzierzawy chłopiec o rumianych policzkach wypala:

– Ma pani męża?

Trzy sekundy. Nowy rekord. Brawo, Wesley, myślę, zerkając na plakietkę z imieniem, którą zrobiłam podczas weekendu. Muszę pamiętać, by wpisać do sylabusu uwagę, że brak obrączki na serdecznym palcu oznacza „nie pytać o małżeństwo”. Może zdołałabym ją wcisnąć między wykład o rodzajach chmur a wprowadzenie do systemu miar i wag.

Zmuszam się do jeszcze szerszego uśmiechu, nie zwracając uwagi na nieprzyjemny ucisk w piersi.

– Nie, Wesley. Nie mam męża. Ale nigdy nic nie wiadomo! Tymczasem pamiętajcie: zanim się odezwiemy, podnosimy rękę. O tak! – mówię, demonstrując wspomniany gest. – Zgoda?

Głowa chłopca podskakuje w górę i w dół, a ja pocieszam się w duchu, że Edie prawdopodobnie nie ma pojęcia o mojej znajomości z jej ojcem. Ostatecznie jakakolwiek wiedza dotycząca życia uczuciowego wychowawczynie niechybnie wskazywałaby na macierzyńskie niedostatki, a jestem pewna, że wyczucie taktu Andrei (wymawianej „Ondreja”) Carlisle dorównuje jej wyczuciu stylu, o którym mam pewne pojęcie, ponieważ śledzę jej profil na Pinterescie. Bezglutenowe przekąski. Własnoręcznie szyte kostiumy na Halloween. Programy ćwiczeń dla mamy i dziecka. Bajeczne kolory farb do sypialni. Dzięki Bogu profile na Facebooku i Instagramie ma ustawione jako prywatne – bogowie mediów społecznościowych bywają czasem łaskawi.

Jakby na dany sygnał, Edie podnosi rękę tak wysoko, jak to tylko możliwe, łokieć prosty, palce wzniesione do nieba. Wstrzymuje oddech, wydymając drobną pierś, i szeroko otwiera błyszczące niebieskie oczy. Omijam ją wzrokiem, choć siedzi na samym środku, i przyjmuję pytania z tylnego rzędu o ulubioną potrawę (pizza, niestety) i drugi ulubiony kolor (nudy).

– Hm. Może niebieski? Albo zielony. Nie, pomarańczowy. Niech będzie pomarańczowy – rzucam z ociąganiem, przyglądając się ukradkiem rysom Edie i szukając podobieństwa do Willa. Odziedziczyła po nim oliwkową cerę i pełniejszą dolną wargę, ale poza tym przypomina matkę, którą często widuję na zdjęciach w „The Atlantan”, przytuloną do męża lub pozującą niczym zawodowa modelka – ręka na biodrze, sterczący łokieć – otoczoną przez koleżanki wystrojone w ciuchy od najlepszych projektantów. Na żywo widziałam ją tylko raz, mniej więcej cztery lata temu, w alejce z płatkami śniadaniowymi sklepu Whole Foods. Pchała wózek wypełniony równiutko poukładanymi produktami organicznymi. W wózku siedziała też nieskazitelnie odziana trzylatka (w Buckhead wszyscy znają wszystkich, więc już wtedy wiedziałam, że Edie to zdrobnienie od Eden, czyli

panieńskiego nazwiska Andrei). W czarnym stroju do jogi i kłapkach Andrea wyglądała stylowo, a zarazem bezpretensjonalnie. Jej skóra lśniła – może właśnie wyszła z siłowni albo od kosmetyczki (niewykluczone, że zaliczyła i jedno, i drugie). Jej wysmukłe ręce i nogi były równo opalone. Gęste, faliste jasne włosy związała w kucyk, przewleczony przez otwór czapki z daszkiem. Ukradkiem szłam za nią przez trzy alejki, masochistycznie napawając się jej gracją i chłodną pewnością siebie, a także starannością, z jaką sprawdzała każdą etykietę, mamrocząc coś przy tym czule do córki. Patrzyłam na nią jak urzeczona, nienawidząc się za to, a nawet poczułam coś bardzo bliskiego wstydowni, gdy zdjęłam z półki wybraną wcześniej przez Andreę oliwę truflową, zupełnie jakby ten snobistyczny zakup miał mnie przybliżyć do jej stylu życia, którego tak pragnęłam.

Od tamtego dnia niewiele się zmieniło, poza narodzinami młodszego brata Edie, Owena (jak później obliczyłam, Andrea była wtedy w piątym tygodniu ciąży). Teraz łapię się na tym, że przyglądam się Edie, która podtrzymuje ręką uniesione ramię, wykazując się w ten sposób twardością charakteru dorównującą matczynej. To nie wina małej – powtarzam sobie w duchu – że jej ojciec mnie zostawił ani że koniec końców nie sprawdziłam, co się robi z oliwą truflową. Właściwie to nie mam pojęcia, jak znalazłam się w miejscu, gdzie zdrowe żywienie oznacza przede wszystkim solidny uszczerbek na koncie. Wreszcie przełamuję się i mówię:

– Tak? Edie?

– Ee... – zaczyna dziewczynka, opuszczając rękę i rozglądając się nieco zdezorientowana. – Ee... zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

– Nic nie szkodzi. Nigdzie nam się nie spieszy.

Uśmiecham się niczym ucieleśnienie cierpliwości.

Twarz małej rozjaśnia się w natchnieniu.

– Już wiem! Ee, a ma pani chłopaka? – pyta, rozjątrzając moje rany.

Przypatruję jej się o ułamek sekundy za długo i podejmuję błyskawiczną decyzję.

– Tak! Tak, mam chłopaka – oznajmiam, zadzierając podbródek i klaszcząc w dłonie. – Jest cudownym człowiekiem.

– A jak ma na imię? – natychmiast wypala Edie.

– Jack.

To moje ulubione imię męskie, odkąd obejrzałam *Titanica*, poza tym przepadam za wszystkim, co wiąże się z rodziną Kennedych, choć wolę się skupiać na wyidealizowanym obrazie prezydenckiego rodu niż na plugawych historiach z Marilyn Monroe w roli głównej.

– A jak ma na nazwisko? – nie daje za wygraną Edie.

– Prince. Nazywa się Jack Prince. Niestety Jack nie mieszka w Atlancie – dodaję smutno.

– A gdzie? – pyta dziewczynka imieniem Fiona, z krótką grzywką i jednym uporczywie odstającym kosmykiem. Na czubku jej głowy tkwi nedorzecznie wielka kokarda, która podkreśla

tylko nieudolne strzyżenie.

– W Afryce – informuję ją. – A dokładniej, w Kenii. Jest lekarzem Korpusu Pokoju i pracuje w obozie dla uchodźców.

Kłamstwo ma uzdrowicielską moc, podobnie jak dodane w myślach: „I co ty na to, Edie? Twój tatuś to tylko doradca inwestycyjny, co oznacza, że całymi dniami gra w golfa z bogatymi znajomymi i raz na jakiś czas przesuwa z miejsca na miejsce ich rodzinne fortuny, z których zarabianiem oni sami nie mieli nic wspólnego”.

– A pan Jack widział kiedyś lwa? – pyta filigranowy Frederick, chłopczyk o cichym głosie, lecz z doskonałą dykcją. Natychmiast wzbudza we mnie opiekuńcze instynkty i czuję, że to właśnie on zostanie moim pupilkiem (choćbyśmy nie wiem, jak się zapierali, każdy nauczyciel ma swojego ulubieńca).

– Nie jestem pewna, Freddie. Codziennie rozmawiamy na Skypie, więc go spytam i jutro ci powiem.

Cóż, znacznie trudniej jest odpowiedzieć na proste pytanie o lwa, niż zmyślić cały transkontynentalny związek.

Następnie rusza lawina pytań o to, czy Jack spotkał się kiedyś z tygrysem, aligatorem, hipopotamem, a może widział małpę? Pierwszaki uwielbiają nagłe zmiany tematów. Tak się składa, że ja też, więc choć kusi mnie perspektywa dalszych opowieści o szlachetnym ukochanym, postanawiam opanować sytuację i w końcu ich czegoś nauczyć.

Reszta dnia upływa gładko. Stopniowo zapamiętuję imiona wszystkich uczniów i zaczynam ich lepiej poznawać. Udaje mi się nawet zapomnieć o Willu, choć tylko do momentu, gdy gryzącej marchewkę z humusem Edie wypada lewa dolna trójka. Choć to dla niej nie pierwszozna – zamiast prawej dolnej trójki zieje czarna dziura – mała podchodzi do sprawy z radosnym entuzjazmem nowicjuszki. Koleżanki i koledzy zbierają się wokół, by podziwiać krwawe trofeum. Tymczasem ja, weteranka utraconych mleczaków, specjalistka od wrywania tych obluzowanych, jak również od przechowywania tych, które wypadły same, pomagam jej przepłukać usta. Czyszczę maleńki ząbek i wrzucam go do zamykanej plastikowej torebki, trzymanej w szufladzie biurka specjalnie na takie okazje. Z drugiej szuflady wyciągam różową samoprzylepną karteczkę, piszę na niej „Dla Wróżki Zębuszki”, rysuję obok serduszko i również wrzucam do torebki, którą następnie szczelnie zamykam.

– Jak myślisz, co przyniesie ci wróżka? – pytam, spoglądając na pulchne rysunkowe serce, a zaraz potem w śliczne oczy Edie.

– To samo co poprzednim razem.

Dziewczynka wciska język w dziurę po prawej trójce. Za jakieś dziesięć lat jej niski, chrapliwy głos będzie doprowadzał chłopaków do szaleństwa.

– A co to było? – dopytuję się.

Ciekawe, czy jej matka też ma taki głos. Dobrze wiem, że przez cały rok mimowolnie będę próbowała wyciągać z małej różne informacje. Zdążyłam już zadać jej kilka pytań o brata, dzięki czemu wiem, że na Owena wołają w domu „O”, że w jego pokoju motywem przewodnim są samoloty oraz że „straszny z niego złośnik”.

– Srebrnego dolara – odpowiada Edie.

Te słowa to kolejny cios w serce, ponieważ nie mogę dłużej wyobrazić sobie Willa i Andrei jako rodziców, którzy rozpuszczają swoje dzieci. Większość „wrózek” z Buckhead znacznie przesadza, ale dolarowa moneta to nagroda rozsądna, a jednocześnie dająca więcej radości niż zmięty banknot. A niech to jasny gwint!

Wręczając Edie torebkę, zaczynam żałować dorysowanego na karteczce serduszka, obawiając się, że jej rodzice nieprawidłowo je zinterpretują. Ale za późno na zmianę zdania. Dziewczynka z dumnym uśmiechem maszeruje do swojej półeczki i wciska zdobycz do tylnej kieszeni ozdobionego monogramem różowego plecaka w motylki. Pocieszam się w duchu, że to nic takiego – Andrea i Will z pewnością są zbyt zajęci, by skupić uwagę na takiej drobnostce. Co ważniejsze, powtarzam sobie, jestem dobrą nauczycielką i dobrym człowiekiem, a słodka mała Edie zasłużyła na to serce, mimo że jej ojciec złamał moje.

ROZDZIAŁ 2

Meredith

– Co za paskudny dzień – oznajmia Josie, wkraczając do kuchni i zakłócając mi rzadką chwilę spokoju.

Jest czwartek, mój jedyny wolny dzień w tygodniu i właśnie usadziłam Harper przed telewizorem, żeby przeczytać zaległe maile. Innymi słowy, wołałabym być sama i gdyby moja siostra, powiedzmy, wcześniej zadzwoniła, właśnie to bym jej powiedziała.

– Cześć, Kimmy – rzucam przez ramię, nawiązując do postaci irytującej sąsiadki z serialu *Pełna chata*, która regularnie wparowywała do kuchni Tannerów bez pukania.

Josie wciąż wiernie śledzi powtórki sitcomu, co znakomicie świadczy o jej ogólnie pojętej dojrzałości. Parska śmiechem i mówi:

– Naprawdę oczekujesz, że będę dzwoniła do drzwi rodzinnego domu?

Mam wielką ochotę odpowiedzieć: „Owszem, ponieważ już tu nie mieszkasz, Nolan i ja kupiliśmy dom i teraz należy do nas”. Mogłabym również zaznaczyć, że potrzebujemy z mężem prywatności, a skąd ona może wiedzieć, że na przykład nie uprawiamy akurat seksu w przedpokoju? Postanawiam jednak milczeć i dalej przeglądam skrzynkę odbiorczą.

– Naprawdę paskudny dzień – powtarza Josie, zawisając ponad moim ramieniem.

– Co się stało? – pytam.

Wtedy przypominam sobie o pierwszym dniu szkoły, co oznacza, że chodzi o Willa, jego żonę albo ich córkę, przydzieloną do klasy Josie. Odkąd moja siostra dostała listę uczniów, nie mówi o niczym innym. Udawała wściekłą, ale wiem, że w głębi duszy jest zachwycona. Josie uwielbia pławić się w dramatach dotyczących jej stosunków z mężczyznami i nie ma znaczenia, czy chodzi o dawne, czy obecne relacje.

Wzdycha i opiera się o biurko.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – mówi.

Rzucam okiem na jej obdarte złote czółenka i przypominam, że w tym domu nie chodzi się w butach.

– Daj spokój, Mere – rzuca, jakby usłyszała o tym po raz pierwszy. – Przecież nie biegałam po gnojówce. Naprawdę, powinnaś zacząć się leczyć. Słyszałam, że na nerwicę natręctw najlepszy jest zoloft.

Ciekawe, czy wie, że już go łykam. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że zagląda do mojej szafki z lekami.

– Po pierwsze – odpowiadam – nie mam pojęcia, czy rzeczywiście nie wdepnęłaś w coś, czego nie chciałabym w pokoju, w którym ludzie jedzą. Po drugie, to nasz dom i nasze zasady, więc...

Gapi się na mnie przez chwilę, po czym dwoma niedbałymi kopnięciami zrzuca buty. Jeden ląduje pod moim krzesłem.

– Czytałam felieton na temat savoir-vivre’u i wiesz, co tam napisano? „Zapraszanie gości, a potem wymaganie od nich, by zdejmowali cokolwiek poza płaszczem, to szczyt nuworyszostwa” – odcina się Josie, kreśląc w powietrzu cudzysłów.

Wyobrażam sobie, jak wpisuje temat w przeglądarkę, a potem uczy się na pamięć najdogodniejszej dla siebie odpowiedzi. Odrzuca przy tym wszelkie inne opinie, na przykład te głoszące, że w butach po domu chodzą tylko brudasy.

– Ale ja cię nie „zapraszałam” – odbijam piłeczkę, robiąc ten sam gest.

Istnieje połowiczna szansa, że odwróci się na pięcie i ostentacyjnie wyjdzie. Pół to więcej niż nic. Jednak jej rzekoma wrażliwość zawsze działała wybiórczo i naprawdę przydałaby jej się jakaś darmowa terapia, Josie wzrusza tylko ramionami i jak zawsze musi mieć ostatnie słowo:

– Nie chcę cię straszyć, ale zdaje mi się, że mam grzybicę stóp.

– Zaryzykujemy – rzucam.

Czas przejść do rzeczy. Im szybciej wyleje z siebie żale na Willa, tym szybciej sobie pójdzie.

– No dobra, to jaka ona jest? Ta mała Willa?

– Ma na imię Edie. Zdrobnienie od Eden, panińskiego nazwiska Andrei. – Josie robi efektowną pauzę, podchodzi do lodówki i ją otwiera. – I choć bardzo chciałabym stwierdzić, że to przemądrzała smarkula, to w gruncie rzeczy... polubiłam ją. Jest słodka, serdeczna i generalnie urocza.

– To wspaniale – mówię.

– Wspaniale? Chyba żartujesz. To straszne. Codziennie będzie mi przypominać o tym, co mogłam mieć – mówi Josie, wyjmując z dolnej półki piwo Nolana. Odkręca kapsel i bierze długi łyk. – Poza tym założę się o wszystko, że pani Willowa Carlisle zgłosi się na ochotnika, żeby pomagać w klasie. Zobaczysz.

– Jesteś wychowawczynią. Czy to nie ty powinnaś o tym decydować? – pytam, jednocześnie odrzucając zaproszenie jakiejś Evity na przyjęcie urodzinowe w jednym z tych parków trampolin, czy jak się je nazywa, gdzie dzieciaki prędzej dostaną wstrząśnienia mózgu lub wysypki, niż będą się dobrze bawić.

– Końcowa owszem. Ale bazujemy na ochotnikach. Rozsyłam formularze i matki zakreślają okienko. Więc jeśli tylko ona się zgłosi... – wzdycha Josie i urywa.

– Po pierwsze, zgłosi się co najmniej z pięć osób – pocieszam ją i myślę o nadgorliwych matkach

koleżanek Harper z przedszkola. – A nawet jeśli nie, to poprosisz kogoś innego. Andrea wcale nie musi o tym wiedzieć.

Nigdy mnie nie przekonywały uporczywe deklaracje siostry, że nauczanie to jeden z najbardziej emocjonalnie, fizycznie i psychicznie wykańczających zawodów świata. Nie potrafię pojąć, co jest w nim takiego skomplikowanego, zwłaszcza w porównaniu z zawilnością stosunków międzyludzkich i presją, jaka panuje w mojej kancelarii. A gdy myślę o jej dwunastotygodniowych nauczycielskich wakacjach...

– Dowie się, to nie ulega wątpliwości – zapewnia mnie Josie. – Takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw.

Kiwam głową, bo tu muszę przyznać jej rację. Matki lubią gadać. Co więcej, o ile żona Willa nie jest oszałamiająco taktowna lub wstrząsająco nieświadoma jego przeszłości, założę się, że połowa mamusź zna już plotki o wychowawczyni małej Edie.

– A mówiłam, żebyś interweniowała – gderam, przypominając sobie, jak kilka tygodni temu rozpisałam jej całą rozmowę z dyrektorem, podczas której miała poprosić o przeniesienie wspomnianego dziecka ze względu na „sytuację osobistą”.

– Kiedy dostałam spis uczniów, było już za późno – mówi. – Lista poszła do rodziców.

– Co z tego?

– Domyśliliby się, że to moja sprawka.

– I co z tego? – powtarzam.

Josie gapi się na mnie i pociąga kolejny długi łyk piwa.

– To, że przeciwieństwem miłości jest obojętność. A taka zamiana nie miałyby nic wspólnego z obojętnością.

– Podobnie jak łożenie za byłymi – zauważam na własne ryzyko. – Nie pamiętam, żeby cię to kiedykolwiek powstrzymało.

Josie się rozjaśnia. Najwyraźniej umiejętności w tej materii są dla niej powodem do dumy.

– Nie łąziłam za Willem od lat. Ale ostatnio sama rozumiesz. Poza tym przejechałam tylko koło jego domu, trudno to nazwać naprzykrzaniem się. Przecież nie obrzuciłam ich jajkami. Chciałam po prostu zobaczyć, gdzie mieszkają.

– Jasne.

Podejrzewam, że Will i jego żona mieliby pewne obiekcje co do niewinnego charakteru takich manewrów, szczególnie wykonywanych po zmroku. Ja na ich miejscu bym się martwiła.

– Mówiłam ci, czym ona jeździ? – pyta Josie z uciechą w głosie.

– Wspominałaś coś o minivanie – odmrucuję, uznając, że doprawdy odniosła pyrrusowe zwycięstwo. – A może to jego auto? – dodaję.

– Nie. Miało naklejkę z logo college’u Charleston – odpowiada Josie. – Ona tam chodziła. A więc

to jej samochód. Błagam, jeśli zobaczysz mnie kiedyś w minivanie, po prostu mnie zastrzel.

– Chyba zapomniałaś, że ja jeżdżę minivanem? – rzucam, zastanawiając się, czy celowo usiłuje zrobić mi przykrość, czy po prostu ma taką naturę.

– Jak mogłabym zapomnieć? – odpala. – Bez urazy. To znaczy, obie wiemy, że jesteśmy bardzo różne.

– Najwyraźniej – oznajmiam.

Przez chwilę zastanawiam się, jak to możliwe, że wychowali nas ci sami rodzice. Natychmiast przychodzi mi do głowy jeszcze jedna osoba, która dzieliła z nami geny i dzieciństwo. Zerkam na zegar: jest za dziesięć szósta. Zawsze odruchowo to robię, gdy wspominam naszego brata. Przez bardzo długi czas po przebudzeniu, jeszcze zanim otworzyłam oczy i podniosłam głowę z poduszki, myślałam właśnie o Danielu. Teraz, po tylu latach, udaje mi się czasem wytrzymać do przedpołudnia, a nawet dłużej, choć sama nie wiem, czy to znaczy, że robię postępy, czy raczej powinno wywoływać wyrzuty sumienia. Aby złagodzić te ostatnie, chrząkam i wypowiadam jego imię na głos:

– Założę się, że Daniel też jeździłby minivanem.

Josie marszczy czoło, jak zawsze, gdy o nim wspominam. Kręci głową i mówi:

– Na pewno nie. Chirurdzy mają lepszy gust.

– Nie ci pragmatyczni i z małymi dziećmi – odpowiadam, myśląc o tym, że niewiele rzeczy w życiu sprawia większą satysfakcję niż rozsuniecie drzwi w samochodzie jednym guzikiem, żeby wydobyć z fotelików bezradne potomstwo.

– Pragmatyczni i z małymi dziećmi też miewają klasę – upiera się Josie.

– No wielkie dzięki – odpowiadam, patrząc gniewnie.

– Bardzo proszę – rzuca z uśmiechem, potwierdzając moje przypuszczenia, że w głębi ducha uwielbia awantury, zwłaszcza ze mną.

Postanawiam pójść o krok dalej.

– A skoro już mowa o Danielu, to wczoraj dzwoniła mama...

– Daniel i mama to teraz jedna osoba?

– Dasz mi skończyć?

Wzrusza ramionami i poprawia mnie po belfersku:

– Owszem, pozwolę ci skończyć.

– Mówiła o piętnastej rocznicy – zaczynam, ostrożnie dobierając słowa, choć wkurza mnie, że muszę to robić.

Gdybym mogła zmienić w Josie jedną rzecz – a zmieniałabym wiele – byłby to sposób, w jaki podchodzi do tego, co stało się z Danielem. Ten nieprzebity mur, za którym skryła pamięć o nim. Zupełnie jak nasz ojciec.

– Roczniczy? – powtarza, sięgając po butelkę, ale rezygnuje i odstawia ją na blat. – Ja bym tak tego nie nazwała.

– Ale to jest rocznica.

Kręci głową.

– Rocznicę wiąże się z radosnymi wspomnieniami. Ze wspólnym pożyciem... i w ogóle z miłymi sprawami. Nie z wypadkiem i śmiercią.

Od dawna nie mówiła tyle o Danielu i nie wiem czemu, może to trochę chore, ale to, że wypowiedziała słowa „wypadek” i „śmierć”, uznaję za swoje małe zwycięstwo.

– Rocznicę upamiętnia wydarzenie z przeszłości. Dobre albo złe – mówię cicho.

Mam ochotę wstać i ją objąć, ale w naszej rodzinie nie okazujemy sobie tak czułości. W każdym razie nie robiliśmy tego od lat. Siedzę więc przy biurku i patrzę na nią z bezpiecznej odległości.

Josie łyka ślinę, wpatrując się we własne paznokcie u stóp, pomalowane pomarańczowym lakierem. Powiedziałam jej kiedyś, że jeśli ktoś ma grube palce, powinien się trzymać neutralnych barw. Przyznaję, nie było to zbyt grzeczne, ale przecież tylko żartowałam. Josie jednak się wkurzyła i odparła, że woli mieć grube palce niż krótkie, grube nogi, i mogłabym przysiąc, że od tamtej rozmowy jej paznokcie mienia się wszystkimi kolorami tęczy.

Nie patrzy w moją stronę.

– Josie? Słyszałaś?

Potakuje.

– Mama chce, żebyśmy zrobiły coś razem, we trójkę. Mogłybyśmy nawet zaprosić tatę.

– Musiałaby najpierw zacząć z nim rozmawiać – rzuca cierpko Josie. – Poza tym tata ma nową dziewczynę.

– Naprawdę? – pytam, czując ukłucie niechęci oraz zazdrość, bo Josie zawsze miała lepszy kontakt z ojcem. – Od kiedy?

– Bo ja wiem? Od paru miesięcy.

– Znam ją? – drązę.

To chyba nic poważnego? Nie zauważyłam jej na Facebooku, a wszystkie jego poprzednie partnerki były tam bardzo aktywne i w kółko oznaczały go na zdjęciach dokumentujących wypady nad jezioro Burton, gdzie ojciec ma domek letni.

Josie wzrusza ramionami.

– Ma na imię Marcia. Jest reporterką sądową – mówi i wykonuje gest pisania na klawiaturze, podczas gdy ja wyobrażam sobie kobietę z dużym dekoltem i czerwonymi tipsami.

– Ile ma lat?

– Czemu zawsze o to pytasz?

– A co w tym złego?

– Nie wiem... chyba jest po czterdziestce. Rozwódka z dwójką synów. Lepiej powiedz, jak mama sobie wyobraża tę dziwną rocznicę. Elegancka kolacja? A może seans spirytystyczny?

– Josie! – wołam, krzywiąc się.

– No co? Przecież wierzy w różne głupoty.

– W znaki. Ale nie w wywoływanie duchów.

– Bzdury i tyle. Nie ma żadnych znaków. Daniel nie sprawi, że na niebie pojawi się tęcza, a na chodnik polecą złote monety – mówi Josie z pogardliwą miną. – A ty nie odpowiedziałas na moje pytanie. Jak mama wyobraża sobie świętowanie rocznicy tragicznego wypadku?

– Nie wiem. Moglibyśmy gdzieś razem wyjechać.

– I wydaje ci się to na miejscu? – pyta Josie, spoglądając mi w oczy. – Wyjazd na tropikalne wakacje...

W porę przerywam jej tyradę:

– Nie sądzę, żeby chodziło o to, co jest na miejscu, a co nie. Zresztą nie mówiłam nic o wakacjach, tym bardziej tropikalnych. Mama wspominała o Nowym Jorku.

– Czemu o Nowym Jorku?

– Ze względu na Sophie.

– Jaką Sophie?

– Josie, daj spokój. Dobrze wiesz. Sophie Daniela.

Moja siostra kręci głową i mówi:

– To naprawdę dziwne, że mama wciąż o niej myśli. Właściwie to chore.

– Może – odpowiadam. – Może po to chce ją odwiedzić. Żeby zamknąć ten rozdział.

– Zamknąć rozdział? Meredith, Daniel nie żyje od piętnastu lat! – wykrzykuje Josie.

– Przecież wiem.

Wpatruje się we mnie twardo.

– Wiesz co? Oni i tak by zerwali – rzuca. Nie dając mi odpowiedzieć, ciągnie: – I niezależnie od tego, kto komu złamałby serce, mama by ją znienawidziła, miałyby do niej pretensje, tak jak do wszystkich naszych byłych. A z czasem by o niej zapomniała. Zamiast tego...

– Daniel zginął – ucinam.

Właściwie to najlepsze podsumowanie. Daniel zginął i wszystko się zmieniło, nieodwracalnie. A Josie właśnie tego nie potrafi zrozumieć.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem, po czym oznajmia, że idzie pogadać z Harper.

Wzdycham i odprowadzam ją wzrokiem. Kilka sekund później dochodzi mnie ich piskliwy śmiech. Potwierdza to jedną z dwóch teorii, jakie mam na temat mojej siostry: pierwsza jest taka, że

wykorzystuje dzieci, by ukrywać swoje prawdziwe, dorosłe emocje, a druga – żesama wciąż jest dzieckiem.

Po trzydziestu minutach radosnej zabawy Josie wraca do kuchni, prowadząc Harper za rękę. Sięga po buty i mówi:

– Dobra. Ciekawie było, ale muszę lecieć.

– Dokąd się wybierasz? – pytam, choć w zasadzie mało mnie to obchodzi.

– Umówiłam się na kolację z Gabe’em – odpowiada i wrzuca pustą butelkę do kosza.

– Z własnym współlokatorem? Nie macie siebie dosyć na co dzień? – dziwię się.

Jestem bardzo ciekawa, kiedy do czegoś między nimi dojdzie. Czego by ludzie nie mówili, głęboko wierzę, że kobieta i mężczyzna nie mogą się „tylko kumplować”, zwłaszcza jeśli razem mieszkają.

– Zdziwiłabyś się. Oboje prowadzimy intensywne życie towarzyskie – mądrzy się Josie. – Tak to jest, kiedy ma się przyjaciół.

Nie trafiła. Osobiście uważam, że w przyjaźni liczy się jakość, nie ilość. Oczywiście, im więcej zdjęć ze znajomymi publikujesz, tym sprawiasz większe wrażenie kogoś, kto dobrze się bawi. Choć moja siostra skończyła trzydzieści siedem lat, wciąż niczym nastolatce zależy jej na tym, żeby wszyscy ją lubili.

– W porządku – mówię. – Miłego wieczoru.

– Dzięki – odpowiada i zarzuca torbę na ramię.

Tymczasem Harper ciągnie ją za rękę i marudzi, żeby jeszcze została. Ogarnia mnie mimowolna irytacja, ponieważ moje wyjście nigdy nie wywołuje u małej tak żarliwych protestów. Z drugiej strony macierzyństwo to nieco trudniejsze zadanie niż rola wesołej ciotki, która raz na jakiś czas wpada się pobawić.

– Muszę iść, maleńka – mówi Josie.

Kłeka, całuje Harper w pizaty policzek i rusza do przedpokoju. Idąc za nią, dostrzegam na wyświetlaczu jej telefonu imię Gabe’a.

– Pa, Josie – mówię i nagle, o dziwo, robi mi się smutno, że wychodzi. I że to nie ze mną umówiła się na kolację.

– Na razie – rzuca, patrząc w telefon.

Odprowadzam ją wzrokiem, a po kilku sekundach wołam po imieniu. Odwraca się. Wiatr zdmuchuje jej na twarz długie jasne włosy.

– Co?

– Pomyśl o tym, o czym rozmawialiśmy – proszę.

– Tak, tak. Pewnie – odpowiada beztroskim tonem, który wskazuje, że kłamie, a jednocześnie, że chce, bym o tym wiedziała. – Jak tylko wrócę do domu.

ROZDZIAŁ 3

Josie

– Idealne wycucie czasu – mówię do Gabe’a, gdy siada koło mnie przy barze w Local Three, naszej ulubionej knajpie. Wskazuję na grillowaną na patelni żabnicę i chłodnik z arbuza, którymi go przekupiłam, kiedy stwierdził, że jest zbyt zmęczony, by ruszyć się z kanapy.

Jako wielbiciel i piewca dobrej kuchni, Gabe zawsze daje się przekonać obietnicą posiłku, zwłaszcza jeśli to ja płacę, a właśnie do tego się dzisiaj zobowiązałam.

– Co tym razem zrobiła? – pyta.

Nie zdążyłam mu zdradzić szczegółów rozmowy, wie tylko, że go potrzebuję, by odwrócił „efekt Meredith”, jak nazywam mieszankę niemiłych uczuć, które moja siostra tak często u mnie wywołuje.

– Zaraz – odpowiadam. – Najpierw spójrz na to.

Podaję mu telefon i patrzę, jak czyta maila, którego dostałam, parkując samochód.

18 sierpnia

Od: Andrea Carlisle

Do: Josephine Garland

Temat: Pomoc w szkole

Droga Josephine (vel Panno Josie),

dziękuję Ci za wspaniały pierwszy dzień. Edie wróciła do domu szczęśliwa i wiem, że miałaś z tym wiele wspólnego. Dziękuję również za opiekę nad zębem. Jestem pewna, że Wróżka Zębuszka będzie Ci wdzięczna.

Jutro przekażę za pośrednictwem Edie formularz, ale już teraz chciałam zapowiedzieć, że zgłosiłam się na ochotnika do pomocy w klasie. Myślę, że dobrze sobie poradzę jako Twoja pomocnica i de facto łączniczka z pozostałymi rodzicami.

Cieszę się na nasze spotkanie podczas wieczorku zapoznawczego. Słyszałam od Willa wiele dobrego o Tobie (i Twojej rodzinie). Świat jest mały, prawda?

Pozdrawiam

Andrea

– Ciekawe – mruczy Gabe z kamienną twarzą i odkłada telefon na bar. – Co ty na to?

To w nim uwielbiam. Zawsze pyta mnie o zdanie, zanim wygłosi własną opinię, zupełnie inaczej niż Meredith i nawiasem mówiąc, większość ludzi.

– Nie wiem – odpowiadam. – Może po prostu chce mieć mnie na oku?

– Może – potwierdza Gabe. – Choć nie doszukiwałbym się tu drugiego dna. Rzecz jasna, poza dość oczywistą próbą podlizania się wychowawczyni.

– W takim razie czego byś się doszukiwał? – pytam, nie mogąc się doczekać jego chłodnej analizy.

– Właściwie niczego. Ten mail jest całkiem miły.

Z ociąganiem kiwam głową. Łatwiej byłoby znienawidzić żonę Willa, niż zmierzyć się ze stwierdzeniem, że może jest sympatyczna.

– Odpisałaś? – pyta Gabe, sącząc piwo, które również na niego czekało.

– Jeszcze nie.

– Ale odpiszesz?

– Muszę – przyznaję. – Taką mamy zasadę.

– A ty zawsze trzymasz się zasad – uśmiecha się z przekąsem Gabe.

– Tak się składa, że owszem, przynajmniej w pracy... Jak myślisz, powinnam ją wybrać?

– A co to właściwie znaczy: pomoc w klasie?

– Jak to elokwentnie określiła Andrea, byłaby *de facto* moim łącznikiem z pozostałymi matkami – odpowiadam z silną nutą sarkazmu w głosie, sztucznie podkreślając łaciński zwrot, choć nie wiem, czego chcę dowieść poza tym, że moim zdaniem ton listu Andrei był lekko pretensjonalny.

– To daj jej szansę – radzi Gabe. – Okażesz w ten sposób dobrą wolę.

Krzywię się.

– Rany, Jo. Opuść już tę sprawę z Willem. Przecież to jakaś zamierzchła historia.

– Wiem – przyznaję, myśląc, że od tamtego czasu rzeczywiście zakończyłam kilka różnych związków.

– Co więcej, uważam, że tak naprawdę nigdy go nie kochałaś – dodaje Gabe.

Nie pierwszy raz to od niego słyszę i chciałabym uwierzyć, ale nie potrafię, zwłaszcza teraz, gdy poznałam córeczkę Willa. Myślę o jej szczerbatej buzi i czuję tęskne szarpnięcie w piersi, wręcz graniczące z bólem.

– Bzdura – stwierdzam. – Oczywiście, że kochałam.

Gabe wzrusza ramionami.

– Twoje czyny świadczyły o czymś innym. Sabotowałaś ten związek.

– Nieprawda – protestuję.

Kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, że sprawa była znacznie bardziej skomplikowana.

– Właśnie, że prawda – upiera się. – No i popatrz teraz na siebie.

– O co ci chodzi?

– Siedzisz tu ze mną i jesz hamburgery – mówi, jak zwykle nie doceniając tego, ile dla mnie znaczy.

– Co masz do hamburgerów? – uśmiecham się, od razu w lepszym humorze.

*

Gabe to mój najlepszy przyjaciel płci męskiej. Zawsze tak go określałam, nie wiem dlaczego, skoro jest po prostu moim najlepszym przyjacielem, i już. On również dorastał w Atlancie, ale wyleciał z Lovett i przeniósł się do Atlanta High. Wyrzucili go za to, że włamał się do systemu komputerowego, żeby poprawić kolegom oceny (choć swoich wcale nie musiał zmieniać). Choć obracaliśmy się prawie w tych samych kręgach, poznaliśmy się lepiej dopiero podczas ostatniego roku moich studiów na Uniwersytecie Georgii, tuż po śmierci Daniela. Gabe przyszedł na pogrzeb z całą rodziną, ale to nie miało dla mnie większego znaczenia, ponieważ na mszy zjawily się setki ludzi, zresztą naprawdę niewiele z tego czasu pamiętam. Później przysłał mi liścik. Nic specjalnie głębokiego, tylko zapewnienie, że mu przykro i że zawsze podziwiał mojego brata „w zasadzie na każdym polu”. Nie był w tym odosobniony, bo wszyscy lubili Daniela, ale fakt, że Gabe poświęcił czas, żeby opisać swoje odczucia, naprawdę wiele dla mnie wtedy znaczył, więc kiedy kilka tygodni później wpadłam na niego w East West Bistro w Athens, podeszłam i podziękowałam.

Pokiwał głową. Spodziewałam się niezręcznej pogawędki o tym, jak daję sobie radę. Ale on tylko powtórzył, jak bardzo jest mu przykro, po czym zmienił temat, za co byłam mu równie wdzięczna jak za kondolencje. Przegadaliśmy resztę wieczoru, a po zamknięciu knajpy odprowadził mnie do domu i od niechcienia poprosił o numer telefonu. Oznajmiłam, że mam chłopaka (co nie było do końca prawdą, umawiałam się tylko niezobowiązująco z pewnym baseballistą), ale to właściwie nic poważnego. Gabe wzruszył ramionami i stwierdził, że nie szkodzi, chętnie spotka się ze mną na przyjacielskiej stopie. „Zawsze uważałem cię za fajną dziewczynę”, powiedział.

Jasne, że byłam fajna. Dałam mu zatem mój numer i natychmiast staliśmy się nierozłączni. Głównie zajmowaliśmy się pić w barach, a czasem u niego albo u mnie w mieszkaniu. Ale wyprowadzaliśmy także jego psa, stareńkiego czarnego labradora imieniem Woody, i uczyliśmy się razem na zajęcia z antropologii – jako notoryczni wagarowicze nie zdawaliśmy sobie wcześniej sprawy, że jesteśmy w tej samej grupie. Poza tym chodziliśmy na koncerty i zdarzało nam się wypalić razem kilka skrętów.

Ta przyjaźń wydawała się niezwykła, bo taka właśnie była. Nie tyle z powodu różnicy płci, raczej dlatego, że w zasadzie bardzo się od siebie różniliśmy, nawet za czasów studenckich, gdy nietrudno było o wspólne zainteresowania. Gabe trzymał się z dala od mainstreamu, miał w sobie coś z hipstera i w niczym nie przypominał ludzi, z którymi zwykle trzymałam. Podobało mi się to, choć od czasu do czasu traktował mnie trochę jak głupka. Szybko przestałam liczyć, który to raz woła: „Jak można tego nie wiedzieć!” albo „Naprawdę powinnaś to przeczytać, powinnaś to obejrzeć, powinnaś tego

posłuchać”. Jednocześnie czułam, że docenia moją prostotę i bezpośredniość, tak samo jak ja doceniałam jego skomplikowany charakter. Jakimś cudem dobraliśmy się niczym w korcu maku.

Przez te wszystkie lata Meredith i pozostali znajomi kwestionowali platoniczną naturę naszej relacji, oskarżając nas o potajemne schadzki. Albo przynajmniej o to, że jedno z nas podkochuje się w drugim. Tymczasem ja bardzo się starałam, żeby do tego nie doszło. Zdarzały się nam przelotne chwile zauroczenia, jak to bywa między przyjaciółmi różnej płci, zwłaszcza po alkoholu. Ale nigdy nie straciliśmy nad sobą kontroli, nigdy nie podjęliśmy żadnej niefortunnej próby, by zostać parą. I choć o tym nie rozmawialiśmy, było dla nas oczywiste, że nie chcemy ryzykować cennej przyjaźni w imię pożądania, samotności albo pustej ciekawości. Innymi słowy, stanowiliśmy żywy dowód na to, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest możliwa.

Bardzo pomagało to, że brakowało nam pożądanych przez drugą stronę cech fizycznych. Ja byłam krągłą blondynką w typie dziewczyny z sąsiedztwa, tymczasem Gabe lubił drobne, szczuplutkie brunetki, im bardziej egzotyczne, tym lepiej. Jego dwie poprzednie dziewczyny, obie Azjatki, posturą przypominały nastoletnich chłopców. Ja natomiast przepadałam za barczystymi, gładko ogolonymi, niebieskookimi sportowcami. Wizja ta nie miała nic wspólnego z tyczkowatym, ciemnookim Gabe’em i jego wiecznym zarostem, który często stawał się prawdziwą brodą (tego już było dla mnie za wiele).

– Nie zrozum mnie źle... – zaczyna, gestem zamawiając kolejne piwo. Jego mina mówi mi, że wciąż jesteśmy przy Willu, co po chwili się potwierdza: – Cieszę się, że z nim zerwałaś.

– O rany, dzięki – rzucam. – Cieszysz się, że jestem trzydziestosiedmioletnią, zdesperowaną singielką?

Gabe szczyrzy zęby.

– Coś w tym stylu.

Uśmiecham się, bo dobrze wiem, o co mu chodzi. Ja również czuję się odrobinę szczęśliwsza, kiedy Gabe jest sam. Ogromnie mi ulżyło, gdy zerwał ze swoją ostatnią dziewczyną, potwornie snobistyczną bywalczynią galerii, nieustannie chwalcącą się sławnymi znajomymi. Nie chodzi o to, że nie życzymy sobie dobrze, wręcz przeciwnie. Chcę, żeby Gabe się zakochał, wziął ślub i założył rodzinę (choć on nie jest pewien, czy w ogóle się do tego nadaje), i wiem, że pragnie dla mnie tego samego. Jednak – jak to często bywa – bliscy, niemający partnerów przyjaciele spędzają czas razem. Samotność lubi towarzystwo. W ramach dodatkowego zabezpieczenia zawsze się zarzekamy, że nie interesuje nas związek z kimś, kto nie zaakceptuje łączącej nas więzi. Gabe twierdzi nawet, że sprawdza w ten sposób dziewczyny, odsiewając rozchwiane emocjonalnie zazdrośnice, które określa też wdzięcznym mianem psycholek.

Co ciekawe, to właśnie Will jako jedyny miał problem z Gabe’em. Nazywał go smutasem i pozerem. To było niesprawiedliwe, bo Gabe nigdy nie stara się na nikim robić wrażenia i naprawdę

mało – czasem wręcz za mało – obchodzi go, co sobie ludzie o nim pomyślą. Poza tym daleko mu do smutasa, choć bywa humorzasty i kostyczny, co czasem zdrowo daje się ludziom we znaki. Potrafi jednak być także niezwykle zabawny, a wrodzona uczynność i lojalność łagodzą zadry jego charakteru. Nigdy ani przez chwilę nie wątpiałam, że zrobiłby dla mnie wszystko.

– A co u Meredith? – pyta, zmieniając temat.

Wzdycham i relacjonuję mu naszą rozmowę.

– Wiesz, minęło piętnaście lat...

Gabe, uważny słuchacz, przygląda mi się bez słowa, czekając na ciąg dalszy.

– Mama i Meredith chcą odwiedzić Sophie w Nowym Jorku – wyjaśniam.

– Sophie?

– No wiesz, jego dziewczynę.

– Ach, tak.

Gabe kręci głową i gwizdże.

– No właśnie – mówię. – Trochę to chore, prawda?

– Może odrobinę dziwne, masz rację.

Czuję, że zachowuje ostrożność, jak zawsze gdy rozmowa schodzi na Daniela.

– Bardzo dziwne. Wręcz dziwaczne. Już dawno powinny dać sobie z tym wszystkim spokój.

Gabe unosi brwi i wiem, że znów myśli o Willu. Niemal dostrzegam nad jego głową komiksowy dymek, a w nim słowa: „Przyganiał kocioł garnkowi”.

– No co? – obruszam się.

– Nic.

W jego tonie dźwięczy tak bezbrzeżna niewinność, że nie zostaje mi nic innego, jak sięgnąć po telefon i błyskawicznie wystukać wiadomość:

18 sierpnia

Od: Josie

Do: Andrea Carlisle

Temat: RE: Pomoc w klasie

Droga Andreo,

dziękuję Ci serdecznie za miłe słowa. Edie jest rozkoszna i bardzo się cieszę, że będę mogła ją bliżej poznać. Mam nadzieję, że dziś w nocy Wróżka Zębuszka okaże się dla niej łaskawa! Z chęcią przyjmę Twoją pomoc. Nie mogę się doczekać naszego spotkania. Rzeczywiście, świat jest mały!

Serdecznie pozdrawiam

Josie

Pospiesznie przebiegam wzrokiem tekst w poszukiwaniu błędów, po czym wysyłam, nasłuchując mdlącego świstu, który oznacza tylko jedno: klamka zapadła.

– Proszę bardzo – mówię i pokazuję Gabe’owi wysłaną wiadomość.

Przebiega ją wzrokiem, po czym z uśmiechem oddaje mi telefon.

– Patrzcie państwo. Co za rozsądna kobieta.

– Pewnie, że rozsądna – odpowiadam i przez sekundę nawet w to wierzę.

*

Tej nocy budzę się o drugiej i nie mogę już zasnąć. To pewnie nerwy przed pierwszym tygodniem pracy, myślę, a może jeszcze nie przywykłam do wcześniejszego chodzenia spać. Ale gdy wielkimi krokami zbliża się świt, wiem już, że mój niepokój ma głębsze podłoże. To coś związanego z Danielem i Sophie, mamą i Meredith, Willem i Andrea. A najbardziej – z Edie, która w tej chwili śpi twardo jak kamień. Wyobrażam sobie, jak śni o zaczarowanych krainach, jasne loki ma rozsypane na poduszce, pod którą tkwi błyszcząca moneta. Przywołuję rozmowę z Gabe’em, człowiekiem, który zna mnie najlepiej ze wszystkich i jako jedyny poznał moją tajemnicę. Czuję ukłucie smutku. Żałuję tak wielu rzeczy, dużych i małych, w tym popełnionych błędów, przez które muszę teraz zmyślać chłopaków na odległych kontynentach, równie nierzeczywistych jak Wróżka Zębuszka.

ROZDZIAŁ 4

Meredith

Piątkowy wieczór. Za czterdzieści pięć minut mamy wyjść z Nolanem na kolację ze znajomymi, gdy przychodzi esemes od opiekunki. „Wielkie sorry, jestem chora, nie mogę przyjechać dziś do Harper. Zatrucie pokarmowe :(((“.

– Kłamie – mówię i rzucam telefon na łazienkowy blat, tak twardy, że od razu sprawdzam, czy nie pękł wyświetlacz. Nawet gdyby naprawdę była chora, a nie jest, to głupkowane „wielkie sorry” oraz potrójny emotikon na końcu wystarczyłyby, żeby doprowadzić mnie do szału.

– Kto kłamie? – woła Nolan z garderoby.

– Opiekunka – odpowiadam. – Właśnie napisała, że nie przyjedzie.

– Która to? – pyta Nolan, stając w progu w bokserkach, skarpetkach i nowej bladoniebieskiej lnianej koszuli. Jednym z przywilejów męża, przynajmniej w naszym domu, jest to, że Nolan nie zajmuje się codziennymi domowymi sprawami, takimi jak załatwianie opiekunek. Wystarczy, że sam dobiera sobie koszule.

– Średnia córka Tropperów – wyjaśniam. – Założę się, że chodzi o chłopaka.

– Przecież naprawdę mogła się zatruć – broni dziewczyny Nolan. – Zdarza się.

– Jasne. I to akurat za piętnaście siódma w piątek wieczorem. Gdyby naprawdę się zatrula, to wymyśliłaby inny powód, ponieważ zatrucie pokarmowe zawsze brzmi jak wymówka.

– Faktycznie – śmieje się Nolan. – Chociaż właściwie dlaczego?

– Bo zazwyczaj nią jest... Powinna smarkulę przycisnąć. Odpisać, żeby przyjechała, to przecież nie jest zaraźliwe.

– Nie da się pilnować dzieci, kiedy człowiek się zatrul – poucza mnie Nolan, nie zauważywszy ironii. Patrzę, jak starannie rozpina koszulę i odkłada ją na obity tkaniną wieszak z mojej części szafy.

– Co ty wyprawiasz? Wkładaj ją z powrotem – protestuję. – Zobaczmy, może mama albo Josie zgodzą się przyjechać.

– Naprawdę?

Nolan wygląda na zawiedzionego.

– Nie chcesz iść? – pytam, myśląc, że przez cały tydzień cieszyłam się na wieczór z Grahamami.

– Mogę iść – odpowiada. – Ale równie chętnie zostanę. Moglibyśmy zamówić chińszczyznę

i obejrzeć *Homeland*. Zostały nam trzy odcinki.

Krzyżuję ramiona na piersi i gniewnie na niego spoglądam.

– Prawie w ogóle nie wychodzimy – mówię.

– Nieprawda. Zeszłej soboty byliśmy na kolacji.

– Owszem, z ludźmi z pracy. To się nie liczy.

Wiem, że jeśli zostaniemy, Nolan zasiądzie przed telewizorem, a mnie przypadnie w udziale ułożenie Harper do snu, niewdzięczne, żmudne zadanie, które czasem zabiera nawet kilka godzin. Tak bardzo chcę wypić kilka drinków i spędzić wieczór w towarzystwie dorosłych, bez córki, ale nie mówię tego Nolanowi. Powtarzam tylko, że napiszę do mamy i Josie. Może jedna z nich przyjedzie zaopiekować się Harper.

– Na pewno nie Josie. W piątkowy wieczór?

Nolan stoi bez koszuli. Jak zawsze w świetnej formie, obecnie wygląda jeszcze lepiej, ponieważ przygotowuje się do triathlonu. Poranne treningi niezmiennie kolidują z obowiązkiem wyprawienia Harper do przedszkola.

Na wszelki wypadek wysyłam esemesa do jednej i drugiej. Zgodnie z przewidywaniami Nolana, Josie natychmiast odpisuje, że się umówiła. Po chwili przychodzi wiadomość od mamy, która bardzo chciałaby pomóc, ale wybiera się do kina z Kay, koleżanką z kościoła.

– Cholera – mruczę pod nosem.

– Może zadzwonimy do Grahamów, żeby przyjechali do nas? – proponuje Nolan.

Zirytowana kręcę głową.

– Zobacz, jaki tu bajzel, poza tym nie mamy nic do jedzenia.

– No to co? Zamówimy pizzę.

– Nie chcę – odmawiam i znów myślę, że to ja będę musiała położyć Harper spać. – Poza tym Grahamowie nie po to płacą opiekunce do dziecka, żeby spędzać wieczór z naszym.

– W porządku – przytakuje Nolan. – Bez obaw, na pewno wymyślimy sobie jakieś miłe zajęcie.

Mruga porozumiewawczo i choć wiem, że próbuje być zabawny, odczytuję również w jego postawie całkiem jasną propozycję. Mruczę coś pod nosem i zadaję sobie pytanie, co budzi we mnie większy entuzjazm: perspektywa seksu z mężem czy wieczornych zmagania z marudzącą czterolatką.

*

Wiem, jak to brzmi: jakbym była beznadziejną żoną i matką. Albo przynajmniej niedostatecznie dobrą żoną i niewdzięczną matką, co zdecydowanie przeczy moim wpisom na Instagramie: *#radośćżycia*, *#pięknarodzinka*, *#błogostan*. Czasami, tak jak dziś wieczorem, zastanawiam się, co bardziej razi: udawanie szczęśliwej czy świadomość, że nie jestem szczęśliwa, choć powinnam. Amy, moja terapeutka, powtarza, że bym nie była dla siebie taka surowa, zresztą pewnie z tego powodu

wciąż do niej chodzę. Mówi, że każdy z nas tworzy sobie w głowie wizję własnego życia, w którą chciałby wierzyć. Innymi słowy, w internecie wszyscy kłamiemy, a przynajmniej wystawiamy na pierwszą linię swoje największe sukcesy – albo najlepsze zdjęcia. Amy dodaje też, że choć wiele mi się w życiu udało, to jednak straciłam brata w tragicznym wypadku, który pośrednio lub bezpośrednio doprowadził do rozwodu moich rodziców i sprawił, że zostałam sama z siostrą, u której egoizm dorównuje skłonnościom do autodestrukcji. Krótko mówiąc, mam prawo do frustracji i głęboko zakorzonego smutku, nawet jeśli od tamtego strasznego dnia spotkało mnie wiele dobrego.

Nawiasem mówiąc, cenię w Amy również jej punkt widzenia czterdziestoparolatki. To ona mi uświadomiła, że czwarta dekada życia dla wielu okazuje się trudnym sprawdzianem, a macierzyństwo nie jest wiecznie cudowną podróżą, której spodziewają się uczestniczki różowych, niebieskich lub żółtych *baby showers*. Zapewniła mnie także, iż w miarę jak dzieci dorastają i stają się coraz bardziej samodzielne, sprawy układają się lepiej, choć niezależnie od wieku – dzieci czy twojego – bycie matką jest po prostu trudne. Naprawdę bardzo trudne. Te, które zostają w domu, mają ciężko. Te, które chodzą do pracy, mają ciężko. Matki pracujące na pół etatu, tak jak ja, też mają ciężko, choć dwie pierwsze grupy uparczywie twierdzą, że przypada nam w udziale to, co najlepsze z obu światów. Moim zdaniem jest wręcz przeciwnie. No i proszę. Znów narzekam. W kółko to samo.

Żeby nie było nieporozumień: kocham córkę najbardziej na świecie. Jest i zawsze będzie najlepszym, co mi się w życiu przydarzyło. Kłopot w tym, że opieka nad małym dzieckiem bywa nużąca, co jestem w stanie przyznać tylko przed Amy, której płacę za godzinne sesje całkowitej szczerości. Nie mogę się zwierzyć mężowi, który podczas niedawnej kłótni oskarżył mnie o brak macierzyńskich instynktów, ani koleżankom, bo zrujnowałabym swój idealny facebookowy wizerunek. Nie mogę o tym powiedzieć mojej siostrze desperacko pragnącej własnego dziecka ani matce, bo wiem, jak wiele by dała, żeby jeszcze raz przeżyć chwile po narodzinach pierwszej pociechy, nawet te najtrudniejsze i najbardziej męczące, na które wiecznie się skarżę. Poza tym mama mnie potrzebuje. Daniel nie żyje, Josie wiecznie błądzi, więc przynajmniej ja powinnam ułożyć sobie życie.

Jeszcze bardziej palący problem i lepiej strzeżona tajemnica to kwestia uczuć do Nolana, który od siedmiu lat jest moim mężem. Nie mam pojęcia, od czego zacząć, chyba od początku, od odpowiedzi na standardowe pytanie: jak się poznaliśmy? Każda para ma własną, wielokrotnie opowiadaną historię. Czasem prym wiedzie mąż, czasem żona. Czasami razem układają odpowiedź, z dbałością o każdą puentę, zawieszenie głosu, tęskne spojrzenie, czuły uśmiech, nieoczekiwany, lecz szczęśliwy zwrot akcji. „Potem on powiedział to, ja zrobiłam tamto. I jesteśmy. Żyjemy długo i szczęśliwie”.

Od czasu do czasu dochodzę do wniosku, że w naszym przypadku to właśnie historia pierwszego spotkania stanowi część problemu. Nawet jeśli ograniczam się do wersji skrótowej, unikając łzawych szczegółów typu: „Nolan niósł trumnę z ciałem mojego brata”, zawsze nieuchronnie wracam do tematu Daniela.

Odkąd pamiętam, Nolan był jego najlepszym kumplem, choć ze względu na czteroipółletnią różnicę wieku właściwie nie zwracałam na niego uwagi, przynajmniej jako mała dziewczynka. Był stałym elementem naszego życia, jak tweedowa sofa w salonie albo stojący w garażu stół roboczy mojego taty. Odkąd pamiętam, Nolan zawsze przewijał się w tle, podobnie jak wielu innych starszych chłopców, którzy wymieniali się kartami z wizerunkami baseballistów, grali w piłkę na podwórku za domem albo nocowali na wysuwanej spod łóżka Daniela polówce.

Kiedy poszłam do gimnazjum, trudniej było mi ignorować kolegów brata, choćby ze względu na żywe zainteresowanie, jakim zaczęła ich obdarzać Josie. Pamiętam, że nieustannie o nich gadała, zwłaszcza o Nolanie, który – musiałam to przyznać – już wtedy był naprawdę przystojny. Jasnowłosa i niebieskooki, łatwo się opalał i tak bardzo przypominał ratownika z plaży w Malibu, że Daniel, nieco złośliwie, ochrzcił go przydomkiem Słoneczny Patrol. Tak się również złożyło, że z nich wszystkich Nolan był najbardziej wysportowany – samorodny talent w każdej dyscyplinie, choć brakowało mu zapału i pracowitości Daniela, co wyrównywało ich szanse na boisku. Najbardziej jednak przemawiało do mnie jego poczucie humoru i luzackie podejście do życia, zupełnie inne niż u mojego brata, urodzonego prymusa. Pod wieloma względami stanowili swoje przeciwieństwo, a z biegiem lat różnice między nimi zaznaczały się coraz wyraźniej. Daniel skończył liceum z najlepszą średnią i zdał na Uniwersytet Harvarda, tymczasem Nolan poszedł na Uniwersytet Missisipi, gdzie interesowały go przede wszystkim dziewczyny i imprezy, co skutkowało dość mizernymi ocenami (szczęśliwie wystarczyły, by wrócić do Atlanty, do rodzinnej firmy poligraficznej). Choć ich drogi się rozeszły, przyjaciele utrzymywali ze sobą kontakt i ilekroć się spotkali, można było odnieść wrażenie, że widują się codziennie. Słyszałam nawet, jak kilka dni przed śmiercią Daniel powiedział Sophie, że pewnego dnia Nolan zostanie jego drużbą.

Było więc równie oczywiste co bolesne, że gdy następnego ranka po wypadku wróciliśmy ze szpitala, zastaliśmy Nolana opartego o maskę czarnego chevroleta tahoe, który stał z otwartymi drzwiami, niedbale zaparkowany na podjeździe. Już po minach rodziców wysiadających z samochodu musiał się domyślić, że stało się coś naprawdę niedobrego, a mimo to zapytał:

– Gdzie byliście? Gdzie Danny? Umówiliśmy się na kosza o dziesiątej.

Jadł lukrowanego pączka i oblizał palec, czekając na odpowiedź.

Wstrzymałam oddech i spojrzałam na ojca, wciąż ubranego w pognieciony garnitur, w którym wrócił z Memphis. Czerwony krawat wcisnął do kieszeni. Otworzył usta, ale je zamknął i z uczipioną jego ramienia matką zniknęli za drzwiami domu. Nolan wyprostował się i spoważniał.

– Meredith? – Popatrzył na mnie pytająco. – Co się dzieje?

Miałam tylko dwadzieścia lat, nie mogłam nawet legalnie pić, a jednak wszyscy najwyraźniej wyszli z założenia, że to ja przekażę mu wiadomość o śmierci przyjaciela.

– Daniel miał wczoraj wieczorem wypadek – wykrztusiłam z trudem, przez ściśnięte gardło. Krew

dudniła mi w uszach.

– Nic mu nie jest? – spytał Nolan, kiwając głową, jakby chciał wydobyć ze mnie potwierdzenie. – Wszystko w porządku, prawda, Meredith? – dodał, spoglądając na mnie szeroko otwartymi oczami.

Wzięłam głęboki oddech, po czym zmusiłam się, by po raz pierwszy powiedzieć to na głos:

– Daniel nie żyje.

Nolan zagapił się na mnie pustym wzrokiem, jakby nie słyszał, co powiedziałam, albo po prostu nie rozumiał znaczenia moich słów.

– Na skrzyżowaniu Moores Mill i Northside w jego samochód uderzył dżip – raportowałam w odrętwieniu. – Daniel miał zapięty pas, ale obrażenia wewnętrzne były zbyt poważne. Powiedzieli, że to stało się szybko, że nie cierpiał nawet przez chwilę.

Dokładnie powtórzyłam słowa, które moja matka wypowiedziała do dziadków: „Nie cierpiał nawet przez chwilę”. Rozpaczliwie pragnęłam w to wierzyć, lecz zawsze miałam wątpliwości i zastanawiałam się, o czym myślał mój brat w tym ułamku sekundy, gdy zdał sobie sprawę, co się z nim dzieje.

Nolan opadł na przednie siedzenie chevroleta. Z samochodu wystawały tylko jego długie nogi i wparte w podjazd stopy w rozwiązanych adidasach. Z przerażeniem wstrzymałam oddech, gdy z jego ust popłynął stek przekleństw zmieszany z niskim, chrapliwym jękiem:

– O mój Boże, nie. Do kurwy nędzy, nie wierzę. Na pierdolone rany Chrystusa, ja jebię, niemożliwe...

Miałam ochotę stamtąd zwiać, uciec od tego widoku i tych słów. Ale nie mogłam go zostawić. Okrążyłam samochód, otworzyłam drzwi od drugiej strony i usiadłam na miejscu pasażera. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że dygoczę z zimna, bo swój płaszcz zostawiłam w szpitalu.

– Możesz włączyć ogrzewanie? – zapytałam cicho.

Nolan poruszył się, zamknął drzwi i przekręcił kluczyk, który wciąż tkwił w stacyjce. Ryknęło radio. Uciszył je pięścią, po czym walnął w deskę rozdzielczą, tak mocno, że pękła mu skóra na kłykcium. Wyjęłam z torby chusteczkę i podałam mu, ale jej nie przyjął. Krew spływała mu z dłoni po nadgarstku. Po chwili oświadczył, że stąd spada.

– Jedziesz? – zapytałam spanikowana.

Nie chciałam wracać do domu, bałam się zobaczyć Josie, wiedząc, że nie mamy już brata. Że zostałyśmy tylko my dwie.

– Chyba powinienem – odparł. – Prawda?

Pokręciłam głową, wpatrzona w torbę z pączkami leżącą między nami na siedzeniu.

– Nie. Proszę, wejdź na chwilę.

– Na pewno? Nie wolelibyście teraz zostać... tylko w rodzinnym gronie? – zapytał łamiącym się głosem i skrzywił się, a po policzkach popłynęły mu łzy.

– Ty przecież jesteś naszą rodziną – powiedziałam. – Daniel by tego chciał.

*

Prawie każdy, kto doświadczył śmierci najbliższej osoby, opisuje dni tuż po jako zamglony mętlik wrażeń. Ludzie wchodzili i wychodzili: bliscy znajomi i sąsiedzi, i krewni, nawet tacy, których ledwo znałam. Przynosili jedzenie, składali kondolencje, płakali. Rodzice z pomocą pracownicy domu pogrzebowego wybrali trumnę i miejsce na cmentarzu, po czym wraz z Johnem Simmonsem, który był naszym pastorem od wielu lat, zaplanowali nabożeństwo żałobne. Tata usiadł w gabinecie nad szklaneczką whisky i napisał mowę.

Nie pamiętam, by Nolan opuszczał nasz dom, choć jestem pewna, że musiał jeździć do siebie, żeby się przespać i wykapać. Na prośbę moich rodziców siedział w salonie, przed komputerem Daniela i dzwonił albo pisał kolejno do wszystkich jego znajomych z college’u i studiów medycznych. Zatelefonował nawet do Sophie, kilka godzin po jej powrocie do domu. Podśluchiwałam ich rozmowę, podziwiając jego niezwykłą umiejętność dobierania właściwych słów, a on zapewniał Sophie, że Daniel ją kochał i że była dla niego kimś wyjątkowym. Później przekopał się przez rodzinne albumy i z wybranych zdjęć stworzył kolaż, który miał być wystawiony na stypie. W końcu usiadł obok mnie i milczeliśmy razem, oszołomieni, ponieważ zaczęła do nas docierać nieodwracalność tego, co się stało.

Trudno było nazwać Nolana pocieszycielem, ponieważ w tamtym czasie nikt nie mógł nas pocieszyć. Ale coś w jego obecności podnosiło mnie na duchu. W niczym nie przypominał mojego brata, a mimo to w jakiś sposób mnie z nim łączył i potrafiłam zrozumieć, czemu Daniel go kochał.

*

Mniej więcej tydzień po pogrzebie, dzień przed moim powrotem na ostatni rok nauki w college’u w Syracuse, Nolan wpadł się przywitać i – jak to określił – „sprawdzić, jak się wszyscy mają”. Staliśmy w przedpokoju. Powiedziałam mu, że mama leży w łóżku z migreną, a tata do późna pracuje w gabinecie. Zerknął na schody.

– A Josie? – zapytał. – Wróciła już do szkoły?

– Jeszcze nie. Wyjeżdża w przyszłym tygodniu... Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest – odparłam, myśląc, że tak było zawsze, przed wypadkiem również, a teraz tylko się nasiliło. Nie miałam pojęcia, dokąd chodzi ani z kim się spotyka. Od kilku dni prawie jej nie widywałam. Rodzice mieli na głowie inne zmartwienia, więc często wracała nad ranem albo w ogóle nie przychodziła do domu. Nie miałyśmy okazji porozmawiać o tamtej nocy, o tym, gdzie była i jak się dowiedziała, i zaczynałam podejrzewać, że ta rozmowa nigdy nie nastąpi. Czułam, że śmierć Daniela jeszcze bardziej nas od siebie oddali.

Nolan wcisnął ręce do kieszeni, popatrzył na mnie i zapytał, czy mam ochotę coś zjeść. Zaskoczona i mile połączona, zgodziłam się. Przez następną godzinę jeździliśmy po Buckhead, kręcąc nosem na kolejne restauracje, aż w końcu oboje przystaliśmy na OK Cafe, rzęście oświetlony bar, w którym podawano nieskomplikowane, domowe dania. Zajęliśmy boks z tyłu sali, a potem jedliśmy mięso z grilla i makaronową zapiekankę z serem, piliśmy słodką mrożoną herbatę, i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o Danielu. Nolan zadawał mi proste pytania, zupełnie jakby nie znał mnie całe moje życie, zresztą może do pewnego stopnia rzeczywiście tak było.

– Czemu wybrałaś Syracuse? – zapytał. – Oprócz ciebie nie znam w Atlancie nikogo, kto by tam studiował.

– A to nie wystarczy? – odparłam natychmiast.

– Serio? – uśmiechnął się, a w jego policzkach zrobiły się dołeczki.

– W zasadzie taki był główny powód – potwierdziłam, również z uśmiechem. – Poza tym mają świetny wydział aktorski.

– Ach tak, zapomniałem. Lubisz teatr. Chyba często grałaś w szkolnych przedstawieniach, nie?

Skinęłam głową. Rzeczywiście to była moja pasja. To był jeden z powodów, dla których poszłam do innego liceum niż moje rodzeństwo.

– Daniel był z ciebie dumny.

Spuściłam wzrok, powstrzymując łzy, więc Nolan szybko wrócił do poprzedniego tematu:

– A więc chcesz zostać aktorką?

Przytaknęłam.

– Ale przecież jesteś nieśmiała.

Mnóstwo ludzi tak reagowało, kiedy mówiłam im, co studiuje.

– Nie jestem nieśmiała, tylko zamknięta w sobie – sprostowałam i wyjaśniłam, na czym polega różnica: nie czuję się źle w towarzystwie innych ludzi, po prostu zazwyczaj wolę być sama. – Daniel był podobny. Ostrożnie dobierał sobie znajomych... ale ciebie uwielbiał – dodałam.

Nolan się uśmiechnął i wtedy przyszło mi do głowy, że zaproszenie na kolację nie wynikało ze zwykłej uprzejmości. Może ja również podnosiłam go na duchu, jako najbliższe ogniwo łączące go z Danielem.

– W czym jeszcze jesteście podobni? – zapytał.

Zawahałam się, bo nie wiedziałam, jakiego użyć czasu: teraźniejszego, bo mówię o sobie, czy przeszłego, ze względu na Daniela.

– Jestem takim samym maniakiem porządku. Takim samym kujonem. – Uśmiechnęłam się. – Choć oczywiście nie ma co porównywać neurochirurgii z teatrem szekspirowskim... Jestem inteligentna, ale on był znacznie inteligentniejszy.

– Przedmiot studiów nie ma nic wspólnego z poziomem IQ.

– To prawda – zgodziłam się, choć nadal byłam pewna, że Daniel był ode mnie mądrzejszy, że był najmądrzejszy z całej naszej rodziny.

– Chyba mieliście ze sobą więcej wspólnego niż ty z Josie, co? – zapytał Nolan.

Pokiwałam głową.

– Fakt, Josie uwielbia towarzystwo. Typowa imprezowiczka. To dziwne – westchnęłam – bo choć jestem bardziej podobna do Daniela, to z nią był bliżej. – Poczułam ukłucie zazdrości i natychmiastowe wyrzuty sumienia. – Daniela ciągnęło do takich ludzi jak ty... i ona.

– Do Leserów? – uśmiechnął się.

– Do zadowolonych z życia – sprostowałam, splatając palce na przyniesionym przez kelnerkę ciepłym kubku kawy. – Zabawowych. Zawsze umiałeś go rozśmieszyć.

Nolanowi zadrżała dolna warga.

– Słyszałam, jak mówił do Sophie, że zostaniesz jego drużbą. Pewnego dnia.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak. Ale przecież o tym wiedziałaś?

– No tak, chyba tak. To cały Daniel. Trudno sobie wymarzyć lepszego przyjaciela. Jezu. Tyle razy mi pomagał... Wyciągał z różnych kłopotów...

Leciutko się uśmiechnęłam, gdy przypomniałam sobie zabawne historie, które wspominał w swojej mowie podczas nabożeństwa. Idealnie oddał w niej lojalność i solidny charakter Daniela, malując przy tym własny portret jako grającego drugie skrzypce lekkoducha.

– Wciąż nie wierzę, że to on leżał w tej trumnie, nie ja – ciągnął Nolan. – Boże. To powinienem być ja.

Potrząsnęłam głową, choć podobnie myślałam o sobie. Gdybym to ja zginęła, rodzice nadal mieliby córkę i syna.

*

Tamtego wieczoru Nolan odwiózł mnie do domu i zapytał, czy może zobaczyć pokój Daniela. Zawahałam się. Nie wchodziłam tam od jego śmierci. Nawet rodzice przekroczyli próg tylko raz, ponieważ musieli zabrać z szafy ubranie do trumny. Ale się zgodziłam. W milczeniu weszliśmy po schodach i stanęliśmy przed zamkniętymi drzwiami sypialni mojego brata. Z kołaczącym sercem nacisnęłam klamkę. Pokój był pogrążony w ciemnościach, żaluzje zaciągnięte, i choć to niedorzeczne, przez ułamek sekundy modliłam się o cud. Wyobrażałam sobie, że zobaczę Daniela śpiącego we własnym łóżku i to wszystko okaże się tylko złym snem. Jednak nietknięta, gładka kołdra i starannie, po szpitalnemu zaścielone pościelone pozbawiło mnie wszelkiej nadziei.

– Mój Boże – szepnął Nolan, kiedy z wahaniem przestąpiliśmy próg, a nasze oczy przyzwyczajały się do ciemności. Chciałam się odezwać, ale nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Nic nie zostało do

powiedzenia.

Oczywiście mój towarzysz nie miał z tym problemu.

– Chyba nie byłem tu od czasów liceum. Nic się nie zmieniło.

Skinęłam głową, wdzięczna rodzicom, że nie przemeblowali jego pokoju, jak się często zdarza, gdy dziecko wyjedzie na studia. Byłam ciekawa, czy kiedykolwiek to zrobią. Spojrzeliśmy na regał zastawiony powieściami w miękkich okładkach, pucharami z turniejów tenisowych, piłkami baseballowymi z autografami graczy i kolekcją szklanych kul, w których pada śnieg, gdy się nimi potrząśnie. Na ścianach wisiały oprawione koszulki zawodników oraz tablica korkowa z kolażem zdjęć, a na biurku leżała sterta podręczników do medycyny. Na otomanie w rogu wciąż tkwiła otwarta walizka, a w niej starannie poukładane rzeczy. Zauważyłam piżamę, jeszcze z metkami, świąteczny prezent od Josie. Na stoliku nocnym dostrzegłam przełożony zakładką egzemplarz *Punktu przełomowego* Malcolma Gladwella, na którym stał słoiczek balsamu do ust. Opanowała mnie przemożna chęć, by zajrzeć na ostatnią przeczytaną przez mojego brata stronę, ale nie odważyłam się niczego ruszać. Wiedziałam, że Nolan czuje się podobnie, jakbyśmy stali przed odgrodzonym sznurkiem pokojem w muzeum, oko w oko z historią, zamrożonym w czasie ostatnim dniem życia młodego mężczyzny. Patrzyliśmy i patrzyliśmy, aż wchłonęliśmy wszystko, a wtedy Nolan wziął mnie za rękę, przyciągnął do piersi i objął.

– Kocham cię, Meredith – szepnął mi do ucha.

Wiedziałam oczywiście, co ma na myśli: kochał mnie jak czuły przybrany starszy brat. Mimo to jego słowa mnie zaskoczyły. Moje ramiona pokryły się gęsią skórką.

– Ja też cię kocham – wyszeptałam.

Nie mogłam dłużej zaprzeczać temu, czemu zaprzeczałam od tygodni, a może nawet lat: zadurzyłam się w Nolandzie. To było absurdalne pod każdym względem. Już samo słowo brzmiało niemądrze, trzpiotowato i idiotycznie w obliczu katastrofy, która nas spotkała. Poza tym Nolan był ode mnie starszy i zdecydowanie zbyt przystojny, był również najlepszym kumplem mojego brata, co już wcześniej czyniło go nieosiągalnym. Zresztą jak mogłam w ogóle myśleć o takich sprawach zaraz po śmierci Daniela? Tego rodzaju niestosowne zachowanie pasowało raczej do Josie. A jednak fakt był faktem, równie oczywistym jak moje spocone dłonie i tłukące się w piersi, udręczone wyrzutami sumienia serce.

Odwróciłam wzrok, powtarzając w duchu, że to zwykłe wymysły, urojenia wywołane przez żalobę. Stres pourazowy. Niedługo minie. A nawet jeśli nie minie, to nikt się o tym nie dowie. Nie powiem mu. Nie powiem nikomu.

– Lepiej już chodźmy – powiedziałam, cofając się.

– Tak – odparł Nolan i wyraźnie poruszony przeczesał włosy palcami. – Chyba będę leciał.

Kilka sekund później zegnaliśmy się niezgrabnie na dole.

– Jutro wyjeżdżasz do szkoły? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam. – Jutro rano.

– Okej. – Nolan uściskał mnie zdawkowo i cmoknął w policzek. – Trzymaj się, Mere.

– Ty też – powiedziałam.

– Będziemy w kontakcie – obiecał.

Skinęłam głową. Wierzyłam w szczerą intencję, choć nie sądziłam, że się urzeczywistnią.

Z czasem oddalimy się od siebie i więź łącząca nas wszystkich z Nolanem padnie kolejną ofiarą tej tragedii.

*

– Mam dla ciebie propozycję – mówię do Harper.

Siedzimy razem w jej pokoju (mojej sypialni z dzieciństwa). Oficjalnie odwołałam dzisiejsze spotkanie z Grahamami i przebrałam się w najwygodniejszą piżamę.

Mała podnosi wzrok znad kolekcji pluszowych myszek mieszkających w dolnej szufladzie komódki.

– Jaką? – pyta.

– Wiesz, co to jest propozycja? – upewniam się, przysiadając na skraju łóżka. – To taka umowa.

Zawrzemy umowę, chcesz?

Harper spogląda na mnie podejrzliwie, ale kiwa głową, najwyraźniej gotowa przynajmniej mnie wysłuchać.

– Jeśli umyjesz zęby i od razu położysz się spać, przeczytam ci na dobranoc aż dwie bajki i... – urywam, budując napięcie. – Zostanę w domu.

– Nie przyjdzie opiekunka? – pyta mała z błyskiem w oku.

– Nie przyjdzie – potwierdzam.

Harper uśmiecha się od ucha do ucha. Nie licząc mojej mamy, rodziców Nolana oraz Josie, nie znosi opiekunek, zwłaszcza wieczorami, i nawet te młode i wesołe doprowadzają ją do hysterii.

– Ale umawiamy się, że potem od razu pójdiesz spać i gasimy światło. Żadnych wygłupów.

Mała patrzy na mnie i niemal widzę obracające się w jej główce trybiki.

– Umowa stoi? – pytam z pełną świadomością faktu, że przyszło mi się zmierzyć z najzdolniejszą negocjatorką w całej Atlancie.

Oczywiście następuje kontrpropozycja.

– Cztery książki – rzuca twardo Harper.

Powstrzymuję uśmiech i mówię:

– Trzy.

– Nie, pięć! – woła, wznosząc piąstkę i pokazując mi wszystkie palce.

Kręcę głową i wyjaśniam spokojnie, że tak to nie działa. Powiedziała już cztery i nie może zwiększyć liczby do pięciu. Ale podziwiam jej tupet, więc postanawiam pójść na małe ustępstwo.

– Zaczniemy od trzech, a potem zobaczymy. Jeśli nie będzie bardzo późno, przeczytam ci czwartą. Proszę bardzo – dodaję, wskazując na regał. – Ty wybierasz.

Uradowana, podbiega do półki i sprytnie wyciąga z niej trzy książeczki z największą liczbą słów na stronę. Nie jest głupia ta moja mała. Pierwsze dwie bajki są w porządku, ale sięga też po historię o słoniu Konstantym i z moich ust wrywa się stłumiony jęk. Choć uwielbiam jej wyraźny morał zawierający pochwałę tolerancji i równości, nie jestem dziś w nastroju na Dra Seussa.

– Mogę zgłosić jedno weto? – pytam, myśląc, że stoi tu mnóstwo świetnych książeczek, których dawno nie czytałyśmy.

– Nie, mamu – mówi Harper i bierze się pod boki. – Powiedziałaś, że mogę wybrać. Chcę słonia Konstantego.

– Niech będzie – poddaję się. – A teraz jazda. Myjemy zęby.

Moja córka kiwa głową i maszeruje do łazienki, którą kiedyś dzieliłam z siostrą. W tym czasie ustawiam równo zabawki, układam myszki do snu w szufladzie komody i moszczę się na łóżku.

Kilka sekund później Harper wraca do pokoju. Powstrzymuję się od uwagi, że w tak krótkim czasie na pewno nie zdążyła porządnie wyszczotkować zębów. Robię dla niej miejsce na łóżku. Gramoli się na posłanie, pachnąca pastą do zębów o smaku gumy balonowej, i podaje mi opowieść o Sylwestrze i magicznym kamyku. To jedna z moich ulubionych książeczek – wciąż pamiętam, jak mama czytała ją mnie i Josie. Mówię o tym Harper, która uwielbia historie o „mamusi i cioci, gdy były malutkie”. Uśmiecha się, podniecona radosnym oczekiwaniem, i wtula się we mnie wygodnie. Otwieram książkę i zaczynam czytać najbardziej ożywionym głosem, na jaki mnie stać, ciesząc się słodyczą tej chwili i przypominając sobie, by w życiu nigdy niczego nie uznawać za pewnik.

ROZDZIAŁ 5

Josie

W piątkowy wieczór wybieram się na randkę z serwisu Match.com. Mam się spotkać z fizjoterapeutą imieniem Pete. Nagle przychodzi wiadomość od Meredith z prośbą o opiekę nad Harper i tyradą na temat jakiejś nieuczciwej dziewczuchy. Przez chwilę się waham, ponieważ szczerze mówiąc, wolałabym spędzić wieczór, czytając siostrzenicy książeczkę, niż z jakimś przypadkowym facetem (nawet jeśli na zdjęciu profilowym wyglądał całkiem do rzeczy). Jednak po zastanowieniu postanawiam doprowadzić sprawę do końca, ponieważ nigdy nie wiadomo, czy nieznajomy nie okaże się przyszłym mężem.

Zdecydowałam, że to koniec. Randka ostatniej szansy. Jeśli nic nie wyjdzie ze spotkania z Pięknym Pete'em, przyznam się do porażki i ostatecznie porzucę marzenia o tradycyjnej rodzinie. Nie jestem pewna, co to będzie oznaczało w praktyce: może wyjadę do Afryki pracować w służbie ludzkości jak mój zmyślony ukochany Jack albo pójdę do banku spermy i poświęcę się samotnemu macierzyństwu. Nie mam jednak zamiaru podejmować kolejnych jałowych prób. Owszem, składałam już wcześniej podobne deklaracje, ale tym razem będzie inaczej. Tym razem potraktuję sprawę poważnie.

Powtarzam to sobie w duchu w drodze na spotkanie z Pete'em. Właściwie nie czuję presji. Prawdę powiedziawszy, w pewnym sensie chcę, by się nie udało, bo totalny frajer zawsze jest lepszy od przeciętniaka, takiej powiedzmy szóstki, który wzbudza nadzieje tylko po to, by na kolejnym spotkaniu okazać się piątką bądź czwórka. Albo, co gorsza, ósemką, dziewiątką lub dziesiątką – wtedy wiadomo, że nigdy więcej nie zadzwoni.

Zamiast jak zwykle dodawać sobie otuchy, skupiam się na krytyce Pięknego Pete'a. Po pierwsze, nadużywa emotikonów. Nasza internetowa konwersacja roiała się od bezsensownych graficznych przerywników, takich jak głupkowate uniesione kciuki obok kieliszka wina, kiedy ustaliliśmy szczegóły spotkania. Następna kwestia to jego zdjęcie profilowe na Facebooku: zbliżenie czarnego kota (wiem o tym tylko dlatego, że złamał jedną z podstawowych zasad i zaprosił mnie do znajomych jeszcze przed pierwszym spotkaniem). Wreszcie dobór restauracji: sieciowa włoska knajpa Brio sama w sobie nie jest oczywiście zła, ale średnio nadaje się na pierwszą randkę. Dawna, desperacko marząca o małżeństwie Josie szukałaby raczej usprawiedliwień: po pierwsze, emotikony to oznaka wesołego charakteru, po drugie, wyrafinowani mężczyźni nie potrzebują bezustannej psiej adoracji, dlatego

wolą koty, i po trzecie, Brio sąsiaduje z księgarnią Barnes & Noble, a proponując, by po kolacji przejść się pomiędzy regałami, nieznajomy fizjoterapeuta kolejny raz dowiódł swojej światłej natury.

Ale to było kiedyś. Nowa, odmieniona Josie wjeżdża na parking i myśli sobie: „Chrzanić to”. Potem wchodzi do restauracji i natychmiast zauważa przy barze Pięknego Pete’a w czerwonej koszulce polo. Właśnie po niej miałam go poznać, a deklaracja ta była opatrzona kolejną mrugającą buźką. Patrzy w telefon, dzięki czemu mam okazję mu się przyjrzeć i wyrobić sobie pierwsze wrażenie. Choć żaden z niego adonis, to wygląda równie dobrze jak na zdjęciu. Mocna siódemka, niestety. Trudno stwierdzić, czy jest wysoki, ale ma atletyczną budowę, i wystarczająco mocny podbródek, by zrekompensować lekko przerzedzone włosy nad czołem. Ten podbródek, powtarzam sobie w duchu, nie zmienia jednak faktu, że wybrał Brio. Pete podnosi wzrok, zauważa mnie i macha ręką. Z uśmiechem ruszam w jego stronę. Nie mam nic do stracenia.

– Josie? – pyta i wstaje. Ma nieco ponad metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i przyjemny, dość niski głos bez wyraźnego akcentu, choć na jego profilu wyczytałam, że jest z Wisconsin. Białe zęby i ładny uśmiech podnoszą ocenę o pół punktu.

– Cześć, Pete – mówię.

Pyta, czy wolę zostać przy barze, czy usiąść przy stoliku. Już mam odpowiedzieć, że wszystko mi jedno, gdy po błyskawicznym namyśle wybieram bar. Jeśli rozmowa utknie w martwym punkcie, zawsze można włączyć w nią barmana: oto czego nauczyło mnie długoletnie doświadczenie.

– Bardzo mi miło cię poznać – zagaja Pete.

Siadamy na stołkach i zwracamy się ku sobie. Wieszam torebkę pod barem, przez cały czas pilnując, by nasze kolana się nie zetknęły.

– Ciebie również – odpowiadam

Zauważam dołek w podbródku. Duży plus. Fatalnie.

– Cieszę się, że wreszcie udało nam się umówić – mówi Pete, nawiązując do naszych wielotygodniowych prób uzgodnienia terminów.

– Ja też – odpowiadam beztrąsko i dodaję, że należy do niewielkiej grupy osób, które w rzeczywistości wyglądają lepiej niż na zdjęciu.

– Zabawne – rzuca. – To samo pomyślałem o tobie.

Uśmiecham się.

– Zawsze lepiej nisko postawić poprzeczkę, prawda?

Parska śmiechem i przyznaje mi rację.

– Ale skoro jesteśmy przy zdjęciach – mówię – czy pozwolisz, że udzielę ci pewnej rady na temat Facebooka?

– Tego samego Facebooka, na którym odrzuciłaś moje zaproszenie?

– Nie odrzuciłam. Zignorowałam.

– Niech będzie – odpowiada wesoło. – Co to za rada?

– Pozbądź się tego kota.

– Co takiego? – sapie teatralnie Pete. – Toffi ci się nie podoba?

– Twój kot ma na imię Toffi?

– Kotka. I tak właśnie się wabi. Bo jest słodka. Łapiesz?

– O rany – mówię, kręcąc głową i uśmiechając się pod nosem.

– No co?

– Toffi? – powtarzam. – Strasznie słabe imię.

– Moja bratanica tak ją nazwała. Biedaczka, już nie żyje.

Przez moment wydaje mi się, że miał na myśli bratanicę, i martwię się na myśl o swojej potwornej gafie. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że mówił o kocie.

– Toffi nie żyje? – upewniam się.

– Tak. Moja bratanica była załamana. To właściwie była jej kotka, ale mieszkała ze mną, bo bratowa jest uczulona... W każdym razie wszyscy ciężko to przeżyliśmy. Toffi była naprawdę świetnym kotem.

– Przykro mi – mamroczę, skrzętnie dopisując miłość do zwierząt i serdeczne stosunki z rodziną do listy jego zalet. – Mimo to nadal uważam, że należało się sprzeciwić nazwaniu kota Toffi.

Patrzy na mnie przez chwilę, po czym mówi:

– Tak? A ja uważam, że powinnaś była zaprotestować przeciwko spotkaniu w Brio. I co ty na to?

Wybucham śmiechem.

– Niby dlaczego?

– No bo... to Brio – odpowiada Pete.

W jego głosie dźwięczy ślad kulinarnego snobizmu, w czym przypomina mi Gabe'a.

– Większość dziewczyn w tej okolicy w ogóle odwołuje spotkanie, gdy tylko wybieram sieciówkę.

– Chciałeś, żebym się wycofała? – pytam, zauważając nad nami cień barmana. Nie reagujemy, więc podchodzi do innej pary.

– Wolę od razu eliminować snobki – wyjaśnia. – Pochodzę z Wisconsin. To by była zabójcza mieszanka.

– W Wisconsin nie ma snobów?

– Może dwóch albo trzech.

– Ja nie jestem snobką – oznajmiam z przekonaniem. – Chociaż mój najlepszy kumpel gardzi sieciówkami i odradzał mi to spotkanie.

– Czyli gej o delikatnym podniebieniu? – pyta Pete.

– Nie szufladkuj – odpowiadam z uśmiechem.

– Okej. Ale mam rację?

Kręcę głową.

– Co do podniebienia owszem.

Pete unosi brew i przygląda mi się podejrzliwie.

– Masz przyjaciela mężczyznę, który nie jest gejem?

– Tak, w dodatku jest moim współlokatorem.

– Hmm... Ciekawe.

– Już czujesz się zagrożony? – pytam, z każdą sekundą śmielsza. – Uwaga, alarm.

– Już próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość? – ripostuje. – Uwaga, alarm.

Kokieteryjnie mierzymy się wzrokiem do momentu, gdy obok znów pojawia się barman. Tym razem składamy zamówienia. Bez wahania proszę o martini z wódką. Najlepiej Tito's, a jeśli nie mają, niech będzie Belvedere.

Barman kiwa głową i spogląda na Pete'a.

– A dla pana?

– Piwo Miller Lite... I pitę – mówi mój towarzysz.

Pyta, na co mam ochotę, więc proponuję, by wybrał coś z dań mięsnych.

– Kiełbaski?

Potakuję, a gdy barman odchodzi, Pete stwierdza:

– Całe szczęście, że nie jesteś wegetarianką.

– Ani bezglutenowcem – dodaję, przypominając sobie o najnowszej obsesji mojej siostry. – Nawet nie wiem, co to właściwie jest ten gluten. Rodzaj pszenicy?

– Nie mam pojęcia – odpowiada. – A wiesz, jak rozpoznać bezglutenowca?

Kręcę głową.

– Nie trzeba. Sam ci, kurde, powie!

Parskam śmiechem, co sprawia mu wyraźną przyjemność.

– Jesteś nauczycielką? – pyta.

– Owszem. Uczę pierwsze klasy. Uwielbiam to. Uwielbiam dzieciaki.

Pete kiwa głową, a oczy zachodzą mu leciutką mgłą. Zastanawiam się, jak skierować rozmowę na ciekawsze dla niego tory, lecz przypominam sobie, że przecież nie chcę wydać mu się interesująca. W każdym razie nie bardziej, niż naprawdę jestem. Zamiast tego zadaję pytanie, od którego w normalnych okolicznościach trzymałabym się jak najdalej:

– A ty lubisz dzieci?

Waha się, bezbłędnie rozpoznając we mnie dobijającą czterdziestki desperatkę. Zachowuje jednak kamienną twarz.

– Pewnie, dzieci są świetne.

– W takim razie mamy wiele wspólnego – stwierdzam, patrząc, jak barman stawia przed nami napoje. – Oboje uwielbiamy mięso, gluten i dzieci.

Pete wybucha szczerym śmiechem i unosi kufel.

– Za mięso, gluten i dzieci.

Stukamy się szklankami, a zaraz potem kolanami. Przełykam, odczekuję chwilę, po czym postanawiam skoczyć na główkę.

– A więc – zaczynam – to moja ostatnia randka.

Spogląda na mnie, jednocześnie rozbawiony i zmieszany.

– To znaczy, że więcej się ze mną nie umówisz?

– W zasadzie tak. Bez urazy, ale podjęłam decyzję, jeszcze zanim tu przyszłam.

– A czemu? – pyta.

Chrząkam.

– Hm. Jak zapewne wiesz, mam trzydzieści siedem lat. Prawie trzydzieści osiem. Myślę więc, że czas dać sobie spokój z randkowaniem i próbami znalezienia męża. Poza tym – szarżuję – do mojej klasy trafiła sześćioletnia córka mojego byłego. Sześćioletnia! I teraz codziennie będzie mi przypominać, że czas płynie nieubłaganie. A zatem, o ile nie okażesz się „tym jedynym”, który zostanie ojcem moich dzieci, zamierzam zakończyć poszukiwania i skorzystać z nieznajomej spermy. Albo to, albo wyjadę do Afryki i poświęcę życie biednym. – Uśmiecham się. – Widzisz więc, zero presji.

*

Dwie i pół godziny później stoimy na parkingu, czekając, aż boy podstawi nasze samochody. Choć wieczór okazał się miłszy, niż przypuszczałam – solidna siódemka – żadne z nas nie wspomina o wizycie w Barnes & Noble.

– No i jak? – pyta mój towarzysz. – Czy to była twoja ostatnia randka?

Uśmiecham się.

– Raczej tak.

– Czyli nie dzwonić?

– A chciałeś?

– Tylko jeśli ty chcesz.

Po chwili namysłu wyznaję mu prawdę:

– Sama nie wiem... Chyba nie.

Pete parska śmiechem.

– Mogę liczyć na konkretniejszą odpowiedź?

– Cóż. To był miły wieczór i polubiłam cię, ale chyba... nie zaiskrzyło.

Pete kiwa głową.

– Czyli następny przystanek... Afryka?

– Albo bank spermy – przypominam mu i zauważam zaciekawione spojrzenie boya, który właśnie wysiada z mojego samochodu.

– No to powodzenia – mówi Pete.

– Dzięki.

Podaję boyowi cztery dolary i siadam za kierownicą. Czuję na sobie spojrzenie Pete'a, więc opuszczam szybę.

– A tak przy okazji, słodki masz ten dołek w brodzie.

Pete się uśmiecha.

– Wystarczy, żebym dostał drugą szansę, nawet jeśli nie zaiskrzyło?

– Wątpię... Ale próbować zawsze możesz – odpowiadam wymijająco.

Nie mam zamiaru obiecywać sobie zbyt wiele. Macham mu na pożegnanie i ruszam. W drodze do domu wybieram numer Gabe'a.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Jak poszło?

– Ziarno samotnego macierzyństwa zostało oficjalnie zasiane – oznajmiam. – Zwróć uwagę na grę słów.

ROZDZIAŁ 6

Meredith

Po pogrzebie Daniela z ulgą wyjechałam z Atlanty i wróciłam do college'u. Dzwoniłam do rodziców tak często, jak tylko mogłam, bo wiedziałam, że boją się teraz o nas bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jednocześnie rzuciłam się w wir zajęć i castingów, byle tylko zaprzątnąć głowę czymś innym niż myślami o Danielu. Na szczęście szybko udało mi się zapomnieć o Nolandzie i przelałam uczucia na chłopaka, który nazywał się Lewis Fisher.

Poznaliśmy się na zajęciach z dykcji, a niedługo potem obsadzono nas jako Mitcha i Blanche w *Tramwaju zwanym pożądaniem*. Pochodzący z Brooklynu Lewis, znakomity aktor, ujął mnie nie tylko talentem, ale też drobnymi, uroczymi dziwactwami i wyrafinowanym gustem. Gdy pewnego wieczoru po próbie zostaliśmy sami w kulisach, odkryłam, że łączy nas znacznie więcej niż miłość do teatru: oboje straciliśmy rodzeństwo. Opowiedziałam mu o wypadku Daniela i dowiedziałam się, że jedyna siostra Lewisa, Ruthie, tydzień przed swoimi szesnastymi urodzinami rzuciła się pod pociąg metra nowojorskiej linii N.

Rozmawialiśmy pół nocy, z brutalną szczerością analizując obie tragedie. Doszliśmy do wniosku, że choć sprawa samobójstwa Ruthie była emocjonalnie bardziej skomplikowana, w jakiś sposób śmierć kogoś tak radosnego i produktywnego jak Daniel wydaje się wyjątkowo niesprawiedliwa. Lewis dźwigał większy ciężar, ponieważ nie potrafił ocalić swojej siostry, tymczasem moje poczucie winy brało się z tego, że mój brat zginął, a ja żyłam. Nasza rozmowa była oczyszczająca i zarazem niezwykle intymna. Połączyła nas wyjątkowa więź, a także wyraźna chemia. Płacząc, padliśmy sobie w objęcia, a potem się pocałowaliśmy.

W dniu premiery byliśmy już parą. Nawet krytyk teatralny z „Daily Orange”, znany z ostrego pióra, wyczuł u nas „autentyczną namiętność”, którą uznał za najlepszy element spektaklu, i żałował, że równie płomienna pasja nie połączyła Stelli i Stanleya. Aby uczcić recenzję, tej nocy kochałam się z Lewisem. To był mój pierwszy raz. Lewis stwierdził, że mi tego zazdrości.

Staliśmy się nierozłączni. Unikaliśmy imprez i tłocznych lokali, większość czasu spędzając we dwójkę albo w niewielkim gronie znajomych aktorów. Chodziliśmy na te same zajęcia i przesłuchania do tych samych sztuk, a każdą noc spędzaliśmy razem w moim lub jego łóżku. Zbyt młodzi, by myśleć o małżeństwie (zresztą żadne z nas nie marzyło o tradycyjnej rodzinie), rozmawialiśmy jednak o przyszłości i czekających nas decyzjach: czy pracować w teatrze, czy w filmie, przeprowadzić się do

Nowego Jorku, czy do Los Angeles. Może do mnie lub Lewisa szczęście się uśmiechnie i jedno z nas osiągnie wielki komercyjny sukces? Choć nie zależało nam na tym aż tak bardzo, liczyło się to, że będziemy robić to, co kochamy, i że będziemy razem.

Przez kilka miesięcy byłam niemal szczęśliwa, a dzięki prawdziwej miłości życie wydawało się proste. Potem miłość zgasła i znów wszystko stało się skomplikowane. Zaczęło się jesienią ostatniego roku studiów, gdy oboje braliśmy udział w przesłuchaniach do *Jak wam się podoba*. Lewis zdobył rolę Jakuba. Zjawiskowa blondynka Poppy została Rozalindą, a mnie przypadła w udziale drugorzędna postać pasającej kozy wieśniaczki Odrej. Choć Lewis i ja nigdy wcześniej nie rywalizowaliśmy ze sobą, nagle straciłam wiarę w siebie, byłam urażona i zazdrosna, zwłaszcza o Poppy, która wyraźnie budziła jego zachwyt.

Zacząłam się zmagać z lekkimi zaburzeniami odżywiania i na każdym kroku kwestionowałam własną wartość. Uznałam, że nigdy nie zostanę prawdziwą aktorką. Nie byłam dostatecznie ładna ani utalentowana, do tego brakowało mi psychicznej odporności. Gdy zwierzyłam się rodzicom z moich wątpliwości, obojgu znacznie ulżyło. Stwierdzili, że studia aktorskie były dobrym doświadczeniem, ale najwyższy czas znaleźć sobie praktyczniejsze zajęcie. Mama pocieszała mnie perspektywą gry w lokalnej amatorskiej trupie, a ojciec napomknął o studiach prawniczych. Jako adwokat zwrócił mi uwagę, że przemawianie w sądzie to również rodzaj występów. Nie kupiłam tego, ale zapisałam się na zajęcia przygotowawcze i zaczęłam czytać o wydziałach prawniczych różnych uczelni, powtarzając sobie w duchu, że dobrze mieć plan awaryjny.

Oburzony Lewis oskarżył mnie o materializm. Odparłam, że łatwo mu mówić: jego rodzice należeli do brooklyńskiej bohemy. Innymi słowy, mógł spokojnie podążać za głosem serca i nie sprawiał im w ten sposób zawodu. Stosunki między nami były coraz bardziej napięte, a seks, kiedyś tak namiętny, stał się mechaniczną czynnością.

Gdy wróciłam do domu na święta, tuż po pierwszej rocznicy śmierci Daniela, rodzice usadzili mnie i Josie na kanapie i oznajmili, że się rozstają. To zawołane określenie oznaczało rozwód. Wiedziałam, że mają problemy, że ojciec znów zaczął pić, ale mimo to ta wiadomość mną wstrząsnęła. Bez starszego brata i opoki, jaką było ich małżeństwo, poczułam, jakbym całkiem straciła rodzinę.

Kolejny cios zadano mi krótko po powrocie do szkoły: Lewis oficjalnie rzucił mnie dla Poppy. Wyznał, że są parą już od Święta Dziękczynienia, ale nie miał serca mówić mi o tym przed dwudziestym drugim grudnia.

– Wiem, jaka ciężka jest ta pierwsza rocznica – dodał.

– O rany, dzięki – odparłam, resztkami sił powstrzymując się od płaczu. – To bardzo szlachetne.

Ostatni semestr w college'u był okropny. Na dobre zrezygnowałam z aktorstwa i popadłam w paralizującą depresję, wywołaną podwójną stratą: brata i Lewisa. Zupełnie, jakby nasz żarliwy związek opóźnił nadejście prawdziwej żałoby. Nagle znalazłam się w punkcie wyjścia, wróciłam do chwili, gdy mama zbudziła mnie i przekazała wiadomość o śmierci brata. Jeden z profesorów zauważył, że jestem coraz chudsza i mam słabe oceny. Doradził wizytę u uczelnianego psychologa. Terapia oraz tabletki ledwo trzymały mnie na powierzchni.

Światło w tunelu rozbliło dopiero wiosną, kiedy nadeszły listy z uczelni, w tym z Uniwersytetu Kolumbii. Nie był to wprawdzie Harvard ani Yale, a wydział prawniczy nie mógł się równać z katedrą neurochirurgii, ale nie zmieniało to faktu, że zostałam studentką Ivy League i wiedziałam, że ta nowina uszczęśliwi rodziców. To napełniło mnie dumą i wreszcie wypełniło pustkę.

Kilka miesięcy później wyjechałam z Syracuse i przeniosłam się do Nowego Jorku. Rzuciłam się w wir nauki, za wszelką cenę unikałam wydarzeń kulturalnych. Może Lewis miał rację, myślałam, dowiedziawszy się, że mieszkają z Poppy w Greenwich Village i grają w tym samym teatrze. Może jestem pozbawioną kręgosłupa materialistką. Jednak uszczęśliwiłam rodziców, a to szlachetny i altruistyczny gest. Powoli przekonałam się do tego toku myślenia i utwierdziłam w pragnieniu bycia solidną, odnoszącą sukcesy córką, która zaleczy ich wciąż otwarte rany.

Oczywiście mieli nadzieję, że któregoś dnia założę rodzinę, najlepiej w Atlancie. Na szczęście była jeszcze Josie. Spotykała się wówczas z klasycznie urodzonym chłopcem imieniem Will. Pochodził z Macon, z dobrej rodziny (słowa mojej matki), miał nienaganne maniery, a na specjalne okazje wkładał marynarkę z krepy i białe półbuty. Kochali się z Josie jak wariaci i byli tego rodzaju parą, która już przed zaręczynami wymyśla imiona dla dzieci. Wkrótce zawarłyśmy z siostrą niepisaną umowę: ja będę odnosić sukcesy zawodowe z dala od domu, ona zaś na miejscu urodzi naszym rodzicom śliczne wnuki. Może dzięki temu ojciec przestanie pić i wróci do mamy? A nawet jeśli nie, to pomożemy im osiągnąć względną równowagę w tak zwanej nowej normalności (nie znosiłam tego wyrażenia).

Skończyłam studia. Z tej okazji rodzice wręczyli mi aktówkę brata, tę samą, którą mu podarowali na dwudzieste piąte urodziny. Choć chwila była uroczysta, pamiętam swoje rozgoryczenie i zazdrość, bo uważałam, że Josie o wiele więcej zyskała na naszej umowie. Ja miałam dyplom prawniczki i aktówkę, a ona prawdziwe szczęście. Jej życie nauczycielki wydawało mi się łatwe, pełne wycieczek i wolnego czasu. Co najważniejsze, miała kogo kochać.

Nie chciałam ulec tej goryczy, więc pocieszałam się, że może z czasem życiowe wybory Josie sprawią, że odzyskam wolność. Może kiedyś, powtarzałam sobie, kiedy zdałam egzamin adwokacki i zaczęłam pracę w świetnej kancelarii na Manhattanie. Pracowałam siedemdziesiąt, a czasami osiemdziesiąt godzin tygodniowo. Może kiedyś, kiedy Josie poślubi Willa i urodzi dziecko, ja również podążę za głosem serca. Może kiedyś będę szczęśliwa.

*

Jednak zanim to nastąpiło, Josie wszystko spieprzyła, w typowym dla siebie widowiskowym stylu. Zadzwoiła do mnie w środku nocy, choć muszę przyznać, że wciąż siedziałam w pracy, i zalewając się łzami, powiedziała, że Will ją rzucił. Zapytałam, co się stało, usiłując zebrać fakty, tak aby jej dobrze doradzić.

– To długa historia – odrzekła, jak zawsze, gdy czemuś zawiniła i nie chciała zagłębiać się w szczegóły. – Ale uwierz mi, to koniec.

– W takim razie zapomnisz i znajdziesz kogoś innego – powiedziała. – Nie masz jeszcze trzydziestki. Zostało ci mnóstwo czasu.

– Obiecujesz?

Zadała to pytanie tak szybko, że nagle opadły mnie wątpliwości, czy naprawdę kochała Willa, czy po prostu chciała wyjść za mąż. Może się okaże, że inny przystojniak w marynarce z krepy pasuje jej tak samo?

Oczywiście nie miałam pojęcia, jak potoczą się jej losy, podobnie jak kiedyś nie mogłam przewidzieć losu Daniela, a mimo to zapewniłam ją, że wszystko będzie dobrze. W końcu wszechświat jest nam winien nieco łaskawości.

*

Tydzień później, na prośbę Josie, poleciałam do Atlanty, jak zwykle pełna niepokoju. Powrót do domu zawsze wyzwalał we mnie pokłady smutku, o których zapomniałam w gwarnym, tłocznym Nowym Jorku, gdzie nic nie przypominało mi o bracie. Jadąc ruchomymi schodami, odetchnęłam głęboko, próbując wziąć się w garść. Ku mojemu zaskoczeniu, na szczycie schodów czekał na mnie Nolan. Chociaż wciąż mniej więcej raz na pół roku pisał do mnie zdawkowe maile, ujrzałam go po raz pierwszy od tamtego wieczoru, gdy staliśmy razem w pokoju Daniela.

– Cześć – powiedział szeptem, machając do mnie na powitanie.

Josie, która co jakiś czas spotykała go w barach, doniosła mi, że wygląda jeszcze lepiej niż kiedyś. Nie byłam jednak przygotowana na widok tego pięknego mężczyzny w dżinsach, koszulce i czapeczce z daszkiem z uniwersyteckim logo.

– Co ty tu robisz? – zapytałam, uśmiechając się mimowolnie. – Tata miał mnie odebrać.

– Wiem. Graliśmy dzisiaj w golfa. Powiedziałem mu, że się tym zajmę.

Zmierwił mi włosy, jakbym miała dwanaście lat, choć prawdę powiedziawszy, nigdy wcześniej tego nie robił.

– Świetnie wyglądasz, Mere. Klasa.

– Ty też... Tęskniłam za tobą – powiedziałam.

– A ja za tobą – odparł z uśmiechem i odebrał ode mnie walizkę.

Po drodze do domu wymieniliśmy nowiny. Nolan wciąż pracował w rodzinnej firmie, a ojciec stopniowo przygotowywał go do przyszłej roli szefa. Opowiedziałam mu o kancelarii i zdradziłam co pikantniejsze szczegóły biurowego życia. Rozmawialiśmy o rozwodzie moich rodziców i o tym, że jego zrobiliby najlepiej, gdyby poszli w ich ślady. Plotkowaliśmy o wspólnych znajomych. Choć wielu z nich wyjechało z Atlanty na studia, większość wróciła na stare śmieci, by się ustatkować i założyć rodziny.

– A ty czemu jeszcze nie masz żony? – zapytałam kokieteryjnie. – Czyżby lęk przed zaangażowaniem?

– Nieee... Po prostu nie znalazłem właściwej dziewczyny – odparł. – A ty? Spotykasz się z kimś?

– W tej chwili nie – powiedziałam. – Mam za dużo pracy.

Umilkliśmy, mijając szpital. Żadne z nas nie wypowiedziało na głos imienia Daniela, ale wspomnienia o nim wręcz wisiały w powietrzu.

Gdy dotarliśmy do skrzyżowania z West Paces Ferry, Nolan wskazał na OK Cafe.

– Pamiętasz, jak tam pojechaliśmy? – zapytał, zupełnie jakbyśmy nie wiadomo ile razy jadal kolacje tylko we dwójkę.

– Oczywiście – odrzekłam.

– Uwierzysz, że minęło prawie siedem lat? – powiedział cicho, nie odrywając wzroku od drogi.

– Nie. – Poczułam ukłucie w sercu. – Tyle go ominęło...

– To prawda. Dużo się zmieniło. Ty się zmieniłaś. Nie wiem, jakim cudem tak długo się nie widzieliśmy.

Nolan zwolnił i zatrzymał się na żółtym świetle, chociaż spokojnie zdążyłby przejechać. Odniosłam wrażenie, że zwleka, próbuje przeciągnąć ten moment, w którym ma mnie tylko dla siebie.

– Rzadko bywałam w domu – powiedziałam, myśląc o tym, ile razy znajdowałam wymówkę, żeby zostać na weekend lub święta w Nowym Jorku.

Nolan spojrział na mnie z ukosa i nieoczekiwanie na jego smutnej dotąd twarzy pojawiły się oznaki rozbawienia.

– Niepozorna aktoreczka została gwiazdą palestry?

– W mojej pracy nie ma nic gwiazdorskiego – oświadczyłam zgodnie z prawdą.

– Te szpile mówią coś innego – stwierdził Nolan, zerkając na moje buty. – Ładne... I ładne nogi.

– Dzięki – powiedziałam z uśmiechem i odwróciłam głowę do okna.

– Wiesz... Słyszałem, że... rozkwitłaś.

– Od kogo? – zapytałam, z zachwytem chłonąc komplement.

– Tak mówią na mieście – powiedział, kręcąc głową. – Że jesteś mądra, powodzi ci się i w dodatku jesteś piękna.

Miałam ochotę zaznaczyć, że myli obsesyjną dbałość o wygląd, kompulsywne ćwiczenia i ogólny manhattański blichtr z prawdziwą urodą, ale postanowiłam nie wyprowadzać go z błędu.

Kilka minut później zaparkował przed domem, w którym spędziłam dzieciństwo. Nadal mieszkała w nim moja mama. Na podjeździe stał samochód Josie. Mogłam się więc spodziewać długich nocnych wynurzeń na temat Willa.

– Hej, Meredith? – rzucił Nolan, gdy wysiadałam z auta.

Spojrzawszy na niego, poczułam dawno zapomniany dreszczyk pożądania i przypomniałam sobie, jak bardzo go podziwiałam, będąc małą dziewczynką.

– Słucham?

– Wiem, że przyjechałaś odwiedzić rodzinę... ale myślisz, że mógłbym któregoś dnia gdzieś cię wyciągnąć?

– Na przykład do OK Cafe? – zapytałam z nutką kokieterii w głosie.

– Nie. Na prawdziwą randkę.

Wyłamując sobie palce, zmienił pozycję, żeby mnie lepiej widzieć.

– Oczywiście, o ile sądzisz, że Daniel nie miałby nic przeciwko. Swego czasu na pewno nie pozwoliłby mi umówić się ze swoją siostrą.

Popatrzyłam mu w oczy i poczułam łaskotanie w żołądku.

– Fakt. Tak było... Ale raczej chodziło mu o Josie – powiedziałam z uśmiechem, myśląc, że to właśnie z nią pragnęli się zawsze umawiać koledzy Daniela. – Poza tym... dla nas na pewno zrobiłby wyjątek.

W ten sposób, jeszcze o tym nie wiedząc, przypieczętowałam nasz los.

*

Opowiadając „naszą historię”, zawsze zaczynamy od tamtego wieczoru, od mojego zdziwienia, gdy ujrzałam go na lotnisku, i tej niewinnej podwózki do domu. Nolan wspomina moje szpilki, a ja ze śmiechem dodaję, jakie to szczęście, że zapomniałam włożyć do walizki buty na płaskiej podeszwie. Mówimy o radości ze spotkania, więzi, jaka natychmiast nas połączyła, i poczuciu, jakby od naszego poprzedniego spotkania minęła zaledwie chwila.

W tym momencie zaczynamy opowiadać o naszej pierwszej randce. Poszliśmy na kolację do Lobster Bar. Później lekko wstawieni pojechaliśmy do jego mieszkania, gdzie piliśmy wino i kochaliśmy się na niezaścielonym łóżku. Gdybyśmy dzielili się z kimś tą częścią historii, twierdzilibyśmy pewnie, że prędzej czy później musiało do tego dojść, że seks był nam pisany. W rzeczywistości po prostu się wydarzył, zaskakująco i szybko. Nie gustowałam w przygodach na jedną noc, co oznajmiłam mu później, w chwili czułości, gdy leżałam, wtulając głowę w jego pierś.

– No wiesz – odparł, głaszcząc mnie po włosach – nie można chyba przeżyć przygody na jedną noc

z kimś, kogo zna się całe życie... Poza tym kto mówi o jednej nocy?

Parsknęłam śmiechem i powiedziałam mu o uczuciach, które ogarnęły mnie tamtego wieczoru w pokoju Daniela. Nolan udawał zdziwionego, ale wkrótce wyznał, że on również coś wtedy poczuł.

Przewróciłam się na bok, oparłam na łokciu i spojrzałam mu w oczy.

– Naprawdę?

Nie byłam pewna, czemu ma to jeszcze dla mnie jakieś znaczenie, ale miało.

Skinął głową.

– Aha. W ogóle tamtej nocy czułem, że jesteś mi bardzo bliska.

– Ze względu na Daniela?

Popatrzył na mnie z namysłem i powiedział:

– Owszem. Ale nie tylko. W końcu nie leżę teraz w łóżku z Josie, prawda?

– Nie – potwierdziłam z uśmiechem. – Co do tego nie ma wątpliwości.

Zwalczyłam pokusę, by zapytać, czy Josie mu się kiedyś podobała, ponieważ przypuszczałam, że to potwierdzi.

– Powiesz jej o tym? – zapytał z nagłą niepewnością.

Zaprzeczyłam. Chciałam, żeby to była nasza tajemnica.

– W porządku – zgodził się z powagą. – Jeśli tylko sobie tego życzysz.

*

W następną niedzielę wieczorem wróciłam do Nowego Jorku, zastanawiając się, kiedy znów zobaczę Nolana. Podejrzewałam, że może upłynąć kilka lat. On miał jednak inne plany i zaledwie pięć dni później stanął w progu mojego mieszkania w Upper East Side z bukietem czerwonych róż. Choć gest był trywialny, zrekompensował mi to stylem i rozmachem.

– Mówiłem, że nie skończy się na jednej nocy – oznajmił.

Wybuchłam śmiechem.

– Skąd wiedziałeś, że będę miała czas?

– Zaryzykowałem – odparł. – Masz?

Pokręciłam głową i poinformowałam go, że jestem umówiona na randkę w ciemno.

– Pewnie z jakimś ciemniakiem? – rzucił dowcipnie.

Znów parsknęłam śmiechem, a on się uparł, żebyśmy olała nieznanego. Tak też zrobiłam, po czym przez cały weekend oprowadzałam mojego niespodziewanego gościa po mieście. Nie wierzyłam w to, co się dzieje. Powtarzałam sobie, że to sen. Wcale nie stanęliśmy u progu poważnego związku. Wygłupiamy się tylko, łapiąc chwilę, póki trwa, motywowani zwykłym sentymentalizmem.

Ale chwila trwała i trwała. Odwiedzaliśmy się co kilka tygodni, wciąż trzymając to w tajemnicy

przed naszymi rodzinami. Nie chciałam budzić w mamie żłudnych nadziei, tak jak zrobiła to Josie. Sama też chyba nie chciałam się łuźić, że kiedyś zostaniemy prawdziwą parą. Nie byłam zresztą pewna, czy naprawdę tego chcę.

Nawet po tym, jak w Boże Narodzenie wyznaliśmy sobie miłość i przestaliśmy ukrywać nasz związek, nadal starałam się nie oczekiwać zbyt wiele, powtarzając sobie w duchu, że się kochamy, ale nie jesteśmy zakochani, i że w zasadzie niewiele nas łączy. Byłam typowym mózgowcem, a on typowym przystojniakiem. Ja byłam introwertyczką, on ekstrawertykiem. Ja kochałam sztukę, on sport. Ja chciałam zostać w Nowym Jorku, on nie mógł porzucić rodzinnej firmy w Atlancie. Zerwanie wydawało się nieuniknione, kwestią było raczej „kiedy” niż „czy”.

Pewnej parnej lipcowej soboty, jakieś dziewięć miesięcy po naszej pierwszej randce, chodziliśmy po Chastain Park, aż doszliśmy na Wilkins Field. Spacerowaliśmy od bazy do bazy, po czym usiedliśmy w pustej łoży dla zawodników, spoglądając przez drucianą siatkę na pięknie przystrzyżoną murawę. Zachodzące słońce opromieniało złotym blaskiem wysypyany piaskiem kwadrat, z którego Nolan wyrzucał piłkę i gdzie Daniel czasami go wymieniał.

– To było ukochane miejsce Danny’ego – mruknął Nolan, bardziej do siebie niż do mnie.

– Wiem – westchnęłam z żalem. Jaka szkoda, że spędzałam tyle czasu, bawiąc się z Josie na trybunach albo pielgrzymując do kramu ze słodyczami, zamiast patrzeć, jak mój brat gra.

W nabrzmiałej wspomnieniami ciszy Nolan wziął mnie za rękę i spojrzał na mnie smutno. Nagle poczułam, że zaraz ze mną zerwie. Ostatnio sama to rozważałam, a przynajmniej zastanawiałam się, czy on to zrobi. Było nam razem dobrze, ale czegoś brakowało. Mimo wszystko zrobiło mi się przykro, bo nie znośiłam rozstań.

Wzięłam głęboki wdech i wymamrotałam:

– No dalej. Miejmy to już za sobą.

Tak przynajmniej twierdzi Nolan, gdy snujemy naszą opowieść.

Spojrzał na mnie, zmieszany.

– Przecież chciałeś za mną zerwać?

Roześmiał się i potrząsnął głową.

– Nie, Meredith. Nie mam zamiaru z tobą zrywać.

A potem ukląkł przede mną w tej pokrytej pyłem łoży i zadał pytanie, którego nigdy bym się nie spodziewała usłyszeć ani od niego, ani – prawdę mówiąc – od nikogo innego.

– Wyjdiesz za mnie?

Przez chwilę sądziłam, że żartuje. Wtedy wyciągnął piękny, błyszczący pierścionek z brylantem. Gapiłam się to na pierścionek, to na niego, oszołomiona i lekko przerażona. Serce podpowiadało mi, że powinnam odmówić albo przynajmniej zażądać czasu do namysłu. Milczałam jednak i kręciłam głową, mrugając, by powstrzymać łzy.

– Powiedz coś – poprosił Nolan, parszkając nerwowym śmiechem.

– Nie mogę...

To chyba miało znaczyć: nie mogę za ciebie wyjść, on jednak uznał po prostu, że mnie zamurowało. Sam więc zaczął nieskładną, ale szczerą przemowę. Po pierwsze, zapewnił, jak bardzo mnie kocha i że nigdy nie spotkał takiej dziewczyny jak ja. Opowiedział, jak poprosił rodziców o moją rękę. Oboje płakali, a moja matka nazwała go przybranym synem. Przywołał wszystkie nasze wspólne wspomnienia. Twierdził, że to, co nas połączyło, to jedyna dobra rzecz, jaka wynikła z bezsensownej śmierci Daniela. Dodał, że wyobraża sobie, że mój brat mu kibicuje, tak jak kibicował mu wiele razy z tej właśnie ławki, na tym właśnie boisku.

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że „nie” zmieniło się w „tak” i, na dobre czy na złe, moja niepewna przyszłość przerodziła się w coś, co dotąd zawsze przepowiadałam swojej siostrze.

*

Okres narzeczeństwa był krótki, ponieważ nie chcieliśmy wystawnego ślubu. Poza tym obawiałam się, że w którymś momencie jedno z nas odkryje karty i stwierdzi to, co oczywiste: że choć znamy się długo, to nie dość dobrze, żeby się pobierać. W końcu byliśmy razem niecały rok i to wciąż na odległość, przez co spędzany wspólnie czas bardziej przypominał wakacje niż zwykłe, codzienne życie. Mimo straszliwej tragedii sprzed wielu lat nigdy nie mieliśmy okazji przetestować siły naszego związku. Nigdy się nawet poważnie nie pokłóciliśmy. A jednak nie pisałam o tym ani słowa, co, jak uważam, samo w sobie świadczyło o wielu sprawach.

Rozmawiałam o tym tylko z Josie, w tamten weekend, gdy razem z mamą przyleciały do Nowego Jorku, żeby pomóc mi wybrać suknię.

– Naprawdę nie wiem, czy nie trzeba było odmówić – wypaliłam, stojąc w samej bieliźnie pośrodku przymierzalni w salonie sukien ślubnych Miki Inatome, wpatrzona w pierścionek na serdecznym palcu. Tym razem wyjątkowo nie było z nami mamy, która została w domu z kolejną migreną.

– Nolanowi? – upewniła się Josie, spoglądając na mnie ze zgrozą.

Przytaknęłam.

– Żartujesz, prawda?

Josie zmarszczyła brwi i pocieszyła mnie, orzekając, że to zwykła trema.

– Chyba jednak coś więcej – powiedziałam.

– Daj spokój, Mere – zachnęła się i palnęła mi gadkę motywacyjną, wyraźnie pełna szczerych chęci: – Przecież chodzi o Nolana Brady’ego. Jest bosko przystojny. Nadziany. Zabawny. To naprawdę miły facet.

– Wiem – odparłam.

Czułam, że powinnam być wdzięczna losowi, i było mi wstyd.

– No pomyśl... Spójrz na to cudo – złapała mnie za lewą rękę i potrząsnęła.

– Wiem – powtórzyłam, spoglądając na pierścionek. – Ale nie jest w moim stylu. Podobnie jak te wszystkie suknie.

– Co z tego? Takie rzeczy nie mają znaczenia. Wychodzisz za świetnego faceta. Serio widzisz tu powód do zmartwień? – przekonywała mnie tonem, który często sama wobec niej przybierałam.

Westchnęłam.

– Po prostu... czasem myślę, że za bardzo się pospieszyliśmy... Pierścionek był kupowany na chybcika. I oświadczyły też takie były.

– Mere. Zachowujesz się, jakbyś dopiero co poznała Nolana w jakimś barze. Przecież znacie się od zawsze – mówiła Josie. – Całe życie!

– Wiem, ale razem jesteśmy od niedawna. Nic chcę, żeby żałował – powiedziałam.

– Co za głupota – zaprotestowała Josie. – On cię ubóstwia.

– Może – przyznałam, gdyż rzeczywiście czułam, że Nolan pod wieloma względami mnie podziwia. Był dumny z moich sukcesów i inteligencji. Wyjątkowa – tak o mnie mówił, a ja dzięki niemu taka się czułam.

Wzięłam głęboki oddech.

– Ale czy on jest zakochany we mnie? Czy w jakiejś swojej wizji mnie?

– W wizji? – zdziwiła się Josie. – Nie jesteś Julią Roberts. Co to znaczy „w wizji”?

– Nie wiem – odparłam, zniecierpliwiona.

Nie potrafiłam opisać swoich uczuć własnej siostrze, choć wiedziałam, że mają coś wspólnego z Danielem.

– Kochasz go? – zapytała Josie.

Potwierdziłam szczerze, żałując, że umyka mi to, czego nam brakuje. Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy pomyślałam o Lewisie. Choć dawno przestałam go kochać, tęskniłam za łączącą nas niegdyś żarliwą namiętnością. Zadawałam sobie jednak pytanie, czy taka namiętność to na pewno coś dobrego, czy może uczucie, które zawsze musi minąć. To wszystko było okropnie skomplikowane.

– Słuchaj, Meredith – powiedziała łagodnie Josie. – Szukasz czegoś, co nie istnieje. Jeżeli zerwiesz z Nolanem, będziesz tego żałować do końca życia. Tak jak ja żałuję Willa...

Głos jej zadrżał i umilkła. Nadal nie znałam szczegółów ich rozstania i podejrzewałam, że nigdy nie poznam, ale wiedziałam, że Will zdążył już zaangażować się w kolejny poważny związek.

Wiedziona – jak zawsze – strachem i żalem, skinęłam głową i przyznałam, że moja siostra prawdopodobnie ma rację.

– Dzięki, Josie – szepnęłam.

– Nie ma sprawy.

Uśmiechając się, objęła mnie i przytuliła.

– No dobra. To jedziemy dalej.

Odwzajemniłam uścisk i poczułam się odrobinę lepiej. Do przymierzalni wpadła sprzedawczyni z kolejną suknią, tym razem bardzo strojną, koronkową, z gorsetem haftowanym koralikami.

– Jaka śliczna! – zawołała Josie. – Jak myślisz, Mere?

– Nie jest w moim stylu – zaprotestowałam i pokręciłam głową.

– Tylko przymierz – nalegała.

Westchnęłam i pozwoliłam, by razem ze sprzedawczynią zapięły na mnie suknię i ułożyły tren u moich stóp.

– O rany – sapnęła Josie i obróciła mnie do lustra.

Spojrzałam na swoje odbicie. Na usta wypłynął mi mimowolny uśmiech.

– Widzisz? – triumfowała Josie. – Mówiłam!

– Rzeczywiście ładna, prawda? – upewniałam się.

– Idealna. Podobnie jak pierścionek. I Nolan. I twoje życie, ty głupia małpa.

– Sama jesteś małpa – odparłam z uśmiechem, po czym ostatecznie i na zawsze postanowiłam wyzbyć się wątpliwości.

To by było na tyle. Kolejne miesiące minęły jak z bicia strzelił. Zrezygnowałam z pracy, zatrudniłam się w kancelarii w Atlancie i kupiłam od matki dom przy ulicy Dellwood. To było idealne rozwiązanie, ponieważ dom był dla niej za duży, a rozpaczliwie pragnęła, by został w rodzinie. A potem, pewnego pięknego, słonecznego jesiennego popołudnia wkroczyłam do kościoła, w którym kiedyś leżała trumna Daniela, i wymieniłam słowa przysięgi małżeńskiej z jego najlepszym przyjacielem.

ROZDZIAŁ 7

Josie

Następnego dnia po mojej ostatniej w życiu randce rankiem zadzwonił Pete. Jeszcze spałam, więc zostawił mi nieskładną wiadomość:

– Dużo myślałem – zaczął, bez powitania. – Tak dużo, jak to możliwe w ciągu dwunastu godzin, z których siedem się przespało... Tak czy owak, wbrew temu, co sądzisz, uważam, że z czasem da się rozniecić iskrę. Chętnie podam ci kilka istotnych przykładów bohaterów filmowych i literackich, którzy na początku kompletnie nie byli sobą zainteresowani, a uczucie rozkwitło później, i to jak!

Słuchając jego słów, uśmiecham się, nagle zaciekawiona – nie tyle samym Pete’em, ile tym, do czego zmierza.

– Proponuję więc, żebyśmy dla pewności spróbowali jeszcze raz. Czy masz czas dziś wieczorem? Wybieram się na przyjęcie na dachu i byłbym szczęśliwy, gdybyś zgodziła się do mnie dołączyć. Jeśli masz ochotę, przyprowadź koleżankę. Niech mi się przyjrzy, może coś ci doradzi. A więc... zadzwoń i daj znać, co ty na to.

Jeszcze raz przesłuchuję wiadomość, a potem kasuję ją, kręcąc głową. Jakie to przewidywalne, niczym tekst z poradnika: moja nagła obojętność i niezależność, której nie da się udawać, uczyniła mnie atrakcyjną dla płci przeciwnej.

Natychmiast oddzwaniam do Pete’a, czego dawniej nigdy bym nie zrobiła.

– Co to za przykłady z filmu i literatury?

– Kto mówi? – pyta beznamiętnym tonem. W tle gra głośno jakaś muzyka.

– Josie – odpowiadam, równie chłodno. – Poznaliśmy się wczoraj wieczorem.

– O! Cześć, Josie – ożywia się i wyłącza muzykę.

– To co to za przykłady? – powtarzam. – I czy masz też jakieś z prawdziwego życia, czy tylko fikcyjne?

– Powiem ci osobiście. Dziś wieczorem.

– Naprawdę chcesz się ze mną umówić dwa dni z rzędu?

– Tak – potwierdza. – Naprawdę.

– A wiesz, że to jest pierwsza rzecz, której nie należy robić, gdy ktoś ci się podoba?

– Kto powiedział, że mi się podobasz?

– I tu mnie masz – uśmiecham się.

– To jak będzie? Z tą imprezą? Zapowiada się wesoło. Słyszałem, że ta laska wyprawia przyjęcia godne Wielkiego Gatsby’ego. Naprawdę szalone.

Opis brzmi zachęcająco, ale odpowiadam z przekorą:

– Jakim cudem zaprosiła bywalca Brio?

– Naprawiłem jej więzadło w kolanie – wyznaje Pete. – Powiedziała, że mogę kogoś przyprowadzić.

– Pewnie miała na myśli kolegów – stwierdzam. – Na pewno jej się podobasz.

– Nie, to nie tak – zapewnia mnie. – To co, przyjdiesz?

Waham się przez moment, ale postanawiam być twarda.

– Raczej nie – odpowiadam stanowczo.

– Tylko tyle? Raczej nie? Nie spróbujesz nawet wymyślić jakiejś wymówki? Na przykład, że jesteś zajęta?

Chichocząc, wyjaśniam, że rzeczywiście jestem zajęta.

– Niby czym? – dziwi się, łamiąc kolejną zasadę: nie zadawaj wścibskich pytań podczas pierwszej rozmowy przez telefon.

– Zostaję w domu. Będę szukać banków spermy – oznajmiam.

Pete wybuchając śmiechem, a kiedy nie reaguję, mówi:

– Czyli nie żartowałaś?

– Nie.

Próbuję nie myśleć o potencjalnie wspaniałych genach, które dziś mogłyby na mnie czekać na tym dachu. To ta sama złudna nadzieja, która motywuje mnie za każdym razem, dodaje sił z weekendu na weekend. Zawsze mam plan – zawsze chodzi o to, żeby kogoś poznać. Nawet jeśli jest się jedną z tych osób, które udają, że dobrze się bawią, siedząc samotnie w kinie lub barze. Nawet jeśli człowiek próbuje przekonać samego siebie, że po prostu ma ochotę na miłą imprezę na dachu pod koniec lata.

– Cóż, przynajmniej jest to szlachetna misja – stwierdza Pete. – Dasz mi znać, jak poszło?

– Naprawdę jesteś zainteresowany?

– Owszem – odpowiada – choć umiarkowanie.

Rozłączam się. Ciekawe, czy miał na myśli mnie, czy moje plany. Chyba jedno i drugie, tak mi się zdaje, i muszę przyznać, że odwzajemniam to uczucie. Przypominam sobie jednak, że umiarkowane zainteresowanie już mnie nie zadowala.

*

Zgodnie z wcześniejszą deklaracją resztę dnia poświęcam na poszukiwania, robiąc szczegółowe

notatki na temat lekarzy zajmujących się płodnością i banków spermy na terenie Atlanty. Piszę w żółtym liniowanym zeszycie, w którym wcześniej zapisywałam dane potencjalnych kandydatów z Match.com (w tym Pete'a). Im bardziej zagłębam się w rozmaite artykuły i fora, tym bardziej wzrasta mój zapał. Wyzwolenie od marzeń o małżeństwie przyprawia mnie o dreszcz ekscytacji. Wystarczy trochę dobrej jakości plemników i lekarz, który mi je wstrzyknie. Nie będzie to łatwe ani tanie, ale o wiele mniej skomplikowane niż znalezienie „tego jedyne”. Poza tym odzyskanie kontroli nad własnym życiem musi być cudownym uczuciem.

Co kilka godzin wstaję, znajduję Gabe'a gdzieś w domu lub w ogrodzie, i dzielę się z nim nowo nabytą wiedzą. Jak zawsze słucha mnie uważnie, choć mam wrażenie, że po prostu chce mi zrobić przyjemność. Wreszcie udaje mi się wzbudzić w nim autentyczne zaciekawienie, gdy trafiam w internecie na stronę, gdzie przeróżni ludzie: dawcy nasienia i dawczynie komórek jajowych, dzieci z *in vitro*, surogatki oraz sami rodzice, opowiadają swoje historie, te pozytywne i te negatywne.

Jedna z nich szczególnie mną wstrząsa. To relacja nastolatki urodzonej w wyniku sztucznego zapłodnienia, która nie wiedziała absolutnie nic o biologicznym ojcu i zмага się teraz z własną tożsamością. Dziewczyna kończy słowami: „Nigdy nie wybaczę matce jej samolubnej decyzji, która na zawsze zostawiła mi wyrwę w sercu i w duszy”.

– Czy gdybyś był produktem sztucznego zapłodnienia, czułbyś, że w twoim życiu czegoś brakuje? – pytam.

Gabe zerka na mnie przez ramię. Został dziś w domu, żeby obejrzeć *Telepasję*, jeden ze swoich ulubionych filmów. Wciska pauzę i odpowiada:

– Ta mała brzmi jak typowa rozhisteryzowana smarkula. Nawet gdyby знаła starego, wynalazłaby sobie inny powód, żeby nienawidzić matkę.

– Może – mruczę. – Czyli nie byłbyś rozgoryczony?

– Gdybym nie znał swojego ojca? – upewnia się Gabe z przekąsem.

Przekąs bierze się stąd, że ojciec Gabe'a zmarł na raka prostaty tuż po narodzinach syna. Kiedy Gabe miał siedem lat, jego matka poślubiła łagodnego, poczciwego profesora. Przez kilka lat Gabe mówił do niego Stan, ale w pewnym momencie przestawił się na „tato”.

– Zgoda, nie znałeś swojego ojca – drążę. – Ale przynajmniej coś o nim wiedziałeś. Nie był dla ciebie kompletną zagadką.

– Dawca nasienia też nie musi być zagadką – zauważa Gabe. – Sama dziś mówiłaś, że w różnych rodzinach istnieją różne układy.

– To prawda – przyznaję, przypominając sobie historię dziewczyny, która za pomocą Facebooka nawiązała kontakt z biologicznym ojcem i przyrodnym rodzeństwem. – Ale z tego mogą też wyniknąć rozmaite kłopoty.

Gabe wzrusza ramionami, wciąż wpatrzony w ekran, na którym widnieje spocony Albert Brooks.

– Wszyscy mają jakieś kłopoty. A koniec końców... jesteś, kim jesteś.

Mrugam, zdezorientowana.

– Co to znaczy: jesteś, kim jesteś?

Gabe wzdycha.

– Załóżmy taką sytuację: dowiaduję się, że nie zostałem spłodzony przez faceta, którego znam ze starych zdjęć i kilku wspomnień, ale pochodzę ze sztucznego zapłodnienia... Albo moja matka przespała się z mleczarzem. Przecież zostałem tym samym człowiekiem, którym jestem dzisiaj.

Spoglądam na niego pustym wzrokiem.

– Chodzi o zwykły przeszczep komórki – ciągnie Gabe. – Czym to się właściwie różni od przeszczepu serca, rogówki albo nerki?

– Różni się, i to bardzo – protestuję, chociaż chciałabym móc się z nim zgodzić. – Rogówka to nie to samo co połowa twojego dna.

– Niech będzie – przytakuje. – Ale nie zmienia tego, kim jesteś. Nieważne, kto mnie spłodził. Zostałem wychowany przez mamę i Stana. Czyli tatę.

Biorę głęboki oddech.

– A gdybym się poddała sztuczному zapłodnieniu, ale nigdy nie wyszłabym za mąż? Gdyby moje dziecko w ogóle nie miało ojca?

– To już inna sprawa... Tu chodzi o to, kto cię wychowuje, nie o tożsamość. Zresztą do takich sytuacji dochodzi też w innych okolicznościach. Ludzie umierają. Odchodzą. Mnóstwo dzieci dorasta bez jednego z rodziców. – Wzrusza ramionami. – Jeżeli nie wyjdiesz za mąż, twoje dziecko będzie miało tylko ciebie. No i co z tego?

– Co z tego? – powtarzam z niedowierzaniem. – Czy to nie strasznie smutne?

– Smutniejsze, niż gdyby się w ogóle nie urodziło?

Kiwam głową, a Gabe kończy słowami:

– Niech każdy będzie sobą i tyle.

Wciska *play*, a ja gapię się na niego i przetrawiam te słowa, tak bardzo w jego stylu. W końcu wracam do lektury i trafiam na krzepiącą opowieść kobiety, której córka lesbijka wychowuje dziecko wraz ze swoją partnerką. Pocieszam się w duchu, że pozytywnych, inspirujących historii jest o wiele więcej niż tych ponurych. Ważne, by wszyscy zainteresowani od samego początku byli ze sobą szczerzy. W ostateczności wszystkie rodziny, nawet te najbardziej tradycyjne, są przecież narażone na tragedie, rozstania, kłamstwa i sekrety.

– Gabe? – mówię.

– Hm? – mruczy, choć tym razem nie zatrzymuje filmu.

– Myślisz, że zwariowałam?

– A czy naprawdę się nad tym zastanawiasz? Czy może będzie tak samo jak z buddyjską medytacją? – pyta, wpatrzony w ekran.

– Zastanawiam się, i to bardzo poważnie – odpowiadam, a deklarację tę potwierdza pierwszy dreszcz autentycznego strachu. – Myślisz, że zwariowałam?

– Jasne – przytakuje Gabe z uśmiechem. – Ale nie bardziej niż zwykle. Jak mówiłem, niech każdy będzie sobą.

*

Wieczorem przed pójściem spać dzwonię do Meredith, bo czuję, że naprawdę muszę z nią porozmawiać. Jest w wyraźnie kiepskim nastroju, zresztą ostatnio to żadna nowina.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nic.

– Coś cię wkurzyło.

– Wcale nie.

– Dobra – daję za wygraną. – Co dzisiaj robiłaś?

– Trzy razy pranie. Zakupy... Aha, i odebrałam koszule Nolana z pralni – wylicza tonem cierpiętnicy.

– Nic więcej?

– Hmm. Pomyślmy... Zabrałam jeszcze Harper do Buckles.

– Znalazłyście coś ładnego?

– Nie. Wpadła w histerię, bo nie chciałam jej kupić fioletowych sandałów z brokatem, więc musiałyśmy wyjść.

Parskam śmiechem, a ona natychmiast wbija mi szpilę:

– Mama twierdzi, że na świecie nie ma sprawiedliwości, bo ja nigdy nie robiłam jej takich numerów. To była twoja specjalność.

Mam dość tego nużącego podziału na dobrą i złą córkę. Mimo to postanawiam go wykorzystać do rozpoczęcia rozmowy.

– Skoro tak, to znaczy, że moje dziecko będzie idealne! – rzucam wesoło.

Meredith nie reaguje. Nie pyta mnie również, jak mi minął dzień, choć korona by jej z głowy nie spadła. Informuje mnie za to, że wpadła w sklepie na naszą dawną znajomą, Shawnę, która kupowała synkowi pierwsze adidasy. Adidasy były niebieskie.

– Jak wyglądała? – pytam.

– Bardzo dobrze.

– Schudła już po ciąży?

– Uhm, jest szczuplejsza niż kiedyś.

– Za chuda?

– Nie. Nie za chuda.

– Wyglądała na szczęśliwą?

– Na tyle, na ile to możliwe z takim małym dzieckiem – odpowiada Meredith.

– Pytała o mnie?

Błąd. Meredith zawsze mi zarzuca, że jestem za bardzo skupiona na sobie.

– Nie. Ale wspominała, że nie rozmawiałyście od miesiący.

Wyczuwam w jej głosie nutkę satysfakcji. Wzbiera we mnie kolejna fala irytacji i siostrzanej zazdrości na wzmiankę o Shawnie, naszej jedynej wspólnej koleżance z dzieciństwa.

– Może nie od miesiący... ale minęło trochę czasu.

– Chciała się umówić na drinka...

– Ze mną też?

– Wspomniała o mnie i Nolanie. Wiesz, podwójna randka – odpowiada Meredith. – Ale odezwij się do niej, na pewno się ucieszy.

– Jasne – mówię. Oto nagroda za próbę zwierzenia się siostrze. – Dobra, Mere. Nie zawracam ci dłużej głowy.

– Jeśli chcesz skończyć rozmowę, to powiedz. Nie zwalaj odpowiedzialności na mnie – mówi Meredith. Teraz jest już po prostu wredna.

– W porządku – odpowiadam, siłąc się na lekki ton. – Chcę skończyć.

*

Rozłączam się, wkurzona na Meredith i wkurzona na Shawnę za to, że nieświadomie zapewniła mojej siostrze amunicję. Kto jak kto, ale ona zna naszą historię. Poznałyśmy się w 1989 roku, gdy Ebersole'owie wprowadzili się do domu po drugiej stronie ulicy. Shawna była młodsza ode mnie, ale starsza od Meredith. Jako genialne dziecko przeskoczyła jedną klasę. Jej matka, dyrektorka w Coca-Coli, została przeniesiona z Hongkongu do Atlanty i zapisała Shawnę do szkoły międzynarodowej, żeby dziewczynka mogła nadal używać chińskiego. Była to jedna z wielu rzeczy, które nas w niej fascynowały. Poza tym Shawna dużo podróżowała i miała w zanadrzu mnóstwo historii, podczas gdy my mogłyśmy się jedynie pochwalić wypadami nad jezioro Burton, na Sea Island i do Kiawah. Wkrótce zostałyśmy przyjaciółkami. Jeździłyśmy na długie wycieczki rowerowe, budowałyśmy forty nad strumieniem za domem Ebersole'ów i grałyśmy w zbijanego z pozostałymi dziećmi z sąsiedztwa. Pewnego lata zasadziłyśmy warzywa, a potem chodziłyśmy od domu do domu, sprzedając bazylię i pomidory ze starego czerwonego wózka, który należał do Daniela. Pamiętam, że to Shawna była autorką większości naszych pomysłów, najwięcej gadała i, ogólnie rzecz biorąc,

zabawiała Meredith i mnie. Nawet dziś Meredith pewnie by się ze mną zgodziła, że był to jedyny okres, gdy nasze siostrzane stosunki układały się naprawdę dobrze.

Na początku gimnazjum Shawna z towarzyszek zabaw przeobraziła się w nieustraszoną, zawsze gotową do eksperymentów przewodniczkę. Pierwszy ujrany przez nas dorosły penis pochodził z kolekcji świerszczyków ukrytej w komodzie jej rodziców razem z tubką żelu intymnego (którego zastosowanie wyjaśniła nam z kliniczną dokładnością). Wciąż pamiętam obrzydzenie, a zarazem fascynację, z jaką patrzyliśmy na podobny do kiełbasy kawał mięsa oparty o udo barczystego Skandynawa imieniem Duży John. Udawałyśmy, że zbiera nam się na wymioty, zakrywałyśmy oczy, a potem otwierałyśmy je szeroko, analizując szczegóły anatomii, miejsce, gdzie nieowłosiona moszna łączy się z trzonem zakończonym jednooką różową główką. Potem Shawna nauczyła nas masturbacji, tysięcy sposobów, w jakie sprawiała sobie przyjemność, a nawet zademonstrowała kilka, błędząc palcami po kroku jedwabnej piżamy. W świecie tej dziewczyny nie było tematów tabu. Zresztą czasem zamiast samodzielnie szukać odpowiedzi na kontrowersyjne tematy, po prostu pytała rodziców. Jaka jest różnica między homoseksualizmem a transpłciowością? Jak można być przeciwko aborcji z wyjątkiem przypadków kazirodztwa i gwałtu, skoro zabijanie dziecka jest złem, to czy nie pozostaje nim bez względu na okoliczności? I tak dalej, i tak dalej.

W tamtych latach, stanowiących pomost między dzieciństwem a okresem dojrzewania, Shawna była nie tylko naszą przyjaciółką i powiernicą, ale również źródłem wielu sekretów, których wiernie strzegłyśmy. Mama i tata, konserwatywni republikanie, lubili Ebersole'ów, lecz ich córkę nazywali „prowokatorką”, a ich samych określali jako „zbyt pobłażliwych” i „liberalnych”. Dobrze pamiętam, jak poczerwieniał mój tato, gdy Shawna oświadczyła nam przy kolacji, że kreacjonizm to „zacofany mit propagowany przez amerykańską konserwę”. Aż go zatkało z oburzenia. W zapamiętaniu wydukał, że Biblia absolutnie nie jest mitem. Dopiero Daniel zdołał go uspokoić, wspominając o koncepcji inteligentnego projektu i możliwości pogodzenia założeń chrześcijaństwa z darwinizmem i ewolucją. Daniel lubił Shawnę za to samo, za co lubił Nolana: ani przy niej, ani przy nim nie można się było nudzić.

Wszystkie trzy byłyśmy nierozłączne aż do wakacji, po których Shawna i ja miałyśmy pójść do dziewiątej klasy. Przekonała wtedy rodziców, by przenieśli ją do Lovett, gdzie chodziliśmy ja i Daniel. Klamka zapadła, lecz Meredith wciąż się buntowała przeciw zmianie w naszych wzajemnych relacjach. Chodziła naburmuszona i opowiadała rodzicom, że ją „ignorujemy” albo „odstawiamy na boczny tor”. Próbowałam ją przekonać, że nic takiego się nie dzieje, że po prostu ja i Shawna mamy ze sobą więcej wspólnego. W końcu byłyśmy w jednym roczniku i w jednej szkole! Nasze zainteresowania również zaczęły się rozchodzić. Meredith słuchała przygnębiającego folku, my wolałyśmy tańczyć do R'n'B i popu. Meredith nawet nie rozmawiała z chłopakami, Shawna i ja zaczęłyśmy chodzić z nimi na randki. Meredith była grzeczną kujonką, a my odkryłyśmy piwo i papierosy. Raz nawet na nas naskarżyła i to był gwóźdź do trumny.

– Nie widzę problemu – oznajmiłam mamie, kiedy wzięła mnie na bok, żeby porozmawiać o „siostrzanych uczuciach”.

Na uwagę, że Meredith to z natury samotniczka i powinnyśmy ją wspierać, odparłam, że z czasem różnica wieku nabiera znaczenia, a licealistki nie zadają się z gimnazjalistkami. Mama mnie przekonywała, że Shawna zawsze była naszą koleżanką z podwórka. Na to miałam tylko jedną odpowiedź: dużo się zmieniło.

Z czasem Meredith pogodziła się z naszą zdradą i wsiąkła w nowe teatralne towarzystwo z Pace. Ale myślę, że nadal chowała urazę. Sprawa Shawny na dobre nas podzieliła. W głębi duszy przyznawałam siostrze rację: byłam wobec niej nieczuła, może nawet trochę wredna. Wspominając to teraz, uświadamiam sobie, że w grę wchodziła również odwieczna rywalizacja. Meredith, podobnie jak Daniel, zawsze była pupilką rodziców. Choć nie dorównywała bratu intelektem, zbierała dobre oceny i pochwały, nigdy nie wpadała w kłopoty, a co najważniejsze, miała prawdziwą pasję i talent do aktorstwa. Rodzice zachwycali się jej występami tak samo jak grą Daniela, tymczasem ja byłam typowym średnim dzieckiem, pozbawionym zainteresowań i sportowych sukcesów. Niczym się nie wyróżniałam. Choć to głupie, uznałam za swoje osiągnięcie to, że udało mi się przeciągnąć Shawnę na moją stronę.

Po skończeniu liceum obie z Shawną poszłyśmy na Uniwersytet Georgii. Na pierwszym roku zbliżyłyśmy się jeszcze bardziej: dzieliłyśmy pokój i wstąpiłyśmy do tej samej studenckiej korporacji. Wkrótce nawet wyglądałyśmy podobnie. Nosiłyśmy jednakowe ciuchy i obie miałyśmy bardzo długie, wyprostowane, mocno tlenione włosy. Ludzie często nas mylili albo pytali, czy jesteśmy bliźniaczkami, co bardzo się nam podobało.

Na drugim roku Shawna zaczęła się umawiać z Jacobem Marshem, palantem do sześcianu. Nie znosiłam go i lekkomyślnie jej o tym powiedziałam, a to nie mogło się dobrze skończyć. Rzeczywiście, stopniowo oddaliłyśmy się od siebie, aż Shawna odzyskała rozum. Rzuciła Jacoba, na co on natychmiast opublikował w sieci nagranie, na którym masturbowała się do dźwięków *Justify My Love* Madonny. W ciągu kilku dni filmik rozprzestrzenił się nie tylko wśród studentów Georgii. Dotarł aż do Alabamy oraz Missisipi. Shawna najadła się wstydu, a co gorsza, wyrzucono ją z korporacji pod zarzutem rozwiązłości. Choć apelowałyśmy do zarządu, argumentując, że nagranie było prywatne, niczego nie wskórałyśmy i Shawna musiała się wynieść z naszej siedziby. Ostatecznie przeniosła się na uniwersytet stanowy, przez co oddaliłyśmy się od siebie jeszcze bardziej ku złośliwej – tak to przynajmniej wtedy widziałam – uciezce Meredith. Pamiętam, że kiedy moja siostra usłyszała smutną nowinę, zamiast zareagować współczuciem, rzuciła lekko: „Wiedziałam, że tak to się skończy”.

Moje kolejne spotkanie z Shawną nastąpiło podczas przerwy świątecznej, kiedy wpadłyśmy na siebie w jakimś barze w Atlancie. Uściskawszy ją, wyznałam, że się stęskniłam. „Ja też”, odparła, ale pobrzmiwał w tym jakiś fałsz. Ogarnęło mnie przygnębienie, wzmocnione perspektywą

nadchodzących świąt, ale zarazem poczułam gniew. W końcu, czy to moja wina, że zaufała takiemu draniowi? Obserwując ją, otoczoną kręgiem znajomych, postanowiłam, że będę się bawić lepiej niż oni. Dopiliśmy wódkę i zamówiłam następną, wkraczając tym samym na drogę prowadzącą nieuchronnie do kompletnego upojenia i czarnych dziur w mózgu, po których następuje pustka. Jestem pewna, że następnego ranka niczego bym nie pamiętała, gdyby nie fakt, że tej samej nocy w wypadku samochodowym zginął mój brat.

ROZDZIAŁ 8

Meredith

Mniej więcej tydzień później dostaję mailem tajemniczą grupową wiadomość od Josie, która prosi, byśmy razem z rodzicami, Nolanem i Harper przyjechali do niej na kolację. Pisze, żebyśmy się „nie martwili”, po prostu chce z nami przedyskutować „pewną bardzo ważną sprawę”. Rozumie, że jesteśmy zajęci i możliwe, że rodzice nie mają szczególnej ochoty usiąść razem przy stole, ale nalega. Typowa Josie. Jak zwykle rozstawia wszystkich po kątach, wysuwa żądania i robi wokół siebie zamieszanie.

Pięć minut później dzwoni do mnie mama.

– Myślisz, że to coś z jej zdrowiem? – pyta z narastającą paniką w głosie. – Robiła ostatnio mammografię? Słyszałaś, żeby chodziła do lekarza? Nigdy mi o niczym nie mówi...

– Uspokój się – mówię, przełączając ją na głośnik, żeby nie przerywać pracy nad plikiem kwestionariuszy, które powinny być gotowe do wieczora. – Gdyby chodziło o guz w piersi albo inne nieszczęście, raczej nie zapraszałyby nas z Harper. Zresztą tacie pewnie też nie chciałyby się zwierzać, przynajmniej na początku.

– Rozmawia z nim więcej niż ze mną – narzeka mama.

Prawdopodobnie ma rację i wiem, jak to wytrąca ją z równowagi. Szybko zmieniam temat, bo nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać o ojcu. Nie zamierzam informować matki o jego nowej dziewczynie, choć jestem pewna, że dziś wieczorem Josie wszystko wypaple. Zresztą cholera wie, czy i jej nie zaprosiła.

– Kiedy ostatnio rozmawiałaś z siostrą?

– Hmm... W zeszłą sobotę – odpowiadam. – Zadzwoniła do mnie o jakiejś nieprzyzwoitej godzinie... Prawie spałam.

– Sprawiała wrażenie zdenerwowanej?

– Nie, mamo. Po prostu chciała pogadać. Wygląda na to, że zasadę niedzwonienia po dziesiątej egzekwuję równie dobrze jak tę o niechodzeniu po domu w butach.

– Czyli... sądzisz, że Josie ma dla nas dobrą nowinę? – pyta mama z nadzieją. – Może dostała podwyżkę?

– Wątpię – odpowiadam.

Kłopoty finansowe brzmią bardziej prawdopodobnie. Nie pierwszy raz Josie pożyczalaby od nas

pieniądze.

Tymczasem mama rzuca kolejną teorię:

– Może kogoś poznała?

– I po to by jej były te wszystkie ceregiele? Poza tym to raczej niemożliwe, biorąc pod uwagę, że wciąż kocha się w Willu.

– Wiem – przyznaje mama. – Kiedy zapytałam ją o szkołę, mówiła tylko o tej małej... To smutne.

– Chyba raczej żaloszne?

– Nie bądź wredna – upomina mnie matka.

Wzdycham i wyłączam głośnik.

– Próbuję, mamó. Ale to trudne... Ona jest taką egoistką. Wszystko kręci się wokół niej. Ten mail tylko tego dowodzi.

– Meredith, proszę. Daj siostrze szansę – mówi mama. – Zawsze myślisz o niej jak najgorzej. Może chce porozmawiać o Danielu i naszych odwiedzinach u Sophie. Albo...

Postanawiam jej przerwać, pewna, że tym razem nie ma to nic wspólnego z Danielem.

– Zobaczymy – odpowiadam. – Jeśli to nie będzie coś całkiem egoistycznego, dam jej szansę.

*

Następnego wieczoru Nolan, Harper i ja zjawiamy się w domu Josie, ale nigdzie jej nie ma. Rodzice i Gabe w niezręcznej ciszy siedzą w salonie, gdzie widać dość chaotyczną mieszankę gustu Josie, wielbicielki wzorków oraz kolorowych bibelotów, i bardziej nowoczesnych skłonności Gabe'a. Mama i ojciec przysiedli na paskudnych fotelach w zebnę, kupionych na pchlim targu. Gabe ze znudzoną miną zalega na skórzanej sofie. Wiem, że z nią mieszka, ale nie spodziewałam się dziś go tu zobaczyć i jego obecność – oraz naburmuszona mina – irytują mnie bardziej niż zwykle. A może jeszcze bardziej denerwuje mnie Josie, która nie dość, że zaprosiła kogoś spoza rodziny, to jeszcze nie chciało jej się zjawić na czas? Nagle przychodzi mi do głowy, że kto wie – może jej nowina ma coś wspólnego z Gabe'em. Zaczęli się spotykać albo zakładają razem jakiś niedorzeczny biznes. Cóż, moim zdaniem Gabe nie przystałby ani na jedno, ani na drugie, choć oczywiście łączy ich jakaś dysfunkcyjna relacja.

Witam się z nimi sztywno, nie próbując nawet ukryć złości, co Nolan rekompensuje wyjątkowo wylewnym wejściem. Ściska matkę, potem ojca, i mówi do nich wszystko to, co powinien mówić dobry zięć. Oboje go uwielbiają, choć trudno stwierdzić, czy przyciąga ich on sam, czy raczej to, że przyjaźnił się z Danielem. W przypadku ojca chyba jednak to drugie. Nolan jest dla niego wiecznym źródłem zarówno pocieszenia, jak i smutku. Wkrótce, jak zwykle, ich rozmowa zacznie się obracać wokół spraw z przeszłości. Będą sobie opowiadać te same co zawsze żarty i anegdoty z meczów Małej Ligi. Choć zazwyczaj zaczyna się od śmiechu, pod koniec ojciec łka w ramionach Nolana. Cała ta

seria scen, boleśnie przewidywalna, z upływem lat wydaje się coraz trudniejsza do zniesienia.

– Harper, ptaszynko, chodź do dziadka – mówi tata i wyciąga rękę.

Zerkam przez ramię na córkę, która nie reaguje, zajęta głaskaniem Revisa, niezbyt dobrze ułożonego psa Josie.

– Harper – upominam ją. – Dziadek do ciebie mówi.

Mała podnosi obojętny wzrok, a Nolan popycha ją lekko z bezgłośnym poleceniem: „Idź, uściskaj dziadka”. Harper spełnia je z wyraźnym ociąganiem i pozwala się objąć. To dobitny dowód na to, że ci dwoje nie są ze sobą blisko. Tyle że Nolan wini za to mnie, a nie alkoholika, który wypisał się z rodziny. Tymczasem Harper umyka z uścisku mojego ojca i natychmiast siada na kolanach mamy.

– No i gdzie ta Josie? – pytam, chodząc tam i z powrotem przed kominkiem.

Przyglądam się kolekcji zdjęć przedstawiających głównie moją siostrę z Gabe’em i innymi znajomymi. Na jednym jest Harper. Za to nie ma mnie, Daniela ani naszych rodziców.

– Wychodzi spod prysznic – informuje mnie Gabe z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

– Harper, skarbie, idź, przyprowadź ciocię Josie – rzucam, nie przestając chodzić.

Mała zeskakuje z kolan mamy i pędzi do przedpokoju, a ja rzucam cierpko, że moja siostra ceni swój czas, w przeciwieństwie do czasu innych. Nikt nie próbuje jej bronić, bo wiedzą, że nie zdołają. Siadam więc obok Gabe’a i nie owijając w bawełnę, pytam, czy wie, o co chodzi.

Wzrusza ramionami. Nigdy nie potrafiłam stwierdzić, czy mnie nie lubi, czy po prostu jest z natury gburem, ale mogłabym na palcach jednej ręki policzyć sytuacje, kiedy podczas rozmowy ze mną się uśmiechał.

– Na pewno nic ci nie mówiła? – drażę. – Trudno w to uwierzyć.

Gabe otwiera usta, ale wtedy do pokoju wpada Harper, ciągnąc za rękę Josie. Moja siostra ma na sobie podobne do pizamy dresy, a głowę owinęła ręcznikiem.

– Cześć – woła wesoło. – Jak się wszyscy mają?

– Cudownie! – odpowiadam z przekąsem i czuję, jak Nolan ściska moje kolano. Trudno stwierdzić, czy to uspokajający gest, czy raczej reprimenda.

Josie spogląda na mnie i zakłada ręce na piersi.

– Zgrywasz się.

– Słuchaj, Josie – nie wytrzymuję. – Wszyscy się martwimy i zastanawiamy, po co ściągnęłaś nas na to spotkanie.

– To nie spotkanie, tylko normalna kolacja – oponuje, wciskając pasmo włosów pod ręcznik, a następnie siada na podłodze pośrodku pokoju.

– W swoim oficjalnym grupowym mailu twierdziłaś, że masz nam coś do powiedzenia. Tak czy nie? – pytam.

Josie kiwa głową.

– No więc? O co chodzi?

– O rany, uspokój się, Mere.

Takie słowa, wypowiedziane do osoby nawet leciutko podminowanej, zazwyczaj osiągają wprost przeciwny skutek.

– Josie – mówię, ledwo powstrzymując się od krzyku. – Martwimy się. Nolan i ja. Mama. Tata.

– Ja się nie martwię – wtrąca ojciec. – A powinienem?

– Tak, tato, powinieneś – wybucham.

Tylko że ty wciąż myślisz wyłącznie o Danielu, dodaję w duchu.

– Nie, nie powinien – protestuje Josie. – Nie ma powodów do niepokoju. Mam same dobre wieści.

Ogarnia mnie napięcie, bo nie sądzę, by wszystko mogło być dobrze.

– Powiedz tylko, że jesteś zdrowa – prosi mama i całuje Harper w czubek głowy.

– Zupełnie zdrowa – uspokaja ją Josie. – Chciałam was tylko zobaczyć... i o czymś porozmawiać...

Urywa.

– Josie – odzywa się wreszcie Gabe, jedyny człowiek, który jest w stanie przemówić jej do rozsądku. – Powiedz im po prostu i usiądźmy już do kolacji.

Moja siostra bierze głęboki wdech, najwyraźniej napawając się tą chwilą.

– Zaraz – przerywam jej, bo przychodzi mi do głowy, że jej nowina może nie być odpowiednia dla dziecięcych uszu. – Jesteś pewna, że Harper powinna to słyszeć?

Josie rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Jezus Maria, dziewczyno. Okaż mi choć trochę zaufania!

– Wybacz – mówię. – Ale dziecko jest na pierwszym miejscu.

– Słuchaj, Meredith – nie wytrzymuje Josie. – Naprawdę nie podoba mi się sugestia, że mogłabym...

– Dziewczynki! – prosi mama. – Nie kłóćcie się, błagam. Jest nam już wystarczająco trudno...

– Mamo, no co ty. Dziś będziemy świętować. Mam wspaniałą nowinę.

Kręcę głową, bo jakoś w to nie wierzę, ale Josie wstaje, spogląda na nas znacząco i mówi głośno i wyraźnie:

– Chciałam ogłosić, że będę miała dziecko.

Bierze głęboki oddech i uśmiecha się triumfalnie.

Po pięciu sekundach pełnej oszołomienia ciszy Harper zaczyna klaskać i wznosić okrzyki, naśladując naszą zesłomiesięczną reakcję na wieść o ciąży naszych dobrych znajomych, niezdolna rozróżnić między tymi dwiema sytuacjami.

– Dziewczynkę? – pyta, a jej oczy błyszczą.

– Oj, skarbie, tego jeszcze nie wiem – odpowiada promieniejąca Josie.

Przygryzam język, nie chcę odezwać się pierwsza, zwłaszcza że na usta cisną mi się słowa: „Co to ma, do kurwy nędzy, znaczyć?”

– Hej, Jo – mamrocze pod nosem Gabe. – Może jednak wyjaśnisz?

Josie rzuca mu nieodgadnione spojrzenie, a ja kolejny raz stwierdzam: kto wie, może ten facet ma z tym wszystkim coś wspólnego?

– To ogłoszenie... było trochę mylące – wyjaśnia Gabe cicho.

Josie nadal nic nie rozumie, więc Gabe rzuca jej poirytowane spojrzenie i zwraca się do nas:

– Ona nie jest w ciąży w tej chwili... Po prostu ma taki plan.

Mama z widoczną ulgą wypuszcza z płuc wstrzymywane powietrze.

– A, no tak. Dobra. – Josie lekceważąco macha dłonią. – Nie jestem w ciąży, ale zamierzam być. Tak szybko, jak się da.

– Niby jak chcesz tego dokonać? – pytam.

– Skorzystam z banku spermy – odpowiada.

Zerkam na Nolana i czuję dreszczyk chorej satysfakcji, stwierdziwszy, że wreszcie się wkurzył.

– Josie – mówi ostrzegawczo i gestem wskazuje Harper.

– Oj tam. Przecież ona nie wie, o czym mówię – mruczy pod nosem Josie, co rzecz jasna skłania Harper do zadania pytania:

– Co to jest bank spermy?

– Harper, kochanie, poszukaj, proszę, jakiejś kostki dla Revisa.

Mała z radością rzuca się spełnić polecenie, ale zanim wychodzi z salonu, Josie mówi:

– Nie ma się z czym kryć. Chcę, żeby Harper wiedziała, skąd się wziął jej kuzyn lub kuzynka.

– Proszę bardzo – mówi Nolan, spokojnie, ale stanowczo. – Kiedy będzie na tyle duża, żeby zrozumieć... Naprawdę wolelibyśmy uniknąć dyskusowania z czterolatką o pszczołkach i kwiatkach.

– Nie o to mi chodziło – mówi Josie i zaczyna jedną ze swoich przemądrzałych pogadank o dziecięcym rozwoju.

Przerywam jej:

– Gdy będziesz już miała własne dziecko z próbówki, będziesz za nie podejmować decyzje. Ale Harper to nasza córka. Wolałabym na razie nie poruszać przy niej takich tematów.

Josie przypatruje mi się w milczeniu, z zaciśniętymi ustami, po czym mówi:

– Po pierwsze, nie uważam, by należało definiować dziecko za pomocą okoliczności jego poczęcia. Po drugie, to nie będzie dziecko z próbówki.

Chcę odpowiedzieć, ale wtedy odzywa się mama:

– A co z małżeństwem?

– A co ma być? – odparowuje Josie, spoglądając na nią buntowniczo.

– No... to znaczy, że... zupełnie się poddajesz?

– Cóż. Może jeszcze kiedyś wyjdę za mąż. Mam nadzieję. Ale zaraz skończę trzydzieści osiem lat...

– W dzisiejszych czasach kobiety rodzą i po czterdziestce – wtrąca się po raz pierwszy tata.

Rzucam mu gniewne spojrzenie, zastanawiając się, czy ma zamiar zapłodnić swoją reporterkę sądową.

– Tak. To prawda – stwierdza Josie. – Niektóre rodzą. Ale ryzyko z czasem rośnie.

– Mogłabyś zamrozić jajeczka – rzuca mama.

– Mogłabym – przyznaje Josie. – Ale ja jestem gotowa już teraz.

– A liczy się tylko to, czego ty chcesz, prawda? – nie wytrzymuję.

– Co to miało znaczyć? – pyta moja siostra. – Nie wolno mi zostać matką, bo nie mam męża? Na świecie żyją miliony cudownych samotnych rodziców... I mnóstwo nieszczęśliwych par, które w ogóle sobie nie radzą.

Spogląda na mnie znacząco, wyraźnie mając na myśli moje małżeństwo, a kto wie, czy nie macierzyństwo. Wzbiera we mnie potężna fala piekącego gniewu.

– Naprawdę uważasz, że masz prawo kogokolwiek oceniać? – pytam.

– Ja nie oceniam. Ani nie pytam o radę czy pozwolenie. Po prostu dzielę się swoim planem z najbliższymi mi na świecie ludźmi. Fakt, miałam nadzieję na bardziej pozytywną reakcję. Gabe uważa, że to świetny pomysł.

Patrzę na niego. Ciekawe, jak szybko po porodzie zacznie szukać nowej współlokatorki.

– Jasne. Z całym szacunkiem dla Gabe'a – mówię – ale on nie ma pojęcia, o co tu chodzi. Nie jest przecież rodzicem, prawda? Cholera... nie pamięta nawet o tym, żeby wyprowadzić psa, gdy nie ma cię w domu.

Gabe spogląda na mnie, potem na Josie.

– To się wydarzyło raz.

– Okej. No dobrze, tato, powiedz, co myślisz? – odzywa się Josie, kierując to pytanie do trzeciej najmniej doświadczonej osoby w salonie.

– Myślę... Chcę, żebyś była szczęśliwa – bąka ojciec, a ja domyślam się, że pieluchy, które jej pomoże zmienić, będzie można policzyć na palcach jednej ręki.

Mama patrzy na niego zdegustowana, po czym zwraca się do Josie:

– Kochanie, wiesz, że chcemy cię wspierać... chcielibyśmy tylko wiedzieć... czy na pewno dobrze to przemyślałaś.

– Tak – odpowiada Josie. – Długo i poważnie się nad tym zastanawiałam. I szczerze mówiąc, odkąd córka Willa trafiła do mojej klasy...

– Wiedziałam! – wtrącam. – Wiedziałam, że chodzi o Willa.

– Wcale nie! – woła, zniecierpliwiona. – Chodzi o Edie i moją samorealizację...

Znów jej przerywam:

– Skoro tak go kochałaś, czemu spieprzyłaś ten związek?

Josie patrzy na mnie tak, jakbym uderzyła ją w twarz.

– Nie wierzę w to, co słyszę – szepcze drżącym głosem.

– Daj spokój, Meredith – mówi Gabe. – To nie było miłe.

– Cóż. – Krzyżuję ręce na piersi i patrzę na niego z wściekłością. – To ona używa Willa jako pretekstu, żeby sprowadzić na świat kolejne dziecko.

– Pretekstu!?! – powtarza oburzona Josie. – Kiedy ostatnio sprawdzałam, urodzenie dziecka nie było żadną zbrodnią.

– O ile będziesz się nim odpowiednio zajmować.

– A kto powiedział, że nie będę? Może nie mam tyle kasy co wy, mam za to pracę, wspaniałą pracę. I znajomych, i rodzinę, która, jak sądziłam, również zechce zaangażować się w życie mojego dziecka. Ale wygląda na to, że proszę o zbyt wiele.

– To nie w porządku – protestuje mama. – Oczywiście, że chcemy się zaangażować.

– Oczywiście – powtarza jak echo ojciec.

Josie patrzy na mnie wyczekująco.

– Jasne. – Wzruszam ramionami. – Wpadnę raz na jakiś czas na partyjkę twistera... a potem wypadnę i pobiegnę w swoją stronę. Czyż nie tak zachowują się ciotki?

– Rany... Ale jesteś niesprawiedliwa – odpowiada Josie. – Przecież angażuję się w życie Harper.

– Mere, to prawda, i dobrze o tym wiesz – wtóruje jej Gabe.

– Dobra. Jak chcecie. Tylko czy macie pojęcie, jak bardzo macierzyństwo różni się od bycia ciotką?

– A ty masz pojęcie, jaką jesteś podłą świnią?

– Josie – upomina ją Nolan.

Mówię, że wychodzimy. Wstaję i podchodzę do Harper, próbuję oderwać ją od psa, ale mała beczy, że nie chce jeszcze iść. Chce zostać u cioci Josie.

– W porządku, zostań – rzucam, gotując się z wściekłości. – Proponuję, żebyś tu zamieszkała, z ciocią Josie i wujkiem Gabe'em, skoro i tak zamierzają bawić się w dom.

– Meredith – syczy Nolan.

Jest wstrząśnięty – i słusznie – że wyładowuję gniew na naszej córce. Ogarnia mnie palący wstyd. Z trudem się opanowuję i mówię Nolanowi, że poczekam w samochodzie.

– A nie możesz po prostu usiąść? – pyta, patrząc mi w oczy. – Żebyśmy spokojnie porozmawiali?

– Nie mogę – odpowiadam, kręcąc głową. I dodaję: – Czy ktoś mógłby ją oświecić, że sprowadzenie na świat dziecka to najtrudniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić?

Nikt nie odpowiada, więc odwracam się na pięcie i wychodzę. Po drodze zauważam zrozpaczoną minę mamy i w okamgnieniu dociera do mnie, że nie miałam racji, bo utrata dziecka jest o wiele, wiele trudniejsza.

ROZDZIAŁ 9

Josie

– Poszło jak z płatka – zauważa z przekąsem Gabe, gdy za moimi rodzicami zamykają się drzwi.

– Wszystko przez Meredith – odpowiadam.

Po jej wybuchu i gwałtownym wyjściu nikt nie zdołał już odzyskać równowagi i atmosfera pozostała napięta, a chwilami wręcz wroga.

– No tak – mówi Gabe. – Ale to żadna niespodzianka. Oboje wiedzieliśmy, że tak będzie.

Zaczynamy zbierać naczynia.

– Chyba masz rację – przyznaję. – Co z tego, skoro za każdym razem mam nadzieję, że zachowa się inaczej.

– Według Einsteina na tym właśnie polega definicja szaleństwa – poucza mnie Gabe, unosząc brew. – Powtarzasz te same błędy, oczekując innych rezultatów.

Wzdycham.

– Cóż. Nie spodziewałam się po niej entuzjastycznej reakcji, ale myślałam, że przynajmniej zostanie na kolacji.

– A ja nie – upiera się Gabe. – Choć moim specjałom trudno się oprzeć.

– Rzeczywiście – przyznaję, bo Gabe świetnie gotuje. – Ale ona nawet mnie nie wysłuchała. O wszystkim mówi z taką niezachwianą pewnością...

– Przyznaję, ma bardzo ograniczone poglądy.

– Mama też – dodaję, przypominając sobie niektóre uwagi wygłaszane przez nią podczas kolacji, a także ciągłe próby zasugerowania mi, że powinnam częściej chodzić na randki.

– Owszem, ale inaczej. Twoja mama jest po prostu... tradycjonalistką. Jest konserwatywna. Chce, żebyś spotkała miłego chłopaka i wyszła za niego za mąż, bo jej zdaniem to jedyna droga do szczęścia. Meredith jest inna. Czepia się ciebie i tyle. Gdyby jakaś koleżanka przyszła do niej z takim niezbyt przemyślanym pomysłem, byłaby zachwycona, że ma przed sobą niezależną kobietę.

– No właśnie! – wołam.

Jego umiejętność wyrażania tego, co sama czuję, zawsze mnie zadziwia, nawet jeśli dobór przymiotników pozostawia nieco do życzenia.

– Meredith nigdy we mnie nie wierzyła – ciągnę. – Widziałeś, jak się rzuciła bronić Harper? Jakby

myślała, że zacznę opowiadać o orgiach albo heroinie.

– A przecież heroinowe orgie to twoja specjalność – uśmiecha się pod nosem Gabe.

Nie zwracam na niego uwagi. Jestem zbyt wzburzona.

– A jak się przyczepiła do Willa! Po pierwsze, to nie jej sprawa, po drugie, jakie to ma znaczenie?

Wracam do stołu po kolejną porcję naczyń. Gabe drepcze za mną.

– Nie kusilo cię, żeby to wyprostować? – pyta. – Ona naprawdę uważa, że go zdradziłaś...

– Nie kusilo ani trochę – przerywam mu oschle.

Wiemy, o czym każde z nas myśli. Nie ma sensu znów tego wałkować.

– Dobra, dobra – poddaje się Gabe, podnosząc ręce, i idzie do kuchni.

Po jego minie i gestach widzę, że poczuł się urażony, ale dobrze go przecież znam.

Przez kilka minut milczymy. Opłukuję naczynia, szklanki i sztućce, i podaję Gabe'owi, który ładuje je do zmywarki.

– Nie ma sensu dyskutować o tym, co było – mówię w końcu, łagodniejszym tonem. – Zwłaszcza z Meredith.

– Rozumiem – mruczy Gabe, zerkając na mnie.

– No bo... co się stało, to się nie odstanie – dodaję, wręczając mu garść noży.

– Jasne – odpowiada. – Bez wątpienia.

Oczywiście porozumiewamy się szyfrem, jak dobrzy przyjaciele, mając na myśli kilka różnych rzeczy jednocześnie. Śmierć Daniela oraz to, co się wydarzyło kilka lat później, kiedy odkryliśmy, że ta historia zawiera więcej elementów, niż nam się zdawało.

*

To było siedem lat po śmierci Daniela. Gabe przyjechał po mnie i wybraliśmy się na kolację, bez konkretnego planu. Wylądowaliśmy w meksykańskiej knajpie, która nazywała się Tin Lizzy's. Byliśmy tylko we dwoje, co zdarzało się dosyć rzadko ze względu na Willa. Twierdził, że nie jest zazdrosny, ale uważał, że w mojej przyjaźni z Gabe'em jest coś „dziwnego” (co oczywiście oznaczało, że jest zazdrosny). Nie chciałam go drażnić i zazwyczaj przychylałam się do jego próśb.

Jednak tego dnia mieliśmy jego błogosławieństwo, prawdopodobnie dlatego, że sam wybrał się na wieczór kawalerski i chciał w ten sposób uniknąć wymówek.

– A więc Willy dał ci dyspensę? – zapytał Gabe nad porcją rybnych tacos z guacamole i butelką zimnego piwa Corona.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne – najeżyłam się. – Nie potrzebuję pozwolenia, żeby się z tobą spotykać.

– Akurat – powiedział Gabe i zmarszczył czoło.

W tamtych czasach nigdy nie mówił mi wprost, co myśli o Willu. Nie mówił też, że za mną tęskni,

ale zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku znałam prawdę.

– Ciekawe, co mu dzisiaj wypadło. Pewnie wieczór kawalerski?

Niechętnie pokiwałam głową, nie mogąc się nadziwić jego przenikliwości.

– Gdzie? – spytał lekkim tonem, choć mimowolnie wkroczył na bardzo grząski grunt.

– Zaczęli w Five Paces – powiedziałam, czując rosnące napięcie, po czym spuściłam głowę i wypaliłam, że nie byłam tam od śmierci Daniela.

– Taaa... – mruknął Gabe. – Ja właściwie też nie, o ile sobie przypominam.

Spojrzałam na niego.

– Słucham?

Musiałam się przesłyszeć albo źle go zrozumieć.

– Nie byłem tam od dnia, w którym zginął twój brat – powtórzył Gabe i upił łyk piwa.

– Czekaj. To znaczy, że tamtego wieczoru byłeś?

– Mhm. Nie pamiętasz? – Parsknął nerwowym śmiechem, który chwilowo postanowiłam zignorować, i dodał: – Wielkie dzięki.

Serce mi załomotało. Wpatrując się w niego, zaczęłam przypominać sobie jak przez mgłę, że siedział wtedy przy barze w szarej bluzie z kapturem, a w dłoniach trzymał kufel z piwem. Nie byłam pewna, czy to prawdziwe wspomnienie, czy raczej siła sugestii.

– Byłeś w szarej bluzie? – zapytałam, mrużąc oczy.

– Nie mam pojęcia... – zaczął, po czym urwał. – Zaraz... Chyba tak. Całkiem możliwe.

– Czemu nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś? – spytałam z niedowierzaniem.

– Dlatego że tam byłeś – odparł, łagodząc sarkastyczny ton, który zwykle towarzyszyłby takiej odpowiedzi.

– Rozmawialiśmy?

– Nie. To znaczy właściwie nie – poprawił się, lekko wzruszając ramionami. – Przywitaliśmy się i tyle. Ale siedziałem niedaleko, przy końcu baru. W samym rogu. Nie wiem, czemu to pamiętam. – Wskazał palcem rożek serwetki i tłumaczył: – Ty siedziałaś tu, przodem do ulicy... a ja tu, przodem do baru.

Nagle straciłam apetyt. Odsunęłam talerz i spytałam Gabe'a, z kim wtedy przyszedł. Chciałam to wiedzieć, chciałam znać każdy szczegół.

– W zasadzie to z nikim – powiedział. – Spotkałem znajomych, ale przyszedłem sam.

Spociły mi się dłonie, jak zawsze gdy myślałam o wydarzeniach tamtej nocy, minuta po minucie.

– O której przyszedłeś? I jak długo tam byłeś?

Gabe zebrał chipsem resztkę guacamole ze stojącej między nami miseczki.

– Nie pamiętam dokładnie – odparł i już miał zjeść chipsa, gdy nagle zmienił zdanie i odłożył go

na talerz.

– A mniej więcej? – naciskałam.

Upierał się, że nie wie, nawet w przybliżeniu.

– Wiem tyle, co ty.

– Nie – odparłam z cichym, smutnym śmiechem. – To nieprawda. Na pewno pamiętasz więcej niż ja.

– Czemu to ma znaczenie?

– Bo ma.

Najwyraźniej to mu wystarczyło, bo powiedział:

– No dobrze. Gdybym miał zgadywać... przyszedłem chyba około dziesiątej, a wyszedłem... około północy. Może wpół do pierwszej.

Zamknęłam oczy, zastanawiając się, czy to możliwe, że przywitałam się z nim dokładnie w tym momencie, w którym zginął Daniel. Co robiłam o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt cztery? Zadawałam sobie to pytanie wiele razy, choć nigdy wcześniej nie brałam pod uwagę obecności Gabe'a.

– Co jeszcze pamiętasz? – zapytałam. – Co pamiętasz o mnie?

Gabe przygryzł wargę.

– Ładnie wyglądałaś. Tego jestem pewien.

Skinęłam głową, czując, że zalewają mnie wyrzuty sumienia. Miałam je dlatego, że w chwili śmierci brata siedziałam w głupim barze. Śmiałam się, dobrze bawiłam, flirtowałam, zapewne z wieloma chłopakami naraz i upijałam się do nieprzytomności.

– Co jeszcze?

– Szczerze mówiąc, Jo... to wszystko. Nic więcej nie pamiętam.

To „szczerze mówiąc” go zdradziło. Gabe był szczery z natury i zwykle się tak nie zarzekał. To znaczyło, że kłamie, albo przynajmniej coś ukrywa.

– Owszem, pamiętasz – naciskałam. – Mów. Co robiłam? Z kim rozmawiałam?

– Nie wiem. Z mnóstwem ludzi.

– To nie wiesz czy z mnóstwem ludzi? Zdecyduj się.

Odetchnął głęboko.

– Naprawdę nie pamiętam. Tam były straszne tłumy. Zbliżały się święta... Wszyscy przyjechali do domu.

– Coś podobnego – rzuciłam, zniecierpliwiona.

Oczywiście, że zbliżały się święta. Był dwudziesty drugi grudnia, do cholery. Poprosiłam go, żeby z łaski swojej powiedział mi coś, czego nie wiem.

– Jak już ustaliliśmy – odparł Gabe, znużony, ale cierpliwy – nie mam pojęcia, ile pamiętasz, a ile

nie. Proszę więc, nie złość się na mnie. Robię, co mogę, żeby odpowiedzieć na twoje pytania.

– Nie złoścę się – odpowiedziałam z gniewem, który powoli przeradzał się w desperację. – Tylko błagam, żebyś mi powiedział wszystko, co pamiętasz.

– Dobra, dobra – rzucił pojednawczo i podniósł rękę. – Na pewno była tam Shawna. Zamieniłaś z nią parę słów... i z kilkoma innymi koleżankami z Lovett.

Spojrzał mi w oczy, odczekał chwilę i dodał:

– Zdaje mi się, że w którymś momencie gadałaś też z Nolanem Bradym.

– Zdaje ci się? – powtórzyłam natychmiast, ponieważ właśnie na to czekałam.

– No dobra, na pewno z nim rozmawiałaś... Ale ja naprawdę nie zwracałem na was szczególnej uwagi. Byłaś pijana. A Nolan wyglądał... jakby się martwił. Nic więcej nie pamiętam, daję słowo.

Zrobiło mi się słabo i uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Kilka razy wciągnęłam powietrze głęboko w płuca, tymczasem Gabe zadał bardzo trafne pytanie:

– A co Nolan ma na ten temat do powiedzenia? Musi pamiętać, o czym rozmawialiście.

Potrząsnęłam głową, oniemiała.

– Jemu też urwał się film? – nie dowierzał Gabe. – Nie wyglądał na aż tak pijanego.

– Nigdy go nie pytałam – wyznałam w końcu.

– Hmm...

– Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałam – dodałam. – Ani z nim, ani z Shawną, ani z Meredith, ani z mamą. Ani nawet z tym wkurzającym terapeutą, do którego posłali mnie rodzice. Z nikim. Aż do dzisiaj.

– Przecież rozmawiałaś ze mną – przypomniał mi Gabe.

Pokręciłam głową.

– Nie mam na myśli wypadku. Chodzi mi o to, co robiłam tamtego wieczoru.

Gabe popatrzył mi w oczy.

– No i? Co robiłaś, Josie? Co pamiętasz?

Miał tę swoją minę, pomieszanie czujności i inteligencji ze współczuciem (choć zawsze starał się, by tego ostatniego nie było po nim widać). Tak mnie to poruszyło, że zaczęłam mówić. Opowiedziałam mu, jak wypiliśmy pierwszego drinka jeszcze w swoim pokoju, szykując się do wyjścia. Jak pokłóciłam się z Meredith, bo nie pożyczyła mi naszyjnika, który pasował mi do stroju. Mama wzięła jej stronę, więc wyszłam z domu wściekła.

– Jak dotarłaś do baru? – zapytał Gabe.

– Kendra po mnie przyjechała. Ale była umówiona i wyszła wcześniej, a ja przyłączałam się do kolejnych grup. Shawna też w pewnym sensie mnie olała, więc byłam na nią zła. I piłam. Dużo. Mieszałam. Wódkę i piwo... Wszystko zaczęło się rozmywać, a potem wessała mnie czarna dziura.

Gabe pokiwał głową.

– Nie pamiętam, kiedy stamtąd wyszłam ani jak dotarłam do domu... Pewnie ktoś mnie odwiózł. Albo zadzwonili po taksówkę. Nie wiem... Pamiętam, że obudziłam się we własnym łóżku. Pokój wirował, a obok łóżka stał pusty kosz na śmieci. Ktoś go tam zostawił... a może to byłam ja, naprawdę nie pamiętam...

Usiłowałam powstrzymać łzy, ale i tak w końcu popłynęły. Sama nie wiedziałam, czemu płaczę, Gabe też nie, ale natychmiast ruszył do działania. Zapłacił rachunek i wyprowadził mnie na zatłoczony parking. Nadal było jasno, zasłoniłam więc twarz ramieniem, a on otworzył przede mną drzwi, czego nigdy nie robił, bo galanteria nie była w jego stylu.

Ku mojej uldze w drodze do domu nie zadawał pytań. Milczeliśmy tak, jak można milczeć tylko z kimś bardzo bliskim. Gdy dotarliśmy do mojego mieszkania, wszedł do środka razem ze mną, wyraźnie zaniepokojony. Pomaszerowałam prosto do sypialni. Przebrałam się w służący mi za piżamę długi T-shirt z logo uniwersytetu, wyczyściłam zęby i zmyłam makijaż. Siedziałam tam tak długo, że w pewnej chwili Gabe zapukał do drzwi, pytając, czy wszystko w porządku.

– Tak – skłamałam i zgasiłam światło, żeby ukryć twarz.

– Mogę wejść?

– Tak – powtórzyłam i zanurkowałam pod kołdrę.

Przysiadł na skraju łóżka i na mnie spojrzał.

– Co się dzieje, Josie? – zapytał. – Czemu tak się zdenerwowałaś?

– Nie wiem – odparłam.

Naprawdę nie wiedziałam. Coś mnie tknęło, ale nie potrafiłam ubrać tego w słowa. To „coś” w jakiś sposób wiązało się z wypadkiem Daniela.

– Owszem, wiesz – naciskał delikatnie Gabe. – Porozmawiaj ze mną.

– Po prostu mam wrażenie... jakby to była moja wina – wyznałam wreszcie.

– Jakim cudem? Chyba zwariowałaś.

– Wcale nie – odparłam. – Może Daniel wyszedł z domu, żeby mnie stamtąd zabrać.

Gabe z przekonaniem potrząsnął głową.

– Nie sądzę, Josie. Nie wpadaj w paranoję. Daniel pojechał po burgera. Przecież tak powiedział twojej matce?

– Tak – potwierdziłam. – Ale...

– Dość tego. Wyraźnie czujesz się winna, ale twój brat miał wypadek. Nie miałaś z tym nic wspólnego.

Odetchnęłam głęboko, drżąc na całym ciele. Potem powiedziałam, że nie chcę już rozmawiać na ten temat. Nigdy.

– Dobrze – powiedział, nie spuszczać ze mnie zatroskanego wzroku. – Mam sobie iść?

– Nie – odparłam, zaglądając mu w oczy. – Zostań, proszę.

Pokiwał głową. Dwoma kopnięciami pozbył się butów, okrążył łóżko i usiadł obok mnie na kołdrze. Oparł się o wezłowie, wyprostował nogi i niezdarnie poklepał mnie po plecach. Raz i drugi.

– Dziękuję – powiedziałam. Powieki mi ciążyły.

W którymś momencie odpłynęłam. Słyszałam, jak wstaje. Poruszyłam się i poprosiłam, żeby został.

– Ciiii... – powiedział, gładząc mnie po plecach przez kołdrę i koc. – Śpij.

– Nie idź – powtórzyłam.

– Nie pójdę – obiecał.

Zdjął dzinsy i koszulkę i położył się obok mnie. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie leżeliśmy w jednym łóżku, a mimo to nie czułam się niezręcznie, nawet wtedy, gdy w środku nocy przysunął się i objął mnie ramieniem. Było mi ciepło i dobrze, byłam bezpieczna.

Tuż przed świtem drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Will. Wystarczył mu jeden rzut oka, by ogłosić, że z nami koniec.

ROZDZIAŁ 10

Meredith

Po pamiętnej wizycie u Josie przez kilka dni próbowałam zrozumieć, co właściwie tak mnie rozgniewało. Uznałam, że jej pomysł to szaleństwo, totalna głupota, do tego wynikająca z egoistycznych pobudek. Podejrzywałam również, że w pewnym momencie i w jakiś sposób Josie przerzuciłaby na mnie odpowiedzialność za swoje dziecko. Jednak w głębi ducha wierzyłam, że ma rację: po to właśnie jest rodzina, żeby wspierać i pomagać. Naprawdę chciałam, by moja siostra mogła doświadczyć wspaniałości macierzyństwa. Czemu więc nie potrafiłam po prostu życzyć jej powodzenia i cieszyć się razem z nią?

Pewnego wieczoru, gdy Nolan i ja przygotowujemy się do snu, zadaję mu to pytanie. O dziwo, dotąd nie poruszał tego tematu, pewnie dlatego, że jest po jej stronie.

– Jak myślisz, czemu tak się na nią wkurzyłam?

– Nie wiem – odpowiada, wypłukując szczoteczkę i postukując nią o krawędź umywalki. – Wiesz, że nie rozumiem waszych relacji.

Wkładam najstarszą, najwygodniejszą i prawdopodobnie najmniej atrakcyjną nocną koszulę.

– Sądzisz, że zareagowałam za ostro? – pytam.

Nolan rzuca mi niepewne spojrzenie i wzrusza ramionami.

– Może trochę... Od razu na nią naskoczyłaś.

Choć pewnie ma rację, ta odpowiedź wcale mi się nie podoba.

– Zrozum, ona po prostu chce tego, co ty już masz – ciągnie Nolan.

Wzdycham. To samo zawsze powtarza mi matka. Oboje ubzdurali sobie, że Josie jest o mnie zazdrosna.

– Wybacz, ale tego nie kupuję – odpowiadam.

– No dobrze, ale czy nie mogłabyś jej po prostu odpuścić? – pyta Nolan, rozbierając się do bokserów.

– Czego? Tego, że chce mieć dziecko?

Podnoszę z podłogi jego ubrania, które wiecznie rozrzuca, i wkładam je do kosza na brudną bieliznę.

– Nie, ale nie musiałaś jej atakować. Niech się cieszy... Przecież w najlepszym razie jest jakieś

pięćdziesiąt procent szans, że zrealizuje ten pomysł.

– Naprawdę tak myślisz?

Choć mam nadzieję, że ma rację, czuję zarazem niespodziewane ukłucie zawodu, ponieważ bycie ciotką to – w przeciwieństwie do macierzyństwa – naprawdę świetna zabawa.

– Zastanów się – tłumaczy mi Nolan. – Czy Josie zrobiła ten doktorat, o którym zawsze mówiła?

Kręcę głową.

– A pamiętasz, jak planowała przeprowadzkę do Kalifornii? – pyta, wchodząc do sypialni.

– Tak – odpowiadam i idę za nim.

– Nic z tego nie wyszło. W dodatku wciąż wynajmuje mieszkanie, choć od lat zapowiada, że kupi sobie własne... Wystarczy?

Uśmiecham się i proszę go o jeszcze jeden przykład.

– Nie ma sprawy: Will Carlisle. Jego też przy sobie nie utrzymała.

Stajemy po obu stronach łóżka i ściągamy narzutę, koc i kołdrę.

– Nie – mówię. – Nie utrzymała.

– Za to ja się cieszę, że utrzymałem ciebie – mówi Nolan, puszcza do mnie oko i wchodzi do łóżka.

Z uśmiechem kładę się obok niego i oboje gasimy nocne lampki. Nolan szybko całuje mnie w usta i przewraca się na drugi bok. Opuszczamy głowy na poduszki: on na swoją z pierzem, ja na moją – hipoalergiczną.

– Dobranoc – mówi, odwrócony do mnie plecami.

– Dobranoc – odpowiadam.

Z ulgą stwierdzam, że dziś nie będzie mnie namawiał na seks. Może ma dość moich wiecznych sprzeciwów, a może, mam nadzieję, jest po prostu zmęczony. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio kochaliśmy się z mojej inicjatywy, ale nie mogę. Minęło zbyt wiele czasu. Wyrzuty sumienia mieszają się z niepokojem, lecz powtarzam sobie, że to normalne i przytrafia się wszystkim.

– Kocham cię – dodaję.

– Ja ciebie też – mruczy Nolan.

Kilka minut później już śpi, o czym świadczy jego głęboki i równy oddech. Zastanawiam się, kiedy zacznie chrapać, i czy będzie to robił tak głośno, że będę się musiała przenieść do gościnnej sypialni, a potem wracam myślami do siostry i stwierdzenia Nolana, że Josie marzy o takim życiu jak moje. Przez kilka sekund jest mi jej żal, ale przypominam sobie, że sama zgotowała sobie taki los i weszła na ścieżkę autodestrukcji. Mogłaby teraz słuchać chrapania Willa albo jakiegoś innego faceta, wolała jednak imprezować z Gabe'em, niż autentycznie zaangażować się w którykolwiek ze swoich związków.

Nagle doznaję olśnienia: już wiem, dlaczego tamtego wieczoru jej nowina tak mnie wytrąciła

z równowagi. Dostrzegam nagle, że chodziło nie tyle o jej decyzję i bez troskie podejście do trudów macierzyństwa, ile o samą Josie. O to, że zawsze robi dokładnie to, na co ma ochotę, i tak, jak ma ochotę. Jest egoistką, koniec i kropka. Może właśnie tego tak jej zazdroszczę.

*

Następnego dnia wraz z Nolanem zabieramy Harper na przyjęcie z okazji czwartych urodzin Isli Graham. Isla i Harper są najlepszymi przyjaciółkami, głównie dlatego, że przyjaźnię się z jej matką Ellen (Nolan, który kumpluje się z Andym, też przyszedł na „różowy podwieczorek”, ubrany w koszulę w różową kratkę). Zgodnie z sugestią Ellen przybywamy trochę wcześniej. Długim, wijącym się podjazdem podchodzimy do drzwi ich domu w Brookhaven. Nolan naciska dzwonek, który Ellen zmieniła, by brzmiał – jak to określiła – mniej złowieszczo, tymczasem ja po prostu otwieram drzwi i przechodzę przez dom do ogródka na tyłach.

– O cholera – mruczę pod nosem, chłonąc widok bajkowej krainy. W powietrzu unoszą się pęki amarantowych i bladoróżowych balonów. Na długim stole przykrytym różowym obrusem w kropki ustawiono kryształowe kieliszki, srebra i bukiety różowych hortensji. Nawet jedzenie jest różowe: bułeczki z truskawkowym serkiem, pokrojone w serduszka kanapki z marmoladą, truskawkowy jogurt w miseczkach z różowej porcelany, sałatka arbuzowo-malinowa i obrane jajka na twardo, również zabarwione na różowo. Ellen daleko do Marthy Stewart, domyślam się więc, że to wszystko jest dziełem jej teściowej, która po chwili wychodzi na ganek z dzbankiem różowej lemoniady. Ellen drepcze tuż za nią.

– Niesamowicie to wszystko wygląda – mówię przyjaciółce i ściskam ją na powitanie.

– Tylko dzięki Stelli – odpowiada Ellen, a ja zauważam przy drzwiach koszyk z prezentami dla gości: różowe cukierki i kubeczki z ciastoliną w tiulowych torebkach.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odzywa się skromnie Stella.

Z niejakim zażenowaniem przypominam sobie pozbawione przepychu farmerskie przyjęcie Harper. Wynajęliśmy wtedy chuderlawego kucyka, dwie niesforne kozy i dość bezsensowne stadko smętnych brązowych kur.

Harper i Isla witają się radośnie, obie wystrojone w różowe tiulowe spódniczki. Andy podaje Nolanowi piwo i wchodzi do domu obejrzeć drugą połowę meczu Georgia – Tennessee.

– Tę sukienkę też ci kupiła? – pytam, upewniwszy się, że Stella mnie nie słyszy.

Ellen parska śmiechem.

– Blisko. Pożyczyłam ją od Margot – odpowiada, mając na myśli swoją szwagierkę.

– Nie pamiętam, żebym kiedyś widziała cię w różowym – stwierdzam.

Poznałam Ellen krótko po powrocie z Nowego Jorku. Stałam za nią w długiej kolejce na pocztę. Moją uwagę przyciągnął jej strój: sprane niebieskie dzinsy z dziurą na lewym kolanie i podwiniętymi

nad kostki nogawkami, odważne sandały rzymianki, oliwkowa tunika i naszyjniki ze skóry i koralików. Wyglądała nowocześnie i bezpretensjonalnie. W Nowym Jorku niczym by się nie wyróżniała, ale w natłoku uwielbianych przez mieszkanki Buckhead kwiecistych pastelii jej strój robił wrażenie. Kiedy zerknęłam na trzymaną przez nią paczkę, rzucił mi się w oczy wypisany czarnym flamastrem znajomy adres mojej dawnej nowojorskiej kamienicy: 22C, dokładnie trzy piętra pod mieszkaniem numer 25C, które kiedyś zajmowałam. Nie miałam zwyczaju wdawać się w pogawędki z nieznajomymi, ale ten zbieg okoliczności wydał mi się niezwykle. Postukałam ją w ramię i powiedziałam:

– Proszę mi wybaczyć wścibstwo, ale spojrzałam na pani paczkę... Mieszkałam tam kiedyś! Pod dwudziestką piątką.

Rozpromieniła się i dostrzegłam, że jest naprawdę ładna.

– Żartuje pani! Teraz pod dwudziestką piątką mieszkają moi dobrzy znajomi, Hillary i Julian. Znała ich pani?

– Nie – odparłam z uśmiechem. – Ale świat jest mały, prawda?

Skinęła głową.

– A więc pochodzi pani z Nowego Jorku?

Odpowiedziałam, że mieszkałam tam wiele lat, ale jestem z Atlanty.

– Nadal tęsknię za wielkim miastem – dodałam.

Pokiwała głową.

– Ja też mieszkałam tam dosyć długo i nadal mi go brakuje. Dlaczego pani tu wróciła? Z powodu pracy?

– Owszem, pracy męża – wyjaśniłam.

Byliśmy z Nolanem świeżo po ślubie i słowo „mąż” wciąż brzmiało obco w moich ustach.

– To tak jak ja – powiedziała nieznajoma, po czym się przedstawiła: Ellen Graham. Zawarłyśmy znajomość i rozmawiałyśmy dalej. Ellen zajmowała się fotografią portretową, pochodziła z Pittsburgha i wyszła za prawnika. Opowiedziałam jej trochę o sobie. Poczekala, aż załatwię swoją sprawę, a kiedy szłyśmy na parking, wyciągnęła z przepastnej torby wizytówkę i zaproponowała, żebyśmy wybrały się kiedyś na kawę albo wspólną kolację z mężami.

– Bardzo chętnie – ucieszyłam się, podekscytowana, że zawarłam nową znajomość, co z wiekiem zdarza się przecież coraz rzadziej.

Kilka tygodni później zadzwoniłam do Ellen i wybraliśmy się we czwórkę do restauracji w Decatur, miasteczku nieopodal Atlanty. Miło spędziliśmy wieczór i świetnie się ze sobą dogadywaliśmy. Nolan i Andy skończyli Lovett (choć Andy był kilka lat starszy) i obaj pracowali dla swoich ojców. Jeszcze ważniejsze było chyba jednak to, że obaj poślubili kobiety zupełnie inne od siebie, do tego poznane za pośrednictwem rodzeństwa (zanim Ellen zaczęła chodzić z Andym,

przyjaźniła się z jego siostrą Margot).

Opowiadając naszą historię, Nolan wspomniał o Danielu. Dostrzegłam, że Andy skojarzył fakty: połączył moje panięskie nazwisko ze studentem medycyny w Yale, dawnym uczniem Lovett, który zginął w wypadku samochodowym tuż przed Bożym Narodzeniem.

Zwrócił się do mnie z poważną miną.

– Daniel Garland był twoim bratem? – zapytał cicho.

– Tak – odparłam i wyręczając go, wyjaśniłam Ellen: – Mój brat nie żyje. Zginął w wypadku.

Zakłopotany Andy wymamrotał, że mu przykro, jak większość ludzi spuszczać przy tym wzrok. Jednak jego żona spojrzała mi w oczy, wzięła mnie za rękę i powtórzyła to samo, choć zupełnie inaczej.

– Dziękuję – powiedziałam i poczułam, że wiele nas łączy, choć dopiero po chwili wyznała mi, że i ona w młodości straciła kogoś bliskiego, gdy jej matka umarła na raka.

– Nie twierdę, że to to samo – dodała szybko. – Bracia i siostry powinni być z nami od kołyski aż po grób...

– Rzeczywiście, ale jednak... mnie też jest bardzo przykro – zapewniłam ją.

Mimo iż śmierć rodzica łatwiej jakoś pojąć, może dlatego, że jest bardziej naturalna i do przewidzenia, to nie potrafię wyobrazić sobie życia bez mamy. Zwłaszcza jeśli by odeszła, gdy ja wciąż byłam nastolatką. Podczas tego obiadu pomyślałam, że obojętnie, z której strony na to patrzymy, życie bywa tragiczne.

– Czy twoja rodzina... poradziła sobie z tym? – spytała Ellen. – Czy to was zbliżyło?

W jej głosie było tyle empatii, że zaczęłam jej się zwierzać. Panowie pograżyli się w dyskusji o golfie, podróżach i pracy, a ja opowiadałam Ellen o Josie, o tym, jak bardzo się od nas odgradziła, o jej niechęci do rozmów o Danielu, które określa jako niezdrowe. Jak się okazało, Ellen miała starszą siostrę imieniem Suzanne i choć bardzo się różniły, to jednak łączyła je bliska więź.

– Właściwie to moja najlepsza przyjaciółka.

Zazdrościłam jej. Chciałabym zaprzyjaźnić się z siostrą, ale nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

– Czy to śmierć mamy tak na was podziałała? – spytałam.

– Tak – powiedziała Ellen. – Chociaż zawsze trzymałyśmy się razem... Za to mój ojciec przypomina twoją siostrę. Rzadko mówi o mamie. Zabawne, jak każdy człowiek inaczej przeżywa żałobę.

Skinęłam głową, bo w pełni się z nią zgadzałam. Przypomniał mi się pewien cytat. Po śmierci Daniela przez krótki czas chodziłam z mamą na spotkania grupy wsparcia. Prowadząca – kobieta, która straciła dziewięcioletnią córkę – napisała kredą na tablicy: „Żałoba to zagadka, którą przeżywamy, nie problem do rozwiązania”. Może miała rację. Mimo to wciąż mi się zdawało, że rozmowy, próby rozwikłania problemu to jedyny sposób, by w pełni się z nim pogodzić. Jedyna

nadzieja na uzdrowienie. Powiedziałam to Ellen, a ona przyznała mi rację.

– Też tak myślę, ale podejrzewam, że mój ojciec i twoja siostra po prostu patrzą na świat inaczej. To, trudne, naprawdę trudne, kiedy nasi najbliżsi zmagają się z życiem w zupełnie inny sposób niż my. Na pewno właśnie dlatego tyle małżeństw rozpada się po utracie dziecka. Jeśli tak samo radzą sobie z tragedią, to większa szansa, że wytrwają razem.

Skinęłam głową i opowiedziałam jej o rozwodzie moich rodziców. Uważałam, że rozstali się z powodu śmierci Daniela. Mama winiła picie ojca, ale picie było jego reakcją na rozpacz. Innymi słowy, wszystko sprowadzało się do mojego brata.

Tamtego wieczoru w drodze do domu mówiłam Nolanowi, że ja i Ellen zostaniemy bliskimi przyjaciółkami. Rzeczywiście, w ciągu następnych kilku miesięcy bardzo się do siebie zbliżyłyśmy. Często się spotykałyśmy, wymieniałyśmy maile i prawie codziennie rozmawiałyśmy przez telefon, co w moim przypadku było czymś wyjątkowym. Josie mówiła, że się „zakochałam”. Denerwowało mnie to z kilku powodów, ale najważniejszym było to, że takie twierdzenie trywializowało naszą relację. Nie chciało mi się wyliczać mojej siostrze wszystkich cech, które lubiłam i podziwiałam u Ellen. Jej praca była jednocześnie jej pasją, co więcej, robiła naprawdę świetne zdjęcia. Potrafiłam godzinami na nie patrzeć i zachwycać się tym, że zwykli ludzie wyglądali na nich niczym sławy, a sławy przypominały zwykłych ludzi. Ellen była wyjątkowa, ale nie wychodziła ze skóry, by wszystkim to udowodnić. Skutkiem były niezwykle kombinacje, które dla kogoś, kto jej nie znał, mogłyby wydawać się sprzecznościami, na przykład miała dwa psy: jednego ze schroniska i drugiego, najpiękniejszego i najszlachetniejszego golden retrievera, jakiego w życiu widziałam. Miała usposobienie hipiski, ale poślubiła arystokratę z Atlanty. Jeździła poobijaną toyotą oklejoną streetartowymi nalepkami, a zarazem jej dom był pełen dzieł sztuki i antyków. Uwielbiałam także jej niespotykaną szczerość: potrafiła przyjąć do wiadomości własne wady i niedoskonałości swojego małżeństwa, tymczasem tak wielu ludzi nie było nawet w stanie przyznać, że mają zły dzień.

Okazało się, że Ellen i ja zaszłyśmy w ciążę prawie jednocześnie, więc między Islą i Harper było zaledwie pięć tygodni różnicy. Intensywny okres wczesnego macierzyństwa połączył nas jeszcze bardziej i na tyle zacieśnił więzy między całą naszą czwórką, że wybraliśmy się nawzajem na rodziców chrzestnych. Oczywiście ta decyzja uraziła moją siostrę.

– Jeśli ty i Nolan umrzecie, to Harper zamieszka z nimi? – dopytywała z lekką paniką w oczach, tuląc do siebie moją dwumiesięczną córkę. – Z ludźmi, których znacie dopiero od kilku lat? Zamiast z własną rodziną?

– Na miłość boską, Josie, wszyscy wiedzą, że rodzic chrzestny i prawny opiekun to nie to samo – rzuciłam zniecierpliwiona, usiłując się nie zastanawiać, w jakich to makabrycznych okolicznościach moglibyśmy z Nolanem jednocześnie stracić życie. – To tak jakby... tytuł honorowy.

– A ty nie chcesz uhonorować nim własnej siostry?

– Jesteś jej ciotką. Ciotka to więcej niż matka chrzestna. Ellen też wybrała mnie zamiast swojej siostry. Albo siostry Andy’ego. I żadna z nich się nie wścieka – tłumaczyłam.

To nie do końca była prawda. Suzanne bez problemu pogodziła się z tym wyborem, ale Margot miała pretensje.

– Tak więc jeśli umrzecie, to Harper trafi do mnie? – upewniała się bezlitośnie Josie.

– Josie – szepnęłam z przerażeniem, gestem wskazując mamę.

– No co? Warto ustalić to już teraz – odparła moja siostra.

Najwyraźniej nie miała nic przeciwko rozmowie o życiu i śmierci, gdy odpowiadało to jej celom.

– Nie spisaliśmy jeszcze z Nolanem testamentów – oznajmiłam, choć w duchu podjęłam decyzję, że choćby nie wiem co, Josie nie zostanie opiekunką Harper.

– To ja ją chcę – powiedziała Josie, jakby to była najprostsza decyzja na świecie. Tak właśnie teraz myśli. Chcesz dziecka, dostajesz dziecko.

*

Gdy przyjęcie urodzinowe dobiega końca, mówię Ellen o najnowszym wymyśle mojej siostry.

– Ciekawe – stwierdza, zaintrygowana.

W kwestiach dotyczących Josie zawsze wypowiada się dyplomatycznie i rozsądnie, ale ta reakcja mnie zaskakuje.

– Ciekawe? Nie uważasz, że to beznadziejny pomysł?

– Potrafię sobie wyobrazić gorsze.

– Josie jako samotna matka?

– Dobrze sobie radzi z Harper.

– Owszem. Przez pięć, sześć godzin, nie więcej – odpowiadam. – Obie wiemy, jak naprawdę wygląda macierzyństwo.

– Racja. Ale nie byłaby całkiem sama. Ma ciebie i Nolana – mówi Ellen. – Rodziców. I Gabe’a.

– Przyjaciele raczej niewiele pomagają, gdy chodzi o dzieci – prostuję. – Mogą się z nimi pobawić raz na jakiś czas i tyle.

– Może – zamyśla się Ellen. – Za to rodzina to co innego.

Spoglądam na nią i po raz kolejny uświadamiam sobie podstawową różnicę między nami, a także w naszych stosunkach z siostrami: Ellen kocha Suzanne i równocześnie ją lubi.

– Dziecko miałoby jeszcze ciebie – wyjaśnia na wszelki wypadek.

– Ale ja nie chcę drugiego dziecka – mówię.

Mija nas Nolan idący po kolejne piwo. Rzuca mi urażone spojrzenie, chwyta butelkę i wraca do domu.

– Cholera – mamroczę pod nosem. – Usłyszał.

– Jak to? Nie mówiłaś mu, że nie chcesz mieć więcej dzieci?

Ellen patrzy na mnie z zaskoczeniem, bo omawiałam z nią ten temat już kilka razy.

– Nie powiedziałam mu tego wprost – przyznaję.

Oto kolejna różnica między naszymi światami. Ellen i Andy rozmawiają bez przerwy i o wszystkim, a nawet chodzą na terapię par: nie dlatego, że mają kłopoty (choć przed narodzinami Isli mieli trudny okres), ale po to, aby im zapobiec. Ich małżeństwu daleko do ideału, ale jest silne i zazdroścę go Ellen tak samo jak relacji z siostrą, a może nawet bardziej.

– Jesteś pewna, że nie chcesz drugiego? Z Teddym nie mamy żadnych kłopotów.

Ellen ma na myśli swojego dwuletniego syna, którego Stella zabrała przed chwilą do domu na drzemkę.

– Jestem pewna – odpowiadam, obserwując Nolana przez oszklone drzwi. – Poza tym... co by było, jeśli urodziłaby się dziewczynka?

Ellen wie, do czego piję.

– Większość sióstr całkiem nieźle się dogaduje.

Kręcę głową.

– Nie. Wcale nie. Przynajmniej nie tak jak ty i Suzanne.

– Mogłabyś urodzić chłopca – odpowiada, zbierając ciemne włosy w kok na czubku głowy. – Chłopcy uwielbiają swoje mamy. Pomyśl, co by było, gdybyście obie z Josie miały synów. Byliby zarazem kuzynami i prawdziwymi braćmi. A stosunki braterskie w ogóle nie są skomplikowane.

– Ale ja naprawdę nie chcę drugiego dziecka – opieram się, pilnując, by nie podnieść głosu. – Zresztą jeśli chodzi o mnie i Josie, wszystko jest skomplikowane.

*

– Śpi jak zabita – mówi Nolan tego samego wieczoru, wchodząc do salonu.

Próbuję zaprowadzić tam porządek po wieczornych wybrykach Harper. Nolan zaniósł ją do łóżka, gdy usnęła na swojej wielkiej poduszce, oglądając *Kraję lodu*.

– To przez te zabawy na słońcu – odpowiadam.

Segreguję zabawki. W pierwszym koszu klocki, w drugim maskotki, w trzecim książki, w czwartym lalki, ich ubranka i sprzęty, w piątym cała reszta.

– Przez to piwo na słońcu ja też padam – oznajmia Nolan, ziewając.

Podnosi z podłogi różowego słonia pacynkę i wkłada rękę do środka. Obaj patrzą na mnie nieruchomo. Odkąd mój mąż poszedł z Harper na warsztaty lalkarskie, zrobił się z niego istny Jim Henson.

– Minąłeś się z powołaniem – zauważam i uśmiecham się bez przekonania.

Nolan milczy, spoglądając na mnie nieruchomo. Nagle to w obliczu pacynki widać więcej życia.

– Nigdy nie jest za późno – poucza mnie słoń.

– Jesteś bardzo mądrym słońciem – odpowiadam.

Przychodzi mi na myśl, jak w różnych aspektach można odnieść jego stwierdzenie do mojego życia. Osuwam się na sofę i opieram bosc stopy o stolik.

Nolan patrzy na mnie przez chwilę, po czym ściąga pacynkę z dłoni i ciska ją do pojemnika z książkami. Tłumię chęć zwrócenia mu uwagi, ale on zauważa moje ściągnięte brwi i mówi:

– Wiem, wiem. Nie ten kosz. Już robię porządek.

– Nie trzeba – uspokajam go.

Zołoft chyba jednak działa. Pół roku temu natychmiast przełożyłabym pacynkę do właściwego kosza, a potem długo siedziałabym po turecku na dywanie, starannie układając rozmaite przedmioty w piątym pojemniku według wielkości i koloru. Może nawet zamówiłabym kolejne kosze.

Nolan siada obok mnie i opiera dłonie na udach. Przypominam sobie niedawny zarzut, że „nigdy nie dotykam go pierwsza”, biorę go za rękę i splatam palce z jego palcami. Ma odrobinę sękatę kłykcie, a serdeczny palec jest wykrzywiony od licznych kontuzji, ale zawsze lubiłam jego dłonie. Duże i silne, przypominają mi, jaki potrafi być zaradny. I przydatny jako mężczyzna. Dopisuję to do listy pod tytułem „Za co kocham swojego męża”.

– No więc? – zaczyna i spogląda mi w oczy. – Mówiłaś serio?

Patrzę na niego pytająco, choć dobrze wiem, o co mu chodzi.

– Że nie chcesz drugiego dziecka – wyjaśnia. – Słyszałem, co mówiłaś do Ellen.

– Nie jestem pewna – odpowiadam.

Choć cała sztywnieję, usiłuję zachować swobodny ton. To wielokrotnie wypróbowana technika unikania poważnych rozmów o powiększaniu rodziny, naszym związku czy życiu seksualnym. Takie pytania zazwyczaj przychodzą Nolanowi do głowy po kilku piwach. Trudno stwierdzić, czy alkohol wprowadza go w refleksyjny nastrój, czy po prostu rozwiązuje mu język.

– To zabrzmiało bardzo... ostatecznie – mówi, marszcząc brwi, po czym z nadzieją dodaje: – Ale może po prostu byłaś nie w sosie?

– Właśnie – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– W takim razie możemy o tym pogadać? O drugim dziecku? – pyta z wahaniem.

– Jasne. – Zerkam na niego. – Zaczynaj.

– W porządku.

Bierze głęboki oddech i z chrzęstem przeciąga kark w lewo, a potem w prawo.

Krzywię się.

– Nie rób tego. To niezdrowe – proszę, choć w rzeczywistości chodzi o ten dźwięk, który jest

naprawdę okropny.

Nolan głośno wzdycha.

– No bo tak myślałem... O tym, jak nam się układa... To znaczy mamy Harper, która jest cudowna, i gdyby nie było nam pisane nic więcej, i tak byłbym szczęśliwy... Ale czuję, że czegoś nam brak. Chcę mieć drugie dziecko. Właściwie to najbardziej bym się ucieszył, gdybyśmy mieli jeszcze dwójkę albo trójkę...

– Trójka!?! – przerywam mu z niedowierzaniem. – Naprawdę chcesz mieć czworo dzieci?

– Jasne – odpowiada.

Zrzuca skórzane klapki i dotyka stopą mojej stopy.

– Duża rodzina to super sprawa – dodaje. – Zawsze żałowałem, że nie mam rodzeństwa. Jedynacy dźwigają dużą odpowiedzialność, wiesz, rodzinna firma, starzejący się rodzice... Poza tym są po prostu samotni. To smutne.

– Nie wydaje mi się, żeby Harper to przeszkadzało – zauważam. – Nigdy nie prosiła o siostrę czy brata. Ani razu. Chyba lubi mieć nas tylko dla siebie.

– Niby tak, ale to też kłopot – mówi Nolan. – Sama mówisz, że ją rozpuściliśmy. Kolejne dziecko rozwiązałoby problem... Jedynacy miewają trudne charaktery.

– Ale ciebie to nie dotyczy – odpieram ten argument. – Jesteś normalny aż do bólu.

Dociera do mnie, co powiedziałam, ale jest już za późno.

– Mówisz tak, jakby to było coś złego.

– Wcale nie – kłamię.

Prawda jest jednak taka, że rzeczywiście często „normalne” oznacza dla mnie „nudne”. Jak mogę uważać za nudziarza kogoś, kto błyszczy na prawie każdej imprezie? Inni ludzie zawsze śmieją się z jego dowcipów.

– W każdym razie ja po prostu chcę mieć drugie dziecko. Zresztą wyobraź sobie... Boże broń... ale gdyby...

Milknie, a ja spoglądam na niego z przerażeniem.

– Nawet o czymś takim nie myśl.

– Dobra – poddaje się, potwierdzając tym moje przypuszczenia, jakoby sugerował, że drugie dziecko przyda się na wypadek, gdybyśmy stracili Harper. – Ale wiesz, o co mi chodzi.

– Nie – odpowiadam, wzburzona. – Nie wiem. To nie jest powód, żeby fundować sobie drugie dziecko.

– W porządku, to co jest powodem? – pyta ostrożnie.

– To, że się go chce.

– No właśnie – podchwytuje. – Powiedziałem już przecież, że ja chcę.

Kiwam głową, ponieważ powtarza mi to od dwóch, może nawet trzech lat. Pamiętam, że zaczął, kiedy wciąż karmiłam Harper. Z trudem powstrzymałam wtedy chęć rąbnienia go w głowę butelką świeżo odciągniętego mleka.

– Rozumiem – mówię.

– No to mi powiedz, co o tym sądzisz. Czy rozmawiając dziś z Ellen, mówiłaś serio?

Przełykam ślinę. Odchylam głowę i patrzę w sufit. Potem zamykam oczy.

– Nie wiem, Nolan. Teraz chyba nie chcę kolejnego...

– Ale Harper ma już cztery lata.

– Wiem, ile lat ma Harper – fukam. – Po prostu nie jestem gotowa.

– Dobrze. Tylko czy kiedykolwiek będziesz?

– Trudno powiedzieć. Może nie. – Otwieram oczy, przenoszę na niego wzrok i zmuszam się, by wydusić z siebie prawdę: – Nie, raczej nie.

Wygląda na wstrząśniętego, może nawet zdruzgotanego, a ja nagle nienawidzę sama siebie, nie za to, co właśnie wyznałam mojemu kochanemu mężowi i cudownemu ojcu naszej córki, ale za to, czego wciąż mu nie powiedziałam.

– Aha – mówi Nolan, puszcza moją rękę, klepie się po udach i wstaje. – Dzięki.

– Za co? – pytam cicho.

– Za to, że jestem drugą osobą, która się o tym dowiedziała. Zaraz po Ellen – odpowiada.

Podchodzi do utrzymanych w wielkim porządku koszy, podnosi różowego słonika i przekłada we właściwe miejsce.

ROZDZIAŁ 11

Josie

We wtorek wieczorem jadę do szkoły, żeby wziąć udział w dorocznym spotkaniu zapoznawczym. Rodzice po raz pierwszy mają się spotkać z wychowawcami swoich dzieci, odwiedzić klasy i zapoznać się ze skrótem programu nauczania. Później wszyscy przejdą do auli, gdzie dyrektor i administratorzy niczym katarynki wygłoszą tę samą co zawsze przemowę o wspaniałości naszej szkoły tylko po to, by ludzie, którzy już płacą im krociowe chesne, otworzyli książeczki czekowe i dorzucili jeszcze kilka dolarów.

Spotkanie z rodzicami zawsze mnie przeraża. Bez wątpienia to najgorsza część mojej pracy. W tym roku, z oczywistych powodów, jest jeszcze gorzej niż zwykle i gdy wjeżdżam na parking, mam wrażenie, że za chwilę zemdleję albo zwymiotuję z nerwów na myśl o ponownym spotkaniu z Willem. Nie pomaga straszliwy upał i duchota ani tym bardziej to, że przez ostatnie dwie doby piłam tylko soki, by wcisnąć się w specjalnie zakupioną na tę okazję sukienkę w rozmiarze trzydzieści osiem.

Parkuję auto, odpinam pas i włączam silny strumień klimatyzacji, po czym dzwonię do Gabe'a, czując, że w tej ostatniej chwili potrzebuję jego wsparcia. Kiedy nie odbiera, z trudem tłumię w sobie chęć wybrania numeru Meredith. Nie rozmawiałyśmy, odkąd wybiegła z mojego domu, i tym razem nie mam zamiaru ustąpić pierwsza.

Zerkam w lusterko i z jako takim zadowoleniem przyjmuję to, co tam widzę. To zadziwiające, że – biorąc pod uwagę cały stres, na jaki jestem narażona od początku tygodnia – nie mam twarzy w czerwonych plamach. Starannie nakładam na usta błyszczczyk i maluję rzęsy. Tymczasem na miejscu obok zatrzymuje się Sydney Swanson, która też uczy pierwsze klasy i jest mi najbliższą osobą w gronie nauczycieli. Robi do mnie śmieszoną minę za szybą samochodowego okna, wciągając policzki i poruszając ustami jak ryba. Sydney to jedna z najpogodniejszych kobiet, jakie znam, co robi wrażenie, zwłaszcza jeśli się pomyśli, że ma już trzydzieści dziewięć lat i podobnie jak ja jest sama jak palec. Jej szansę na znalezienie partnera dodatkowo zmniejsza fakt, że ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a do tego nie chce nawet słyszeć o mężczyźnie, który byłby od niej niższy.

Jednocześnie wysiadamy z naszych volkswagenów jetta (kupionych tego samego dnia w tym samym salonie, dzięki czemu dostałyśmy zniżkę). Sydney obrzuca wzrokiem mój strój i gwizdże.

– No, no! Will będzie pluł sobie w brodę! – woła odrobinę za głośno, dla wzmocnienia efektu przesadzając z teksańskim akcentem. Wszystko jest w niej duże: oczy i usta, zakręcone lokówką

włosy, powiększone piersi i ekspansywna osobowość. Choć zwykle podoba mi się jej zamaszysty styl bycia, bywają momenty takie jak ten, gdy wolałabym, żeby była nieco dyskretniejsza.

Uciszam ją, rozglądając się nerwowo po parkingu.

– Wyluzuj, dziewczyno – odpowiada beztrosko. – Dasz sobie radę.

Mówię jej, że chyba zaraz zemdleję.

– Rzeczywiście, wyglądasz... na trochę chorą.

– Chorą? – powtarzam. Z każdą sekundą czuję się gorzej. – Po prostu wspaniale.

Sydney łapie mnie za rękę i zmusza, bym na nią spojrzała. Tymczasem mija nas nowa kierowniczka chóru. Jeszcze nie zdecydowałyśmy, czy ją lubimy, czy nie. Pozdrawia nas zdawkowo.

– Dobra. Teraz słuchaj – mówi Sydney, nareszcie ścisząc głos. – Wyglądasz fantastycznie. I szczupło.

Dziękuję jej, choć wiem, że mówiąc „szczupło”, ma na myśli „szczupło jak na mnie”. Mimo to postanawiam przyjąć komplement.

– Ile schudłaś od piątku? – pyta Sydney.

– Dwa i pół kilo. Ale jutro wszystko wróci – odpowiadam, wkładając okulary przeciwsłoneczne, choć stoimy w cieniu budynku, kilka kroków od wejścia. – Z nawiązką.

– W takim razie jutro będziemy się tym martwić – odpowiada i jest to znakomite podsumowanie jej życiowej filozofii.

Ramię w ramię wchodzimy do szkoły, machając napotkanym po drodze koleżankom i kolegom.

– Serio, Josie, ta kiecka jest zabójcza.

Zaniepokojona tym, czy „zabójcza” kiecka jest aby odpowiednia na wieczorek zapoznawczy z rodzicami, pytam nieśmiało, czy nie wydaje się jej za krótka.

– Może żeby grać w klasy – odpowiada ze śmiechem Sydney. – Ale gwarantuję ci, że żonie Willa oko zbieleje.

– Hm. Nie o to mi chodziło – mówię.

Nie zdołałabym wzbudzić w Andrei zazdrości. Koniec końców zdobyła Willa i urodziła mu dwoje dzieci, a w dodatku jest ode mnie ładniejsza, młodsza i szczuplejsza. Przeklęte trio. Na szczęście wciąż istnieje szansa, że mam większe od niej poczucie humoru, jestem bardziej inteligentna lub miłsza, i tym właśnie usiłuję się pocieszyć.

– A o co, przypomnij mi, proszę? – pyta Sydney.

– Bo ja wiem... Chyba chciałam, żeby może trochę... zatęsknił? Żeby coś go ukłuło w piersi – szepczę.

Wchodzimy do korytarza i widzimy przed nami tłum elegancko odzianych rodziców. Jedni wymieniają uprzejmości, inni sumiennie wypisują na plakietkach swoje imiona i nazwiska.

– Widzisz go gdzieś? – pyta Sydney, rozglądając się.

Kręcę głową.

– Może przytył i wyłysiał – rzuca.

– Nie. Widziałam go ostatnio na zdjęciu w „The Atlantan”. Stanowczo nie był ani gruby, ani łysy.

– Cholera. Szkoda.

– O Boże, Sydney. Nie wiem, czy dam radę – panikuję, a głos drży mi tak samo jak kolana.

Sydney spogląda na mnie z autentycznym niepokojem, który tylko wzmacnia moje przerażenie.

– Chodź, skarbie – mówi i łapie mnie za rękę. – Trzymaj się mnie i na nikogo nie patrz.

Kiwam głową i pozwalam, by pociągnęła mnie za sobą, obok stłoczonych rodziców i w dół, do skrzydła pierwszoklasistów. Chronimy się w mojej sali, która znajduje się na ukos od jej własnej. Sydney zamyka drzwi i na wszelki wypadek przekręca klucz w zamku.

– Siadaj – rozkazuje i zdecydowanym krokiem podchodzi bliżej. – Tutaj. Na podłodze.

Osuwam się na dywan i opieram czoło na kolanach.

– Hej, majtki ci widać – nie wytrzymuje Sydney.

W odpowiedzi wydobywam z siebie tylko słaby jęk.

– Co dzisiaj jadłaś? – pyta, przysiadając obok i uspokajająco głaszcząc mnie po plecach.

– Nic, wypiliśmy koktajl z jarmużu i małą kawę – wyznaję.

– Tylko tyle!? – woła, wstrząśnięta, i wyciąga z przepastnej torby energetyczny baton. – Masz, jedz. Albo chociaż ugryź.

– Nie mogę – odpowiadam. – Wolę zemdleć, niż się porzygać.

– Słusznie. Rzyganie jest najgorsze – odpowiada ze śmiechem. – Wyobrażasz sobie taką scenę?

– Sydney! Nie pomagasz – protestuję, czując, jak przetrawiony jarmuż podchodzi mi do gardła.

– Przepraszam, przepraszam... Masz rację. Po prostu oddychaj głęboko. Wdech nosem, wydech ustami.

Demonstruje prawidłowe oddychanie, a ja robię to co ona i miarowo wypełniając płuca powietrzem, czuję, że serce zaczyna mi bić odrobinę wolniej.

– Która godzina? – pytam po kilku minutach milczenia.

– Prawie wpół do siódmej. Zaraz zaczną się schodzić.

Choć Sydney ma na myśli wszystkich rodziców, ja oczyma duszy widzę tylko Willa i Andreeę, którzy równie dobrze mogliby teraz być księciem Williamem i księżną Kate.

– Dasz sobie radę?

Spoglądam na nią i kiwam głową.

– Chyba tak.

– Tylko pamiętaj – rzuca Sydney. – Ona nie wie, że nikogo nie masz. Ani on.

Jeszcze raz kiwam głową, myśląc, jak często słyszałam opinię, że mężczyźni potrafią wyczuć zdesperowaną kobietę. Ale może nie dotyczy to żonatych ekschłopaków. Poza tym te czasy minęły, przypominam sobie. Wreszcie mam plan, z którego zresztą już się zwierzyłam Sydney.

– Pamiętaj, to potrwa tylko godzinę – dodaje moja towarzyszka, łapiąc mnie za rękę i dźwigając do pionu.

– Otóż nie – kręcę głową. – To potrwa kolejne dziewięć miesięcy.

Oczy Sydney rozszerzają się pod wachlarzem sztucznych rzęs.

– Co? Zaraz! Czy ty jesteś w ciąży? To dlatego było ci niedobrze?

– Skąd, wariatko. Miałam na myśli rok szkolny – wyjaśniam.

– Aha. Wytrzymasz. Bez problemu – uspokaja się. – Głowa do góry i uśmiech. I wytrzymaj tę szminę z przednich zębów.

Pocieram zęby palcem i dziękuję Sydney, żałując, że nie jest moją siostrą. Cholera, gdyby nią była, z nas dwóch to ja byłabym tą rozsądną.

Idąc do drzwi, ogląda się przez ramię, pokazuje mi uniesiony kciuk i mówi:

– Cokolwiek się wydarzy, kieckę masz pierwsza klasa.

*

W ciągu kolejnych dziesięciu minut sala wypełnia się rodzicami. Skupiam się na oddechu i uśmiecham się, spoglądając na plakietki i ściskając dłonie. Potem, jak na autopilocie, przechodzę do uprzejmych pogawędek, każdemu okazując nieco uwagi, jakby to było przyjęcie koktajlowe, tyle że bez łaskawego oświetlenia, muzyki i drinków. „Dzień dobry! Witam! Jak miło państwa poznać! Pani jest mamą Lucy? Od razu widzę podobieństwo! Lato rzeczywiście minęło szybko! Tak bardzo się cieszę na nadchodzący rok!”

Do sali wchodzi jeszcze kilka osób, a wskazówki odrobinę spóźnionego zegara, który wisi nad tablicą, przeskakują na szóstą czterdzieści pięć. Wciąż ani śladu Willa i Andrei. Może w ogóle się nie pojawią? Przecież może się tak zdarzyć. Może byli umówieni albo jedno z nich zapadło na jakąś niezagrażającą życiu, lecz zaraźliwą i szpecącą chorobę, na przykład wysypkę bostońską bądź zapalenie spojówek. A może, ale tylko może, pokłócili się o mnie. Pomarzyć nie zaszkodzi, myślę, wyobrażając sobie narastającą w drodze do drzwi awanturę: „Ty wciąż coś do niej czujesz!”, „Nie, przysięgam, że nie!”, „To po coś się tak wypachnił?”.

Obojętnie, co się zdarzyło, czas zaczynać. Nerwowo obciągając skraj sukienki, chrząkam i z uśmiechem przyklejonym do twarzy staję przed zgromadzonymi. Rodzice natychmiast cichną i choć wszyscy są jak najbardziej dorośli, to jednak w tej bezwarunkowej reakcji na powrót do szkolnej sali przypominają grupkę posłusznych pierwszaków.

– Witam! Witam wszystkich państwa! – zaczynam nienaturalnie piskliwym głosem, niczym

przewodnicząca studenckiej korporacji, która wychyliła duszkiem całą puszkę red bulla. Przełykam ślinę i obniżam tembr głosu oraz opanowuję brwi, które jak szalone powędrowały do góry.

– Dziękuję, że państwo przyszli – ciągnę nieco normalniejszym tonem.

Zerkam na drzwi, błagając w duchu, by się nie otworzyły, i mówię dalej, zgodnie ze scenariuszem:

– Minęło zaledwie kilka tygodni, a ja jestem już pewna, że trafiła mi się cudowna klasa. Cieszę się niezmiernie, że poznałam państwa dzieci, a teraz mogę poznać i was. Za moment opowiem krótko o naszych planach na nadchodzący rok. Będziemy się uczyć czytania i liczenia, przygotowaliśmy też dodatkowe zajęcia z przyrody i umiejętności społecznych. Proszę się śmiało rozglądać, zajrzeć na półeczkę waszego dziecka, możecie też zostawić mu liścik na jutro. No i oczywiście proszę pytać, o co państwo chcecie. Powtórzę to, co zawsze mówię waszym dzieciom: nie ma głupich pytań, a moje drzwi zawsze, ale to zawsze stoją otworem!

Wtedy wydarza się nieuniknione. Drzwi gwałtownie się otwierają i stają w nich Will z Andrea. Wszyscy zwracają ku nim głowy, a ja ze zdumieniem zauważam, że idealna para jest nie tylko spóźniona, ale i lekko zdyszana. Przynajmniej ona, bo nie potrafię zdobyć się na to, by spojrzeć wprost na jej męża. Andrea, rzecz jasna, wygląda pięknie, ale z ulgą zauważam, że daleko jej do perfekcyjnej istoty, którą ujrzałam kilka lat temu w sklepie ze zdrową żywnością. Przybyło jej parę kilogramów, a u nasady dawno nie farbowanych złocistoblond włosów dostrzegam mysiobrązowe, poprzetykane siwymi nitkami odrosty. Jeszcze bardziej cieszą mnie plamy potu pod pachami żółtej jedwabnej bluzki. To doprawdy głupota wkładać jedwab w taki upał, myślę, gdy Andrea zerka na mnie spłoszonym wzrokiem, układając usta w bezgłośnie przeprosiny.

Zbywam ją machnięciem dłoni, z tym samym łaskawym uśmiechem, jakim częstuję dziecko, które zsikało się w majtki (co pierwszacom od czasu do czasu wciąż się zdarza).

– Nic nie szkodzi – rzucam, a serce trzepocze mi w piersi na myśl o tym, że z pogardzanej, żalostnej byłej dziewczyny zmieniłam się w pełną godności, punktualną i wielkoduszną krzewicielkę oświaty.

*

Godzinę później wyczerpująca pokazówka dobiega końca, a ja zapraszam rodziców do auli, chyba że mają jeszcze jakieś wątpliwości. Prawie wszyscy wychodzą i w sali zostają tylko dwie pary: pierwsza to Eddelmanowie, którzy zadali dotąd ponad połowę wszystkich pytań, w większości dotyczących wyłącznie ich syna Jareda, który, jak się dowiedziałam, jest uczulony na orzechy i lateks, panicznie boi się ptaków i miewa krwotoki z nosa. Druga para to Will i Andrea.

Biorę głęboki oddech i zwracam się do Eddelmanów, by wysłuchać trzyminutowego monologu na temat działania specjalnej strzykawki z adrenaliną, którą Jared nosi przy sobie na wypadek wstrząsu anafilaktycznego. Kątem oka cały czas obserwuję Andreę i Willa, którzy przeglądają zawartość

pólecunki Edie. Z powagą kiwam głową, zapewniając Eddelmanów, że nawet najgroźniejsze alergię nie są mi obce, a także stanowczo potwierdzam, że inni rodzice zastosują się do wręcz fanatycznie przestrzeganej w szkole reguły, by trzymać się z dala od potraw zawierających orzechy.

– Jesteśmy bardzo, ale to bardzo ostrożni – przyrzekam, pełna zrozumienia dla ich obaw. – Mogą państwo być pewni, że Jaredowi nic u nas nie grozi.

Wreszcie uspokojeni, Eddelmanowie dziękują i wychodzą, pozostawiając mnie sam na sam z Willem i Andream. Odwracam się do nich ze ściśniętym gardłem.

– Dobry wieczór – mówię, ponownie rozciągając usta w sztucznym uśmiechu.

Skupiam spojrzenie na Andrei i jej siwawych odrostach, wdzięczna losowi, że na własnej głowie nie znalazłam dotąd ani jednej srebrnej nitki. Małe zwycięstwo, a cieszy.

– Cześć, Josie. Chciałam się tylko przedstawić. Jestem Andrea.

Uśmiecha się do mnie ze szczerą serdecznością i już ma wyciągnąć rękę, ale w ostatniej chwili się powstrzymuje. Kto wie, może jej dłonie są tak samo spocone jak moje?

Odetchnąwszy głęboko, odpowiadam, że bardzo miło mi ją poznać. W tym momencie uznaję, że dalsze uniki nie mają sensu, i spoglądam na Willa. Ukłucie bólu przeszywa mi pierś. Will jest tak samo cudowny, jak zapamiętałam. Może nawet bardziej.

– Cześć, Will – mówię. – Miło cię znów zobaczyć.

– Cześć, Josie – odpowiada.

Zerkam na rozchyłony kołnierzyk seledynowej koszuli w kratkę i przypominam sobie miękki dotyk włosów na jego piersi, ocierających się o moją nagą skórę, kiedy się kochaliśmy.

– Kopę lat – dodaję, przenosząc spojrzenie na wyhaftowanego na kieszonce koszuli maleńkiego wieloryba.

– Rzeczywiście – przyznaje i kiwa głową. – Jak się ma twoja rodzina?

– Bardzo dobrze. Rodzice... nadal są rozwiedzeni... – dukam – ale oboje całkiem szczęśliwi. Meredith wyszła za Nolana. Mają córkę.

Will potakuje: tak, tak, słyszał o tym. Całe szczęście, nie próbuje udawać, że przez te wszystkie lata ani razu o mnie nie pomyślał i że nie ma pojęcia, co się wydarzyło w moim życiu. Zerka na Andream i wyjaśnia pospiesznie:

– Nolan był najlepszym przyjacielem brata Josie.

Andrea kiwa głową, najwyraźniej zaznajomiona ze wszystkimi osobami dramatu, co wywołuje we mnie dziwną mieszankę wzruszenia i irytacji. Z jednej strony jak on śmiało opowiadać jej o Danielu, skoro nawet go nie poznał. Z drugiej zaś wiem, że w głębi ducha czułabym się dotknięta, gdyby Andrea nie miała pojęcia, kim był Daniel.

– Fajnie, że się pobrali – mówi Will.

Przestępuje z nogi na nogę i mam wrażenie, jakby natychmiast pożałował użytego przed

momentem określenia. Czy to naprawdę takie fajne, że dwoje ludzi związanych wspólną tragedią skończyło jako para? Jasne, gdyby Daniel wciąż żył, byłoby super. Ale tak?

Odpuszczam Willowi i szybko przyznaję mu rację, ponieważ nie mam ochoty na dalszą rozmowę o małżeństwie mojej siostry lub o śmierci brata. Chcąc ostatecznie uciąć temat, robię obojętną minę, co jest niebywale trudne w chwili, gdy człowiekiem targają emocje. Jednak wraz z upływem czasu osiągnęłam w tej materii prawdziwe mistrzostwo. „Oziębła” – tak nazwał mnie Will podczas naszej ostatniej kłótni, co ostatecznie zamknęło mi usta.

– Chcieliśmy się tylko przywitać – mówi Andrea. – Inaczej zrobiliby się niezręcznie... biorąc pod uwagę waszą wspólną przeszłość – dodaje, ostrożnie dobierając słowa. – To znaczy, uznaliśmy, że nie ma co chować głowy w piasek.

– Tak. Dziękuję – mrużę, zaskoczona wyzierającą z tych słów całkowicie szczerą uprzejmością, dobrą wolą, a może nawet życzliwością.

– Powiem więcej – ciągnie Andrea z uśmiechem. – Bardzo się cieszymy, że Edie trafiła do twojej klasy. Słyszeliśmy, że jesteś najlepsza.

– Wszyscy nauczyciele są świetni! – protestuję. – Ale oczywiście ja też się ucieszyłam, że Edie trafiła do mnie.

Sama się dziwię, ale naprawdę tak jest, choćby dlatego, że to zrządzenie losu legło u podstaw mojej przełomowej decyzji.

– Edie bardzo cię lubi – wyjawia Andrea. – Wciąż o tobie opowiada.

Nie jestem pewna, czy jej wierzyć, ale wtedy Will kiwa głową i wtrąca:

– Tak, tak. Słyszeliśmy o twoim lekarzu w Afryce.

Rzuca mi przelotne spojrzenie, w którym natychmiast wyłapuję cień powątpiewania. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie wierzy w tę historię.

Uznawszy, że dzielny ukochany na nic mi się już nie przyda, lekceważąco macham ręką.

– A tak, Jack. Niestety, zerwaliśmy. Wczoraj wieczorem... nie, zaraz, u niego było już rano.

– Ojej – rzuca Andrea z autentyczną troską. – Przykro mi to słyszeć.

– Wiesz, związek na odległość... to było do przewidzenia. Myślę, że zostaniemy przyjaciółmi – bełkoczę bez sensu, usiłując dodać swoim wymysłom odrobinę wiarygodności.

Andrea kiwa głową.

– Tak, zawsze miło podtrzymać znajomość – mówi i niepewnie zerka na Willa.

– Albo i nie – podrzucam wesoło.

– Albo i nie – powtarza Will z nerwowym chichotem.

*

Po ponownym spotkaniu z Willem postanawiam odpuścić i przez kilka dni użalam się nad sobą.

Przypominam sobie jednak, że najważniejsze jest teraz dla mnie macierzyństwo i gdy już będę miała dziecko, przestanę czegokolwiek żałować, również utraty Willa, ponieważ wszystkie wydarzenia z przeszłości doprowadzą mnie do szczęśliwego finału.

W piątek wieczorem zabieram się do szukania odpowiedniego kandydata na stronie internetowej pewnego cieszącego się renomą banku spermy. Na razie nie podałam jeszcze numeru karty kredytowej, aby zyskać pełny dostęp do bazy danych. Wybieram metodę małych kroczków. Czytając, zaczynam myśleć o innych kobietach w moim położeniu, a także małżeństwach, które trafiły tu, ponieważ mąż miał problemy z płodnością. Pomaga mi to pamiętać, że nie jestem sama, i powtarzam sobie, by się nie spieszyć, a wszystko się ułoży.

– Czy powinnam zwracać uwagę na kolor oczu? – wypalam w pewnej chwili do Gabe’a, przesuwając wzrokiem po niewiele mówiących informacjach, które zaznaczam trochę na chybił trafił.

– Nie mam pojęcia. Powinnaś? – pyta, ziewając.

Mój współlokator zalega wygodnie na sofie, z nogami wspartymi na dwóch poduszkach.

– Ogólnie wolę brązowookich – stwierdzam. – Ale przecież to nie jest portal randkowy. Poza tym chyba bym wolała, żeby moje dziecko miało oczy tego samego koloru co ja.

– Ktoś tu bardzo kocha własne odbicie w lustrze – zauważa Gabe.

– Wcale nie – protestuję. – Po prostu chciałabym, żeby była do mnie podobna.

– Ona?

– Albo on. Sama nie wiem, czemu wyobrażam sobie dziewczynkę.

Wstaję i napełniam kubek zwietrzałą, zaparzoną jeszcze rano kawą, przypominając sobie, że od jutra powinnam ograniczyć kofeinę. Siadam z powrotem przy stole, zaznaczam kwadracik „niebieskie” i idę dalej:

– Okej, czyli na razie mamy tak... Rasa biała, brązowe włosy, niebieskie oczy, karnacja smagła albo średnia...

– Czemu nie jasna? – wtrąca się Gabe.

– Żeby się nie spaliła na słońcu i nie dostała raka skóry.

– No dobra – zgadza się Gabe, siadając i przeciągając się. – Powiedzmy, że to ma sens.

– W porządku. Następne: pochodzenie etniczne.

Przesuwam wzrokiem po wszystkich dostępnych kontynentach, zaznaczając kraje wschodniej i zachodniej Europy: od Austrii przez Belgię, Finlandię i Francję po Szkocję i Słowację. Tymczasem Gabe nieprzerwanie trąkocze mi nad uchem:

– A co z tym Brazylijczykiem, z którym się kiedyś spotykałaś? Z tego co pamiętam, przez chwilę zamierzałaś złapać go na dziecko.

– Żartowałam. Ale rzeczywiście był przystojny – mówię i zaznaczam Brazylię. – I... zobaczmy... dorzucę jeszcze rdzennych Amerykanów, Libańczyków i Izraelczyków.

– A to czemu? – pyta ubawiony Gabe.

– Bo masz libańskie korzenie – wyjaśniam. – I zawsze uważałam, że masz ładną twarz.

– O rany, dzięki.

Wstaje, przeciąga się, podchodzi do stołu i zagląda mi przez ramię.

– A Izraelczycy to niezłe kozaki – dodaję.

– Wydaje mi się, że to raczej kwestia zamieszkiwania w kraju, w którym toczy się wojna, niż genów... Życie w Buckhead może nie przynieść tego samego efektu – stwierdza Gabe, siadając naprzeciw mnie.

– Może – przyznaję. – Ale i tak ich zaznaczę. No i chyba fajnie byłoby mieć w sobie krew rdzennych Amerykanów, prawda?

– Chyba – rzuca nieuważnie Gabe, przeglądając esemesy w telefonie. – Tylko że raczej trudno znaleźć błękitnookich rdzennych Amerykanów.

– Może i tak. Ale się zdarzają. Recesywne geny i tak dalej. Idźmy dalej. Znak zodiaku? Jak myślisz, to ważne?

– Najwyżej dla idiotów – mówi, ponieważ doskonale wie, że regularnie czytam horoskopy.

– Gabe, daj spokój. Obiecałeś, że mi doradzisz.

– A co ja niby robię? – Nachyla się w moją stronę, z łokciami na stole. – Doradzam ci, żebyś nie była idiotką.

Potrząsam głową.

– Cóż, trudno... Wodnik nie wchodzi w rachubę. Słyną z nieczułości – oznajmiam i znów wracam myślami do Willa.

– Wolałabyś czułego dawcę spermy? – dziwi się Gabe. – Czy to się nie kłóci z zasadą anonimowości?

– Może, ale nie chcę, żeby moje dziecko było nieczułe.

– Okej. Tyle że znaki zodiaku nie są dziedziczne. Zakładając, że się wierzy w te bzdury, zależą chyba od daty urodzin?

Parskam śmiechem.

– Racja! Widzisz, właśnie dlatego cię potrzebuję. Teraz religia. Hm... Chrześcijańska?

Gabe unosi brwi.

– Zapomniałaś o swoich żydowskich kozakach?

– Słusznie – mówię, po czym uznaję, że religia nie ma znaczenia i zaznaczam rubrykę „dowolna”. – A to? Ulubione zwierzę domowe.

– Zwierzę domowe? Serio tak tam napisali?

– Owszem – potwierdzam i odczytuję mu dostępne opcje: – Psy, koty, ptaki, ryby, gady.

– Co za głupoty – obrusza się Gabe. – Kogo to obchodzi? No, ale jeśli już wybierasz, to chyba jasne, że psy.

Kiwam głową. Nagle przypominam sobie Pięknego Pete’a i jego pupilkę Toffi. Po namyśle zaznaczam również koty.

– A jeśli facet ma alergię i może sobie pozwolić tylko na rybki?

– To tym bardziej powód, żeby go nie wybierać – stwierdzam. – Nie chcę, żeby moje dziecko było alergikiem.

Gabe potakuje, ale po chwili mówi:

– W porządku... ale czy zauważyłaś, że inteligentni ludzie częściej są na coś uczuleni?

– Mówisz tak, bo sam jesteś alergikiem – śmieję się. – Chociaż... rzeczywiście, Adam Epstein cierpiał na katar sienny, a był chyba najinteligentniejszym facetem, z jakim się spotykałam.

– No widzisz – stwierdza zadowolony Gabe.

– Dalej: wykształcenie. Musi być po studiach, prawda?

– Skończonych?

– Tak.

– Jak chcesz. Ale na przykład Bill Gates i Ted Turner nie skończyli studiów. Powinnaś rozważyć ich kandydatury. W dodatku Ted jest miejscowy...

– Oj, przestań. Skup się – strofuję go, z trudem powstrzymując uśmiech. – To poważna sprawa. Doktoranci?

– O ile pominiesz prawników.

– Racja – przyznaję, myśląc o Meredith i jej kolegach po fachu. – A hobby? – pytam, po czym odczytuję na głos kolejne kategorie: muzyka, sport, kuchnia, rękodzieło, sztuka, technologia i rekreacja.

– Zaznacz rękodzieło – podsuwa mi Gabe.

Sama już nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Czemu?

– A czemu nie?

Uśmiecham się i pomijam ten dział. Nagle ogarnia mnie niejasne przeświadczenie, że to wszystko jest jakimś dziwactwem, wręcz absurdem.

– Zobaczmy – mówię, przechodząc do ostatniego pytania. – Został nam jeszcze „życiowy cel”. Pytają dawców, co jest dla nich najważniejsze. A więc sława...

– Rany boskie, tylko nie to.

Kiwam głową, bo całkowicie się z nim zgadzam.

– Stabilizacja finansowa?

– Eee... Bezpieczna odpowiedź. Chyba nie chcesz plemników od nudziarza?

– Religia łamane przez duchowość?

– Może. Ale czy to jest to samo okienko?

Potakuję.

– Duchowość brzmi dobrze, ale religia już nie. Nie chciałabyś przecież jakiegoś sztywnego, nadętego fundamentalisty?

Spoglądam na niego z ukosa.

– Nie wszyscy religijni ludzie są nadęci i nie wszyscy są fundamentalistami.

– Nie. Ale radzę ci to opuścić. Tak na wszelki wypadek.

Kiwam głową, wdzięczna, że nareszcie potraktował sprawę poważnie.

– Dobra. A co powiesz na pracę społeczną? Albo ochronę środowiska? Albo przyjemne, ogólnikowe pomaganie innym?

– Wszystko fajne. Zaznaczaj.

– Podróże?

– Też mi się podoba. Awanturnicza żyłka.

– Małżeństwo i rodzina.

– Hm... Niee.

– Czemu?

– Bo skoro chce się żenić, to po co oddaje spermę? Czy to nie oznacza, że raczej kiepsko mu idzie realizacja tego celu?

Wybucham śmiechem. Oto mój przyjaciel w szczytowej formie: zabawny i przenikliwy.

– Mamy jeszcze „szczęście”.

Gabe głęboko się zamyśla.

– Hm. Trochę to naiwne... na granicy hedonizmu.

– Powiedziałam „szczęście”. Nie „pogoń za przyjemnościami”.

– Wiem. Ale czy życie polega na tym, żeby być szczęśliwym, czy żeby uszczęśliwiać innych?

– A czy uszczęśliwianie innych nie daje człowiekowi szczęścia?

– Skąd mam wiedzieć? – pyta z przekornym uśmiechem.

Wybucham śmiechem.

– Ale niech będzie, podoba mi się. Na twoim miejscu zaznaczyłbym to plus podróże, i jeszcze tamto coś o pomaganiu ludziom.

– Dobrze – mówię.

– Josie?

Delikatnie kładzie mi rękę na ramieniu. Owszem, zdarza mu się mnie dotykać, ale ten gest jest

jakiś inny i lekko mnie zaskakuje.

Odrywam wzrok od ekranu.

– Co?

– To wszystko straszne głupoty, nie uważasz?

– Dlaczego? – pytam, bo choć czuję podobnie, to chcę, żeby ubrał to dla mnie w słowa.

– Nie wiem. Po prostu... kto powiedział, że dziecko wda się w ojca, zwłaszcza takiego, który go nie wychowuje?

Kiwam głową, mamrocząc coś twierdząco pod nosem.

Gabe mówi dalej:

– Przecież będziesz kochała to dziecko, obojętnie, czy chłopca, czy dziewczynkę. Nie ma znaczenia, czy będzie hodującym gady stolarzem o jasnej karnacji, czy brązowookim, wysportowanym... wyniosłym Wodnikiem.

Uśmiecham się.

– Wiem. To odhaczanie rubryczek to rzeczywiście jakaś bzdura. Może powinnam zapłacić za pełny dostęp i przejść do esejów oraz zdjęć.

Schodzę na dół strony i klikam zakładkę z cennikiem.

– Zdecydowanie. Tak zróbmy – mówi Gabe.

Wyciągam z portfela kartę kredytową i zaczynam wpisywać numer. Może trochę za bardzo się spieszę, skoro nawet nie wiem, czy chcę korzystać właśnie z tego banku, ale boję się, że stracę impet oraz zainteresowanie Gabe'a. Przed kliknięciem „zapłać” pytam:

– Naprawdę myślisz, że powinnam? To nie jest tanie.

– Naprawdę – kiwa głową Gabe. – Myślę, że pomoże nam intuicja. Ona jest naprawdę ważna.

– Przecież zawsze mówisz, że w kwestii mężczyzn mam fatalną intuicję.

– Bo masz – uśmiecha się. – Powiedziałem: pomoże nam, nie: pomoże tobie. Dobra. Posuń się i pokaż te eseje.

ROZDZIAŁ 12

Meredith

„Skoro nie chcesz się ze mną kochać, może powinienem znaleźć sobie kogoś, kto zechce”. Nolan powiedział mi to w poniedziałek rano, kiedy po raz kolejny odrzuciłam jego zaloty. To też pierwsza rzecz, o której mówię Amy, usadowiwszy się – jak co miesiąc – na białej sofie w jej gabinecie w centrum miasta. To zdanie tłukło mi się po głowie przez cały dzień: gdy spisywałam wniosek o nałożenie obowiązku przedstawienia dowodów, a potem wniosek o umorzenie innej sprawy, wreszcie gdy usiłowałam negocjować ugodę dla naszego najważniejszego (a zarazem najmniej sympatycznego) klienta.

– Naprawdę tak powiedział? – pyta Amy, pochylając się i patrząc na mnie z cieniem oburzenia na twarzy. Rzadko wyraża wobec Nolana otwartą dezaprobatę, więc kiedy to robi, chłonę każde słówko. W ten sposób czuję, że moja własna niechęć jest usprawiedliwiona.

– Tak. W żartach – wyznaję z ociąganiem – ale powiedział.

Amy kiwa głową i jej twarz znów ma spokojny, nieodgadniony wyraz.

– Jak zareagowałaś?

– Kazałam mu śmiało próbować – mówię i opieram się na poduszkach. – Jeśli znajdzie kogoś, kto zechce uprawiać z nim seks o wpół do siódmej rano w deszczowy poniedziałek, to droga wolna.

– Naprawdę tak powiedziałaś?

– Mniej więcej.

Patrzę na Amy, podziwiając jej nieskazitelny strój: granatowe spodnie z rozszerzonymi nogawkami, białą koszulową bluzkę i błyszczące nowością czarne czółenka. Wszystko w niej jest odprasowane, schludne, eleganckie, zarówno ubrania, jak i zachowanie oraz rady.

– Proponuję, żebyś na przyszłość unikała takich słów. Nawet w żartach.

– To on zaczął.

– Wiem. Ale ty nie powinnaś dać się sprowokować. Jeszcze skorzysta z twojej sugestii.

Kręcę głową.

– Tego nigdy by nie zrobił.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Nie bądź naiwna, Meredith – mówi Amy. – Każdy mężczyzna, a w zasadzie każdy człowiek, w odpowiednich okolicznościach jest skłonny do zdrady.

Właśnie tego rodzaju trzeźwe uwagi odróżniają ją od innych terapeutów i to jest główny powód, dla którego do niej wracam. Włącza się w rozmowę, zamiast tylko słuchać moich wywodów.

– Czy wiesz, jak łatwo takiemu przystojnemu, przebojowemu mężczyźnie jak Nolan byłoby znaleźć sobie kogoś do łóżka? – dodaje, postukując mechanicznym ołówkiem w notes.

Wzruszam ramionami.

– Nietrudno szarżować, kiedy masz pewność, że nic się nie dzieje – dodaje Amy, zakładając nogę na nogę. – Ale gdyby naprawdę miał romans? Jak byś się czuła?

Z westchnieniem odpowiadam, że nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Daleko mu do ideału, ale nie jest kłamcą – wyjaśniam.

Kłopot w tym, że złoścuję się na Nolana raczej ze względu na to, czego nie robi. Nie słucha. Nie pomaga mi w opiece nad Harper. Nie odkłada ciuchów do kosza na brudną bieliznę.

– Chciałabym, żebyś jednak spróbowała – naciska Amy. – Wyobraź sobie Nolana spędzającego czas z jakąś atrakcyjną znajomą. Na początku jest niewinnie. Dobrze się dogadują, łączy ich szczerze, lecz platoniczne uczucie.

– Nolan nie przyjaźni się z kobietami – wtrącam.

Amy spogląda na mnie z powątpiewaniem.

– No co? – obruszam się. – Naprawdę.

– W porządku. Ale na pewno ma koleżanki z pracy. Takie, które lubi i szanuje.

– Serio, nie przychodzi mi na myśl nikt, kto pasowałby do tego opisu – mówię.

W tym momencie przypominam sobie o Diane West, naszej nowej sąsiadce i świeżo rozwiedzionej matce nastolatka. Diane jest o dziesięć lat starsza ode mnie, ale ma fantastyczną figurę, elegancki styl i jest wybitną weterynarką, specjalizującą się w leczeniu koni.

– Okej, już wiem – mówię, postanawiając włączyć się do gry. – Nasza sąsiadka, Diane.

– Opowiedz mi o niej – prosi Amy.

– Leczy konie. Zajmuje się też jeździectwem. Ładna, bardzo pewna siebie.

– Dobrze się czuje we własnym ciele? – Amy podsuwa mi swoje ulubione określenie i papierek lakmusowy, dzięki któremu sprawdza, czy jej pacjenci są szczęśliwi.

– Można tak powiedzieć – zgadzam się i dodaję w duchu, że Diane równie znakomicie czuje się w ciasnych bryczesach.

– Dobrze. – Amy kiwa głową, potrząsając lśniąco, ciemnymi, równo przyciętymi włosami na znak, że wreszcie do czegoś doszliśmy. – Więc pewnego wieczoru Diana...

– Diane – poprawiam ją, jakby to miało jakieś znaczenie.

– W porządku. Diane wpada pożyczyć szklanę cukru...

Wybucham śmiechem.

– Kto w dzisiejszych czasach pożycza cukier? To nie lata pięćdziesiąte.

– Wybacz mi te płciowe stereotypy, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę jej oszałamiającą karierę... Wiedziałaś, że studia weterynaryjne są trudniejsze od lekarskich?

Przewracam oczami na tak wyraźną próbę wywołania we mnie zazdrości.

– Słyszałam. Mów dalej.

– No więc Diane wpada pożyczyć... śrubokręt. Zepsuła się jej pralka.

– Przykre – wtrącam.

– Pewnie. Nolan znajduje śrubokręt w garażu, a potem proponuje, że sam rzuci okiem...

Tłumię pokusę uświadomienia jej, że mojemu mężowi brakuje talentu do majsterkowania.

– Ty zostajesz w domu z Harper, która właśnie się rozpląkała – ciągnie Amy. – A Nolan idzie do doktor West.

– I? – pytam z uśmiechem. – Czeka! Niech zgadnę. Kochają się na zepsutej pralce?

Amy nie reaguje.

– Nie. W każdym razie nic ci o tym nie wiadomo. Twój mąż wraca godzinę później i mówi, że zadanie zostało wykonane. Pralka działa...

– Oto prawdziwie dobry uczynek – nie daję jej dokończyć, wciskając sobie poduszkę pod zeszytniały krzyż. – Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Tak, tak... Ale po chwili zauważasz na jego zębach ślady wina. Diane miała akurat w domu otwartą butelkę pinot noir...

– Nolan nie pije czerwonego wina.

– Okej, w takim razie wyczuwasz w jego oddechu zapach burbona. Sąsiadka naląła mu szklaneczkę. I sobie też, dla towarzystwa. Uwielbia whisky. Wypili toast za naprawioną pralkę i odbyli ożywioną dyskusję na temat arabów.

– Jak ożywioną? – pytam, wciąż bardziej rozbawiona niż zazdrosna.

– Niezwykle. Twój mąż uważa, że praca uzdrowicielki koni i jej więź z tak dużymi stworzeniami jest niebywale fascynująca.

– Rzeczywiście tak uważa – potwierdzam. – Sam mi mówił, i to wielokrotnie.

– No widzisz – kiwa głową Amy. – Nie dziwisz się, kiedy Diane zaczyna was odwiedzać regularnie. Ot tak, żeby się przywitać. Oczywiście, zawsze dba, by zastać Nolana, zwłaszcza wtedy, gdy ciebie nie ma w domu. Któregoś wieczoru wpada z książką, o której mu wcześniej opowiadała. Jest pewna, że mu się spodoba... Dotyka jego ramienia, całkiem niewinnie, ale jest w tym gościu podejrzana zażyłość...

Amy przekrzywia głowę i znacząco przygryza wargę.

– Dobra, dobra – ustępuję. – Rozumiem, o co ci chodzi.

Moja terapeutka kiwa głową, zadowolona, jakbyśmy dokonały jakiegoś przełomu.

– No więc nie chcę, żeby mąż mnie zdradził – ciągnę. – I co? Przecież nikt tego nie chce.

– Są kobiety, które chcą.

– Jak to? – pytam, choć właściwie znam odpowiedź.

– Chcą mieć pretekst, żeby odejść – wyjaśnia Amy. – Albo żeby robić to samo bez wyrzutów sumienia. Zdrada sprawia, że ich sytuacja staje się jednoznaczna i mogą wydostać się z małżeństwa.

– Ale ja nie chcę.

– Nie chcesz, żeby Nolan się zakochał w Diane West? – pyta Amy. – Czy nie chcesz rozwodu?

– Ani jednego, ani drugiego – odpowiadam stanowczo.

Amy kiwa głową i zapisuje w notesie jakieś słowo. Wyteżam wzrok, ale dostrzegam tylko pierwszą literę: „S”.

– Co tam napisałaś? – pytam. – Separacja?

– Nie. Sąsiadka.

– Na miłość boską! Nolan nie romansuje z Diane. Ani z nikim innym – krzyczę wzburzona, co zdarza się mniej więcej raz na sesję, ku wyraźnej satysfakcji Amy. – Po co mnie straszysz?

– A boisz się?

– Nie – mówię. – Nie boję się. Ale przecież nikt nie chce być oszukiwany. Poza tym chciałabym wierzyć, że ojciec mojego dziecka ma na tyle silny kręgosłup moralny, by mnie nie zdradzić. Nawet gdyby to miał być jakiś przelotny romans...

Amy przerywa mi nagle, co robi bardzo rzadko:

– Okej. Załóżmy zatem, że chodzi o głęboką więź emocjonalną... ale bez przekraczania granic fizycznych, ponieważ obojgu nie pozwalają na to zasady.

– Też czułabym się zraniona – przyznaję. – To chciałaś usłyszeć?

– Nie o to chodzi – protestuje Amy i chyba nawet jej wierzę. – Chciałabym po prostu, żebyś spróbowała zrozumieć własne emocje.

– Dobrze. A więc czułabym się bardzo źle, gdyby Nolan mnie zdradził, fizycznie bądź emocjonalnie – mówię, po czym wymyka mi się nieroztropne „ale”.

– Ale co? – podchwytuje natychmiast Amy ze zdradziecko spokojną miną.

– Ale gdyby po prostu chciał rozwodu... Bez romansu i bez udziału innej kobiety... Chyba mogłabym z tym żyć.

Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że wydobyła ze mnie to wyznanie podstępem. Powtarzam sobie w duchu, że terapeutka stoi po mojej stronie, albo przynajmniej jest neutralna. Poza tym to

profesjonalistka i z pewnością mnie nie ocenia. Zawsze mogę też sprostować raz wypowiedziane słowa.

– Mogłabyś z tym żyć – powtarza Amy. – Ale tego nie chcesz?

Protestuję z mocą.

– Myślisz czasami o rozwodzie? Jak by to było?

Zaprzeczam i dodaję, że zazwyczaj myślę głównie o tym, jak przetrwać kolejny dzień.

Amy patrzy na mnie, nieruchoma niczym woskowa figura.

– Sądzę, że gdybyśmy się rozwiedli, to na przyjacielskiej stopie. Nie wyobrażam sobie kłótni o pieniądze lub jakieś przedmioty. Właściwie o nic – mówię, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa. – Może z wyjątkiem Harper... Chociaż prawdopodobnie zgodziłyby się na podział opieki pół na pół. To jedyne sprawiedliwe wyjście. Sprawiedliwe wobec niego i wobec naszej córki. Nolan jest dobrym ojcem i bardzo ją kocha. Harper jakoś by to przetrwała, jest silna... Gorzej byłoby z moimi rodzicami. I jego. Ale przede wszystkim z moimi. Znajomi także przeżyliby wstrząs. Wszyscy uważają, że wiemy idealne życie, a do pełni szczęścia brakuje nam tylko drugiego dziecka...

Urywam. Amy słyszała już o naszej ostatniej kłótni.

– Czy coś się w tej kwestii zmieniło? – pyta.

– Nie. Nadal nie jestem gotowa.

Moje własne słowa brzmią pusto, zwłaszcza to ostatnie wydaje się farsą. Gotowym można być na wakacje, na rozmowę o pracę, na przeprowadzkę. Można się przygotować na narodziny dziecka. Ale na ciążę? I to w dodatku drugą? A może trzeba po prostu zacząć działać, i tyle?

Amy, jakby czytając mi w myślach, zadaje to samo pytanie, które niedawno zadał mój mąż:

– Myślisz, że kiedykolwiek będziesz gotowa?

– Nie wiem – odpowiadam. – Chyba. Kiedyś. Może.

– To dlatego dziś nie chciałaś się z nim kochać?

Kręcę głową.

– Nie. Biorę pigułki... Nie chciałam się kochać, bo nie chciałam. Tyle.

– Jasna sprawa – mówi Amy.

– Tak czy siak... Moim zdaniem nie ma nic złego w posiadaniu jednego dziecka.

– Oczywiście, że nie.

– Istnieje wiele zalet bycia jedynaczką.

– Pewnie tak.

Na pewno zauważyła mój unik. Czekam, aż każe mi wrócić do tematu, i czuję się niemal zawiedziona, gdy tego nie robi.

– O czym teraz myślisz? – pytam, bo wiem, że to, co jej chodzi po głowie, to nie wady i zalety

bycia jedynakiem.

– Zastanawiałam się, czy kochasz Nolana.

To ukryte pod płaszczykiem stwierdzenia pytanie uderza mnie swoją prostotą. A jednak odpowiedź przychodzi mi łatwo, wręcz automatycznie:

– Kocham. To dobry człowiek i wspaniały ojciec.

Zdaję sobie sprawę, że rozmawialiśmy o tym już wiele razy. Opowiedziałam jej naszą historię. Nolan był najlepszym przyjacielem mojego brata, lojalnym i życzliwym. Wspierał mnie i moją rodzinę. A teraz to on jest moją rodziną.

– Tak – mówi Amy. – Wiem, że go kochasz i zależy ci na nim jako na człowieku, partnerze i ojcu twojego dziecka. Ale czy jesteś zakochana?

Wpatruję się w nią, nagle rozdrażniona. Od lat uważałam to rozróżnienie za dziecinne. Rzeczywiście, serce nie przyspiesza mi na widok męża, nigdy nie obezwładnia mnie pożądanie i nie rozpływam się, napotkawszy jego wzrok w pomieszczeniu pełnym ludzi (cholera, w takiej sytuacji nawet się za nim nie rozglądam), ale to nie znaczy, że go nie kocham i nie angażuję się w nasze małżeństwo.

Wiem jednak, o co pyta mnie terapeutka, i znam odpowiedź na to pytanie, znałam ją od tamtego wieczoru, gdy razem z Nolanem siedzieliśmy w łożu dla zawodników. To coś niezmiennego, tak samo jak niezmienny jest fakt śmierci Daniela, choćbyśmy z całych sił pragnęli go cofnąć. Wreszcie zmuszam się do wyznania prawdy: przed terapeutką, ale tak naprawdę przed samą sobą.

– Nie – mówię głośno, spokojnie, lecz wyraźnie i bardzo, bardzo pewnie. – Nie, nie jestem zakochana w moim mężu.

ROZDZIAŁ 13

Josie

Nigdy dokładnie nie rozumiałam zasad tak zwanego prawa Murphy’ego, ale jestem pewna, że to właśnie ono zadziało, gdy w końcu dałam za wygraną i po raz drugi umówiłam się z Pięknym Pete’em, tym razem w drogiej francuskiej knajpie Bistro Niko. Wystrojona w tę samą sukienkę i buty, które włożyłam na wieczorek zapoznawczy w szkole, natychmiast po wejściu do knajpy widzę Willa i Andreę Carlisle’ów, zjadających steki przy stoliku nieopodal. Na domiar złego okazuje się, że Pete obciął włosy niemal na zero, a w koszuli z krótkim rękawem przypomina pukającego od drzwi do drzwi głosiciela wiary. Will ma zaś na sobie mój ulubiony nieformalny zestaw, czyli marynarkę bez krawata i dzinsy. Efektownej całości dopełnia delikatny, seksowny zarost.

Kelnerka prowadzi nas na miejsce, a ja odwracam wzrok, modląc się, by mnie nie zauważyli. Nic z tego. Po chwili przez monotonny gwar przebija się głos Andrei, która woła mnie po imieniu. Z Pete’em depczącym mi po piętach przystaję gwałtownie i wołam z udawanym zdumieniem:

– Ojej! Cześć!

– Cześć! – odpowiada Andrea, a ja zauważam, że ufarbowała włosy. Siwe odrosty zniknęły zastąpione pasemkami w kolorze słońca. – Miło znów cię widzieć!

– Was też. Poznajesz sukienkę? – chichoczę nerwowo, po czym natychmiast tego żałuję.

Andrea mruga, udając głupią, co jest całkiem miłe z jej strony, ale zarazem irytujące, ponieważ zmusza mnie, by powiedzieć:

– Ta sama co ostatnio.

– Ach, rzeczywiście! Teraz pamiętam – woła Andrea, entuzjastycznie kiwając głową. – Naprawdę śliczna.

– Dzięki.

Pozwalam sobie zerknąć szybko na Willa. Jego ciemne oczy lśnią w blasku świec. Nie potrafię odszyfrować jego miny, ale tajemniczy półuśmiech sprawia, że ból przeszywa mi serce.

– Cześć, Josie – mówi, po czym spogląda na Pete’a, który stoi tuż za mną. Andrea robi to samo i teraz już muszę ich przedstawić.

– Pete, to Andrea i Will. Rodzice mojej uczennicy – mówię i jest to najzwięźlejszy opis, na jaki mnie stać.

– Bardzo mi miło – mówi Pete z uśmiechem.

– No więc? – trajkocze Andrea, tonem serdecznej koleżanki. – Jesteście na randce?

Mówię nie, a Pete w tej samej chwili odpowiada tak.

Jakimś sposobem Andrea jednocześnie wzdryga się i uśmiecha.

– Ojej, przepraszam, nie moja sprawa!

– Faktycznie, nie twoja – mamrocze Will w kieliszek z winem.

Ton, który przybrał wobec żony, nie jest może całkiem nieuprzejmy, ale odrobinę karcący, dowodzi subtelного, lecz niezaprzecznego poczucia wyższości, o którym zapomniałam, a raczej je wyparłam. Przypominam sobie, jak trącał mnie pod stołem, kiedy powiedziałam coś, co jego zdaniem było niewłaściwe. Czasem miał rację, ale zazwyczaj po prostu się czepiał. Ogarnia mnie lekka satysfakcja, która odrobinę przyćmiewa blask tych cholernych brązowych oczu.

– Nic nie szkodzi – mówię, wyłącznie z myślą o Andrei. – To taka jakby randka, ale bardziej koleżeńska.

– Tak, w zasadzie próbujemy po raz drugi. Za pierwszym nie zaiskrzyło i Josie dała za wygraną – dodaje Pete i choć próbuje być zabawny, tylko pogarsza i tak już niezręczną sytuację. – Ale ja nie tracę nadziei.

Andrea z przejściem kiwa głową.

– Wiem, bywa, że trzeba czasu.

– Z wami też tak było? – pyta mój towarzysz, a ja nie posiadam się ze zdumienia, że ta rozmowa naprawdę się odbywa.

Andrea spogląda na niego ze współczuciem.

– Hm. Niezupełnie – mamrocze, podczas gdy Will spokojnie odkrawa kawałek steku i podnosi widelec do ust.

Przeciwieństwem miłości jest obojętność, powtarzam sobie, a mimo to zalewa mnie intensywne fale goryczy.

– Niezupełnie? – powtarzam z cierpkim śmiechem. – Raczej zupełnie nie. Andrea i Will zaręczyli się naprawdę szybko. Właściwie to chwilę po tym, jak Will i ja zerwaliśmy ze sobą – mówię, pstrykając palcami dla wzmocnienia efektu.

Pete parska śmiechem, po czym dociera do niego, że nie żartuję, i na jego twarzy dostrzegam lustrzane odbicie miny Andrei – coś pomiędzy współczuciem a zmieszaniem. Will odkasłuje raz, potem drugi. Zerkamy na niego z umiarkowaną troską, tymczasem kaszel nie ustaje i Will zaczyna się krztusić.

– Kochanie? Wszystko w porządku? – pyta Andrea.

Will zachłystuje się i cichnie, a w jego szeroko otwartych, załamanych oczach pojawia się cień paniki.

– Will! – woła Andrea i zrywa się z krzesła.

Do stolika podchodzi kelnerka, a siedząca obok para z zaciekawieniem odwraca się w naszą stronę.

– Will? Możesz oddychać?

Nie odpowiada – najwidoczniej nie może – a wtedy Andrea zaczyna krzyczeć, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

– On się dusi! Czy jest na sali lekarz? Czy ktoś wie, jak się stosuje chwyt Heimlicha?

– Nie. Dajcie mi chwilę – odzywa się Pete.

Uspokaja Andreę gestem dłoni i podchodzi do Willa, baczenie mu się przyglądając.

– Pete zna się na takich sprawach – zwracam się do niej z nadzieją, że fizjoterapeuci przechodzą szkolenia z pierwszej pomocy.

– Spróbuj zakasłać – poleca Willowi Pete. – Możesz?

Will kręci głową i cicho rzezi. Andrea znów zaczyna wrzeszczeć. Przypatruję się całej scenie z przerażeniem, wyobrażając sobie najgorszy, najbardziej makabryczny scenariusz: mała Edie stoi obok trumny taty.

– Dobra, stary. Wstawaj.

Pete dźwiga Willa z krzesła, podtrzymując go w pasie, następnie trzy razy mocno uderza go w plecy. Łup-łup-łup! Nic się nie dzieje – poza tym, że wargi nieszczęśnika sinieją. Wraz z czwartym, donośnym uderzeniem prosto między łopatki Will wypływa wąski, czerwony kawałeczek mięsa, który ląduje na białym obrusie obok talerza. Wpatruję się w ten kawałeczek, zdumiona, że coś tak małego może być równie śmiertelne jak strzał w głowę. Tymczasem zgromadzeni na sali ludzie zaczynają klaskać. Will z trudem łapie powietrze.

Andrea chwyta się za serce i przypada do męża, zarzucając mu ręce na szyję. Will zezwala jej na szybki uścisk, po czym mruczy coś pod nosem, odsuwa się i siada.

– O Boże, dziękuję – Andrea zwraca się do Pete’a ze łzami w oczach.

Pete tylko macha ręką i pyta Willa, czy wszystko w porządku.

– Tak, tak, już dobrze... Nie ta dziurka – dyszy tamten i bierze kilka dużych łyków wody.

Kiedy odstawia szklankę, wyraz ulgi na jego twarzy przeradza się w śmiertelne zażenowanie.

– Siadaj już – szepcze do żony, a ja przypominam sobie, że zawsze nienawidził scen.

Andrea wraca na miejsce, nadal rozpływając się w podziękach. Tymczasem Will dyskretnie zgarnia serwetką nieszczęsny kawałek mięsa. Udaje mu się dopiero za drugim razem i ku mojemu skrywanemu zadowoleniu mięso zostawia na obrusie wyraźną plamę, niemal tak czerwoną jak uszy i szyja cudem ocalonego. Wreszcie Will ściska Pete’owi dłoń i po raz pierwszy mu dziękuje.

– Nie ma sprawy, kolego – odpowiada Pete. – Cieszę się, że mogłem pomóc.

*

Jakiś czas później Will i Andrea przysyłają nam przez kelnerkę butelkę wina. Pete wybucha

śmiechem.

– Co? – pytam.

– Ten gość naprawdę cię rzucił i zaraz potem się z nią ożenił?

– Naprawdę – potwierdzam. – Co w tym takiego śmiesznego?

– No to wspaniale mu odpłaciłaś. Prawie się przez ciebie zadławił na śmierć.

Uśmiecham się i wzruszam ramionami.

– Wcale nie. Najlepszą zemstą jest szczęście.

– Banał, ale prawdziwy – stwierdza Pete, kiwając głową. – To znaczy, że jesteś szczęśliwa?

– Pracuję nad tym.

Nie chcę, żeby pomyślał sobie coś niewłaściwego, i opowiadam mu o moich poszukiwaniach oraz wszystkich innych sprawach, nad którymi łamię sobie ostatnio głowę, takich jak finanse, dodatkowa opieka, ubezpieczenia i urlop macierzyński. Streszczam mu również eseje napisane przez potencjalnych dawców, nad którymi spędziliśmy z Gabe'em długie godziny.

– Oczywiście przede wszystkim braliśmy pod uwagę stan zdrowia... W grę wchodziło tylko faceci z nieskazitelną kartą medyczną.

Pete słucha uważnie, wreszcie pyta:

– Masz już jakiegoś ulubieńca?

– Może – odpowiadam, po czym sięgam do torebki i podaję mu kartkę z wydrukowanym wczoraj esejem autorstwa mężczyzny, który przedstawia się jako Glenn S.

Patrzę, jak Pete rozprostowuje kartkę, unosi brwi i zaczyna czytać.

*

Mam dwadzieścia siedem lat, jestem heteroseksualnym mężczyzną. Zajmuję się kręceniem filmów dokumentalnych. Ukończyłem Uniwersytet Kalifornijski – studiowałem na Wydziale Komunikacji. Biegam, głównie średnie dystanse. Jestem wysportowany, zdrowy, jadam wyłącznie produkty roślinne. Jestem weganinem z trzech powodów: pierwszym i najważniejszym jest szacunek do zwierząt, nie chcę się przyczyniać do ich cierpienia. Po drugie, od dziecka interesowałem się dietetyką i zdrowym trybem życia. Po trzecie, leży mi na sercu dobro środowiska, a przemysłowa hodowla zwierząt to jeden z głównych czynników ekologicznej zagłady naszej planety. Osoba, która skorzysta z mojej oferty, nie musi podzielać moich poglądów, ale zapewne z radością przyjmie fakt, że dawca jest zarówno zdrowy, jak i wrażliwy na losy świata. Obecnie pracuję nad filmem o tym, w jaki sposób ludzie reagują na cierpienie zwierząt i jak to wypierają, jedząc ich mięso oraz ubierając się w ich skóry i futra. Postanowiłem zostać dawcą, ponieważ nie wierzę w normy społeczne, które nakazują mi założyć rodzinę, nie chcę się również przyczyniać do dalszej zagłady Ziemi przez posiadanie własnego dziecka. Jednak bardzo współczuję kobietom, które pragną zostać matkami, ale z rozmaitych względów nie mogą. Skoro tak bardzo chcą sprowadzić na świat nowe życie, niech przynajmniej dostaną mu się inteligentne i wrażliwe geny.

Pete kończy czytać. Unosi brwi.

– To naprawdę pisał dawca spermy?

– Owszem – odpowiadam i chowam kartkę do torebki. – Mój przyjaciel Gabe pomógł mi go wybrać.

Pete kiwa głową i pyta, jak wygląda mój kandydat.

– Na zdjęciu z dzieciństwa całkiem miło. To wszystko, co ci udostępniają. Ale opis brzmi nieźle: niebieskie oczy, wysportowany, metr osiemdziesiąt dwa.

– Brzmi znakomicie – odpowiada mój rozmówca z uśmiechem. – Ale w tym tekście wyczuwam jakiś fałsz, w najlepszym razie niepewność.

– Uważasz, że jest dziwny?

Ciekawe, czemu zależy mi na jego aprobacie.

– Nie – kręci głową Pete. – Skądże znowu.

– Podobał ci się esej? – pytam, odrobinę zbyt natarczywie.

– Jasne, facet chyba jest w porządku... wrażliwy i z zasadami... – Pete popija wino i ciągnie: – Chociaż jego poglądy wydają się nieco radykalne...

– Wiem, o co ci chodzi – przyznaję, ponieważ doszliśmy z Gabe'em do tego samego wniosku. – Ale nikogo lepszego nie znalazłam. Poza tym podoba mi się, że nie robi tego dla pieniędzy, tak jak większość, choć usilnie próbują to ukryć.

– Dla pieniędzy? Czy z egoistycznej potrzeby rozsiania po świecie jak największej ilości nasienia? – uśmiecha się Pete.

– To samo mówił Gabe. Wy, faceci, naprawdę macie taką potrzebę?

– Chyba tak – przyznaje. – Choć u mnie nie jest ona na tyle silna, żeby oddać spermę.

Patrzymy na siebie przez pełną niezręczności chwilę. Nagle Pete nie wytrzymuje i parska śmiechem.

– Co? – pytam.

– Nic... Przyszło mi do głowy, że może twój były dławiący się stekiem to znak, by jednak wybrać wojującego weganina.

– Może i tak – przytakuje z uśmiechem.

*

Niedługo potem wychodzimy z restauracji i wracamy do domu jedną taksówką. Kiedy kierowca zatrzymuje się na moim podjeździe, Pete nachyla się i całuje mnie w policzek.

– Miło było. Dzięki.

– Miło – potwierdzam z uśmiechem. – Cieszę się, że byłeś taki uparty.

– Ja też – odpowiada i odwzajemnia uśmiech.

Odwracam się, żeby otworzyć drzwi. Nagle czuję na ramieniu jego dłoń.

– Czekaj.

Ze śmiechem przypominam mu, że licznik tyka.

Pete kiwa głową i chrząka.

– Jest szansa, że zaprosisz mnie na kieliszeczek przed snem?

– Kieliszeczek? – śmieję się z niedowierzaniem. – Brzmisz jak mój ojciec.

– Coś mi się zdaje, że to fajny gość.

– Ma sześćdziesiąt cztery lata. Wyrażasz się jak sześćdziesięcioczworoletni.

– Hej. Pozwól mi wejść, proszę. Chcę tylko jeszcze trochę pogadać.

Waham się przez moment. Ciekawe, co sobie o tym wszystkim myśli nasz taksówkarz, który uprzejmie udaje, że nic nie słyszy, choć z pewnością był już świadkiem setek takich rozmów.

– Dobra – decyduję, zauważając, że samochód Gabe’a zniknął z podjazdu. – Czy masz ochotę wejść na kieliszeczek?

– Jak miło, że pytasz! – cieszy się Pete. – Ale w sumie wolałbym filiżankę ziołowej herbaty.

Z uśmiechem przewracam oczami.

– Teraz brzmisz jak moja babcia.

Mniej więcej dziesięć minut później, gdy już zdążyłam przeprosić za bałagan i przygotować dwie herbaty, idziemy w towarzystwie Revisa do ogródka za domem. Upał zelżał i wspólnie z zadowoleniem stwierdzamy, że w ogrodzie panuje przyjemny chłodek.

– Nawet nie ma komarów – zauważa Pete.

Zerkam na niego z uśmiechem.

– Naprawdę będziemy rozmawiać o pogodzie i owadach?

– Na to wygląda.

– Na pewno stać nas na więcej – mówię. – No, dalej. Wysił się.

Pete robi poważną minę i na mnie spogląda.

– Dobrze. Tak naprawdę myślałem o tym twoim dawcy.

– Tak? I co?

– Tak. Muszę powiedzieć... że to cholernie szlachetny gest.

– Wiem – mówię. – Ja chyba nie zdobyłabym się na to, żeby ofiarować potrzebującym jedno z moich jajeczek... A ty? Oddałbyś nasienie?

– Może – zamyśla się. – Przyjaciółce. Gdybym uznał, że będzie dobrą matką. Na przykład tobie pewnie bym oddał.

Unosi brwi i spogląda na mnie z ukosa, a w jego oczach lśni szczerza powaga.

Parskam śmiechem, ale on mi nie wtóruje.

– Mówisz serio? – pytam, czując leciutkie łaskotanie w brzuchu. – Czy to po prostu szczywany wybieg, żeby zaciągnąć mnie do łóżka?

Pete kładzie rękę na sercu.

– Żaden wybieg, słowo honoru. Zresztą miałem raczej na myśli akcję z taką gruszką do polewania pieczonego indyka. Czy nie czegoś takiego się do tego używa?

Kiwam głową.

– Mniej więcej... Chociaż zdaje mi się, że aparatura jest odrobiną bardziej skomplikowana.

Powolutku popijając herbatę, zastanawiam się, czy jest zakłopotany. Ja, o dziwo, czuję się zupełnie swobodnie.

– A kazałbyś mi zapłacić? – pytam żartobliwie.

– Zastosowałbym specjalną taryfę dla rodziny i znajomych – odpowiada z kamienną twarzą.

Uśmiecham się i patrzę mu w oczy. Jest ciemno i nagle nie potrafię sobie przypomnieć, jakiego są koloru.

– Jakiego koloru są twoje oczy? – pytam.

– Piwne – odpowiada.

– Piwne? Nigdy nie pamiętam, co to znaczy.

– To samo co brązowy, tylko ładniej powiedziane... – Przewidując moje następne pytanie, dodaje: – Czy jest coś jeszcze, czego się nie dowiedziałaś z mojego profilu i dwóch randek?

– To nie jest randka – protestuję. – Poza tym mam już chyba wszystkie istotne informacje. Wzrost, kolor oczu, zawód. Wydajesz się całkiem miły...

– Bo jestem miły.

– Ponadto – dodaję – uratowałeś dziś człowiekowi życie. Właściwie jesteś bohaterem.

– To prawda – przyświadcza Pete z uroczym, szerokim uśmiechem.

– A jak z twoim zdrowiem?

– W porządku – odpowiada. – Niedawno robiłem badania... Puls pięćdziesiąt osiem uderzeń na minutę. Ciśnienie krwi sto dziesięć na siedemdziesiąt.

Kiwam głową, choć nie mam pojęcia, co oznaczają te liczby.

– Jakieś choroby w rodzinie?

– Mój dziadek zmarł na zawał w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, ale palił paczkę dziennie... Drugi dziadek i obie babcie wciąż żyją, podobnie jak jedna prababcia. Zdrowa gromadka ze Środkowego Zachodu.

– Masz zaburzenia obsesyjno-kompulsywne? ADHD? Depresję?

Pete kręci głową.

– Bywasz złośliwy?

Uśmiecha się.

– Nie. Prosty ze mnie gość.

– Jak prosty?

– Nieprzesadnie.

– Iloraz inteligencji?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale w szkole wszystkie egzaminy zdawałem na poziomie rozszerzonym.

– Przypomnij mi, gdzie studiowałeś?

– Wisconsin. Kierunek ścisły, przyzwoita średnia. Biologia.

– Jesteś wysportowany?

– W miarę... Niezły ze mnie golfista. W liceum grałem w kosza i tenisa.

Uśmiecham się.

– Masz wycucie rytmu? Umiesz tańczyć?

– Jak szatan – odpowiada i puszcza do mnie oko.

Odejmuję mu punkt za to głupkowane mrugnięcie, ale zwracam mu go, kiedy mówi:

– Żartowałem. Tańczę nie najgorzej.

– Masz talenty plastyczne albo muzyczne?

– Nie. A to dla ciebie ważne?

– Nie bardzo – odpowiadam zamyślona.

Teraz, gdy wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności, mogę się przyjrzeć jego twarzy. Ma zgrabne kości policzkowe, ładne, symetryczne rysy i nawet z tą prawie ogoloną głową wygląda całkiem nieźle. Podoba mi się jego cera, a także kolor i gęstość włosów. No i jeszcze ten dołek w brodzie.

– Pokaż ręce – rozkazuję, odstawiając kubek.

Pete robi to samo i wyciąga do mnie dłonie, wnętrzem do góry, potem wierzchem. Są spore, ale nie na tyle duże, by moja przyszła córka miała łapy jak bochny. Kiwam głową i mrużę:

– Ładne.

– Dzięki – mówi Pete.

Chrząkam.

– A zatem... gdybyś się kiedykolwiek zdecydował... chciałbyś się zaangażować?

Pytanie to przytłacza mnie swoim ogromem, choć sama nie jestem pewna, jaką odpowiedź chciałabym usłyszeć. Powtarzam sobie w duchu, że to wciąż czysto hipotetyczne dywagacje. Jeśli do czegoś dojdzie, to na pewno nie teraz.

– W życie dziecka?

Kiwam głową.

– To znaczy płacić alimenty?

– Nie – odpowiadam stanowczo, bo wiem, że pieniądze zawsze oznaczają zobowiązania i komplikacje. – Żadnych alimentów. Byłbyś dawcą, nie ojcem. Nie miałbyś żadnych praw rodzicielskich. Mam na myśli raczej zaangażowanie emocjonalne.

– Nie wiem. Pewnie miło byłoby zabrać go... albo ją... na jakiś mecz od czasu do czasu. Pozwoliłabyś mi na to?

– Może. Kto wie. Ale gdybym w przyszłości wyszła za męża, na co mam wielką nadzieję, chciałabym, żeby mój mąż adoptował moje dziecko. A wtedy...

– Nie chciałabyś, żebym przychodził?

– Pewnie nie – przyznaję. – Czy to byłby dla ciebie problem?

– Może – mówi Pete. – Ale przecież to byłoby twoje dziecko. Uszanowałbym twoją wolę. – Otwiera usta, żeby jeszcze coś dodać, ale się powstrzymuje.

– Śmiało – zachęcam go. – Mów.

– Co by było, gdybyś to ty chciała, żebym zabrał dzieciaka na mecz, a ja nie wyraziłbym ochoty? Miałabyś mi to za złe?

– Może.

Zdumiewa mnie to, jak szczerze i otwarcie ze sobą rozmawiamy. O wiele bardziej, niż gdybyśmy się nawzajem pociągali.

– Ale nie, nie sądzę. Chyba na samym początku powinniśmy zawrzeć jasną umowę. Jesteś tylko dawcą. Koniec, kropka.

– Koniec, kropka – powtarza jak echo Pete.

Patrzemy na siebie, z trudem powstrzymując uśmiechy.

– Naprawdę byłbyś gotów to zrobić? – pytam. – Przecież ledwo mnie znasz.

Chyba zaczynam wierzyć, że mówi poważnie, albo przynajmniej nie próbuje po prostu zaciągnąć mnie do łóżka.

– Znam cię lepiej niż ten twój biegacz weganin – odpowiada.

– Masz rację – przyznaję.

– Wiem, że to wariactwo – mówi Pete, patrząc mi w oczy. – Ale chyba naprawdę jestem gotów to rozważyć.

– Dlaczego? – pytam, a serce bije mi coraz szybciej. – Po co miałbyś to robić?

Kręci głową i mówi:

– Nie wiem... Żeby ci pomóc. Żeby dokonać w życiu czegoś pożytecznego... nie licząc oczywiście ratowania ludziom życia w restauracjach.

Ogromnie mi się podoba ta odpowiedź i nie jestem w stanie dłużej powstrzymać uśmiechu.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

Zastanawiam się przez chwilę, po czym mówię:

– Stado słońi liczy tysiąc dwieście sztuk. Niektóre są w różowo-zielone paski, inne są różowe, a jeszcze inne niebieskie. Jedna trzecia jest różowa. Czy można stwierdzić z całą pewnością, że czterysta słońi ma niebieskie umaszczenie?

– Czekaj. Jeszcze raz.

Powtarzam pytanie, tym razem wolniej.

– Nie, nie można tego stwierdzić z całą pewnością – orzeka Pete. – Ale nie można również tego wykluczyć.

– Prawidłowa odpowiedź – stwierdzam z zadowoleniem.

– E tam, to było łatwe. Pamiętaj, że mam ścisły umysł.

– No tak – mówię, myśląc jednocześnie, że ja jestem humanistką. A więc znakomicie się dopełniamy.

– No i? Co ty na to? – dopytuje Pete, nachylając się w moją stronę i patrząc mi w oczy.

Uśmiecham się.

– Myślę, że... masz potencjał.

ROZDZIAŁ 14

Meredith

Pewnego parnego popołudnia pod koniec września umawiam się z Ellen na spacer po parku. Przyjaciółka oznajmia mi, że słyszała od Andy'ego, który słyszał od Margot, która słyszała od koleżanki z tenisa, która słyszała od Andrei Carlisle, że jakiś facet, najnowsza zdobycz Josie, uratował Willowi życie w Bistro Niko.

Spoglądam na nią z niedowierzaniem, zatrzymując się w pół kroku tak gwałtownie, że prawie zderzam się z przebiegającym obok amatorem joggingu.

– Co takiego? – wołam.

Biegacz nas wymija i znów ruszamy przed siebie. Ellen wyjaśnia, że Will zaczął dławić się stekiem, a Josie akurat przechodziła obok stolika Carlisle'ów. Towarzysz mojej siostry, lekarz czy ktoś taki, zastosował chwyt Heimlicha lub coś podobnego, ratując Willa od zadławienia.

– Nie do wiary – mówię. – Chociaż z drugiej strony...

Ellen wybucha śmiechem.

– Prawda? Można by pomyśleć, że Josie wszystko zaplanowała, ale to chyba niemożliwe?

– Kogo jak kogo, ale ją na to stać – stwierdzam. – Zresztą założę się, że nieprzypadkowo znaleźli się w tej samej restauracji. W najlepszym razie wykorzysta to jako pretekst, żeby wznowić kontakty z Willem. Kto wie, jak to się skończy. – Zdegustowana, przewracam oczami. – Na miejscu Andrei miałabym się na baczności.

– Chyba nie sądzisz, że Josie byłaby do tego zdolna? – pyta Ellen.

Wzruszam ramionami.

– Nie, pewnie nie. Chociaż moja terapeutka twierdzi, że w odpowiednich okolicznościach niemal każdy z nas jest zdolny nawiązać romans.

Ellen nagle pogrąża się w myślach i coś tylko odmrukuje, a ja przypominam sobie o jej problemach małżeńskich sprzed kilku lat. Nie znam szczegółów i nie wiem, czy brał w tym udział ktoś trzeci, ale z niewiadomego powodu nabrałam przeświadczenia, że ich trudności były bardziej jej winą niż Andy'ego.

– A ty? Kusiło cię kiedyś? – pytam, a gdy nie odpowiada, cicho dodaję: – Wybacz. To nie moja sprawa.

– Nie szkodzi – mówi Ellen, po czym przystaje i pochyla się, żeby zawiązać sznurowadło. – Możesz mnie pytać o wszystko. Przecież wiesz.

Czekam, aż zawiąże kokardkę i poprawi drugą. Dopiero gdy ruszamy, Ellen znów się odzywa:

– Pamiętasz Leo? – pyta.

– Jasne.

Wielokrotnie rozmawialiśmy z Ellen o naszych byłych, Lewisie i Leo. Odkryliśmy przy tym wiele podobieństw. Obaj mieli dusze artystów (Leo był dziennikarzem, Lewis grał, głównie na Broadwayu, ale raz na jakiś czas również w niskobudżetowych filmach niezależnych). Obaj pochodzili z Nowego Jorku. Leo, podobnie jak Lewis, był namiętny oraz porywczy, no i złamał jej serce.

– Kilka lat temu – mówi Ellen – znów nawiązaliśmy kontakt.

– W jaki sposób? – pytam, z trudem dotrzymując kroku długonogiej przyjaciółce.

– Głównie przez esemesy i maile. Poza tym spotkaliśmy się. Raz na sesji w Los Angeles. I raz w Nowym Jorku.

– Ale czy... eee... – urywam.

– Nie – odpowiada stanowczo Ellen. – Nie poszliśmy do łóżka, nic z tych rzeczy. Chodziło raczej o kontakt emocjonalny. Ale i tak kiepsko się to skończyło...

– Przykro mi.

Jestem lekko rozczarowana, że moje podejrzenie się potwierdziło, ale nie mam zamiaru jej oceniać. Przeciwnie, pociesza mnie ten żywy dowód na to, że problemy małżeńskie można rozwiązać.

– Andy wie?

– Wie – odpowiada Ellen niskim, pełnym żalu głosem.

Potem wyznaje, że pocałowała Leo.

– Jeden pocałunek to jeszcze nic złego – zapewniam ją, choć w głębi ducha mam wątpliwości. W pewnym sensie jestem zdania, że zdrada to zdrada, jakkolwiek by na nią patrzeć.

– Może i nie. Ale rozważałam coś znacznie poważniejszego. Nawet odejście od męża – kończy gwałtownie Ellen.

Dopiero po kilku sekundach pytam:

– Co sprawiło, że zostałaś?

Patrzy na mnie bardzo poważnym wzrokiem.

– Miłość – mówi.

– O cholera, Ellen! – wykrzykuję, poruszona szczerością i prostotą tej odpowiedzi, zwłaszcza że spodziewałam się bardziej cynicznej przyczyny: że zrobiła to ze strachu, z powodu wyrzutów sumienia, z poczucia obowiązku albo dlatego, że była już wtedy w ciąży z Islą. – To cudownie, że ci się udało. Jesteście z Andym idealną parą.

– E tam, nie ma ideałów – odpowiada Ellen. – Ale uważam, że naprawdę jesteśmy dla siebie stworzeni. I ostatnio wspomniałam nam się układa.

– Kochałaś Leo? – pytam, ścisząc głos, jakby jego imię wciąż mogło mieć na nią jakiś wpływ.

– Może. Ale to nie była prawdziwa, głęboka miłość. Raczej pewien rodzaj obsesji, niezdrowego uzależnienia... Kto wie, czy nie chodziło również o takie zwykłe „co by było gdyby”? Co by było, gdybym wyszła za Leo? Co by to zmieniło?

Potakuję. Także i mnie od wielu lat dręczy myśl o „niewybranej drodze”. I nawet nie chodzi o Lewisa, choć wciąż zdarza mi się go wspominać. Raczej wyobrażam sobie czasem zupełnie inne życie, rzeczy, które wydarzyłyby się, gdyby Daniel nie zginął, a ja nie wyszłam za Nolana, ponieważ te dwa zdarzenia jawią mi się jako nierozdzielnie ze sobą związane.

– A więc Andy... po prostu ci wybaczył? – pytam.

– Och, nie od razu. Na początku miał pretensje, czuł się zagubiony, wściekał się. Przez kilka miesięcy było kiepsko, w ogóle to był paskudny rok. Ale wtedy, gdy cię poznałam, wychodziliśmy już na prostą. A kiedy pojawiła się Isla... – W głosie Ellen dźwięczy radość, niemal zachwyt. – Oboje staliśmy się dzięki niej lepszymi ludźmi.

– Naprawdę?

Trudno mi uwierzyć, że pojawienie się dziecka może mieć taki skutek. Narodziny Harper raczej wzmogły nieporozumienia między mną a Nolanem. Trzeba jednak przyznać, że pod niemal każdym względem Isla była mniej kłopotliwa.

– Oczywiście samo pojawienie się dziecka wszystkiego nie naprawiło – zaznacza Ellen. – Wykonaliśmy z Andym tytaniczną pracę. Ale Isla utwierdziła nas oboje w przekonaniu, że zależy nam na tym związku. Zupełnie jakby jej narodziny oznaczały dla nas nowy początek. Spojrzeliśmy na wszystko z innej perspektywy.

Kiwam głową. Dobrze ją rozumiem. Macierzyństwo rzeczywiście daje szersze spojrzenie na wiele spraw.

Ellen ciągnęła:

– Cały tamten okres, choć okropny, pod wieloma względami nas wzmocnił. Ktoś mógłby uznać, że próbuję w ten sposób usprawiedliwić różne rzeczy, ale ja naprawdę tak uważam.

– A więc od tamtego czasu nie masz z nim kontaktu? – pytam. – Z Leo?

– Nie, od wielu lat już nie. Jakiś rok po tamtych zdarzeniach dzwonił do mnie, ale nie oddzwoniłam. Wysłałam mu krótki list z pożegnaniem i prośbą, żeby zostawił mnie w spokoju. Serio, nie mam nawet pojęcia, czy żyje.

– No tak. Mógł się na przykład zadławić na śmierć – rzucam, zmuszając się do uśmiechu.

Ellen bez przekonania odwzajemnia uśmiech, po czym niespodziewanie zmienia temat.

– A jak układa wam się z Nolanem?

– Chyba w porządku – odpowiadam, ocierając wierzchem dłoni spocone czoło. – Nie wiem. Ostatnio mocno go wkurzam.

– Przez tę sprawę z drugim dzieckiem?

– Tak... No i wiesz, to co zawsze. Brakuje mu seksu... – urywam, bo nigdy nie czułam się swobodnie, rozmawiając o swoim życiu intymnym, nawet z najbliższymi przyjaciółkami. – Właśnie dlatego podczas ostatniego spotkania poruszyliśmy z Amy temat niewierności. Powiedziała mi mniej więcej tyle, że niezaspokojony partner często zaczyna rozglądać się na boki. Pewnie to żadne odkrycie...

– Racja – zgadza się Ellen. – Ale ta twoja Amy wygląda mi na dość cyniczną osobę.

– Jest cyniczna, to fakt – przyznaję. – A w każdym razie jest realistką. Jednak nie potrafię sobie wyobrazić, że Nolan posunąłby się do zdrady.

– Ja też nie. Dobry z niego człowiek.

– Tak jak z Andy’ego – mówię. – Obie miałyśmy sporo szczęścia.

– Zgoda. #błogostan.

Uśmiecham się, a Ellen się śmieje na myśl o wzniosłych facebookowych opisach, maskujących najzwyklejsze samochwalstwo. Potem, lekko zdyszane, przez minutę lub dwie idziemy w milczeniu. Wreszcie Ellen pyta:

– A ty? Co byś zrobiła, gdyby Lewis wrócił? Nie kusiłoby cię?

– Nie sądzę – odpowiadam.

Niemal żałuję, że mój dylemat nie jest taki prosty. Gdybym zastanawiała się nad romanssem lub podążyła za głosem cielesnej żądz, mogłabym się zatrzymać, przyznać do winy i odbudować swój związek tak samo jak Ellen. Albo odwrotnie. Zdecydowałabym się na zdradę, co – być może – zapoczątkowałoby całkowitą odmianę mojego życia.

– Nie mówię, że ty zrobiłaś coś złego – zaznaczam pośpiesznie.

– Oczywiście, wiem o tym.

– Ja po prostu wyleczyłam się z Lewisa jeszcze w czasach, gdy mieszkałam w Nowym Jorku. Któregoś dnia wśliznęłam się na widownię niezależnego teatru, w którym grał przedstawienie z jeszcze jednym aktorem.

Uśmiecham się. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Ellen parska śmiechem.

– Było aż tak złe?

– O nie. Lewis był genialny – odpowiadam. – Tylko wydawał się trochę... sama nie wiem...

– Przekonany o własnej wielkości? Nadęty?

– Nie. Raczej rozedrgany. Odrobinę egzaltowany.

– Myślisz, że jest gejem? – pyta Ellen ze śmiechem.

– Nie... – odpowiadam, wspominając nasz niesamowity seks. – Wątpię. Ale próbowałam się swego czasu przekonać, że mógłby nim być. To mi pomogło.

Ellen znów parska śmiechem, a ja mówię dalej:

– To nie Lewisa najbardziej mi brakowało, ale tego, jak się przy nim czułam.

– A może po prostu tęskniłaś za młodością? Za byciem dwudziestoparoletnią dziewczyną?

Wzruszam ramionami.

– Może trochę. Ale niezupełnie o to chodziło. Zwłaszcza że jako dwudziestoparolatka nie byłam specjalnie szczęśliwa.

Ellen kiwa głową. Wie, że mam na myśli śmierć brata.

– Wydaje mi się, że kiedy byłam zakochana, czułam się zupełnie inaczej. Miłość złagodziła ból po stracie Daniela, przynajmniej na jakiś czas. Miałam wrażenie, że świat stoi przed nami otworem. Że możemy wszędzie pojechać, zrobić wszystko, co chcemy, być, kim chcemy... Możliwości wydawały się nieograniczone – tłumaczę i na kilka sekund wstrzymuję oddech, przypominając sobie tamten szalony, oszałamiający wzlot, po którym nastąpił druzgocący upadek. – Potem Lewis złamał mi serce. Czułam się, jakbym umarła.

– Rozumiem. Tak właśnie jest, gdy człowiek ma złamane serce – mówi Ellen i zbliżamy się do szczytu wzgórza z widokiem na boiska baseballowe. – Ale przecież wszystko dobrze się skończyło. Masz Nolana.

Wypowiada jego imię takim tonem, jakim zwykle wypowiada się słowo „koniec”. Inaczej mówiąc: wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– No tak – mruczę, przygryzając wargę.

W oddali widzę Wilkins Field i lożę dla zawodników, w której Nolan mi się oświadczył. Ze smutkiem stwierdzam, że to wspomnienie budzi we mnie więcej niepokoju niż szczęścia.

– I Harper – dodaje Ellen.

– Oczywiście, i Harper – potakuję z myślą, że moja córka to jedyne, co powstrzymuje mnie przed marzeniami o zupełnie innym życiu.

Dalej idziemy w milczeniu. Myślę o Harper, drugim dziecku, którego nie chcę mieć, ostatnim zdaniu Amy i stwierdzeniu Ellen, że przy Andym trzyma ją „prawdziwa, głęboka miłość”. Nagle zalewa mnie intensywne fale poczucia winy oraz żalu. Za tym, czego nie mam. Za tym, czego nie potrafię dać mojemu mężowi.

– Meredith? – Głos Ellen dociera do mnie jak przez ścianę i uświadamiam sobie, że się zatrzymałam. – Co się dzieje?

– Daj mi chwilę.

Siadam na kamiennym murku oddzielającym chodnik od zbocza. Ellen siada obok mnie, tyłem do

boiska, ramię przy moim ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

– Nie wiem. Nie jestem szczęśliwa z Nolanem. Czasem myślę, że nasze małżeństwo było pomyłką.

Głos mi się łamie, a oczy zachodzą mgłą i milknę, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Ellen bierze mnie za rękę. Robi, co może, żeby mnie pocieszyć. Tłumaczy, że związki to skomplikowana sprawa, zagmatwana, tajemnicza i niedoskonała. Prawdopodobnie w moim małżeństwie nie dzieje się nic złego, tylko trudy codziennego dnia sprawiają, że odnoszę takie wrażenie. Może to banał, ale czasami naprawdę chodzi po prostu o to, żeby kochać. Wiem, że ma rację, ale w głębi serca wiem też, w jak różnych sytuacjach się znalazłyśmy. Ellen trafiła na wyboisty kawałek drogi, podczas gdy ja podążam ścieżką, której nigdy nie powinnam była wybrać. Ellen okłamała Andy'ego, mnie natomiast wydaje się czasami, że całe moje małżeństwo to jedno wielkie kłamstwo.

*

Tego samego wieczoru zasypiam na fotelu bujanym obok łóżka Harper, którą próbowałam ułożyć do snu przez ponad dwie godziny. Nagle budzi mnie dźwięk wibrującego telefonu. Odnajduję go wśród poduszek. Na ekranie wyświetla się imię Ellen.

– Cześć – szepczę, wychodząc na paluszkach z pokoju.

– Jesteś sama? – pyta Ellen.

– Tak. Właśnie położyłam Harper – odpowiadam, schodząc na dół, żeby zabrać się do sprzątnięcia kuchni.

– Gdzie Nolan?

– Na służbowej kolacji.

– Myślałam o naszej dzisiejszej rozmowie – mówi Ellen.

– Ja też. Słuchaj, przepraszam cię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To chyba hormony. Pewnie zaraz będę miała okres – kłamię, ale tylko dlatego, że nie chcę jej obarczać swoimi problemami.

– Nie, to ja przepraszam – przerywa mi Ellen. – Nie powinnam była cię pouczać, jak masz się czuć. Moje małżeństwo naprawdę nie jest idealne. Ani trochę.

– Wiem. Niczego takiego przecież nie powiedziałaś.

– To dobrze. Bo czasami mam wrażenie, jakby wszyscy wokół myśleli, że inni prowadzą życie jak z bajki. Zwłaszcza tu, na Południu. Ludzie wiecznie przybierają jakieś pozy. Robią dobrą minę do złej gry, żeby pokazać, jak cudownie im się wiedzie.

Cichym głosem przyznaję jej rację, a ona ciągnie:

– Chciałam ci tylko powiedzieć... mam nadzieję, że zostaniesz z Nolanem, ale obojętnie, co się

stanie, ja zawsze będę przy tobie.

– To bardzo miłe – mówię. – Dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada, po czym z wahaniem pyta, czy zastanawiałam się nad terapią małżeńską. – To znaczy wiem, że chodzisz do Amy... ale może pomyślałabyś o terapii par?

– Tak. Może spróbuję.

Mimo wszystko wątpię, by było to rozwiązanie dla nas. Taka terapia z pewnością mogłaby rozwiązać wiele problemów w związku, lecz nie zmieni tego, że po prostu nie kocham swojego męża. Ponadto ku własnemu przerażeniu zaczynam sobie uświadamiać, że jedynym rozwiązaniem jest wyznanie Nolanowi prawdy.

– Będzie dobrze – pociesza mnie Ellen. – Daj sobie trochę czasu.

– No tak.

Przychodzi mi do głowy, że stwierdzenie, iż czas jest najlepszym lekarstwem, to takie samo kłamstwo jak to, na którym zbudowałam swoje małżeństwo. Tego właśnie nauczyła mnie śmierć Daniela: pewnych rzeczy nie da się naprawić.

ROZDZIAŁ 15

Josie

Od incydentu w restauracji minął tydzień. Moi uczniowie poszli na zajęcia muzyczne, więc napawam się chwilą spokoju. Wtem w mojej skrzynce odbiorczej pojawia się mail od Williama Carlisle'a. Tam, gdzie powinien być temat, majaczy złowieszcza pustka. Z łomoczącym sercem otwieram wiadomość i zawiedziona stwierdzam, że składa się z zaledwie kilku słów. „Josie, czy mogłabyś do mnie zadzwonić? Kiedy ci tylko pasuje”. Poniżej widnieje numer telefonu (który wciąż znam na pamięć, choć dawno wykasowałam go z kontaktów, żeby niechący nie zadzwonić do niego, albo – co gorsza – nie wybrać wideorozmowy, gdy będę miała telefon w kieszeni) oraz oficjalne „dziękuję” i inicjał imienia: „W”.

Odczytuję maila kilka razy. Rozważam, czy nie pogadać najpierw z Sydney albo z Gabe'em. W końcu jednak po prostu oddzwoniam, powtarzając sobie w duchu, że wcale nie mam ochoty na rozmowę, lecz po prostu pragnę „mieć ją z głowy”, nie mówiąc już o tym, że ten człowiek nie zasłużył, by tracić na niego czas i nerwy.

Odbiera po drugim dzwonku.

– Halo?

– Cześć, Will – mówię, czując, jak skręca mi się żołądek. – Tu Josie. Odebrałam twojego maila.

– Cześć, Josie – odpowiada niepewnie, co dodaje mi odwagi. – Dzięki, że dzwonisz.

– Nie ma sprawy. Co słyhać? – pytam, siląc się na lekki i swobodny ton.

Słyszę, że Will bierze głęboki wdech.

– Po pierwsze, chciałem jeszcze raz ci podziękować za tamten wieczór. To znaczy, podziękuj znajomemu za... no wiesz... interwencję.

– Jasne. Powtórzę mu, ale serio, to nic takiego. Tak czy inaczej, na pewno wszystko dobrze by się skończyło – mówię, choć wciąż raz na jakiś czas przywołuję w myślach najczarniejszy scenariusz i wstyd mi, że kiedyś życzyłam Willowi wszystkiego najgorszego: może niekoniecznie śmierci, ale finansowej katastrofy, częściowego paraliżu lub choroby zakończonej lekkim oszpecceniem.

– Niby tak... Ale naprawdę było mi strasznie głupio.

Zdaję sobie z tego sprawę, choć zdumiewa mnie, że mówi o tym tak otwarcie. Ogarnia mnie poczucie *déjà vu*, które prawdopodobnie bierze się z czasów, gdy pielęgnowałam jego dumę i delikatne ego.

– Zdarza się – mówię. – Pamiętasz, jak George Bush zakrztusił się precllem?

– George Bush junior?

– Aha. Siedział w Białym Domu, oglądał mecz, aż nagle zakrztusił się i zemdłał.

– Coś mi świta – odpowiada Will odrobinę swobodniejszym głosem.

– Wyobrażasz to sobie? Człowiek cały czas chroniony przez służby specjalne prawie umiera, oglądając telewizję?

Will parska śmiechem, a ja czuję w piersi bolesne szarpnięcie. Zawsze uwielbiałam jego śmiech – niski i cichy – zwłaszcza wtedy, gdy to ja go wywołałam. Willa niełatwo było rozbawić: oglądając najlepsze komedie, często tylko uśmiechał się pod nosem, więc ilekroć udawało mi się doprowadzić go do śmiechu, poczytywałam to sobie za osobisty sukces.

– A co poza tym? – pytam. – Z Edie wszystko w porządku?

– O tak, w najlepszym – mówi, znów odrobinę sztywno, choć nie jest już tak zakłopotany jak na początku. – Przynajmniej w domu. Jak sobie radzi w szkole?

– Doskonale. Dzieciaki mają teraz muzykę. Dlatego mogłam zadzwonić.

– No tak – mówi. – To ma sens.

– Mhm – rzucam tylko po to, żeby wypełnić ciszę, i zachodzę w głowę, co też ma mi do powiedzenia. – No więc? Chciałeś jeszcze o czymś pogadać?

Modłę się, by nie wyczuł w moim głosie tęsknoty i nadziei, które skrywam w sercu od bardzo, bardzo dawna. Przez lata wyobrażałam sobie, że do mnie dzwoni, aby oznajmić, że się rozwodzi, że popełnił okropną pomyłkę i pragnie być ze mną, tylko ze mną. Jednak teraz nie chciałabym skazywać Edie na taki los.

– Hm, właśnie. Tak jakby... – bąka. – Chciałem... sam nie wiem, oczyścić atmosferę. Chodzi mi o nas.

– O nas? – powtarzam i czuję, jak przyspiesza mi puls.

– To znaczy nie o nas *sensu stricte*... Ale, no wiesz, o naszą przeszłość.

– *Sensu stricto* – poprawiam go. – Mówi się *sensu stricto* albo po prostu *stricte* – wyjaśniam, lekko uśmiechając się na myśl o tym, ile razy próbowałam wtłoczyć mu to do głowy.

– No tak, pani nauczycielko. Nie chodzi mi o nas *sensu stricto*. Ale źle mi z tym, w jaki sposób się rozstaliśmy.

Mam wielką ochotę wypomnieć mu, że to nie „my” się rozstaliśmy, tylko on mnie rzucił. Sam, z własnej woli. Na szczęście udaje mi się opanować.

– Wszystko w porządku – zapewniam go, zadowolona z tych niby-przeprosin, choć nastąpiły wiele lat za późno. – Ale, Will... Ja naprawdę cię nie zdradziłam... – mówię i milknę.

– Cóż. W każdym razie zareagowałam za ostro. Wszyscy popełniamy błędy...

– To prawda, ale ja naprawdę tego nie zrobiłam – powtarzam, przypominając sobie tamtą okropną noc. Kto wie, czy nie drugą najokropniejszą noc w moim życiu.

– Okej.

– Wierzysz mi? – pytam.

Po chwili wahania Will odpowiada:

– Josie. Leżałaś z nim w łóżku. Przyłapałem was.

– Ale to nie było tak. Przysięgam. Nigdy ci nie powiedziałam całej prawdy o tamtej nocy. Ale po prostu nie potrafiłam.

– Nie potrafiłaś? – dziwi się.

– Tak mi się wydawało. To było... strasznie skomplikowane i nie miało nic wspólnego z nami. Chodziło o Daniela. Ale żałuję tego, co się stało. Przynajmniej żałowałam przez wiele lat. Szkoda, że nie byłam z tobą szczerą... Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Przecież wszystko się ułożyło – mówi. – Prawda?

Przełykam ślinę i przygryzam wargę.

– Prawda. Masz cudowną rodzinę – stwierdzam, dumna, że zdobyłam się na taką szlachetność.

– Dziękuję – mówi Will.

– Naprawdę lubię Andreeę – dodaję.

– Z wzajemnością.

Wtedy przychodzi mi do głowy, że może to ona kazała mu napisać tego maila i doprowadzić do tej rozmowy. Ogarnia mnie niewzruszona pewność, że Andrea uczyniła go miłszym i bardziej empatycznym, niż był kiedykolwiek wcześniej.

– No tak, wszystko się ułożyło – powtarzam, chyba odrobinę zbyt dziarsko, by zabrzmiało to przekonująco.

Rzeczywiście, Will waha się przez chwilę, po czym z wyraźną troską w głosie pyta:

– A co u ciebie?

– U mnie?

– Jesteś szczęśliwa?

– Jasne. U mnie wszystko świetnie – odpowiadam, czując, że płoną mi policzki. Chcąc go upewnić, zupełnie niepotrzebnie wypalam: – Tak się składa, że planuję zajść w ciążę. Chcę skorzystać z dawcy nasienia.

– Serio? – pyta zdumiony Will.

– Serio – potwierdzam, niespodziewanie pełna wewnętrznego spokoju i wiary we własne siły. – Od dawna marzyłam o macierzyństwie. Nie mogę już się doczekać.

– To wspaniale, Josie. Na pewno będziesz znakomitą matką. – W jego głosie dźwięczy

serdeczność, ale dają się też wyczuć niewątpliwe poczucie winy i litość oraz leciutki ślad pogardy.– Tak się cieszę, że w końcu ci się ułożyło.

– Dzięki – mówię.

Ciekawe, jak to możliwe, że jednocześnie czuję wzruszenie i urazę. Choć to dziwne, wołałam jego dotychczasowe wyniosłe milczenie od współczucia, którym nagle mnie obdarzył. Mam ochotę powiedzieć: będę miała dziecko, którego bym nie miała, gdybyśmy się nie rozstali. Słyszę jednak dobiegający z korytarza zgiełk i wiem, że skończył mi się czas. Drzwi się otwierają i w szparze jako pierwsza ukazuje się słodka buzia Edie.

– Muszę lecieć! Moje dzieci wróciły – wołam. – A dokładniej mówiąc, twoje dziecko. Moja klasa...

– Jasne, leć – odpowiada. – Dzięki za telefon, Josie. Doceniam to.

– To ja ci dziękuję. I pamiętaj, nie powinienesz czuć się źle. Przynajmniej nie *sensu stricto*...

*

Wróciwszy po pracy do domu, widzę, że Gabe siedzi na tarasie z jakąś dziewczyną. Jak wszystkie poprzednie jego znajome, również i ta jest drobna, bardzo szczupła, niemal wychudzona, ale tym razem to blondynka, nie brunetka. Grają w makao, śmieją się i popijają piwo z oszronionych kuflów. Przyglądam im się przez chwilę, usiłując sobie przypomnieć, czy znam tę dziewczynę. Bezskutecznie.

– Cześć! – wołam do nich przez drzwi z siatki.

– O, cześć – odpowiada Gabe niespotykane radosnym tonem. – Chodź do nas, zapraszamy.

Otwieram drzwi i wychodzę na taras.

– Poznaj, to jest Leslie.

– Cześć, Leslie – mówię z uśmiechem. Przyjrząwszy się jej bliżej, zauważam, że nieznajoma jest bardzo młoda i bardzo ładna.

– Cześć. Ty musisz być Josie – mówi dziewczyna, uśmiechając się szeroko i przesuwając okulary słoneczne nad czoło. – Dużo o tobie słyszałam.

– Ja o tobie też – kłamię, podziwiając jej strój: niezwykle kobiecą ażurową bluzkę z baskinką oraz sprane, lekko za luźne džinsy.

Dziewczyna wybucha dźwięcznym, odrobinę piskliwym śmiechem i spogląda na Gabe'a pełnym uwielbienia wzrokiem.

– Z czego się śmiejesz? – pytam.

– Poznaliśmy się wczoraj wieczorem – oświeca mnie Gabe.

– Aha – mówię i wzruszam ramionami. – W porządku, przyłapaliście mnie.

– Oj, tak – mówi Leslie i znów parska śmiechem. – Ale dobra z ciebie współlokatorka, skoro tak go kryjesz.

– Mhm... – Spoglądałam na Gabe'a i unoszę brwi, bo nie umknęło mojej uwagi, że użyła słowa „współlokatorka” zamiast „przyjaciółka”. – Staram się.

W tym momencie Leslie wyciąga dzokera i woła:

– Makao i po makale!

– Cholera jasna – mówi Gabe, rzucając karty. – Poddaję się.

– Piąty raz z rzędu – triumfuje radośnie dziewczyna.

– Cóż, lepiej nie próbuj z nim grać w tryktraka – ostrzegam ją. – Przez prawie dwadzieścia lat nie udało mi się go pokonać.

– Znacie się dwadzieścia lat? – pyta.

– Dłużej – odpowiadam. – Znamy się od dziecka. Ale zaprzyjaźniliśmy się dopiero w college'u.

– Rozumiem – kiwa głową Leslie i filuternie nakrywa dłonią jego dłoń.

Spodziewam się, że Gabe po krótkiej chwili zabierze rękę, ale on odwraca ją wnętrzem do góry i splata palce z palcami nowej znajomej. Jak na niego, to niebywale intymny gest.

– Gdzie się poznaliście? – pytam, bezskutecznie usiłując sobie przypomnieć, gdzie mój przyjaciel spędził wczorajszy wieczór.

– W Iberian Pig – mówi Gabe. – Pamiętasz? Dale urządził tam wczoraj urodziny.

– Zgadza się.

Ciekawa jestem, jak to się stało, że urodzinowa impreza Dale'a doprowadziła ich do gry w makao na tarasie za domem, i to w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Patrząc, jak Gabe z głupkowatym uśmiechem trzyma dziewczynę za rękę, potrafię sobie wyobrazić, co wydarzyło się w ciągu tej doby.

– Czym się zajmujesz, Leslie? – pytam, siadając na górnym schodku i udając, że absolutnie nie zdaję sobie sprawy z tego, iż jestem tu piątym kołem u wozu.

– Robię magisterkę – wyjaśnia. – W Savannah.

– Projektowanie ubioru? – pytam, obrzuciwszy wzrokiem jej metaliczne espadryle na koturnie z odsłoniętymi palcami i paznokcie u stóp pociągnięte granatowym lakierem.

– Sztukę sekwencyjną – odpowiada. – Ale uwielbiam modę.

– Rozumiem.

– Wiesz w ogóle, co to jest? – pyta Gabe.

Już po raz drugi przyłapuje mnie na kłamstwie.

Spoglądam na niego gniewnie, a Leslie woła ze śmiechem:

– Nie przejmuj się, on też nie wiedział.

– Wybacz – rzucam. – Rzeczywiście, nie wiem. Co to jest sztuka sekwencyjna?

– Mówiąc ogólnie, to graficzna forma opowiadania historii.

– Jak w komiksach?

- Właśnie. Choć ja zajmuję się raczej animacją.
- Leslie dostała właśnie robotę w Pixarze – wtrąca Gabe.
- Niesamowite – mówię. – Super sprawa.
- Okazuje się, że obie kochamy dzieci – mówi Leslie. – Gabe wspominał, że jesteś nauczycielką.
- Tak. Uczę pierwszaków.

Zastanawiam się, dlaczego moje zajęcie wydało mi się nagle tak trywialne. Usiłuję przywołać w głowie myśl, że nie ma nic ważniejszego niż dobrzy nauczyciele – może z wyjątkiem lekarzy. Ale nawet sztuki lekarskiej ktoś cię musi najpierw nauczyć.

– Ekstra – rzuca Leslie, nieco zbyt entuzjastycznie, co tylko pogłębia moją niepewność.

– Dzięki. Bardzo lubię moją pracę... Gdzie jest studio Pixara?

– W Emeryville, w Kalifornii – odpowiada. – Między Oakland a Berkeley.

– A więc niedługo się przeprowadzasz? – pytam, zastanawiając się, czemu pragnę, by jak najszybciej stąd zniknęła.

– Dopiero latem – mówi Leslie. – Gdy dostanę dyplom.

Kiwam głową i uśmiecham się. Niestety, kończą mi się tematy do rozmowy.

– No dobrze. Zostawiam was. Czas na szóstą partię – mówię, wskazując talię kart, po czym wstaję. – Powodzenia, Leslie. Trzymam za ciebie kciuki.

*

Spotykam Gabe'a dopiero dwa dni później, kiedy wpadamy na siebie na podjeździe. Ja biegnę na siłownię, a on właśnie skądś wraca, cały rozradowany, co stanowi niecodzienny widok.

– Gdzie byłeś tyle czasu? – pytam.

– U Leslie – odpowiada, wkładając ciemne okulary.

– O co tu chodzi? Już się zakochałeś?

– Daj spokój. Znam ją krócej niż tydzień.

– Okej, ale przecież spędziłeś z nią trzy noce z rzędu?

Nie bardzo rozumiem, czemu tak mnie to irytuje. Przez te wszystkie lata miał przecież mnóstwo dziewczyn.

Gabe wzrusza ramionami.

– O Boże – wzdycham i przewracam oczami. – Czyli uprawialiście już seks?

– Nie twoja sprawa – odpowiada.

Dobrze wiem, co to oznacza: nie tylko się z nią przespał, ale wpadł po uszy. Zwykle nie bywa taki skryty.

– Ile ona ma lat? – pytam. – A może to też jest ściśle tajne?

– Dwadzieścia sześć.

– Dwadzieścia sześć? – powtarzam z niedowierzaniem, choć z tego, co pamiętam, jego poprzednia dziewczyna była jeszcze młodsza. – Niech zgadnę: jest wyjątkowo dojrzała jak na swój wiek.

– Żebyś wiedziała. A do tego inteligentna, utalentowana i ambitna. Wiesz, jak trudno jest dostać pracę w Pixarze?

– Jak?

– Bardzo.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Tak czy inaczej... Zdajesz sobie sprawę, że nie odpisałeś mi na trzy esemesy?

– Nieprawda – protestuje. – Odpisałem.

– Nie wiem, czy można to tak nazwać – pry cham, myśląc, że dwa nędzne słowa („To palant”) w odpowiedzi na moje wyznanie, że rozmawiałam z Willem przez telefon, to coś więcej niż niewystarczająca reakcja, to wręcz jawne olewanie.

– Nie ciekawi cię, co mi powiedział? – pytam.

– Co ci powiedział? – pyta Gabe, zajęty własnym telefonem. Jego mina wskazuje, że pisze do Leslie.

– To bez znaczenia – wzdy cham.

Gabe podnosi wzrok.

– Co cię ugryzło?

– Nic, po prostu ostatnio odnoszę wrażenie, że masz mnie w nosie – odpowiadam z wyrzutem. – Nie interesuje cię, przez co przechodzę.

– Ominęło mnie coś? – pyta. – Przypomnij mi, przez co przechodzisz?

– Och, takie tam błahostki. Uczę dziecko byłego chłopaka, przestałam rozmawiać z rodziną i przygotowuję się do samotnego macierzyństwa. Nic skomplikowanego.

– Josie – mówi i zsuwa ciemne okulary. – Jesteś potwornie upierdliwa, wiesz o tym?

– Tak – odpowiadam, patrząc mu prosto w oczy. – Ale jesteś na mnie skazany. Nie zapominaj o tym.

ROZDZIAŁ 16

Meredith

Dopiero po awaryjnym, nieplanowanym spotkaniu z Amy – która twierdzi, że od dawna się na to zносиło – oraz po kilku szczerych pogawędkach z Ellen zaczynam zbierać się na odwagę, by choć zaplanować rozmowę z Nolanem. Nie jestem pewna, co mu powiem ani gdzie się ta rozmowa odbędzie, wiem tylko, że muszę coś powiedzieć. Wyznaczam sobie nieprzekraczalny termin, którym jest nasza zbliżająca się wielkimi krokami siódma rocznica ślubu.

Jak na ironię, Nolan, który dotąd zazwyczaj ignorował to święto albo co najwyżej zapraszał mnie na kolację, uznaje, że tym razem okazja wymaga romantycznej wycieczki.

– Od lat nie wyjeżdżaliśmy tylko we dwoje – przekonuje mnie pewnego wieczora po powrocie z długiego joggingu. Wyciąga z uszu słuchawki i wyciera pot ręcznikiem, wszystko na środku kuchni. Choć można sobie wyobrazić większe przestępstwo, to przecież prosiłam go wiele razy, by takie rzeczy robił na zewnątrz albo przynajmniej w innym pomieszczeniu.

– A Napa Valley? – pytam, walcząc z pokusą rzucenia się na resztkę niedojedzonego przez Harper makaronu z serem.

– To było trzy lata temu – przypomina mi mąż, chwytając się blatu, by rozciągnąć ścięgna. – Poza tym pojechaliśmy tam na wesele. Nie liczy się.

– Liczy. Nie wzięliśmy ze sobą Harper i zostaliśmy trzy dni – protestuję.

Przypominam sobie, jak było nam miło podczas tamtego wyjazdu. Na moment dopadają mnie wątpliwości. Może Ellen ma rację, może przytrafił się nam kryzys i potrzebujemy po prostu czasu, żeby popracować nad naszym związkiem. Pytam więc Nolana, co planuje, usiłując zachować otwartą głowę.

– Nie wiem. Może jakaś plaża... Ale pewnie już za późno, żeby zarezerwować lot. – Marszczy brwi i dodaje: – Szkoda, że nie pomyślałem o tym wcześniej.

– Nic nie szkodzi – rozgrzeszam go pospiesznie i przez chwilę zastanawiam się, czy i on toczy jakąś wewnętrzną walkę, ale postanawiam odpuścić. – Wiem, że masz mnóstwo pracy.

Nolan kiwa głową i oznajmia, że weźmie szybki prysznic, a potem porozmawiamy.

Myśląc, że mój mąż jeszcze nigdy w życiu nie wziął szybkiego prysznica, mówię:

– W porządku. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

*

Tak jak przypuszczałam, dopiero po godzinie Nolan wchodzi do pralni, gdzie składam ręczniki.

– Co powiesz na Blackberry Farm? – pyta, mając na myśli astronomicznie drogi kurort w Great Smoky Mountains w Tennesseeum.

– Za drogo – odpowiadam.

– E tam, daj spokój. Nie bądź sknerą. Pieniądze są po to, żeby je wydawać.

– Owszem, ale chyba byłoby miło zostawić trochę dla dziecka?

Przypominam sobie nasz poprzedni pobyt w Blackberry. Podobnie jak było w przypadku Napa Valley, pojechaliśmy tam na ślub znajomych. Tak się złożyło, że właśnie tam poczęliśmy naszą córkę. Za ledwie miesiąc wcześniej odstawiłam pigułki, trudno więc stwierdzić, że jakoś szczególnie się staraliśmy. Josie uznaje to za kolejny punkt na długiej liście dowodów, że z nas dwóch to ja jestem prawdziwą szczęściarą.

– Dwie noce w Blackberry nie doprowadzą nas do bankructwa – upiera się Nolan. – I pamiętaj, że wciąż mamy czternaście lat, żeby odłożyć na studia Harper.

Czternaście długich lat, myślę, ale mówię tylko:

– W porządku. Niech będzie. Zadzwoń tam. Ale założę się, że wszystkie miejsca są już zajęte.

Nolan kręci głową i wychodzi. Słyszę, jak mamrocze pod nosem:

– Nie dość, że sknera, to jeszcze defetystka.

*

Okazuje się, że w hotelu został ostatni wolny pokój, który „może być nasz za jedyne dziewięćset za noc”.

– Dziewięćset dolarów? – pytam. – Czy jenów?

– Ha – odpowiada Nolan. – Domki letniskowe kosztują prawie dwa razy tyle.

– Ach, czyli to w gruncie rzeczy wspaniała okazja – mówię z przekąsem.

– Dokładnie. Rezerwować?

– Nie wiem – odpowiadam z ociąganiem.

Z niepokojem zastanawiam się, czy Nolan poczuje się jeszcze gorzej, gdy oznajmię mu to, co mam zamiar oznajmić, w kosztującym dziewięćset dolarów za noc pokoju w Blackberry Farm. Choć może to złagodzi cios, przypomni nam obojgu, że niezależnie od tego, co stanie się z naszym małżeństwem, dbamy, by nadać życiu odpowiednią oprawę i by już zawsze łączyły nas wyjątkowe wspomnienia.

– Zdecyduj się – nalega Nolan. – Facet zgodził się poczekać tylko dziesięć minut.

Wzdycham i przystaję na jego propozycję, ponieważ, jak wynika z doświadczenia, zawsze łatwiej po prostu powiedzieć „tak”.

Tydzień później odwożę Harper do mamy, razem z torbą najpotrzebniejszych rzeczy i dwiema torbami zabawek, które miała uparła się zabrać ze sobą.

– Wyjeżdżacie na weekend czy na miesiąc? – pyta mama, pochylając się, by ucałować wnuczkę.

Harper spogląda na mnie wyczekująco, a ja mówię:

– Bez obawy, tylko na dwie noce. Wracamy w niedzielę po południu.

– Spokojnie, nie spieszcie się – odpowiada z uśmiechem mama. – Cieszę się, że postanowiliście uczcić rocznicę. I to w tak wyjątkowym miejscu – dodaje, puszczając do mnie oko.

– Ech. Przestań – odpowiadam, nieco się krzywiąc.

Nie pamiętam, bym jej wyjawiała, gdzie poczęliśmy naszą córkę, ale najwyraźniej musiałam to kiedyś zrobić.

– No co? – pyta niewinnie. – Chodziło mi tylko o to, że wiem, jak lubicie to miejsce. I cieszę się, że odpoczniecie.

– Aha – rzucam, po czym udzielam jej szczegółowych wskazówek, jak gdyby nigdy wcześniej nie zajmowała się Harper.

– Dalej jest uczulona na cynamon? – pyta mama.

– To nie do końca uczulenie – poprawiam ją. – Raczej lekka nietolerancja.

– Tu mi wyskakuje wysypka – wtrąca się mała, wskazując górną wargę.

– Nolan robi z niej hipochondryczkę – komentuję pod nosem.

– Dobrze, kochanie. Będziemy unikały cynamonu – zwraca się do Harper mama. – Coś jeszcze?

– Chyba nie – odpowiadam z wahaniem.

– Rozmawiałaś ostatnio z Josie? – pyta, nie wiedzieć czemu, mama.

– Nie – mówię i postanawiam, że nie dam się wciągnąć w dyskusję o siostrze. – Muszę już lecieć. Nolan chce wyjechać, zanim zrobią się korki.

– Jasne. Jasne. Leć – mówi mama, wygładzając leżącą na stole stertę ofert nieruchomości. Na wierzchu dostrzegam zdjęcie domu za trzy i pół miliona dolarów.

– To twoje? – pytam.

Kręci głową.

– Pokazuję go nowemu klientowi.

– Jesteś pewna, że nie popsuliśmy ci planów? – pytam, bo wiem, że to właśnie w weekendy jest najbardziej zajęta. – Mogłabym poprosić Ellen...

– Ależ skąd – woła mama. – Zmykaj. Mąż na ciebie czeka.

– No dobrze.

Całuję córkę na do widzenia, walcząc z przypiływem niepokoju i próbując nie wyobrazić sobie

życia pełnego takich pożegnań.

*

Kiedy opuszczamy zatłoczone centrum miasta, jazda staje się przyjemna i łatwa. Autostrada jest niemal pusta, niebo – jasne i bezchmurne. Prawie nic nie zapowiada nadejścia jesieni, choć upał już zelżał i pierwszy raz od kilku miesięcy mam na sobie cienki sweterek. Nolan prawie zawsze jest w dobrym nastroju, ale dziś wydaje się szczególnie uradowany: cały czas gada, wesoło gwizdże i raz po raz pogłasnia odtwarzacz, z którego dobywają się pogodne, energetyczne dźwięki piosenek tworzących zestaw pod tytułem „wycieczka”. Gdy wyrzaskuje słowa *Walking on Sunshine* grupy Katrina and the Waves, a potem wraz z zespołem Wham! podśpiewuje *Wake Me Up Before You Go-Go*, nawet mnie udziela się jego wesołość.

Chcemy jechać bez zatrzymywania się, żeby dotrzeć na miejsce nieco przegłodzeni. Wiemy przecież, że kuchnia w Blackberry Farm jest niemal tak wspaniała jak tamtejsze górskie widoki. Jednak po dwóch godzinach dajemy za wygraną i zatrzymujemy się w Cracker Barrel – ulubionej przydrożnej knajpce Nolana, gdzie czekając na jedzenie, można rozegrać partyjkę samotnika lub odwiedzić sklepik z pamiątkami.

Mam ochotę na sałatkę z grillowanym kurczakiem, ale w ostatniej chwili zamawiam to co Nolan, czyli talerz kluseczek, w zasadzie porcję pustych kalorii. Gramy w samotnika, wymieniając się trójkątną planszą, aż Nolan kradnie drugą z sąsiedniego stolika i rozpoczynamy gorączkową rozgrywkę równoległą. Mój najlepszy wynik to cztery kołeczki, a Nolanowi udaje się zejść do trzech, a potem do dwóch. Spogląda na mnie, uradowany.

– Powinniśmy robić to częściej – mówi, kiedy kelner przynosi jedzenie.

Smaruję masłem i tak już kaloryczną bułkę i mruczę coś pod nosem.

– Ta twoja kancelaria cię wykańcza.

– Mam zrezygnować z pracy? – pytam z nadzieją.

Nolan wybucha śmiechem.

– Nie, miałem raczej na myśli częstsze urlopy... wyjazdy na weekend... Ale, oczywiście, mogłabyś zrezygnować. Gdybyś chciała.

Kręcę głową.

– Nie. Potrzebujemy forsy.

– Skąd, forsy mamy jak lodu – zaprzecza Nolan. – Naprawdę nie rozumiesz określenia „intratny rodzinny biznes”?

– Rozumiem, tylko zawsze mi się wydawało odrobinę szemrane.

Uśmiecham się, choć to nie do końca żarty. Nolan wygląda na urażonego.

– Szemrane? Co to ma niby znaczyć? Zachowujesz się, jakby chodziło o jakąś mafię.

– Dobra, cofam słowo „szemrane” – ustępuję. – Po prostu czasem... chciałabym, żebyśmy mogli żyć po swojemu. Twój rodzinny majątek pociąga za sobą pewne zobowiązania.

– Nie mój, tylko nasz – poprawia mnie Nolan, mieszając herbatę, do której przed chwilą wsypał cukier, a ja, jak zwykle, zastanawiam się, dlaczego po prostu nie zamówił słodkiej. – Poza tym nikt mnie do niczego nie zmusza. Lubię pracować z tatą.

Przychodzą mi na myśl sprzeczki, które wybuchają między nimi od czasu do czasu, gdy Nolan zaczyna kwestionować ojcowskie decyzje, koniec końców, postanawiam jednak oddać mu sprawiedliwość. Naprawdę, mogli mi się trafić gorsi teściowie.

– Pomyśl o Grahamach – ciągnie tymczasem Nolan. – Sądziś, że byłoby ich stać na ten dom, a do tego mieszkanie w Nowym Jorku, gdyby nie wspierali ich rodzice Andy’ego?

– Pewnie nie – przyznaję.

Matka powiedziała mi kiedyś, ile nasi znajomi zapłacili za swój dom. Na remont poszło zapewne kolejne pół miliona. Nolan ma rację, a Ellen raczej nie ma z tym najmniejszego problemu. Teściowa czasem ją irytuje, ale – ogólnie rzecz biorąc – moja przyjaciółka uwielbia rodzinę męża i cieszy ją świadomość, że weszła do ich klanu. Może na tym polega różnica, myślę, grzebiąc w kleistych, nieapetycznych, zanurzonych w zgęstniałym sosie kluskach.

– Poza tym mieszkamy w twoim rodzinnym domu, za który sami zapłaciliśmy – dodaje Nolan. – Musisz też przyznać, że nie pławimy się w luksusach.

Kiwam głową. To on nalegał, żebyśmy się stamtąd nie wyprowadzali, bo to mogłoby zerwać więź łączącą nas z Danielem. Po kilku latach postępowania tak jak moja matka i traktowania domu jak muzeum poszliśmy wreszcie po rozum do głowy, spakowaliśmy większość rzeczy mojego brata, zamieniliśmy jego stare łóżko na nowe, po królewsku szerokie, i ochrzciliśmy jego dawną sypialnię mianem gościnnej. Mimo to rzadko jej używamy i wciąż nazywamy ją „pokojem Daniela”.

– Tak czy owak... jak już mówiłem... jeśli nie chcesz, wcale nie musisz być prawniczką.

– Wiem – odpowiadam z niechęcią.

– Źle się czujesz w tej swojej kancelarii, więc po co się męczyć?

Potakuję, myśląc, że to idealny wstęp do poważnej rozmowy, choć zarazem przychodzi mi do głowy myśl, że problemem może być właśnie to, co robię w życiu, a nie to, z kim je spędzam. Nie sposób przecież być w szczęśliwym związku, jeśli człowiek nie jest z siebie zadowolony. Jestem pewna, że Amy mówiła mi kiedyś coś podobnego.

– Masz rację – przyznaję. – Ostatnio nie najlepiej się miewam.

Mam wrażenie, że właśnie uczyniłam wielki krok, w pewnym sensie wręcz przełomowy.

– W takim razie rzuć to w diabły – mówi Nolan. – W poniedziałek, z samego rana.

Perspektywa odejścia z pracy jest tak wyzwalająca, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Może i rzuć, kto wie.

Czuję, jakby zdjęto mi z barków olbrzymi ciężar. Powtarzam sobie w duchu, że trafił mi się najcudowniejszy, najbardziej wspierający mężczyzna na świecie. Jak jakaś wariatka sądziłam, że to on jest problemem, tymczasem na pewno chodzi o tę paskudną robotę i nieustanną presję, by pracować więcej i więcej. Z rozrzewnieniem wspominam studia aktorskie i dochodzę do wniosku, że za nimi tęsknię, a przez głowę przelatują mi dziesiątki innych, równie twórczych pomysłów na życie.

Następne słowa Nolana kładą kres tym szalonym marzeniom:

– Tylko pomyśl. Mogłabyś zostać w domu i byłabyś całkowicie wolna.

Spoglądam na niego pustym wzrokiem, myśląc, że ciągłe siedzenie w domu z Harper absolutnie przeczy wszelkim ideom wolności. Choć wcale nie mam ochoty się do tego przyznawać, wolałabym codziennie zasuwać w kancelarii do późnego wieczoru, niż utknąć w tej pułapce.

– A potem... – zaczyna Nolan z leniwym uśmiechem, a w mojej głowie rozbrzmiewają dramatyczne werble, po czym słyszę dokładnie to, czego się spodziewałam – ...moglibyśmy zrobić sobie drugiego dzidziusia.

Serce podchodzi mi do gardła, jakby na potwierdzenie, że w naszym małżeństwie dzieje się bardzo źle i bezwzględnie muszę powiedzieć Nolanowi o swoich uczuciach. W ostatniej chwili powstrzymuję się, by nie zrobić tego od razu, i postanawiam poczekać, aż ruszymy w dalszą drogę. Później wmawiam sobie, że Nolan powinien skoncentrować się na jeździe. Kiedy docieramy do Blackberry, rozprasza mnie rozpakowywanie bagaży. Nolan idzie pobiegać, a kiedy wraca, bierzemy prysznic i szykujemy się na wieczór. Wreszcie siadamy na tarasie i popijając organiczne martini, przyglądamy się słońcu zachodzącemu za granatowymi szczytami gór – to zbyt błoga chwila, żeby ją zakłócić. Podobnie jest z wykwinną, pięciodaniową kolacją w obsypanej nagrodami romantycznej restauracji The Barn, Po kolacji wracamy do pokoju i prawie natychmiast zasypiamy, zbyt najedzeni i oszołomieni wyśmienitym winem, by choć pomyśleć o odbyciu poważnej rozmowy.

*

Następnego ranka budzę się w zabytkowym łóżu z baldachimem i po kilku sekundach, które zabiera mi zorientowanie się, gdzie się znajduję i jaki jest dzień tygodnia, uznaję, że koniec wymówek: nadszedł czas. Przewracam się na bok i patrzę, jak Nolan powoli otwiera oczy.

– Dzień dobry – chrypi, zaspany.

– Dzień dobry. Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy – mówię, choć dręczy mnie przecucie, że nic w tym dniu nie będzie dobre.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiada Nolan, przeciąga się i szeroko ziewa. – Która godzina?

– Nie wiem.

Mrużąc oczy, spoglądam w okno. Przez opuszczone żaluzje przedzierają się nieśmiałe promienie słońca, ale nie jest jeszcze bardzo jasno.

Nolan sięga po telefon leżący na komódce obok łóżka.

– O cholera, prawie wpół do dziewiątej – mówi. – Spałem jak zabity.

– Ja też. Zasnęliśmy przy zapalonym świetle?

– Tak, obudziłem się koło drugiej i je zgasilem – mówi i dodaje z uśmiechem: – Bosko. Żadnych budzików. Żadnych marudzących dzieci. Nigdzie nie trzeba iść.

– Mhm – mruczę, czując narastające napięcie.

Nolan przysuwa się do mnie, z jedną nogą zaplątaną w pościel, a drugą wyciągniętą na kołdrę. W rozporku jego zielonych bawełnianych bokserów pojawia się ta sama co zwykle poranna erekcja. Chrząkam jednak, niewzruszona, i wygłaszam pierwsze, niewróżące niczego dobrego zdanie:

– Musimy porozmawiać.

Nolan przyciąga mnie do siebie i patrzy mi w oczy. Leżymy tak blisko, że wystarczyłoby kilka centymetrów i widzielibyśmy się nawzajem podwójnie.

– O czym chcesz rozmawiać? – pyta.

Oddycham głęboko.

– Pamiętasz, jak siedzieliśmy wczoraj w Cracker Barrel, a ty mówiłeś, że powinnam rzucić pracę i urodzić kolejne dziecko.

– Tak?

W jego spojrzeniu jest tyle oczekiwania i nadziei, że przez moment zastanawiam się nad zmianą kursu, powiedzeniem czegokolwiek, byle tylko go nie zranić.

– Podoba ci się ten pomysł?

Powoli kręcę głową, pocierając policzkiem o gładką powierzchnię poduszki.

– Nie – mówię. – Nie podoba mi się.

– Aha... – zamyśla się i po chwili milczenia pyta: – I nie mówisz o pracy, prawda?

– Prawda – potwierdzam szeptem.

– Chodzi ci o nas?

– Nie wiem – odpowiadam z bijącym sercem.

– Właśnie, że wiesz – mówi cicho Nolan. – Ty zawsze wiesz.

Ma rację, przynajmniej tym razem, biorę zatem głęboki wdech i wyznaję:

– Tak. Chodzi o nas.

Nolan nie reaguje, więc mówię dalej, zaczynając od początku:

– Pamiętasz, jak mnie prosiłeś o rękę? W łóży dla zawodników?

– Jasne – odpowiada, marszcząc brwi.

Zbieram się w sobie i ciągnę:

– Nie miałam wtedy pojęcia, że mi się oświadczysz. – Już mu o tym wspominałam, i to nie raz, ale

zawsze twierdziłam raczej, że była to cudowna niespodzianka, a nie szok graniczący z konsternacją. – Tak naprawdę nie byłam gotowa... Chciałam odmówić...

Nolan marszczy czoło i pyta:

– To dlaczego się zgodziłaś?

Biorę kolejny wdech i podpieram się na łokciu, wciąż patrząc mu w oczy.

– Ze względu na Daniela – mówię wreszcie.

Siadam i spoglądam mu w twarz, szukając właściwych słów, szczerych, a zarazem delikatnych.

– Po prostu... byliśmy tam we dwójkę, ty i ja... ale miałam wrażenie, że Daniel nam towarzyszy... i czułam...

Potrząsam głową i milknę, ponieważ nie da się tego wyrazić słowami.

– Co czułaś? – pyta Nolan.

– Czułam, że powinnam się zgodzić. Ze względu na Daniela – powtarzam. Mam wrażenie, że się zapętliłam. – W pewnym sensie, żeby uczcić jego pamięć.

– Halo, przestań, stop – woła Nolan, przyciskając ręce do skroni. – Chcesz mi powiedzieć, że wyszłaś za mnie, bo twój brat zginął w wypadku?

– Nie to miałam na myśli... – dukam, choć po chwili uświadamiam sobie, że Nolan całkiem dobrze sparafrazował moje słowa, wyciągając z nich to, co najważniejsze. Gdyby oświadczył mi się wtedy, gdy Daniel wciąż żył, prawdopodobnie nie przyszłoby mi do głowy, żeby powiedzieć „tak”. Ponadto przy podejmowaniu tak ważnej decyzji zapewne nie myślałabym o rodzicach, którzy ostatecznie mieli na nią całkiem duży wpływ.

– W takim razie wyjaśnij mi to, proszę – mówi Nolan, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Daj spokój – rzucam i przechodzę do ofensywy: – Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że spotykałbyś się ze mną, gdyby Daniel żył?

Spogląda na mnie ze zdumieniem w oczach.

– A co to ma znaczyć? Myślisz, że umawiałem się z tobą z litości?

– Nie z litości. Ale...

Wgapiam się w sufit, usiłując wyrazić słowami to, co od dawna tkwi w mojej głowie.

– Ale co? Meredith?

– Po prostu myślę, że zeszliśmy się z powodu Daniela.

– Co to ma wszystko znaczyć? „Ze względu na Daniela, z powodu Daniela” – przedrzeźnia mnie coraz głośniej. – W kółko to powtarzasz, a ja wciąż nie mam pojęcia, o co ci chodzi!

– Owszem, masz! – mówię, również podnosząc głos.

– Nie! Tak się składa, że naprawdę, szczerze nie.

Przełykam ślinę i uspokajam oddech, próbując zapanować nad nerwami, po czym wyjaśniam:

– A więc, po pierwsze, nie grałbyś w golfa z moim tatą tego dnia, kiedy przyjechałeś po mnie na lotnisko. Nie zaprosiłbyś mnie zatem na kolację. I nie przespałbyś się ze mną następnego wieczoru. A tydzień później nie przyleciałbyś do Nowego Jorku. Żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła, gdyby Daniel żył.

– Ale Meredith, to wszystko są tylko... zewnętrzne okoliczności. To tak, jakby powiedzieć małżeństwu, które poznało się w barze, że nie byłoby razem, gdyby jedno z nich zostało w domu.

Kręcę głową.

– Nie, to zupełnie coś innego. – Kryję twarz w dłoniach i łapię oddech, po czym znów spoglądam na Nolana. – Uważam, że oboje szukaliśmy sensu.

– Rany boskie, Meredith. To twój pomysł czy Amy znów nakładła ci czegoś do głowy?

– Mój – odpowiadam. – Ale Amy jest tego samego zdania. Poprosiłeś mnie o rękę, a ja się zgodziłam, ponieważ oboje pragnęliśmy odnaleźć w tej tragedii coś pozytywnego. Siostra Daniela i jego najlepszy przyjaciel. Wiedzieliśmy, że bez niego nigdy nie będziemy w pełni szczęśliwi, ale sądziliśmy, że w ten sposób może choć trochę zbliżymy się do szczęścia.

– Gówno prawda – przerywa mi Nolan, gwałtownie odrzucając kołdrę.

Wstaje z łóżka i trzaskając drzwiami, znika w łazience. Słyszę, jak sika, spuszcza wodę, potem odkręca kran. Chwilę później pojawia się w pokoju w stroju do biegania. Ma mokry przód koszulki, podobnie jak włosy, i wiem, że właśnie ochlapał wodą poczerwieniałą twarz.

Patrzy na mnie przez kilka długich sekund, z ręką na kolumnie łóżka, po czym mówi:

– Oświadczyłem ci się, bo cię kocham – mówi cichym i spokojnym, choć nieco drżącym głosem. – Nie dlatego, że Daniel zginął.

– W porządku – mówię, kiwając głową. – Przepraszam. Nie chciałam ci zrobić przykrości.

– Kiepsko ci to wychodzi – oznajmia, opuszczając rękę wzdłuż tułowia.

Przez moment zdaje mi się, że mówi o swoim obecnym stanie, ale wtedy wyjaśnia:

– Nie przyjmuje się propozycji małżeństwa tylko po to, żeby nie zrobić proszącemu przykrości.

Próbuję coś powiedzieć, ale on nie dopuszcza mnie do głosu.

– Nie przyjmuje się takiej propozycji również dlatego, że łączą cię z kimś dramatyczne przejścia. Przeciwnie, większość ludzi, którzy przez coś takiego przeszli, w rezultacie się rozstaje. Spójrz na swoich rodziców.

– Wiem, Nolan. Bardzo cię przepraszam, ale po prostu uznałam, że powinnam ci powiedzieć.

– W porządku. Powiedziałaś. I co ja mam teraz z tą wiedzą zrobić? Ponad siedem lat później? Czego ty właściwie chcesz?

– Chcę... chcę, żeby Daniel żył – wypalam i nagle czuję wobec siebie taką nienawiść, do jakiej mój mąż nigdy nie byłby zdolny, choćbym nie wiem, jak go skrzywdziła.

Nolan z oburzeniem wyrzuca ramiona w górę.

– Cóż, Meredith, to akurat jest niemożliwe. Poza zmartwychwstaniem albo wehikułem czasu, który przeniesie cię z powrotem do dwa tysiące pierwszego, czego jeszcze sobie życzysz?

– Chcę, żebyśmy coś na to zaradzili – mówię najpokorniejszym tonem, na jaki mnie stać.

– Niby jak!?

– Nie wiem – odpowiadam, a po całym ciele przechodzą mi dreszcze. – Proszę cię, przestań na mnie wrzeszczeć.

Nolan chucha w dłonie, jakby chciał je rozgrzać, po czym siada na otomanie i zaczyna wkładać skarpetki oraz adidas.

– Dokąd idziesz? – pytam.

– Pobiegać.

– Mogę iść z tobą?

Podnosi wzrok.

– Masz ochotę czy po prostu uważasz, że powinnaś? – pyta, a jego zmrużone oczy rzucają gniewne błyski. – A może ci się wydaje, że ja tego chcę?

– Mam ochotę – mówię, mimowolnie kończąc wysoką intonacją, która sugeruje raczej pytanie niż stwierdzenie.

Nie uchodzi to jego uwagi. Wstaje, potrząsa głową i mówi:

– Wiesz co, Meredith? Wolałbym być teraz sam.

ROZDZIAŁ 17

Josie

Po naszej drugiej randce-nierandce Pete i ja codziennie do siebie esemesujemy i dzwonimy – nawet po kilka razy. Podczas jednej z takich lekkich wieczornych pogawędek (gdy Pete żartobliwie stwierdza, że chętnie zapłodniłby mnie „w tradycyjny sposób”) przelatuje mi przez głowę myśl, że romantyczny potencjał naszej znajomości wcale się nie wyczerpał. Przez większość czasu nasze kontakty pozostają jednak całkowicie platoniczne, a ja nadal skupiam uwagę na celu, zdeterminowana, by nie tracić więcej czasu, niczego nie odkładać ani nie szukać wymówek.

Czasami przypomina mi to wszystko proces adoptowania Revisa. Najpierw musiałam zdecydować, że naprawdę chcę mieć psa – wszystko jedno jakiego – i że korzyści z posiadania zwierzaka jest więcej niż wad. Potem nadszedł czas wyboru. Przez wiele miesięcy wytrwale studiowałam rasy i szukałam hodowców, jednocześnie wynajdując w internecie zdjęcia bezdomnych szczeniaków. Jeździłam po schroniskach w całej Georgii i tak często odwiedzałam największe z nich, Humane Society przy Howell Mill Road, że praktycznie zostałam tam wolontariuszką. W końcu porzuciłam pomysł, by sprawić sobie zwierzaka z rodowodem, a później wyeliminowałam schroniskowe szczenięta, które – jak się okazało – znajdują domy o wiele szybciej niż dorosłe psy. Mimo to nadal paraliżowały mnie wątpliwości. Bezustannie skupiałam się na mankamentach potencjalnych pupili: ten za dużo szczeka, tamten gubi sierść, jeszcze inny ma geny agresywnej rasy. (Choć nie chciałam dyskryminować psiaków pochodzących od pitbulla czy rottweilera, moja siostra upierała się, żebym wzięła pod uwagę bezpieczeństwo Harper, i w końcu przyznałam jej rację).

W końcu pewnego dnia, po pracy, uznałam, że nadszedł czas podjąć decyzję. Pojechałam więc do Humane Society, weszłam do sali, w której trzymano duże psy (wzbudzające zawsze mniejsze zainteresowanie niż małe oraz szczenięta), i natychmiast zauważyłam nowego mieszkańca, Revisa. Wciśnięty w kąt budy z pustaków patrzył na mnie takim wzrokiem, że od razu zmiękło mi serce. Trzyletni czarny kundel, mieszanka labradora i collie, był większy, niż planowałam, i miał długą, puszystą sierść, którą natychmiast wyobraziłam sobie na wszystkich meblach, przede wszystkim w mojej białej sypialni. Z przyklejonej do budy kartki dowiedziałam się, że poprzedni właściciel go porzucił, ponieważ psiak cierpiał na „lęk separacyjny”, co w dosadniejszych słowach oznaczało, że zostawiony sam w domu rozszarpuje wszystko dookoła.

Już miałam ruszyć dalej, w stronę lekko pokracznej, lecz uroczej suczki, mieszanki beagle'a

i retrievera imieniem Betty, również nowej mieszkanki schroniska. Coś jednak sprawiło, że przystanąłam i uklękłam obok Revisa.

– No chodź, malutki – zawołałam cicho. – Revis, do nogi.

Spojrzał na mnie sceptycznie, wstał, pomachał puchatym ogonem i niespiesznie przydreptał. Przycisnął różowy nos w czarne ciapki do ścianki z pleksiglasu i spojrzał mi prosto w oczy.

Chwilę później wróciłam z kluczem od boksu i pozwoliłam się psu oprowadzić po dziedzińcu przed schroniskiem. Revis był uważny, czujny, dobrze chodził na smyczy i gdy usiedliśmy w cieniu drzewa, wyszeptałam mu w oklapnięte ucho:

– Hej, kolego. Będziesz mój?

Znów popatrzył mi w oczy i mogłabym przysiąc, że wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokiwał głową. Zakochałam się.

Oczywiście nawet wtedy, gdy już byłam całkowicie pewna, że to pies dla mnie, potrzebne było jeszcze dziesięć dni, dwie dodatkowe wizyty i zapoznanie Revisa z Gabe'em (który, dowiedziawszy się o „lęku separacyjnym”, wyraził stanowczy sprzeciw), zanim zapłaciłam, podpisałam papiery, oddaliłam weto Gabe'a i ostatecznie przyklepałam sprawę. Minęły trzy lata i choć Revis potrafi być prawdziwym utrapieniem, nigdy, nawet przez ułamek sekundy, nie żałowałam decyzji, by go adoptować i dać mu dom, na dobre i na złe.

Gdy pewnego wieczora dzielę się tą refleksją z Gabe'em, ten spogląda na mnie znad książki i mówi:

– Porównujesz urodzenie dziecka do przygarnięcia psa?

– Nie. Porównuję Pete'a do Revisa – odpowiadam, siadając naprzeciw niego.

Gabe zamyka książkę, zakładając kciukiem miejsce, w którym przerwał.

– Słuchaj, Josie. Nie zmuszaj mnie, żebym się zachowywał jak twoja siostra.

Poruszam się na krześle i uśmiecham, zmieszana.

– Chodziło mi tylko o to, że muszę podjąć decyzję. Po prostu muszę. Im dłużej będzie trwał ten konkurs, tym większe wątpliwości mnie ogarną. Może powinnam jednak zdecydować się na Pete'a...

– Hej, stop! Konkurs? – przerywa mi Gabe, rzucając książkę na stół. – Czy ty słyszysz, jak to brzmi?

– Konkurs, selekcja, rekrutacja. Jak zwał, tak zwał. To rynek. Nieważne, czy szukasz psa, męża czy nasienia.

Gabe przytakuje, niechętnie przyznając mi rację, co wprawia mnie w świetny humor. Ale już po chwili mówi:

– Okej. Może i tak. Ale nadal uważam, że ta cała sprawa z Pete'em to, najdelikatniej rzecz ujmując, fatalny pomysł.

– A mniej delikatnie?

– Naprawdę, ale to naprawdę fatalny.

– A widzisz? – rzucam z kąśliwym uśmiechem. – To samo mówiłeś o Revisie.

Leżący na podłodze między nami pies na dźwięk swojego imienia łąpie na mnie, nie podnosząc łba.

– I nadal tak uważam – upiera się Gabe i wskazuje stolik kawowy, który Revis poobgryzał podczas niedawnej burzy. Gabe próbował wygładzić drewno papierem ściernym i zamalował ubytki brązowym flamastrem, ale jego odcień nie pasuje do koloru mebla.

– Przecież go uwielbiasz – mówię.

Gabe marszczy czoło, patrzy na Revisa i potrząsa głową. Dawno temu nauczył się, że podczas dyskusji nie może pozwolić, bym sprowadziła go na manowce.

– W porządku. Ale czy ty naprawdę porównujesz przyszłego ojca swojego dziecka do kundla ze schroniska?

Mierzymy się wzrokiem w milczącym pojedynku. Gabe mruga pierwszy, a wtedy mówię:

– Proszę, zgódź się z nim spotkać. Jutro wieczorem? Zaprosiłam go na kolację.

– Chcesz mnie namówić na gotowanie? – pyta, mrużąc oczy.

– Może – odpowiadam. – Ale moglibyśmy również zamówić pizzę.

– Umówiłem się z Leslie – mówi.

– To ją też zaprosz.

– Będziesz przeprowadzać ankietę?

– Nic podobnego. Nie obchodzi mnie jej zdanie. – Wzdycham, bo mam już dosyć dźwięku jej imienia, zwłaszcza gdy Gabe wypowiada je z takim namaszczeniem. – Chcę usłyszeć twoją opinię, opinię zaufanego przyjaciela.

Krzyżuje ramiona na piersi i głęboko wzdycha, ale czuję, że kupiłam go tym ostatnim zdaniem.

– Czy Pete ma świadomość, że będzie tu przesłuchiwany?

– Przesłuchiwany? Nic z tych rzeczy. Czy ma świadomość, że chcę go przedstawić najlepszemu przyjacielowi? Tak. On też chce cię poznać.

– Po co? Bo mu się podobasz? Czy dlatego, że poważnie rozważa użyczenie ci swojej spermy?

– A czy jedno wyklucza drugie?

– Powinno.

– Dobrze. W takim razie wybieram opcję numer dwa – mówię. – A tak naprawdę to był jego pomysł.

– Bo chce się z tobą przespać, ty głuptasie.

– Wcale nie – protestuję. – To nie tak. Nie będziemy uprawiać seksu. Przejdziemy przez wszystkie oficjalne procedury...

Ponownie mierzymy się wzrokiem i tym razem to Gabe wygrywa.

– Chcesz więc powiedzieć, że jeśli spuści się do słoika... wybierzesz ten właśnie słoik?

– Nie mów „spuści się” – proszę go, wykrzywając twarz.

– Dobrze. Jeśli zdeponuje swoje nasienie. Swoje święte nasienie.

– Tak. Bardzo prawdopodobne, że dokonam takiego wyboru. Dlatego chcę, żebyście się poznali.

Czytałeś wszystkie eseje. Co za różnica?

– Całkiem spora – zaznacza Gabe. – Ale niech ci będzie. Obejrzę sobie tego faceta.

*

Następnego wieczoru Leslie i Pete przybywają w tej samej chwili. Zawierają w progu znajomość, gdy otwieram im drzwi. Oboje są ubrani swobodnie, w dżinsy i koszulki, chociaż Leslie ma sandały na wariacko wysokich obcasach, a jej włosy wyglądają na starannie wymodelowane.

– Cześć! Wchodźcie! – wołam, naprawdę ucieszona, że widzę Pete’a, i tylko lekko poirytowana na widok Leslie.

Pete uśmiecha się lekko i obejmuje mnie po przyjacielsku, jednym ramieniem.

– Dzięki za zaproszenie.

– Ja też dziękuję – wtóruje mu Leslie, wręczając mi butelkę wina z etykietką w stylu Andy’ego Warhola. – Będzie pasowało do pizzy, prawda? Gabe mówił, że jemy dziś pizzę?

– Zgadza się – odpowiadam. – A do pizzy pasuje wszystko.

Wymieniamy uśmiechy, ale w twarzy Leslie jest coś nieszczerego. Prawie jakby uważała, że przychodząc tu, robi mi łaskę. Nawiasem mówiąc, w pewnym sensie tak właśnie jest. Pojawiła się jednak w naszym życiu na tyle niedawno, że nie sędzę, by miała prawo mi to okazywać.

– Świetna fryzura – mówię do niej, tymczasem za moimi plecami staje Gabe.

– Dzięki – odpowiada na tyle oschle, że postanawiam utrzczyć jej nosa przy lubym.

– Prosto z salonu? – rzucam lekko.

Peszy się i z ociąganiem mamrocze, że owszem, nie chciało jej się samej tym zajmować, więc wpadła po drodze do fryzjera.

To wykroczenie poza drobny przypis do dziewczynskiego kodeksu lojalności sprawia, że czuję ukłucie wyrzutów sumienia, uśmiecham się więc i dodaję szybko:

– Rzeczywiście, w takiej wilgoci trudno poradzić sobie samemu.

Leslie mruczy coś pod nosem, ale się rozpromienia, widząc Gabe’a za moimi plecami. Gabe robi krok do przodu i całuje ją w usta, wydając z siebie takie samo okropne „mmmm”, jakie wydawał Aidan, ilekroć całował Carrie w *Seksie w wielkim mieście*. Potem obejmuje dziewczynę w talii. Muszę mu później powiedzieć, żeby nigdy więcej nie wydawał z siebie tego dźwięku, chyba że będzie jadł wyjątkowo pyszne ciasto czekoladowe. A może nawet wtedy nie.

– Pete, to jest Gabe. Mój najlepszy przyjaciel na całym świecie – mówię, dbając głównie o to, żeby moje słowa dotarły do uszu Leslie. Panowie ściskają sobie dłonie, a ja dodaję: – Gabe, to Pete. Nowy przyjaciel i potencjalny dawca nasienia.

Wszyscy troje wpatrują się we mnie osłupiali, co przyjmuję z potajemną satysfakcją.

– Ta to jak coś powie... – zwraca się Gabe do Pete’a.

– Właśnie słyszę – śmieje się Pete, a Gabe bierze Leslie za rękę i prowadzi nas do kuchni, gdzie już czeka przygotowany przez niego prosty poczęstunek złożony z kukurydzianych chipsów i guacamole domowej roboty.

– Komu margaritę? – pyta.

Wszyscy są chętni.

– Z solą?

Pete i ja kiwamy głowami, ale Leslie odmawia, co mnie nie dziwi, choć nieco drażni. Patrzymy, jak Gabe z wprawą skrapla sokiem z limonki brzegi trzech kieliszków. Przyciska je do podkładki posypanej gruboziarnistą morską solą, po czym z precyzją zawodowego barmana wypełnia wszystkie cztery kieliszki alkoholem z dzbanka.

– Proszę bardzo – mówi.

Sięgamy po drinki, mrużąc podziękowania. Ostrzegam gości przed działaniem mikstury Gabe’a.

– To w zasadzie czysta tequila – wyjaśniam. – Z kapką soku z limonki.

Gabe puszcza do nas oko (co w mojej obecności zrobił dotąd tylko dwa razy), unosi kieliszek i z powagą wygłasza niespodziewany toast (co zdarza mu się równie często jak puszczenie oka).

– Za nowe znajomości – mówi. – I wszystko, co ze sobą przyniosą.

Stukamy się, a ja unoszę wzrok do sufitu. Gabe, lekko speszony, wzrusza ramionami.

– A więc – zagaja, zwracając się do Pete’a – Josie mówiła, że jesteś z Wisconsin?

Pete kiwa głową i panowie wdają się w swobodną pogawędkę o Środkowym Zachodzie, a konkretnie o pasjonujących ich obu wyjazdach pod namiot i narciarstwie. To prowadzi do dyskusji na temat studiów, pracy, a nawet polityki (obaj są samozwańczymi libertarianami). Leslie i ja wtrącamy coś od czasu do czasu, zadaję jej też kilka uprzejmych pytań. Jednak przede wszystkim dbam o to, żeby Gabe i Pete się polubili. Kiedy dopijamy margarity, mogę już śmiało stwierdzić, że zapałali do siebie sympatią. Na pewno Gabe polubił Pete’a – to właśnie jest najważniejsze.

– Podobni jesteście do siebie – zauważam dość bezpośrednio, gdy na chwilę zapada cisza. – Wiedziałam, że się dogadacie.

Obaj się uśmiechają.

– Cieszę się, że przypadliście sobie do gustu.

– Jeśli ty jesteś szczęśliwa, to my też, no nie, Pete?

– Ach, więc to ten typ? – Pete unosi brwi. – Jeśli nie jest zadowolona, to nikomu innemu nie wolno być?

– O tak – potwierdza Gabe, kiwając głową. – Dokładnie ten typ.

– Wcale nie – protestuję, choć wiem, że po części mają rację.

Kątem oka zauważam, że Leslie mierzy mnie krytycznym spojrzeniem. Może to tylko mój wymysł, ale mam wrażenie, że nie lubi, gdy jestem w centrum uwagi – przynajmniej kiedy chodzi o uwagę Gabe’a – i nagle czuję się odrobinę nieswojo. Zmieniam więc temat: otwieram szufladę, wydaję z niej talię kart i zaczynam tasować.

– Zagramy w kierki? – pytam, spoglądając najpierw na Pete’a.

– Jasne – odpowiada. – Ale ostrzegam, jestem naprawdę dobry.

– Znasz wszystkie sztuczki? – pytam.

– Tak – odpowiada, patrząc mi w oczy. – Naprawdę jestem w to niezły. – Zwracając się do Gabe’a, dodaje: – Josie sprawdza moją inteligencję. Pewnego wieczoru przy kolacji kazała mi rozwiązywać łamigłówki.

– No i co z tego? – mówię. – Chcę mieć bystre dziecko.

– Tak – wtrąca Gabe. – Zależy jej na dobrych genach.

– Trudno, świetnie – odpowiadam z przekorą.

– No wiem. Właśnie w tym problem. Nie wiadomo, czy trudno, czy świetnie.

Uderzam go w żartach i pytam Leslie, czy grywa w karty.

– Oczywiście nie licząc makao.

Dziewczyna waha się, krzyżuje ramiona na płaskiej klatce piersiowej i odpowiada:

– Trochę. Ale nigdy nie grałam w kierki.

– Możemy cię nauczyć – proponuję.

– Jeśli chcecie...

Leslie zerka na Gabe’a, jakby chciała mu telepatycznie przekazać wiadomość.

– Nie... nie mam ochoty na grę w karty. Lepiej pogadajmy – mówi Gabe, który sprawnie wyczytał z jej oczu, że to ona nie ma ochoty na grę.

– Okej – wzruszam ramionami. – To była tylko taka luźna propozycja.

Gabe chrząka.

– Może zamówimy już pizzę?

– Jasne. – Sięgam po telefon. – Zadzwoń do Blue Moon. Na co macie ochotę? Salami i pieczarki?

– Brzmi dobrze – mówi Pete.

– Leslie jest wegetarianką – informuje Gabe.

– Ach tak? – rzucam, posyłając jej krzywy uśmiech.

– Tak – potwierdza Leslie, unosząc podbródek.

No to jedziemy, myślę i oddaję pierwszy strzał:

– Ze względu na zdrowie czy ideologię?

– Jedno i drugie.

– Hm. Zatem mam dla ciebie idealnego dawcę nasienia – mówię, myśląc o Glennie S., aktywiście walczącym o prawa zwierząt. – Gdybyś kiedyś potrzebowała.

Leslie uśmiecha się swoim uśmiechem dwudziestokilkulatki.

– Dzięki. Ale mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

*

Nieco później odbieramy od dostawcy pizze (jedna z salami i pieczarkami, druga bezglutenowa wegetariańska). Gabe, Pete i ja zjadamy po trzy kawałki, Leslie wmusza w siebie jeden, minus spód. Jedząc, zastanawiam się, dlaczego za każdym razem, gdy się odzywa, mam ochotę rzucić mięsem (taki wegetariański żarcik). Czyżbym zazdrościła jej świeżej, gładkiej twarzy i rozbuchanej płodności? A może samolubnie pragnę zatrzymać Gabe’a tylko dla siebie, zmonopolizować jego uwagę, zwłaszcza teraz, gdy stoję u progu przytłaczającego, przerażającego wręcz przedsięwzięcia? Niewykluczone, że chodzi i o jedno, i o drugie.

Po jakimś czasie stwierdzam, że przyczyną jest raczej sama Leslie: ma w sobie coś nieokreślonego, czego po prostu nie lubię. To nie jest kwestia słów ani czynów, bardziej tego, czego nie mówi i nie robi. Odpowiada na wszystkie moje pytania: o to, czy ma rodzeństwo (jedną siostrę), gdzie studiowała (na Uniwersytecie Tuftsa), gdzie dorastała (w Alexandrii w stanie Wirginia), ale sama ani razu o nic mnie nie pyta. Owszem, dopuszczam możliwość, że Gabe jej o mnie opowiadał, ale moim zdaniem to niczego nie tłumaczy. Leslie przez cały wieczór siedzi przy stole z zarożumiałą miną, otoczona nimbem artystki.

– A więc – mówi w pewnej chwili Gabe po tym, jak po raz kolejny nawiązałam do tematu sztucznego zapłodnienia – naprawdę myślicie o tym poważnie?

Spoglądamy z Pete’em po sobie i wymieniamy uśmiechy.

– Ja tak – mówię.

– Ja też – dopowiada Pete. – Ale wszystko zależy od Josie. Jestem pewien, że zdołałaby znaleźć lepszego kandydata.

Uśmiecham się jeszcze szerzej, słysząc te życzliwe, a zarazem skromne słowa.

– Ale jak to będzie wyglądało? – pyta Gabe. – Nie chodzi mi o szczegóły techniczne, tylko... jak to urządzić?

– Nie zabrnęliśmy jeszcze tak daleko – przyznaje Pete. – Myślę jednak, że to też będzie zależało

od Josie.

– Czyli wszystko zależy od Josie? – dziwi się Gabe, ze sporą dozą sceptycyzmu w głosie, niczym ojciec przepytujący nowego absztyfikanta córki.

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na reakcję Pete’a. Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo pragnę, żeby zdał ten egzamin.

– Może nie wszystko... – mówi.

Gabe unosi brew i czuję, że zaraz zawoła: „Ha!”, ale on po prostu czeka. Pete zakłada nogę na nogę i po namyśle dodaje:

– Chyba chodzi mi o to, że... nie proponuję jej wszystkiego. Tylko swoje nasienie – kończy z nerwowym śmiechem.

Gabe zachowuje kamienną twarz. Trudno mi stwierdzić, czy to oznacza jawną dezaprobatę, czy tylko zwykły niepokój.

– Nie zadeklarowałeś zatem finansowego wsparcia ani niczego w tym stylu?

– Nie – mówi Pete. – Nie wykluczam, że od czasu do czasu mogę wesprzeć Josie... Sam jeszcze nie wiem. Nie ustalaliśmy tego. Ale nie będzie to tradycyjny układ. Nie będę ojcem...

– Nie? – podchwytuje Gabe.

– Biologicznym owszem... Ale nie będę tatą.

– A jeśli Josie zajdzie w ciążę, a potem uzna, że nie chce cię więcej widzieć?

– Rozmawialiśmy o tym.

– I co?

– Zrozumiem.

Gabe przypatruje mu się przez chwilę.

– To co ty będziesz z tego miał?

– A muszę coś mieć?

– Chyba nie – przyznaje Gabe i wzrusza ramionami. – Ale ludzie zazwyczaj dbają o własne interesy.

– Zazwyczaj, ale nie zawsze. Nie oddawałeś nigdy krwi?

– Krew i nasienie to niezupełnie to samo, nie sądzisz?

– Gabe – wtrącam, czując że powinnam bronić Pete’a. – Przeczysz sam sobie. Kilka tygodni temu porównywałeś to do dawstwa organów, pamiętasz?

– Owszem – odbija piłeczkę Gabe. – A ty twierdziłaś, że to całkiem inna sprawa. Pamiętasz?

Otwieram usta, ale on nie daje sobie przerwać.

– Poza tym nie chodzi o twoje albo moje poglądy, tylko o to, co myśli Pete. Próbuję zrozumieć, jaki ma do tego stosunek. – Wciąż spięty, zwraca się do Pete’a: – Spróbuj opisać swój idealny

scenariusz.

– Idealny scenariusz. No więc tak... – zaczyna Pete, ale urywa.

– Stawiasz go w niezręcznej sytuacji – protestuję w obawie, że biedak po prostu wstanie i wyjdzie.

Czemu miałby zgadzać się na to przesłuchanie?

Jednak Pete tylko kręci głową.

– Nie, w porządku. Myślę... Idealny scenariusz byłby taki, że oddaję nasienie... Josie zachodzi w ciążę... rodzi piękne, zdrowe dziecko... swoje dziecko, ale...

– Ale? – rzuca się na niego Gabe.

– Ale może pozwoli mi na jakiś ograniczony dostęp do niego.

– Zdefiniuj słowo „ograniczony” – żąda Gabe.

– Bo ja wiem? Wspólne wyjście raz do roku. Może na mecz Bravesów?

– Kibicujesz Bravesom? – pyta Gabe, jakby to miało jakieś znaczenie.

– Nie. Brewersom. Ale zakładam, że żadne wyjazdy nie wchodziłyby w grę, dlatego zadowolę się Bravesami – uśmiecha się Pete.

– A jeśli zabierając dzieciaka na mecz... przywiążesz się do niego? – nie daje za wygraną Gabe.

– To pewnie nieuniknione.

– I co wtedy? Nie widzisz problemu?

– Gabe – wtrącam się, lekko już wkurzona. – Czemu próbujesz go zniechęcić?

– Nie próbuję – rzuca ze złością.

– Nic nie szkodzi – uspokaja Pete. – To nawet pomaga. Mów dalej.

– Okej. – Gabe kiwa głową i bierze głęboki oddech. – Poczytałem trochę na ten temat.

Spoglądam na niego z przyganą, zastanawiając się, czemu nie podzielił się tym najpierw ze mną.

– Nawet jeśli masz wszystkie niezbędne dokumenty, sąd nadal może je unieważnić. Co oznacza... – Gabe dramatycznie zawiesza głos – ...że Josie, gdyby zechciała, mogłaby pozwać cię o alimenty. A ty ją o uznanie ojcostwa, a nawet podział opieki – kończy i spogląda na mnie surowo.

– Nie zrobiłabym tego – rzucam, niemal gotując się ze złości.

– Ani ja – dodaje Pete.

– Co nie zmienia faktu, że to możliwe – upiera się Gabe. – Takie rzeczy się zdarzają. Ryzyko zawsze istnieje.

– Nie, jeśli skorzystamy z usług licencjonowanego specjalisty – odpala Pete. – W takich przypadkach niemal zawsze dotrzymuje się umów.

Zerkam na niego zaskoczona, a on uśmiecha się lekko, a zarazem uroczo.

– Ja też trochę poczytałem.

Wzruszona, odwzajemniam uśmiech.

– Serio?

– Oczywiście – odpowiada i kiwa głową.

Na kilka sekund zapominam o moim przyjacielu i jego dziewczynie, lecz po chwili Gabe chrząka i sięga po ostatni argument.

– Słuchajcie. Muszę być z wami szczery: moim zdaniem to kiepski pomysł, bardzo, bardzo kiepski.

– A mnie się podoba – zupełnie niespodziewanie włącza się Leslie.

Wszyscy zwracamy się w jej stronę, tymczasem ona dodaje:

– Josie chce mieć dziecko. A Pete chce jej pomóc. W czym problem?

To miłe słowa, ale jej gesty, ton i całe zachowanie pełne są ukrytych znaczeń. Zmienia pozycję, kładzie głowę na ramieniu Gabe’a i ziewa znużona, wyraźnie pragnąc zakończyć tę rozmowę.

Pete ignoruje ją i zwraca się do Gabe’a:

– Oczywiście bierzemy wszystko pod uwagę. Mamy dużo do przedyskutowania. Również z profesjonalistami w tej dziedzinie. Z lekarzem i prawdopodobnie z prawnikiem – oznajmia opanowanym i rzeczowym tonem. – Wydaje mi się, że najlepiej dla wszystkich zainteresowanych byłoby, gdybym zrobił swoje i zniknął.

Zerkam na niego, rozczarowana, i dopiero następne zdanie sprawia, że wzbiera we mnie nadzieja, choć nie jestem pewna na co.

– Ale nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy z Josie ustalili własne reguły – mówi, spoglądając na mnie z czułością, która zapiera mi dech w piersiach. – Prawda, Josie?

– Prawda – potwierdzam z szerokim uśmiechem, szczęśliwa niczym zakochana małolata.

*

Następnego ranka leżę w łóżku, przeglądając Instagram, gdy do drzwi mojej sypialni puka Gabe, który właśnie wrócił od Leslie.

– Proszę – wołam, odkładając telefon i siadając prosto.

Otwiera drzwi, lekko potargany i zmęczony, ale też niebywale ożywiony.

– To okropny, fatalny, całkowicie nietrafiony pomysł – oświadcza, nawiązując do mojej ulubionej książki dla dzieci, którą trzymam zawsze na nocnym stoliku, razem z *Haroldem i fioletową kredką* oraz *Pięcioma Chińczykami*.

Udając głupią, pytam z udawanym spokojem:

– Co takiego?

– Ta cała sprawa z Pete’em. Coś mi mówi, że to się bardzo, bardzo źle skończy. – Podejrzliwie rozgląda się po pokoju i pyta: – Został na noc?

– No coś ty – odpowiadam, pozorując oburzenie. – Oczywiście, że nie.

– Aha... – rzuca, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie został! – powtarzam. – Rany, o co ci chodzi?

– To się źle skończy – powtarza.

– Nie lubisz go?

– Jasne, że lubię – mówi, siadając w nogach łóżka. – Ale to jeden z twoich najgorszych pomysłów w życiu.

– A to czemu? – pytam.

– Temu – odpowiada.

Przedstawia mi długą listę potencjalnych zagrożeń, włącznie z tymi, o których mówił poprzedniego wieczoru. Pete się przywiąże i pozwie mnie o prawo do opieki. Mój przyszły mąż go znienawidzi. Albo jego przyszła żona znienawidzi mnie. Przyrodnie rodzeństwo mojego dziecka będzie mieszkać w tym samym mieście. Przerywam mu dopiero, gdy zaczyna roztaczać dramatyczną wizję mojej rozdartej wewnętrznie córki, niezdolnej zdecydować, kto poprowadzi ją do ołtarza: biologiczny ojciec czy mężczyzna, którego poślubiłam?

– Przecież ja nawet nie wzięłam jeszcze ślubu, a ty już wydajesz za mąż moją córkę? – pytam z niedowierzaniem. I dodaję, nie pozwalając mu dojść do głosu: – Każdy związek pociąga za sobą ryzyko. Spójrz na siebie i Leslie. Skąd wiesz, że nie zmajstrowałeś jej dziś w nocy dzieciaka? Co wtedy?

– Po pierwsze, to niemożliwe. Nie uprawialiśmy seksu.

– Taa, jasne – mówię, przypominając sobie to wstrętne „mmm”. – Przez cały wieczór nie mogliście się od siebie odkleić.

– Jeśli już musisz wiedzieć, to pokłóciliśmy się. Po raz pierwszy.

– Przykro mi – mówię i usiłuję opanować pokusę wypywania go o szczegóły. – Ale w którymś momencie pewnie zrobisz jej dziecko albo się z nią ożenisz. A po fakcie dojdiesz do wniosku, że to skończona idiotka.

Ostatnie słowo wypowiadam z tak wielką mocą, na jaką tylko mnie stać.

– To zupełnie inna sytuacja – odpowiada, a ja dopiero teraz zauważam jego podkrążone oczy i rosnącego na czole olbrzymiego pryszczu. – Dobrze o tym wiesz.

– Każda sytuacja jest inna – mówię.

– Owszem – przyznaje. – Na przykład twoja aż się roi od pułapek i niebezpieczeństw. Gdybym miał do wykorzystania jeden sprzeciw wobec tego, jak sobie układasz życie, wykorzystałbym go właśnie teraz.

Patrzę na niego, wyobrażając sobie zadarty nosek Leslie, i pytam, czy mnie także przyznałby podobne prawo weta.

– A wiesz, na czym polega największy problem – dodaje, jakby mnie nie słyszał. – W całym

morzu olbrzymich problemów?

- Na czym? – ryzykuję.
- Facet naprawdę cię lubi.

Wpatruję się w niego, zdezorientowana, więc wyjaśnia:

- Pete.
- Wiem, którego „faceta” masz na myśli – mówię. – Ale nic nie rozumiesz. To jasne, że mnie lubi.

Inaczej by tego nie robił.

Gabe kręci głową.

– Podobasz mu się. Nie patrzy na ciebie jak kolega, jak gość, który mówi: „Hej, pozwól, że użyję ci nieco swojej spermy”. Patrzy na ciebie jak ktoś, kto chce się z tobą umówić, przespać, może nawet wziąć ślub.

- Zwariowałaś! – wołam ze śmiechem i ciskam w niego poduszką.

Gabe wyrzuca ją do góry i oboje patrzymy, jak poduszka płasko ląduje na łóżku.

– Jestem facetem – mówi mój przyjaciel spokojnym, stanowczym tonem. – Zauważam takie rzeczy. I mówię ci: to się skończy cholerną katastrofą. Największą, do jakiej kiedykolwiek się przyczyniłaś. A to coś znaczy.

Urywa i poważnieje. Wiem, że myśli o tym samym co ja.

- Przepraszam, ale rozumiesz, o co mi chodzi? – dodaje, patrząc na mnie z zakłopotaniem.

– Tak – odpowiadam, pokonana, bo oboje wiemy, że w przeszłości zdarzyła mi się katastrofa o wiele większa i o wiele mroczniejsza.

ROZDZIAŁ 18

Meredith

Nolan wraca do pokoju kilka godzin później. W czasie jego nieobecności zdążyłam się wypłakać, wziąć prysznic, ubrać się i rozryczeć jeszcze raz. Oznajmia mi, że jego zdaniem nie powinniśmy psuć sobie reszty weekendu. To w jego stylu. Choć tchórzliwa część mojej natury przyjmuje jego słowa z ulgą, jednocześnie trudno mi w nie uwierzyć i ogarnia mnie lęk, że nic się nie zmieni – w moim sercu, naszym małżeństwie, w moim życiu.

Ten lęk narasta, kiedy wieczorem wymieniamy się życzeniami, jemy długą, romantyczną kolację, a potem wracamy do pokoju, gdzie, pełna wyrzutów sumienia, niechętnie inicjuję seks.

Gdy się kochamy, staram się o niczym nie myśleć, co prowadzi mnie do refleksji, że seks to w dużej mierze kwestia tego, co dzieje się w głowie. Innymi słowy, praktycznie nie sposób uczynić go aktem czysto fizycznym. Zawsze chodzi o coś więcej.

Po wszystkim Nolan wtula się we mnie i pyta:

– Doszłaś...?

– Nie zauważyłaś? – mamroczę.

– Chciałem się upewnić – szepcze.

– Tak, doszłam – odpowiadam.

– To dobrze.

Mocno mnie przytula. W jego silnych, ciepłych ramionach czuję się bezpieczna i ogarnia mnie uczucie będące całkowitym zaprzeczeniem wszystkiego, o czym mówiłam rano. Całuję go w zagłębienie łokcia, jedyne miejsce, którego mogę dosięgnąć, i mówię:

– Nolan, przepraszam.

Chcę jeszcze coś dodać, jakoś się wycofać ze swoich niedawnych słów, ale on ucisza mnie i szepcze:

– Śpijmy już, kochanie.

Zamykam oczy i postanawiam, że na razie wolę wątpić w samą siebie niż w swoje małżeństwo.

*

Następnego ranka tuż po śniadaniu wracamy do Atlanty. Jedziemy prosto do domu mojej matki,

żeby odebrać Harper. Zostawiliśmy ją tam niecałe czterdzieści osiem godzin temu, ale wydaje mi się, że minęło znacznie więcej czasu. Widzę, że Nolan stęsknił się za córką równie mocno jak ja. Do domu mojej mamy wpadamy prawie biegiem. Nolan pierwszy dopada Harper, podnosi z krzeselka i mocno przytula. Czekam obok, wdychając truskawkowy zapach jej balsamu do ust. Jednak przywitawszy się z Nolanem, mała od razu wraca do stolika, przy którym pracuje nad jakimś skomplikowanym artystycznie projektem, tworzonym przy użyciu kredek, gumki do mazania i kleju we wszelkich możliwych postaciach, a także ogromnych ilości fioletowego brokatu.

– Ja też chcę przytulaska i buziaka – mówię, kucając obok córki.

Obraca nieznacznie głowę i nieuważnie cmoka mnie w policzek.

– A nie przytulisz mnie?

Potrząsa głową.

– Później, mamo. Jestem bardzo zajęta.

Bez wątpienia musiała to od kogoś usłyszeć. Ze wstydem uświadamiam sobie, że tym kimś byłam ja sama.

– Co rysujesz? – pytam, siadając obok córeczki.

Zastanawiam się, czemu moja matka nie przykryła stolika folią albo gazetą. Fioletowy brokat wnika w szczeliny rustykalnego drewnianego blatu. Powstrzymuję jednak pokusę, by natychmiast zabrać się do sprzątnania, i czekam na odpowiedź.

– Zamek. To ty – wyjaśnia Harper.

Pokazuje mi brunetkę o owalnej twarzy, wyzierającą z półkolistego okna na drugim piętrze. Postać nie ma groźnej miny, ale też trudno mówić o uśmiechu. Jej usta to prosta, lekko rozmazana czerwona kreska.

– A co mama tam robi? – pyta Nolan, siadając z drugiej strony.

– Wygląda sobie – informuje go Harper. – Patrzy na drzewo. I na tego niebieskiego ptaszka.

Zauważam, że jej palce powoli przestają być po niemowlęcemu pulchne i stają się smukłymi palcami małej dziewczynki.

Patrzemy z mężem na siebie. Ciekawe, czy Nolan tak samo jak ja próbuje właśnie przeprowadzić psychologiczną analizę dzieła naszej córki.

– A ty gdzie jesteś? – pytam, choć na dziedzińcu przed zamkiem wyraźnie widzę figurkę w różowej trapezowej sukience, obok uderzająco ładnego, uśmiechniętego mężczyzny.

– Tutaj – odpowiada. – Z tatusiem.

– Co za szczęśliwa para – mruczę pod nosem, ale Harper mnie słyszy i powtarza z uśmiechem, kiwając głową:

– Szczęśliwa para.

Zmieniam temat.

– Fajnie było z babcią? – pytam.

– No.

– Mówi się „tak” – poprawiam ją łagodnie.

– Tak – odpowiada, posypując kwietnik przed zamkiem fioletowym brokatem.

– Cudnie się bawiłyśmy – wtrąca mama, czule spoglądając na małą. – A jak wam się udał weekend?

– Świetnie – rzucam z wymuszoną wesołością. – Wypoczęliśmy. To takie piękne miejsce...

Nolan pospiesznie przytakuje. Mama wygląda na zadowoloną.

– To wspaniale – mówi.

– Co robiłyście? – pytam, spoglądając to na nią, to na córkę.

– Hm... Oglądałyśmy filmy. Prawda, Harper?

Mała kiwa głową.

– Tak. *Zakochanego kundla, 101 dalmatyńczyków...* No i jeszcze *Lassie wróc*.

– Wszystko o pskach, rozumiem – stwierdza znacząco Nolan i zerka w moją stronę.

Nie tylko męczy mnie o drugie dziecko, ale też od miesiący nalega, byśmy sprawili Harper szczeniaka. Twardo odmawiam, bo wiem, że to na mnie spadnie obowiązek wyprowadzania go na spacer, karmienia i sprzątanego kup.

– A skoro już mowa o psach – wtrąca mama – ciocia Josie wpadła do nas dziś z Revisem na późne śniadanie. Dopiero co wyszli.

– A to pech – mówię dość oschle.

Matka rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie.

– No co? – pytam niewinnie.

– Bądź miła – mówi i pyta: – Wciąż się do siebie nie odzywacie?

– Nie.

Jestem pewna, że o tym dyskutowały. Dobrze znam wyjątkowy talent mojej siostry do robienia ze mnie czarnego charakteru.

– Powinnaś z nią porozmawiać.

– A dlaczego?

Doskonale wiem, co usłyszę: „Bo jest twoją siostrą”. Moje przypuszczenia się sprawdzają, a mama chrząka i dodaje:

– Poza tym urodzi dziecko. Powinniśmy ją w tym wspierać.

– Naprawdę sądzisz, że to zrobi? – pyta Nolan.

Mama kiwa głową.

– W dodatku już wybrała dawcę.

Wzdrygam się, ale milczę, twardo postanowiwszy nie zadawać pytań i w żaden sposób nie przyjmować do wiadomości decyzji Josie. Nolanowi obce są takie niuanse i zaciekawiony wypytuje dalej.

Mama wzdycha głęboko i ze szczegółami opowiada nam życiorys jakiegoś zupełnie obcego faceta:

– Ma na imię Pete. Pochodzi ze Środkowego Zachodu, mówiła, zdaje się, że z Wisconsin... Ale mieszka w Atlancie. Ma czterdzieści jeden lat. Wzrostu chyba metr siedemdziesiąt osiem, albo osiemdziesiąt. Szatyn z piwnymi oczami.

Nabiera powietrza. Nolan słucha z uwagą, ja zaś udaję znudzoną.

– Co jeszcze... Irlandzkie i niemieckie korzenie... Choć wychowany w katolickiej rodzinie, nie jest religijny. Ale uduchowiony, jak najbardziej. Wierzy w Boga. Lubi spędzać czas na świeżym powietrzu, wiece, namioty, rowery, narty. Bardzo wysportowany. Okaz zdrowia. Ma licencjat z fizjoterapii i właśnie tym się zajmuje. Inteligentny, dobry z przedmiotów ścisłych...

– Sam się tym chwali? – pytam.

Mama nie zwraca na mnie uwagi.

– Aha, Josie mówiła, że ma dołek w brodzie. To zawsze się jej podobało u facetów.

– Nadzwyczajnie – wtrącam cierpko.

– Meredith – upomina mnie surowo matka. – Naprawdę powinnaś zmienić ton.

– Czemu? Ona swojego nigdy nie zmienia – rzucam, choć wiem, jak dziecinnie to brzmi. – Nie pamiętam, żeby mi kiedykolwiek odpuściła.

– Nieprawda – mówi mama, tym razem łagodnie. – Ostatnio bardzo się stara.

Krzyżuję ramiona na piersi i marszczę czoło.

– Ciekawe, jak to się objawia.

– Na przykład zgodziła się pojechać z nami w grudniu do Nowego Jorku.

– To się jeszcze okaże. Założę się o stówę, że zmieni zdanie.

Jest to jedna z ulubionych strategii Josie: ustąpić, a potem w ostatniej chwili się wymigać.

Mama kręci głową.

– Nie. Naprawdę chce się zobaczyć z Sophie – mówi z przekonaniem, od którego kraje mi się serce. – I uważam, że to jej wyjdzie na dobre. Nam wszystkim, ale zwłaszcza jej.

– A dlaczego?

– Josie musi się zmierzyć ze swoją żalobą – mówi mama. – Dotychczas tego nie zrobiła. Myślę, że spotkanie z Sophie jej w tym pomoże... Powinnyśmy niedługo kupić bilety i zarezerwować pokoje w hotelu. W czasie świąt do Nowego Jorku przyjeżdża mnóstwo ludzi...

Milknie i oczy zachodzą jej łzami. Wiem, że myśli o Danielu i o tamtych świątach, o choinkach, bombkach i kolędach, które w naszej rodzinie od lat symbolizują śmierć.

Patrzę na Harper. Dorysowuje przed zamkiem kolejne drzewo, tym razem iglaste. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywa i ciszę zakłóca tylko skrobanie kredek o papier oraz Nolan, który stuka palcami w blat stołu. Zirytowana tym monotonnym dźwiękiem, uciszam go, nakrywając swoją dłonią jego dłoń.

Rzuca mi gniewne spojrzenie, a potem odkasłuje i mówi:

– Skoro już jesteśmy przy Nowym Jorku, to niewykluczone, że Meredith wybierze się tam wcześniej niż w grudniu.

Spoglądam na niego, zmieszana. Ostatnio razem z Ellen planowałyśmy, że spędzimy tam babski weekend, myślałyśmy też, że pojedę z nią na którąś z sesji. Nie przypominam sobie jednak, bym mówiła o tym mężowi, głównie z tego powodu, że nie sądziłam, by pozwolił mi na to nawał pracy w kancelarii.

– O? – dziwi się mama. – Jakaś delegacja?

– Nie – odpowiada za mnie Nolan. – Meredith potrzebuje przerwy. Chwili oddechu.

– Czy nie po to wyjechaliście? – pyta mama, najwyraźniej równie zdezorientowana jak ja.

– Meredith potrzebuje dłuższej przerwy. Prawdziwej. Od pracy. Od Harper. Ode mnie. – Mój mąż uśmiecha się sztucznie, po chwili prychnie nienaturalnym chichotem. – Nie sądzisz, że to jej dobrze zrobi?

Mama kiwa głową, ale nie wygląda na przekonaną.

– Cóż, nam wszystkim pewnie przydałby się odpoczynek... Jak myślisz, kochanie?

– Nie potrzebuję żadnej przerwy – odpowiadam, jednocześnie zaniepokojona i bojowo nastawiona.

Nolan z udawaną wesołością mierzwi mi włosy.

– Oj, potrzebujesz, potrzebujesz. Parę tygodni dobrze ci zrobi.

– Parę tygodni!? – wykrzykujemy chórem.

– A co z Harper? – pyta mama, podczas gdy ja posyłam mężowi mordercze spojrzenie.

– Och, to żaden kłopot. Cholera, Josie planuje samotnie wychowywać dziecko, więc ja na pewno poradzę sobie z tym samym przez parę tygodni.

Gapię się na niego, osłupiała, i gorączkowo zastanawiam się, kiedy to wymyślił. Wczoraj, podczas joggingu? Wieczorem, gdy skończyliśmy uprawiać seks? Czy podczas jazdy samochodem, gdy oboje milczeliśmy przez całą drogę?

Nolan pogwizduje przez chwilę jakąś niemożliwą do rozpoznania piosenkę, by wreszcie rzucić:

– Może ja też zrobię sobie urlop? Spędzę trochę czasu z moją córką? Fajnie by było, co, Harper?

– Mhm – mówi mała, nie podnosząc wzroku.

– I babcia na pewno nam pomoże. Druga babcia i dziadek. No i oczywiście Josie. Nasza kochana ciocia.

Mama marszczy brwi, wyraźnie zdezorientowana kontrastem między jego nadmiernie entuzjastycznym tonem a tym, co czai się w jego słowach. Na jej czole rysują się głębokie zmarszczki.

– Powinam się martwić? – pyta.

– Nie – odpowiadam.

– Ależ skąd – wtóruje mi Nolan. – Nic podobnego. Meredith musi po prostu przemyśleć kilka spraw. Prawda, Mere?

Przygryzam wargę i przytakuję bez przekonania. Mama pyta, jakie to sprawy.

– Och, poważne – szczebiocze wesoło Nolan. – Niezwykle głębokie.

– A czego dotyczą? – pyta mama.

W tym momencie mogę już tylko minimalizować szkody, odpowiadam więc krótko:

– Pracy.

– Zatem poważnie myślisz o odejściu?

Jej czoło odrobinę się wygładza.

Otwieram usta, by wygłosić jakiś banał o wypaleniu zawodowym, ale Nolan po raz kolejny odpowiada za mnie:

– Tak.

Stanowczo wypowiada słowo, którego prawie nigdy nie używa. To dlatego z ust Harper ciągle słyszę „no” albo „mhm”. Potem odwraca się i spogląda mi w oczy.

– Meredith myśli o tym bardzo poważnie.

*

– Co to miało znaczyć, do cholery? – pytam go, gdy przekraczamy próg naszego domu i zostajemy sami (o ile to możliwe z Harper przebywającą w pokoju obok). Głos mam opanowany i cichy, ale w środku aż się trzęsę z wściekłości.

– Co? – pyta Nolan z pełnym biernej agresji wzruszeniem ramion. – Uważam, że to świetny pomysł. Potrzebujesz czasu, żeby pomyśleć.

– A z jakiego powodu nie omówiłeś tego najpierw ze mną?

Próbuję zeskrobać paznokciem resztkę zaschniętej owsianki z miski, którą dwa dni temu zostawił w zlewie. Owsianka stwardniała na kamień. W końcu poddaję się i wkładam miskę do zmywarki.

– A z jakiego powodu nie wspomniałaś, że nasze małżeństwo to smutny żart? – odpowiada pytaniem na pytanie Nolan.

– Niczego podobnego nie mówiłam. I wcale tak nie myślę.

– Okej. W takim razie z jakiego powodu nie wspomniałaś, że nasze małżeństwo to jedna wielka pomyłka?

– Tego też nie powiedziałam, Nolan – mówię, obracając się na pięcie i spoglądając mu w oczy.

Odwzajemnia spojrzenie z buńczuczną pogardą.

– Co zatem powiedziałaś?

– Nie wiem. Nolan... ja już nic nie wiem.

– Powinnaś więc wyjechać i się nad tym zastanowić.

– Nie mogę sobie tak po prostu wyjechać – protestuję, ujmując się pod boki. – Co będzie z Harper?

– Już mówiłem. Poradzę sobie.

Patrzę na niego i myślę, że nie ma zielonego pojęcia, jak się włącza pralkę, nie wspominając już o mnóstwie innych szczegółów codziennego funkcjonowania naszej córki. Przypomina mi się mój ostatni wyjazd w delegację; Nolan przez trzy dni nie wyciągał nawet listów ze skrzynki.

– A co z pracą? Będziesz za mnie chodził do kancelarii?

Wzrusza ramionami.

– Weź urlop. Wszyscy dokoła tak robią. Albo rzuć to w diabły. Nie znosisz tej roboty. Po co zajmować się czymś, czego nienawidzisz?

– Wcale nie nienawidzę mojej pracy – oznajmiam z naciskiem, myśląc, że te jego wieczne uproszczenia stanowią część problemu.

– Owszem, nienawidzisz. Gardzisz nią. Żałujesz, że wyjechałaś z Nowego Jorku i nie zostałam sławną aktorką.

Otwieram usta, żeby zaprotestować. Nigdy nie pragnęłam sławy. Chciałam pracować w teatrze. Najbardziej na świecie marzyłam o nagrodzie Tony, a jak wiele laureatek Tony jest powszechnie znanych? Tyle że to wszystko ma teraz znikome znaczenie.

– Zamiast tego jesteś prawniczką w Atlancie – ciągnie Nolan. – Wyszłaś za mnie. I to był wielki, ogromny błąd.

– Nolan – zaczynam podniesionym głosem – proszę cię, przestań gadać głupoty. Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale pomyślałaś – rzuca. – Może nie?

W głowie mam gonitwę myśli i powoli dociera do mnie, że Nolan po części ma rację. Miałyby ją w całości, gdyby nie Harper.

– Ale wiesz co? Zawsze można zacząć od nowa – dodaje.

Sama przed sobą udaję, że mówi o mojej pracy, nie o rozwodzie, a zarazem zastanawiam się, kiedy któreś z nas wypowie to słowo na głos.

– Jestem za stara, żeby się przekwalifikowywać – oznajmiam.

– Wcale nie – odpowiada. – Z aktorstwem jest chyba jak z jazdą na rowerze? Z pewnością wciąż dużo pamiętasz. Zacznesz chodzić na castingi...

Przełykam ślinę. W gardle narasta mi wielka gęła.

– To nie takie proste – oponuję. – Poza tym nie możemy wyjechać z Atlanty.

– Ty możesz. Możesz zrobić, co tylko zechcesz, Meredith.

Odwracam się do niego plecami i wyglądam przez okno nad kuchennym zlewem, tak samo jak postać na rysunku Harper. Zaczynam dygotać. Ogarnia mnie fascynujące, a jednocześnie przerażające poczucie, że mój mąż może mieć rację.

ROZDZIAŁ 19

Josie

W poniedziałek rano robię ogromny krok naprzód i dzwonię do doktor Susan Lazarus. Z tego, co ustaliłam, jest jedną z najlepszych specjalistek w Atlancie. Zajmuje się zarówno *in vitro*, jak i inseminacją wewnątrzmaciczną. Serce ściska mi się boleśnie, gdy recepcjonistka mówi, że najbliższy wolny termin jest dopiero za dwa miesiące. Zapisuję się i proszę, by umieściła mnie również na liście rezerwowej.

– Gdyby ktoś zrezygnował... rzucę wszystko i natychmiast się u was zjawię. Zbliżam się do czterdziestki i wpadłam w lekką panikę...

– Rozumiem panią – śmieje się cicho recepcjonistka, porzucając oficjalny ton. – Sama w przyszłym tygodniu kończę czterdzieści lat. Paskudna sprawa.

– Ma pani dzieci? – pytam.

– Owszem. Dziesięciomiesięczne bliźniaki, dzięki doktor Lazarus.

– Gratuluję – mówię, podniesiona na duchu, choć myśl o tym, że mogłabym skończyć jako matka bliźniąt, napawa mnie przerażeniem. – Chłopcy czy dziewczynki?

– Chłopiec i dziewczynka – odpowiada.

Jeszcze raz jej gratuluję, a wtedy recepcjonistka oznajmia, że mam szczęście, ponieważ właśnie zauważyła w kalendarzu odwołaną wizytę: w najbliższy piątek o jedenastej. Potwierdza w ten sposób moją opinię, że czasem naprawdę dobrze wdać się w towarzyską pogawędkę.

– Biorę – decyduję.

*

Trwa przerwa między lekcjami. Dyżurujemy z Sydney na ławce, z której możemy obserwować plac zabaw. Edie zwisa właśnie głową w dół z drabinki, rozhuśtana, z rozrzuconymi ramionami i zaczerwienioną twarzą. Patrząc na nią, opowiadam koleżance o Pecie oraz zbliżającym się spotkaniu z doktor Lazarus.

– Josie, jestem z ciebie taka dumna – mówi Sydney i mnie obejmuje. – No i trochę ci zazdroszczę.

– Hej, a może się do mnie przyłączysz? – proponuję, podekscytowana.

Sydney parska śmiechem.

– Będziemy miały takie same samochody i takie same dzieci?

– Mówię poważnie! Zastanawiałaś się nad tym? – pytam.

W głowie słyszę drwiny Meredith, która z pewnością uznałaby tę propozycję za kolejny dowód potwierdzający to, że nie traktuję macierzyństwa poważnie, że dla mnie to ucieczka od rzeczywistości albo zwykła zabawa.

Sydney kręci głową i z mocą oznajmia:

– Coś ty, w życiu. Imponuje mi twoja decyzja... ale osobiście, gdybym mogła wybrać tylko jedno, wolałabym mieć męża niż dziecko. A jeśli i jedno, i drugie, to zdecydowanie w takiej właśnie kolejności.

Rozumiem ją. Ja też pragnę obu tych rzeczy, ale dziecko zawsze było dla mnie ważniejsze, przynajmniej odkąd rozstałam się z Willem, choć szczerze mówiąc, nawet wtedy, gdy byliśmy razem, chyba czułam tak samo. Owszem, kochałam go, ale przede wszystkim uważałam tamten związek za pierwszy krok ku macierzyństwu. Środek prowadzący do celu.

Sydney spogląda na mnie z namysłem i pyta:

– Boisz się?

– Trochę – odpowiadam. – Głównie przeraża mnie logistyka...

Moja towarzyszka mamrocze coś twierdząco, a potem pyta, czy po urodzeniu dziecka nadal będę mieszkała z Gabe'em, czy znajdę coś tylko dla siebie i dziecka.

Marszcząc brwi, odpowiadam, że jeszcze nie postanowiłam. W głowie słyszę zrzędlivy głos Meredith: „A to ci niespodzianka”.

– Ale Gabe zna twoje plany? Wie, że chcesz mieć dziecko?

Kiwam głową i odpowiadam, że oczywiście wie o wszystkim.

– I? – dopytuje Sydney. – Co o tym sądzi?

– Wspiera mnie. Przynajmniej teoretycznie... Nie to co moja siostra, która potrafi tylko krytykować – urywam, a po chwili dodaję: – Tyle że Gabe'owi średnio podoba się pomysł, żeby to Pete został moim dawcą.

Sydney unosi brwi.

– Po prostu jest zazdrosny.

– Hej, to nie tak – powstrzymuję ją, ponieważ dokładnie wiem, do czego zmierza. – Ile razy mam ci powtarzać, że mężczyźni i kobiety mogą się tylko przyjaźnić?

– Aha. To samo mówili Harry i Sally.

– Ja nie jestem Sally.

– Może i nie. Ale on zdecydowanie jest Harrym.

– Uwierz mi, że nie... Opowiadałam ci już o jego nowej dziewczynie?

– Jasne, jasne – mówi Sydney i przewraca oczami.

– Poważnie. Ona naprawdę mu się podoba.

– Tylko dlatego, że nie może mieć ciebie.

Kręcę głową.

– Nie. Jego obiekcje wobec Pete’a są czysto praktyczne. Jego zdaniem powinnam skorzystać z anonimowego dawcy. Martwi się, że to wszystko jest... zbyt dziwaczne. Skomplikowane.

– A co ty na to?

– Zaryzykuję. Pete jest inteligentny, atrakcyjny i naprawdę miły. Podoba mi się...

– Coś podobnego – stwierdza Sydney tonem, który aż ocieka erotycznymi podtekstami.

– Jako dawca – zaznaczam z naciskiem. – Nie mam zamiaru się z nim umawiać ani robić niczego więcej.

– A zatem – Sydney się prostuje. – Kiedy mi go przedstawiś?

Wybucham śmiechem i odpowiadam, że nie ma szans.

– Czemu nie? Mógłby się okazać moją bratnią duszą. Chcesz mi tego odmówić?

– Owszem, ponieważ to dopiero byłoby dziwaczne – odpowiadam i nagle ogarnia mnie niezrozumiała zazdrość, nie tyle o samego Pete’a, ile o jego nasienie.

*

Gdy wieczorem wracam do domu, znajduję Gabe’a w ogródku za domem. Grilluje trzy hot dogi i słucha Boba Marleya.

– Cześć – mówię i opieram się o ławkę.

– Co tam? – Gabe kiwa głową, nie podnosząc wzroku.

– Zaprosiłeś Leslie na kolację?

Kręci głową.

– Nie. Poza tym Leslie nie je mięsa. Zapomniałaś?

– Ach tak, rzeczywiście. Jak mogłam? – odpowiadam z odrobiną drwiny w głosie.

Albo tego nie zauważa, albo postanawia zignorować. Chce wiedzieć, czy jestem głodna.

– Wrzuciłem jednego hot doga więcej. Na wszelki wypadek.

– Pewnie. Dzięki.

Pytam, jak mu minął dzień. Gabe od niemal dziesięciu lat pracuje w tej samej firmie, a ja nadal nie jestem pewna, jak zarabia na życie. Wiem jedynie, że ma to coś wspólnego z grafiką, komputerami i mnóstwem wymagających klientów.

– Od rana wkurzałem się na cały świat.

– Czyli jak zwykle? – mówię ze śmiechem.

– W zasadzie tak. A co u ciebie?

– W porządku. Opowiedziałam Sydney o moich planach. I o piątkowej wizycie u doktor Lazarus.

Gabe kiwa głową, ale na mnie nie patrzy.

– Jak to właściwie będzie wyglądało?

Wzruszam ramionami, bo sama nie mam pojęcia.

– Pewnie się tylko zapoznamy i przedyskutujemy moje możliwości.

– Pete idzie z tobą? – pyta Gabe, zmniejszając płomień pod grillem.

– Nie – odpowiadam, choć kilka godzin wcześniej przeszło mi to przez myśl.

– Czemu nie? Zmieniłaś zdanie?

– Skąd. Pete wciąż jest na pierwszym miejscu mojej listy. Ale nie ma sensu, żeby ze mną szedł.

Przynajmniej na tym etapie... Zamierzałam poprosić mamę. Miło byłoby mieć kogoś przy sobie. No wiesz, jako moralne wsparcie. – Spoglądam na niego błagalnie i dodaję: – Rozumiesz?

Gabe przewraca oczami.

– Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Składam ręce jak do modlitwy.

– A poszedłbyś? Proszę...

– No dobra – wzdycha.

– Leslie nie będzie miała nic przeciwko?

– Czemu miałyby mieć?

Bo jest zaborcza i wyraźnie mnie nie lubi, mam ochotę powiedzieć, ale postanawiam uznać jego pytanie za retoryczne.

– Byłoby super. Dziękuję.

– Nie ma za co – lekceważąco wzrusza ramionami. – Poza tym chcę usłyszeć na własne uszy, jak pani doktor mówi ci, że używanie znajomej spermy to beznadziejny pomysł.

– Znajomej spermy? – śmieję się. – Czy to termin naukowy?

– Tak. Słuchaj, ten cały Pete jest bardzo miły i w ogóle... ale skąd wiesz, czy nie jest na przykład seryjnym mordercą z recesywnym genem mukowiscydozy?

Wybucham śmiechem.

– To nie jest wykluczone – upiera się Gabe, przekładając hot dogi na talerz, i rusza do drzwi.

– Doktor Lazarus z pewnością przeprowadzi wszelkie możliwe testy – mówię, wchodząc za nim do domu.

Gabe ogląda się przez ramię.

– Te powszechnie znane testy demaskujące seryjnych morderców?

– To akurat mogłoby dotyczyć każdego dawcy – zauważam. – Każdego człowieka. Chociażby Leslie...

– Nigdy nie słyszałem o seryjnych morderczyńiach.

– Nawet jeśli nikogo nie ukatrupiła... może się okazać szemraną postacią. Z mnóstwem mrocznych tajemnic, o których nie masz pojęcia.

– Pewnie tak – przyznaje Gabe. – Różnica polega na tym, że ja nie planuję zrobić jej dziecka, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

– W najbliższej, hm? – pytam, kładąc dłonie na biodrach.

– Nie zmieniaj tematu – fuka Gabe. – Nie rozmawiamy o mnie, tylko o tobie i twoich chimerach.

– To nie chimery – mówię, choć nie pamiętam, co dokładnie oznacza to słowo.

– Okej. – Gabe wyjmując z pojemnika na pieczywo paczkę podłużnych bułek. – W takim razie powtórz. Co jest w nim takiego wyjątkowego? Czemu akurat Pete?

– A czemu nie? – odpowiadam pytaniem na pytanie, bo trudno mi określić, na czym opiera się moje przeczucie, a może wcale nie chcę tego precyzować.

– I to ma być odpowiedź?

Spogląda na mnie z niedowierzaniem, rzucając mi bułkę. Nie udaje mi się jej złapać i bułka ląduje na podłodze.

– Tak. – Podnoszę bułkę i kładę na talerzu, postanowiwszy trzymać się zasady pięciu sekund. – Innej nie mam.

*

W piątek rano wchodzę razem z Gabe'em, który podobnie jak ja zwolnił się z pracy pod pretekstem choroby, do kliniki doktor Lazarus znajdującej się w jakimś biurowcu w centrum miasta. Siadamy w poczekalni i zabieram się do wypełniania niezliczonych formularzy. Odpowiadam na wyczerpujące pytania o stan zdrowia, podczas gdy Gabe stawia w telefonie pasjansa. W pewnym momencie zerkam mu przez ramię i dostrzegam esemesa od Leslie. „Gdzie jesteś?”

„Z Josie”, odpowiada, co zaskakuje i intryguje mnie na tyle, że ukradkiem czytam dalej:

„Jecie lunch?”

„Nie. Załatwiamy sprawy”.

„Możesz do mnie zadzwonić?”

„W tej chwili nie. Za pół godziny?”

„Jasne... Tęsknię”.

Kątem oka widzę, że się uśmiecha i odpisuje:

„Ja też”.

W tym momencie Gabe przyłapuje mnie na gorącym uczynku.

– Wścibska baba – mówi, odwracając wyświetlacz.

Młoda kobieta w liliowym uniformie wyczytuje moje nazwisko. Wstaję i spoglądam na niego.

– Wejdiesz ze mną?

– A chcesz?

– Chcę – decyduję.

Chwilę później wchodzimy do niedużego gabinetu. Drobną, niziutką, krótko ostrzyżoną kobietą siedzi za masywnym, starodawnym biurkiem, które wydaje się dla niej za ciężkie i zbyt ozdobne.

Kobieta wstaje i mówi:

– Josephine?

– Josie – poprawiam ją i kiwam głową.

– Josie – powtarza i uśmiecha się do mnie serdecznie. – Proszę, niech pani wejdzie. Nazywam się Susan Lazarus.

Od razu przypada mi do gustu – może dlatego, że zwróciła się do mnie po imieniu – i odwzajemniwszy uśmiech, ściskam jej dłoń.

– A to jest Gabe – wyjaśniam.

Doktor Lazarus wita się z nim i gestem wskazuje nam krzesła.

– A zatem – zaczyna – co panią do mnie sprowadza?

– No, hm... Chcę mieć dziecko – mówię i nagle ogarnia mnie prawdziwa ekscytacja.

Lekarka uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Trafiała pani we właściwe miejsce. A teraz proszę mi powiedzieć, Josie: od dawna się pani stara?

Kręcę głową.

– Nie. To nie tak. Nie mam męża. Jestem singielką... Chciałabym skorzystać z dawcy nasienia.

Doktor Lazarus kiwa głową, nieporuszona.

– Doskonale – mówi, po czym zwraca się do Gabe'a. – A pan chce oddać spermę?

– Nie – odpowiada Gabe. – Ja tylko wspieram Josie moralnie.

– Wspaniały gest – zachwyca się lekarka. – I niezwykle ważny, biorąc pod uwagę wszystko, co ją czeka. – Znowu zwraca się do mnie: – Zastanawiała się pani nad dawcą?

– Owszem – odpowiadam. – Sporo na ten temat czytałam.

– Świetnie – mruży. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Czytałam o bankach spermy... o kobietach, które wybrały ten sposób. Dzieciach tak poczętych...

I nie mam nic przeciwko... rozumiem, że to często najprostsze wyjście... Ja jednak chciałabym skorzystać ze znajomej spermy – kończę i wymieniamy z Gabe'em znaczące spojrzenia.

– Ma pani na myśli spermę znajomego? – upewnia się doktor Lazarus, zachowując pokerową twarz.

– Tak. Poznaliśmy się niedawno. Myślę, że mogę go nazwać dobrym kolegą. Sądzi pani, że to

kiepski pomysł?

– Uważam, że to bardzo osobista decyzja. Bardzo, bardzo osobista.

Gabe prychnął, zniecierpliwiony, i mówi:

– Ale czy to nie ogromne ryzyko, korzystać z nasienia kogoś, kogo się ledwo zna?

– Każdy scenariusz ma swoje wady i zalety – odpowiada doktor Lazarus. – Naszym zadaniem jest pomóc kobiecie dokonać wyboru... i wspierać ten wybór pod kątem medycznym oraz prawnym. Współpracujemy ściśle ze specjalistami od prawa rodzinnego. Pomogą pani sporządzić najdogodniejszą umowę. Oczywiście, zajmiemy się też inseminacją.

– Widzisz? – rzucam i uradowana spoglądam na Gabe'a. – Mówiłam, że to niezawodny plan.

– Tego bym nie powiedziała – przerywa mi lekarka. – Żaden plan nie jest stuprocentowo pewny, jeśli w grę wchodzi ludzki organizm. Ale zrobimy co w naszej mocy. Pomogliśmy już wielu kobietom.

Patrzę na Gabe'a, który w otwartym proteście krzyżuje ramiona na piersi.

– Rzecz jasna, są pewne kwestie emocjonalne, których nie da się zawrzeć w umowie. Domyślam się, że właśnie to budzi pański niepokój? – pyta doktor Lazarus, zerkając na Gabe'a.

– Tak, właśnie to, bo co będzie, jeśli ten facet, którego Josie ledwo zna, okaże się wariatem? Nie będzie chciał zostawić w spokoju jej ani dziecka? Co wtedy?

– To się może zdarzyć z każdym – wtrącam, zwracając się do przyjaciela. – Poradzę sobie tak samo, jak poradziłabym sobie z każdym innym wariatem. Za pomocą sądowego zakazu zbliżania się.

– Nie będzie ci przeszkadzać, że ten zakaz dotyczy ojca twojego dziecka? – pyta Gabe odrobinę histerycznym tonem.

– On nie będzie ojcem – mówię.

– No tak, będzie tylko jakimś szemranym dawcą, który ciąga cię po sądach. – Gabe wzrusza ramionami. – Rzeczywiście, żaden problem.

Zanim wymyślę, co mu odpowiedzieć, doktor Lazarus chrząka z wahaniem.

– Czy mogłabym coś poradzić?

– Jasne – mówię, pewna, że stanie po mojej stronie.

– Skupmy się na pani, Josie. Możemy bowiem z całą pewnością stwierdzić, że chodzi o pani jajeczka i pani dziecko, prawda?

– Tak, oczywiście. – Z zapalem kiwam głową. – Tyle wiemy na pewno.

– W takim razie skoncentrujmy się na pani. Sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku i czy ciąża nie wiąże się z ryzykiem.

Triumfalnie uśmiecham się do Gabe'a i oznajmiam doktor Lazarus, że to znakomity pomysł.

– Niezależnie od tego, na czyją spermę się pani zdecyduje – ciągnie z powagą lekarka – zależy

nam przede wszystkim na pani zdrowiu, fizycznym i emocjonalnym.

Kiwam głową, podniecona, i nawet Gabe odrobinę się rozchmurza. Doktor Lazarus wkłada okulary do czytania, przegląda moje papiery i zaczyna wypytywać mnie szczegółowo o historię medyczną. Następnie pyta, czy chcę, by Gabe został w gabinecie, kiedy będzie przeprowadzać wywiad położniczy. Kiwam głową na znak zgody.

– Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Doktor Lazarus uśmiecha się i pyta, czy byłam już kiedyś w ciąży.

– Kilka razy bałam się, że wpałam, ale nie – odpowiadam ze śmiechem.

– A więc nigdy pani nie poroniła?

Kręcę głową.

– Nie sędzę. To znaczy... bywa, że spóźnia mi się okres, a kiedy przychodzi, jest bardzo obfity... i czasem się zastanawiam, czy to mogło być poronienie? Ale nie, nie wydaje mi się.

Zerkam na Gabe'a, który lekko się krzywi i ponownie krzyżuje ramiona na piersi. Tymczasem lekarka zadaje kolejne pytania o cykl miesięczny, szczepionki i antykoncepcję. Odpowiadam, że mój cykl jest w miarę regularny i zazwyczaj trwa dwadzieścia osiem dni. Szczepienia mam aktualne, w przeszłości brałam pigułki i używałam prezerwatyw, choć z tych pierwszych zrezygnowałam kilka tygodni temu. Poza tym od kilku miesięcy nie byłam aktywna seksualnie.

– Jakież niepokojące wyniki cytologii?

– Hmm... Tylko raz. Ale okazało się, że to nic groźnego. Zwykła drożdżyca.

– No dobrze, miłe panie – odzywa się cicho Gabe. – Pozwólcie, że poczekam na korytarzu.

– Nie – syczę gniewnie. – Siedź.

Gabe wzdycha i wbija wzrok w sufit, a doktor Lazarus przechodzi do pytań o dietę, aktywność fizyczną i używki. Mówię jej, że nie palę, ale w sytuacjach towarzyskich zdarza mi się pić alkohol.

Kiwa głową.

– Rozumiem. Przed zapłodnieniem kieliszek wina od czasu do czasu nie zaszkodzi, ale proszę na takiej ilości poprzestać.

– Jasne – odpowiadam. – A co z kawą?

– Odradzałabym spożycie większe niż trzysta miligramów kofeiny dziennie... To oznacza dwie filiżanki po mniej więcej dwieście trzydzieści mililitrów.

Wyciągam zeszyt i zaczynam notować, ale lekarka zapewnia mnie, że wszystkie informacje dostanę wydrukowane na kartce.

– Dam pani również receptę na witaminy, ponieważ będzie pani potrzebować sporych dawek kwasu foliowego. Poza tym proszę jeść różnorodne produkty oraz pamiętać o błonniku, wapnie i innych składnikach odżywczych. Unikać cukru i chemii... Chodzi o to, żeby przed zajściem w ciążę była pani tak zdrowa, jak to tylko możliwe.

– W porządku – mówię, zdeterminowana, by stosować się do jej rad. – Gabe świetnie gotuje, a mieszkamy razem, więc...

– To z pewnością pomoże – uśmiecha się do nas doktor Lazarus.

Odwzajemniam uśmiech.

– To wszystko?

– Prawie. Teraz szybko panią zbadam i pobierzemy krew.

Gabe wygląda na przerażonego.

– Może pan poczekać na zewnątrz – uspokaja go lekarka. Wstaje zza biurka i ściska mu dłoń. – Miło było pana poznać, Gabe. To wielkie szczęście, że Josie ma pana obok siebie.

Wyraźnie jest zaskoczony tą uwagą, lecz udaje mu się wykrztusić uprzejme podziękowanie.

– Ufam, że pomoże jej pan podjąć właściwą decyzję co do następnego kroku.

Wstrzymuję oddech, spodziewając się jakiegoś złośliwego komentarza, ale on tylko kiwa głową i mówi:

– Zrobię, co będę mógł. Jedyne, czego pragniemy, to zdrowe dziecko. Prawda, Josie?

Przełykam ślinę, nagle wzruszona, i odpowiadam:

– Tak, tego właśnie pragniemy.

ROZDZIAŁ 20

Meredith

W kolejnym tygodniu Nolan i ja prawie nie rozmawiamy. Ograniczamy się do wymiany nielicznych, sztywnych i dosyć nerwowych uwag. Sama nie wiem, czy to pat, impas, czy cisza przed burzą, ale stwierdzam, że całkiem poważnie zaczynam rozważać „sugestię” wyjazdu do Nowego Jorku. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym zostawić Harper na dłużej niż kilka dni, ale perspektywa tych paru tygodni samotności staje się niemal obsesją. Pech chce, że przydzielają mnie do koszmarnie skomplikowanej sprawy, którą kieruje Larry Goldman, największy palant wśród współpracowników w kancelarii. W zeszłym roku podczas ewaluacji objechał mnie z góry na dół, ponieważ pewnego dnia nie zjawiłam się w sądzie z powodu prawie czterdziestostopniowej gorączki.

Dzwonię do Ellen i mówię jej o moich dylematach. Ellen oznajmia, że w każdej chwili mogę się zatrzymać w jej nowojorskim mieszkaniu.

– Jesteś pewna? – pytam.

– Oczywiście! – odpowiada. – Najzupełniej.

– Dzięki... Wiesz, wystarczy mi kilka dni...

– Możesz zostać, ile chcesz. Jedź na tydzień.

– No nie wiem... Chyba nie mogłabym zostawić Harper na tak długo.

– Daj spokój – obrusza się Ellen. – Ja często zostawiam Isłę na cały tydzień. Andy i jego rodzice doskonale sobie z nią radzą.

– To co innego. Ty jeździsz do pracy – zaznaczam.

– Tak, ale każdy z nas potrzebuje czasem chwili tylko dla siebie. To nie znaczy, że jesteś złą matką.

– Może nie – przyznaję, lecz myślę, że choć matka ze mnie dobra, to jednak żoną jestem do bani.

*

W następny poniedziałek wytaczam ciężkie działa i umawiam się z Amy. Relacjonuję jej wszystko to, co opowiedziałam Ellen, tyle że w bardziej zdecydowanych słowach. Terapeutka słucha mnie uważnie, w końcu pyta:

– Dlaczego Nowy Jork?

Marszczę brwi i zastanawiam się przez chwilę.

– Nie wiem, czemu Nolan go zaproponował. Może dlatego, że mieszkałam tam wtedy, gdy zaczęliśmy się spotykać... Albo wie, że mam się gdzie zatrzymać, bo moja koleżanka Ellen ma tam mieszkanie. Ale szczerze mówiąc, to wcale nie musi być Nowy Jork. Po prostu chcę stąd wyjechać i odpocząć. Od Nolana, od pracy. Nawet od Harper.

Spodziewam się mądrego naukowego wyjaśnienia: na przykład tego, że wiele matek z małymi dziećmi podziela moje odczucia.

Ale Amy mówi tylko:

– Zrób to, Meredith. Wyjedź. Jak najszybciej.

Patrzy mi prosto w twarz tym swoim pewnym, trzeźwym wzrokiem.

Serce podskakuje mi w piersi.

– Serio?

– Serio – kiwa głową Amy, potrząsając prostymi włosami.

– Ale co mam konkretnie zrobić? – pytam, bo chcę, żebyśmy się dobrze zrozumiały.

– Zrób sobie wakacje. Weź urlop. Jedź do Nowego Jorku. Sama.

Nieruchomieję na ułamek sekundy, po czym kręcę głową.

– Nie dadzą mi urlopu, zwłaszcza teraz. Zajmuję się dużą sprawą...

– Dadzą – mówi Amy. – Zwłaszcza jeśli im powiesz, że musisz wyjechać dla zdrowia.

– Mam im powiedzieć, że mam raka albo coś takiego? – Spoglądam na nią oburzona.

– Nie. Mam na myśli zdrowie psychiczne. Które również jest niezwykle ważne.

Wzdycham.

– Jeśli przyznam, że mam problemy psychiczne, nigdy nie zostanę współpracowniczką. Nawet jeśli wrócę na pełen etat.

– Po pierwsze, z prawnego punktu widzenia nie wolno im tego wykorzystać przeciwko tobie. Po drugie, nie sądziłam, że chcesz zostać współpracowniczką.

Prowokuje mnie, ponieważ wie, że nigdy specjalnie mi na tym nie zależało. Owszem, byłoby to pewne osiągnięcie, zarabiałabym więcej pieniędzy, a rodzice byliby ze mnie naprawdę bardzo dumni. Ale ogólnie bycie starszą prawniczką w zupełności mi wystarcza.

– Nie chcę – mówię. – Przecież wiesz.

– A więc? Masz jeszcze jakieś wymówki?

Patrzę na nią, a serce gorączkowo tłucze mi się w piersi. To, że Nolan czy Ellen każą mi jechać to jedno. Ale usłyszeć to od Amy to całkiem coś innego.

– Chyba nie mam – przyznaję.

– W takim razie powiedz w kancelarii, że potrzebujesz urlopu. Przydzielą do sprawy kogoś innego.

Nie jesteś niezastąpiona.

– Skąd wiesz, że mnie nie wywalą?

Amy z przekonaniem kręci głową.

– Nie mogą. Zwłaszcza jeśli powołasz się na swoje zdrowie... Ale kto wie? Może po powrocie do domu sama zrezygnujesz?

– Może – odpowiadam, zastanawiając się, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłam. Brakuje mi odwagi? Czy raczej innego sensownego pomysłu na życie?

– Uwierz mi, możesz na tym tylko zyskać – przekonuje mnie Amy. – Wracaj do domu i zarezerwuj lot. Polecisz sobie na tydzień albo trzy...

– Trzy tygodnie!? – Brzmi to tak pochopnie i bezkompromisowo, że przez moment zaczynam wątpić we wszystko, co mi doradziła. – Nie ma mowy. Nie zostawiłabym Harper na dłużej niż tydzień... Poza tym czy to by się nie kwalifikowało jako porzucenie?

Amy potrząsa głową.

– W żadnym wypadku. To przecież pomysł Nolana. Twój mąż zaproponował ci z dobroci serca, że zajmie się dzieckiem, żebyś mogła pomyśleć...

– Nie powiedziałabym, że zrobił to z dobroci serca – przerywam jej. – Kierowała nim raczej bierna agresja. Zresztą chyba nie wierzy, że się zdecyduję.

– Tym bardziej powinnaś – stwierdza Amy.

– Jak to?

– Bo to kolejny znak, że coś się między wami rozjechało. Nolan rzuca ci wyzwanie, próbuje zakwestionować twoją miłość do rodziny, a może nawet to, jaką matką jesteś.

– Okej... Zatem czy wyjazd do Nowego Jorku nie utwierdzi go w przekonaniu, że nie jestem w tym wszystkim wystarczająco dobra?

– A czujesz, że nie jesteś? – pyta Amy.

Zastanawiam się nad odpowiedzią i ostrożnie mówię:

– Czasami tak.

– Dlatego, że potrzebujesz czasu tylko dla siebie?

– Tak. – Przygryzam wargę. – Dlatego, że chcę być sama. I z wielu innych powodów.

Amy zakłada włosy za ucho z jednej strony, potem z drugiej, wreszcie spokojnym tonem stwierdza:

– Meredith, każda matka fantazjuje o ucieczce. O tym, żeby zrobić sobie wolne. Ty masz wyjątkową szansę zrealizować to marzenie. Masz stabilną sytuację finansową. Dostałaś zgodę od męża, nawet jeśli powiedział to kierowany bierną agresją. Jedź. Pomyśl. Zdecyduj, czego naprawdę chcesz i potrzebujesz. Może to będzie rozwód. Może zmiana pracy. A może wystarczy chwila z samą sobą i nowe spojrzenie na świat. Niezależnie od tego, do jakich dojdiesz wniosków, sądzę, że uczynią cię jeszcze lepszą matką.

Uśmiecham się, wdzięczna, że użyła słowa „jeszcze”. Powtarzam sobie w duchu, że matką jestem całkiem niezłą, inaczej niewykluczone, że już dawno by mnie tu nie było.

– Jeżeli dzięki temu będziesz szczęśliwsza... na dłuższą metę wyjdzie to na dobre również Harper.

– Może – wzdycham, marszcząc brwi.

Wyobrażam sobie ciemny pokój dziecięcy i twarz córki, domagającej się kolejnej bajki, szklanki wody albo utulenia. Nie potrafi zasnąć, jeśli nie siedzę obok w bujanym fotelu. Jak wytrzyma beze mnie tydzień, a może nawet dłużej? Nagle wyobrażam sobie scenę w dalekiej przyszłości. Widzę Harper jako młodą kobietę siedzącą w gabinecie takim jak ten i dyskutującą z terapeutką o swoich głęboko zakorzenionych problemach. O tym, że ich przyczyną jest to, iż jako czterolatka została porzucona przez matkę.

Słyszę Amy wypowiadającą moje imię. Spoglądam na nią.

– O czym myślisz? – pyta.

– Nie wiem. – Potrząsam głową. – Nie wiem, czy dam radę...

– Dasz – stwierdza stanowczo Amy.

Oddycham głęboko, a ona zapewnia mnie, że Harper nie stanie się żadna krzywda.

– Zostanie z ojcem, dziadkami i ciocią. Pod najbardziej kompetentną, najlepszą opieką.

– Nie nazwałabym mojej siostry szczególnie kompetentną – mówię, ale jednocześnie po raz pierwszy od naszej kłótni czuję potrzebę, żeby porozmawiać z Josie. Chociażby dla dobra Harper.

– Twojemu dziecku nie stanie się krzywda – powtarza Amy. – A ty, Meredith, powinnaś zadbać także o siebie.

*

Następnego ranka po przebudzeniu podejmuję decyzję. Postanawiam przyjąć wyzwanie Nolana, propozycję Ellen i radę Amy, a co najważniejsze, zaufać własnej intuicji. Biorę prysznic, wkładam najlepszy czarny kostium oraz szpilki i zjawiam się w pracy wcześniej niż najgorliwsi współpracownicy, którzy nie mają dzieci ani życia prywatnego. Wchodzę do gabinetu i sporządzam spis wszystkich prowadzonych spraw, a potem z mieszanymi uczuciami uświadamiam sobie, że Amy miała rację. Absolutnie w niczym nie jestem niezastąpiona. Jak maleńki, pozbawiony znaczenia, choć przepracowany trybik.

Mniej więcej godzinę później zbieram się na odwagę i wysyłam maila z prośbą o krótką rozmowę do naszego wspólnika zarządzającego, Mike'a Molo. Nie sądzę, by Molo miał pojęcie, kim jestem, ponieważ spotykamy się wyłącznie w windzie, gdy prosi mnie o naciśnięcie guzika z szesnastką (ja pracuję na piętnastym piętrze). Dlatego aż opada mi szczęka, gdy dostrzegam go w korytarzu przed moim gabinetem, studiującego tabliczkę na drzwiach, z teczką w jednej dłoni i wielkim kubkiem kawy ze Starbucksa w drugiej. Upewniwszy się, że trafił tam, gdzie trzeba, staje w progu i mówi:

– Dzień dobry, Meredith.

– Dzień dobry, Mike – odpowiadam i z łomoczącym w piersi sercem wstaję zza biurka.

– Chciałaś ze mną rozmawiać? – pyta głosem równie potężnym jak jego sylwetka.

– Tak... Tak, rzeczywiście... Ale... przyszedłbym do ciebie... – dukam.

– Nie ma sprawy. Byłem niedaleko. Może usiądziemy? – mówi.

Zajmuję miejsce za biurkiem, a on wchodzi do środka, obrzuca wzrokiem zagracony pokój i sadowi się naprzeciwko mnie.

– Co tam? – pyta, popijając kawę, jakbyśmy byli dobrymi kumplami albo co najmniej równymi sobie partnerami.

Biorę głęboki wdech i zaczynam starannie opracowaną przemowę:

– Po pierwsze, chciałam zaznaczyć, że pracuję w tej kancelarii już ponad siedem lat... i jestem bardzo dobrze oceniana. Co roku z nawiązką wypracowuję wymaganą liczbę godzin. Było tak, gdy zatrudnialiście mnie na pełen etat, i tak samo jest teraz, gdy po narodzinach córki przeszłam na niepełny etat.

– Zgadza się. Masz wspaniałą reputację. Dziękuję ci za ofiarną pracę i zaangażowanie.

Kiwa głową z powagą, ale w jego oku dostrzegam błysk, jakby dobrze wiedział, do czego zmierzam, i z jakiegoś powodu go to bawiło. Najwyraźniej nie po raz pierwszy ktoś mu palnął taką przemowę.

– A nad czym obecnie pracujesz? – pyta.

– Nad sprawą Lamberta – odpowiadam, bez powodzenia próbując ukryć niechęć. – Właściwie zajmuję się ostatnio tylko tym.

Molo gwiżdże i krzywi się lekko.

– Przykro mi to słyszeć. Uroczy typ z tego Goldmana, co?

– Tak – mówię, uśmiechając się z wdzięcznością. – Rzeczywiście, przeuroczy.

Molo szczerzy zęby.

– To o nim chciałaś rozmawiać?

– Nie. Niezupełnie. A właściwie to zupełnie nie... – płaczę się. – Chciałam porozmawiać ogólnie o pracy...

– W porządku. Przejdźmy do sedna. Chcesz zrezygnować? Czy tylko wziąć urlop? – pyta, dopijając kawę i celując pustym kubkiem do kosza na śmieci oddalonego o prawie dwa metry. Trafia i dodaje: – Szczerze polecam ci to drugie.

– Tak jest – mówię, osłupiała. – To drugie. Chciałabym wziąć urlop.

– Jak długi?

– Dwa tygodnie? Może trzy?

Molo unosi brwi.

– Na pewno tylko tyle?

– Trzy tygodnie byłyby idealne.

– A co powiesz na miesiąc? – pyta Molo, kiwając głową.

Uśmiecham się jeszcze szerzej.

– Dziękuję. Zatem miesiąc.

– Cudownie. Miłego urlopu. – Zerka na zegarek i wstaje gwałtownie. – Powiedz tylko Goldmanowi i tym w kadrach, że się zgodziłem. Do zobaczenia za miesiąc. Mam nadzieję, że wrócisz. Tak czy inaczej, wszystkiego dobrego.

Przytłoczona ogromem tego niespodziewanego daru chcę mu podziękować, ale szef mojego szefa tylko puszcza do mnie oko i znika za drzwiami.

ROZDZIAŁ 21

Josie

W środę rano, dzień po pierwszym spotkaniu z Susan Lazarus i trzy dni przed moimi trzydziestymi ósmymi urodzinami, Gabe wchodzi do kuchni, potargany jak nieboskie stworzenie.

– Ładna fryzura – rzucam.

Dziękuję mi, przeczesując włosy palcami.

– Czemu wstałeś? – pytam, spoglądając na wyświetlacz mikrofalówki. Jest szósta czterdzieści. Za jakieś pięć minut muszę wyjść do pracy, ale Gabe zazwyczaj dopiero za godzinę po raz pierwszy wyłącza dzwoniący budzik.

– Chciałem cię złapać – wyjaśnia.

Ziewa i otwiera lodówkę. Wyciąga dzbanek z sokiem grejpfrutowym, wstrząsa nim i nalewa do szklanki.

– Niedługo twoje urodziny.

– Myślałam, że nie pamiętasz.

– Bo nie pamiętałem aż do dzisiaj – wyznaje bez śladu skruchy. – Dlaczego mi nie przypomniałaś, jak zwykle?

Odkładam grzanekę z masłem orzechowym na papierowy ręcznik, wycieram palce w jego skraj i mówię:

– Im bliższa jestem macierzyństwa, tym usilniej próbuję mniej skupiać się na sobie.

– I jak ci idzie? – pyta, trąc oczy palcami.

– Nie jest łatwo – odpowiadam. – Zaczynam się czuć jak Samantha Baker.

– Kto? – pyta, choć zazwyczaj bezbłędnie rozpoznaje moje filmowe aluzje.

– Daj spokój. Molly Ringwald? *Szesnaście świeczek*? Pamiętasz, jak wszyscy zapomnieli o jej urodzinach?

– Facebook nie pozwoli, żeby ci się to przydarzyło.

– Ale ciebie nie ma na Facebooku.

– Pete na pewno jest.

Posyła mi prowokacyjne spojrzenie, najwyraźniej wystawiając mnie na próbę.

– Słuszna uwaga – mówię.

– Macie jakieś wspólne plany? – pyta.

– Nie. Nie mam żadnych planów.

Ostentacyjnie łykam kwas foliowy i popijam go dużym łykiem letniej zielonej herbaty.

– W takim razie na co masz ochotę? – pyta Gabe.

Po chwili zastanowienia odpowiadam:

– Chcę gdzieś wyjść i porządnie się upić.

– Typowe słowa przyszłej matki.

– To będzie ostatni raz. I, mam nadzieję, ostatnie urodziny, które uczczę jako osoba bezdietna.

Zarezerwujesz stolik w jakimś fajnym miejscu?

– A Sydney nie może?

– Gabe – jęczę. – To ty jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– W porządku – wzdycha. – Ale może mi chociaż coś podpowiesz? Dokąd chcesz pójść i kogo mam zaprosić?

– Jestem pewna, że sam sobie poradzisz – odpowiadam. Żeby go dodatkowo zmotywować, dodaję: – Jesteś jedynym człowiekiem, który jeszcze nigdy w życiu mnie nie zawiódł.

– Okej. Tylko przyślij mi numer tego swojego zapładniacza. Domyślam się, że chcesz, żeby przyszedł?

– Jasne – rzucam. – Świetny pomysł.

– A jak się mają jego plemniki?

– Pomyślmy. Zamiast slipów zaczął nosić bokserki. Zrezygnował z jazdy na rowerze. Unika saun i jacuzzi. Chłopakom najlepiej służy temperatura około trzydziestu pięciu stopni – mówię, zbierając się do wyjścia.

– Żartujesz, prawda?

Wzruszam tylko ramionami, ciesząc się tą rzadką zamianą ról. Zwykle to Gabe dowcipkuje w podobny sposób. Teraz mruczy coś pod nosem o chorobie psychicznej, a ja ruszam do drzwi, mając niejasne poczucie triumfu.

*

Kilka godzin później w poczcie głosowej pojawia się wiadomość od doktor Lazarus, która dostała wyniki moich testów i prosi, bym do niej zadzwoniła. Odsłuchuję wiadomość dwa razy i choć jej głos brzmi zupełnie neutralnie, ogarniają mnie przerażenie i rozpacz. Jestem pewna, że chce mi powiedzieć coś strasznego, i z trudem udaje mi się dokończyć wykład na temat różnic między ciałami stałymi, cieczami i gazami. Po zakończeniu lekcji natychmiast dzwonię do lekarki, a gdy odbiera, nawet się z nią nie witam, tylko od razu rzucam:

– Proszę mówić szczerze. Nie mogę mieć dzieci, prawda? Powinnam zacząć zastanawiać się nad

adopcją?

Po kilku pełnych grozy sekundach milczenia lekarka odpowiada ze śmiechem:

– Ależ skąd, Josie. To nic aż tak poważnego...

– Aż tak? – powtarzam.

– Nic poważnego.

Mrugam oczami, powstrzymując łzy ulgi, a ona spokojnie ciągnie:

– Wszystko w porządku. Naprawdę. Jest pani zdrowa.

– Czyli mogę mieć dziecko?

– Tak, powinno się udać. Tyle że pani rezerwa jajnikowa, czyli liczba i jakość jajeczek, główny wskaźnik płodności, jest odrobinę za niska jak na pani wiek.

– A więc... pod tym względem jestem bardziej czterdziestolatką niż trzydziestoosmiolatką?

– Mniej więcej – odpowiada i po głosie poznaję, że się uśmiecha. – Nie ma powodów do paniki, ale jeśli jest pani już całkiem pewna, że chce to zrobić, to radzę nie zwlekać zbyt długo.

– Ile czasu mi zostało? – pytam.

– Tego się nie da tak dokładnie określić. Ale na pani miejscu...

– Tak? – pytam, pokładając w jej odpowiedzi wszystkie swoje nadzieje. – Gdyby była pani mną, to co by pani zrobiła?

– Zaczęłabym natychmiast – mówi. – Kiedy tylko wybierze pani dawcę.

– Rozumiem – rzucam i nagle przed oczami staje mi Pete. – Tak właśnie zrobię.

*

Tego samego wieczoru opowiadam Gabe'owi o rozmowie z doktor Lazarus. Potem odbieram telefon od Pete'a. Choć rozmawiamy dość często, wciąż towarzyszy temu odrobinę nerwowa atmosfera. Oboje silimy się na błyskotliwość, jak zresztą często bywa między nowymi znajomymi, dowolnej płci, nawet jeśli jedno z nich nie zamierza oddać drugiemu spermy. Po mniej więcej dziesięciu minutach rozmowy Pete wspomina, że Gabe dzwonił do niego w sprawie sobotniej imprezy.

– Och, rzeczywiście... Wybacz, że urządzamy to wszystko tak na ostatnią chwilę. Ale trzydzieste ósme urodziny to nie jest coś, czym należałoby się szczególnie ekscytować – mówię, dodając w myślach: zwłaszcza kiedy jajczkujesz jak czterdziestolatka. – Jeśli masz inne plany, to się nie przejmuj – dodaję z wymuszoną nonszalancją.

– Skąd. Będę – zapewnia mnie pospiesznie Pete.

Uśmiecham się i odpowiadam, że miło mi to słyszeć.

– Zastanawiam się nad prezentem – dodaje.

– Naprawdę, nie musisz nic przynosić. Twoja obecność będzie najlepszym prezentem –

zapewniam go żartobliwym tonem.

Nawiasem mówiąc, Meredith użyła kiedyś tego tekstu na urodzinowym zaproszeniu Harper. Wydał mi się on wówczas lekko pretensjonalny. Błagam, kobieto: pozwól ludziom sprawić twojemu dzieciakowi jakiś drobiazg za dwadzieścia dolarów.

– Serio? – rzuca Pete.

– Twoja obecność... i może jeszcze twoje nasienie – uzupełniam ze śmiechem.

– Zrobi się. Powiedz tylko kiedy i gdzie mam ci je dostarczyć.

Wiem, że się ze mną przekomarza, ale korzystam ze sposobności, żeby opowiedzieć mu o spotkaniu z doktor Lazarus.

– Nazywają to konsultacją prenatalną – wyjaśniam. – Było interesująco. Lekarka, Susan Lazarus, robi bardzo dobre wrażenie. Miła i inteligentna. Gabe'owi też się spodobała, a jego trudno zadowolić... – Przygryzam wargę, by powstrzymać potok słów. Postanawiam nie mówić mu o wynikach testów.

– Super. A może jednak wolisz, żeby to Gabe został twoim dawcą?

– Broń Boże, nigdy w życiu. Poszedł tam ze mną wyłącznie jako moralne wsparcie. – Nabieram powietrza i dodaję: – Wspominałam pani doktor o tobie.

– O! Naprawdę? – pyta takim tonem, jakby mu to sprawiło przyjemność.

– Tak. Powiedziałam, że mam doskonałego kandydata... – Urywam, zastanawiając się, jak przenieść rozmowę na kolejny poziom.

– I? – dopytuje Pete.

– Wysłuchała mnie – odpowiadam, nerwowo chichocząc. – Chciałbyś ją poznać?

– Jasne – odpowiada Pete bez wahania. – Kiedy?

– Podczas kolejnej wizyty? – pytam i czuję, że nagle oblał mnie pot.

Sięgam po broszurę, którą dostałam od doktor Lazarus, i zaczynam się nią wachlować.

– Jasne – powtarza Pete. – To będzie taki wstępny wywiad? Czy może każe mi oglądać pornosy i spuścić się do fiolki?

– Przestań! – wołam, udając obrażoną. – Obrzydlistwo.

– Wybacz. Myślałem, że to tak wygląda.

– Może – przyznaję. – Ale chciałabym cię o coś poprosić.

– Słucham. Coś mi mówi, że to nie będzie ostatni raz.

– Jeśli na mojej drodze do macierzyństwa staną pornosy, nie chcę o tym wiedzieć – oznajmiam ze śmiechem.

– To zrozumiałe – zgadza się Pete. – Obiecuję, że zapalę świeczki, przyniosę róże i będę myślał o samych romantycznych rzeczach.

Uśmiecham się.

– Od razu lepiej. Dzięki.

– Nie ma za co – odpowiada. – Aha, i jeszcze coś...

– Słucham.

– Jeśli będziesz miała ochotę do mnie dołączyć, zapraszam – mówi żartobliwie.

– Ha, ha – rzucam, choć na moment stanęło mi serce.

*

W sobotę, dzień moich urodzin, budzę się w dobrym humorze. Robi mi się jeszcze weselej, gdy do sypialni wkracza Gabe i oznajmia, że mamy rezerwację na ósmą w restauracji Optimist.

– Idealnie! – wołam, ścieląc łóżko. – Kto przyjdzie?

Gabe zerka na mnie z rezerwą.

– Myślałem, że chciałaś mieć niespodziankę.

– Nic podobnego, prosiłam tylko, żebyś się tym zajął.

– Więc się zająłem.

– No i?

Siada okrakiem na odwróconym krześle.

– Będziemy my, a poza tym Leslie, Sydney, Meredith, Shawna i zapładniacz.

Przerywam strzepywanie poduszki i nieruchomieję.

– Ciekawe...

– No dobra – wzdycha Gabe. – O co chodzi?

Perspektywa spotkania z Leslie niezbyt mnie zachwyca, mówię jednak:

– Zaprosiłaś Meredith?

– Tak. Napisała do mnie wczoraj. Musiałem.

– A Nolana?

Gabe kręci głową i oznajmia, że Nolan nie może przyjść.

– Czemu nie?

Wolałabym, żeby to on reprezentował rodzinę. Martwię się, że jest na mnie zły. Może moja siostra zdołała zwrócić go przeciwko mnie. Pocieszam się myślą, że nigdy dotąd się to nie zdarzyło.

– Nie powiedziała dlaczego – odpowiada Gabe.

– A co ze Stacey, Kendrą i Leigh? – pytam. To moje trzy najlepsze przyjaciółki ze studiów. Gabe za nimi nie przepada. – Zaprosiłaś je?

Po chwili milczenia wyznaje:

– Zostawiłaś mi wybór, więc pozwoliłem sobie zdecydować...

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Gabe... – jęczę.

On jednak jest nieporuszony.

– Słuchaj. Masz pojęcie, jaka to sztuka zarezerwować stolik na siedem osób z trzydniowym wyprzedzeniem?

– Niewielka, jeśli dobrze znasz się z szefową barmanów.

Spogląda na mnie, speszony.

– To było dawno temu.

– Dawno temu się z nią przespałeś czy dawno temu wysyłała ci nagie zdjęcia? – pytam, przypominając sobie, jak całkiem przypadkiem zerknęłam na wyświetlacz jego telefonu i ujrzałam ten spektakularny widok.

– Jedno i drugie – odpowiada i strzela palcami.

– Ale dzięki temu dostałeś rezerwację, prawda?

Uśmiecha się chełpliwie.

– Możliwe.

Przewracam oczami i pytam, czy Leslie o tym wie.

– Wie, że kumpluję się z barmanką pracującą w Optimist.

– Nie, Gabe. My się kumplujemy. A to było coś zupełnie innego. Ale jak sobie chcesz. – Zmieniam temat. – A więc zaprosiłeś Shawnę?

– Tak. To był pomysł Meredith. Dała mi jej numer.

– Hm – rzucam, odrobinę zaskoczona.

Wprawdzie po śmierci Daniela Shawna i ja starałyśmy się naprawić nasze relacje, ale już od kilku lat nie świętowała ze mną urodzin.

– Kiedy z nią ostatnio rozmawiałaś?

– Parę miesięcy temu... I chyba nie widziałam jej od narodzin Olivera.

– Tak sądziłem. Pytała, czy kogoś masz.

– Co jej powiedziałaś?

– Że nie.

– Wspomniałeś o Pecie?

– Nie – odpowiada Gabe. – Swoją drogą, jak zamierzasz go przedstawić?

– O tak... – Robię efektowną pauzę. – Pete, poznaj Meredith, Sydney i Shawnę. Drogie panie, poznajcie mojego dawcę nasienia.

Gabe potrząsa głową, mrużąc coś pod nosem z dezaprobatą, po czym wstaje i rusza do drzwi.

Odchrząknawszy, pytam:

– Nie zapomniałeś o czymś?

– Ach, tak – reflektuje się, zerkając na mnie przez ramię. – Wszystkiego najlepszego, Samantha.

– Dzięki, Duckie – odpowiadam z szerokim uśmiechem.

– Duckie to postać z *Dziewczyny w różowej sukience* – uświadamia mi, gdy już jest w korytarzu i zmierza ku schodom. – Wszystko ci się pokręciło.

– Zatem dzięki, Long Duk Dong! – wołam za nim.

*

Wieczorem jedziemy taksówką do lokalu. Docieramy tam sporo przed ósmą, więc siadamy przy barze i popijając ostrygi szampanem, czekamy na pozostałych, coraz mocniej podcięci. Pierwsza zjawia się Leslie. Jest ubrana w obcisłą kieckę z dekoltem, która w połączeniu z jej płaską piersią tworzy efekt godny Kate Moss. Uznaję, że wybrała taki strój z zazdrości o barmankę, i postanawiam dać dziewczynie szansę. Gabe wstaje, całuje ją w policzek i ustępuje jej miejsca. Leslie odmawia, twierdząc, że chętnie postoi, po czym zwraca się do mnie i składa mi naprawdę szczere i serdeczne życzenia.

– Miałaś miły dzień? – pyta, obejmując mnie z wahaniem.

Kiwam głową i oznajmiam, że owszem, byłam na zakupach i manikiurze. Pokazuję jej paznokcie w kolorze wozu strażackiego, a ona natychmiast je komplementuje, choć nie wygląda na entuzjastkę czerwonego lakieru. Odkłada torebkę na bar i ukradkiem zerka na barmanki.

– Nie martw się – mówię z uśmiechem. – Zdzira dziś nie pracuje.

Trzeba jej oddać, że nie udaje głupiej, tylko prycha śmiechem i odpowiada:

– Całe szczęście!

– Jesteś od niej zresztą o wiele ładniejsza – dodaję i wcale nie muszę kłamać.

– Zdecydowanie – wtrąca Gabe, z zapalem kiwając głową.

– Mówisz tak, bo musisz – śmieje się Leslie.

– Skąd – zaprzeczam. – On jest do bólu szczery.

– A to coś złego? – pyta Gabe.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Pamiętaj, nigdy go nie pytaj, czy wyglądasz w czymś grubo. Choć nie sądzę, by ci to groziło. Ale na wszelki wypadek nie pytaj.

– Zaraz, zaraz, droga solenizantko. W życiu ci nie powiedziałem, że wyglądasz grubo – protestuje Gabe i przenosi wzrok na Leslie. – W kółko mnie pyta, czy widzę, że przytyła. Czasem widzę. Czasem nie. Ale nigdy nie nazwałem jej grubą.

– W porządku. Niech ci będzie – przyznaję.

Tymczasem Leslie stwierdza z zadowoleniem, że związek ze szczerym mężczyzną to bardzo

przyjemna odmiana. Przytaknąwszy, uznaję, że są naprawdę uroczą parą. Wyglądają prawie jak rodzeństwo.

– Podobni jesteście do siebie – rzucam bez zastanowienia.

Gabe wzrusza ramionami, obejmuje Leslie i mówi:

– Cóż może być seksowniejszego niż umawianie się z sobą samym?

Barman podchodzi do nas i zamawiam wódkę z sokiem grejpfrutowym. Ostrzegam Leslie, że tego drinka pije się jak lemoniadę, a wtedy ona prosi o to samo.

Gdy niemal jednocześnie w restauracji zjawiają się Sydney, Shawna i Pete, język już mi się nieco płacze. Gabe podaje mi szklankę wody i sugeruje dyskretnie, bym nieco zwolniła tempo. Wkrótce kelnerka prowadzi nas do stolika. Zajmuję miejsce pośrodku, Sydney i Pete siadają po moich obu stronach, a Gabe, Leslie i Shawna sadowią się naprzeciwko. Z boku zostaje siódme, wolne krzesło. Czeka na Meredith, o ile w ogóle się pojawi.

– Tak się cieszę, że przyszliście – wykrzykuję, owładnięta ciepłymi uczuciami do wszystkich zgromadzonych, i zwracam się do Shawny: – Dzięki, że znalazłaś czas. Wiem, że z małym dzieckiem nie jest łatwo... naprawdę to doceniam. I proszę, podziękuj ode mnie Larsowi – dodaję, bo wiem, że jej mąż został w domu z synkiem.

– Cała przyjemność po naszej stronie – mówi Shawna i łapie mnie za rękę. Ścisną ją lekko, a jej uśmiech sprawia, że przypominam sobie wszystkie nasze wspólne lata. Potem spogląda badawczo na Pete'a zza szkieł modnych okularów w ciemnych oprawkach.

– Jak poznałeś Josie? – pyta. – Też jesteś nauczycielem?

Pete rzuca mi spłoszone spojrzenie, a gdy nie reaguję, mówi po prostu:

– Nie. Zajmuję się fizjoterapią.

– O! – Shawna z zapalem kiwa głową. – Masz jakąś konkretną specjalizację?

– Sport i ortopedia – odpowiada Pete.

– Pracuje z zawodnikami Atlanta Braves – uzupełniam z dumą.

Na Shawnie wyraźnie robi to wrażenie, więc Pete dodaje skromnie:

– Z byłymi zawodnikami.

Kiedy wszyscy zaczynają przeglądać karty dań, postanawiam ogłosić wielką nowinę:

– Poza tym Pete będzie moim dawcą nasienia – oznajmiam.

Sydney klaszcze i wydaje z siebie radosny okrzyk. Gabe przewraca oczami i kręci głową. Shawna zerka na Pete'a, jakby chciała się upewnić, że nie żartowałam, a potem zasypuje mnie pytaniami. Odpowiadamy na nie oboje, powtarzając to, co mówiliśmy już wiele razy: że Pete chce mi pomóc i przy okazji spełnić dobry uczynek. Że ma naprawdę niezłe geny. Że bardzo chce być obecny w życiu mojego dziecka, ale uszanuje każdą moją decyzję. Shawna słucha uważnie, bez cienia drwiny, choć w pewnej chwili, gdy mruczy pod nosem, że to „absolutnie cudowne”, zaczynam się zastanawiać, czy

jej entuzjazm nie jest odrobinę wymuszony. Założę się, że mi nie zazdrości. Mimo to doceniam jej wsparcie i mówię jej o tym, zaznaczając, że po własnej siostrze nie mogę się spodziewać podobnej reakcji. Nagle Sydney szturcha mnie w bok.

– Ciiii... Idzie!

Rzeczywiście, podnoszę wzrok i dostrzegam Meredith. Ma naburmuszoną minę i najbardziej sztapowaty strój, jaki można sobie wyobrazić, czyli ciemne dżinsy i czarną bluzkę bez rękawów. Włożyła te same co zawsze pantofle od Manolo Blahnika, co byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że mają za niskie obcasy (od tej wysokości gorsze są tylko tak zwane kaczuszki). Jedyne dodatki stanowią małe kolczyki, obrączka i zegarek. Nudy.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi, podchodząc do stolika.

Wręcza mi prezent w ozdobnej torebce i życzy wszystkiego najlepszego. Potem nachyla się i niezgrabnie mnie obejmuje, poklepując po plecach.

– Dzięki. – Przyjmuję prezent i wskazuję jej krzesło. – Tam jest miejsce dla ciebie.

Robi krok we wskazanym kierunku, ale przystaje, zauważywszy Pete'a.

– Mam na imię Meredith. Jestem siostrą Josie – przedstawia się oficjalnym tonem i wyciąga rękę.

– Pete – odpowiada zagadnięty, ściskając jej dłoń.

– Cześć, Pete. Słyszałam o twoim bohaterskim wyczynie w Bistro Niko.

Siada, bardzo z siebie zadowolona. Pewnie wie, że zastanawiam się gorączkowo, kto jej o tym powiedział.

Pete uśmiecha się skromnie i zauważa, że „klepięcie człowieka w plecy to jeszcze nie bohaterstwo”.

– Z pewnością nie takie, jak użyczenie komuś swojej spermy – drażni się ze mną Sydney, szczerząc zęby. Niemal widzę, jak zaciera rękę.

Meredith nie daje się sprowokować.

– Mówiłam właśnie Shawnie, że mam zamiar skorzystać z nasienia Pete'a – oznajmiam więc, patrząc siostrze prosto w oczy.

Meredith przysuwa się z krzesłem do stołu z uprzejmym uśmiechem i splata dłonie na kolanach.

– Ach, tak, mama wspominała, że znalazłaś dawcę. Nie skojarzyłam, że to ten sam Pete – rzuca lekkim tonem, po czym spogląda na kelnera, który wrócił z napojami, i zamawia dietetyczną colę.

– Nie napijesz się kieliszka wina? – pytam, nawet nie próbując ukryć irytacji.

Kręci głową.

– Niestety, dziś nie piję. Jutro z samego rana idziemy do kościoła. Harper będzie śpiewała w chórze.

Słowa „kościół” i „chór” podczas urodzinowej kolacji oczywiście niezbyt sprzyjają dobrej

zabawie, jestem więc zmuszona obrać wprost przeciwny kierunek i oznajmiam kelnerowi, że zaczniemy wieczór od kolejki tequili.

Kelner kiwa głową z uśmiechem i patrzy na zebranych przy stole.

– Siedem razy?

– Sześć – poprawia go pospiesznie Meredith.

– Nie, siedem – mówię. – Wypiję twoją porcję.

*

Mimo wysiłków Meredith, by zepsuć atmosferę, kolacja przebiega wesoło. Widzę, że Shawna i Sydney polubiły Pete'a i nawet Gabe chyba postanowił zapomnieć dziś o wszelkich nieporozumieniach. Beztroski i zadowolony, sypie dowcipami i anegdotami, zupełnie nie w swoim stylu. Sydney zauważa to w pewnym momencie i pyta go, czy to Leslie tak poprawiła mu humor.

– Chyba tak – przyznaje nieśmiało Gabe.

– Bez wątpienia – wtrącam, postanawiając okazać dziewczynie dobrą wolę. Zwracam się do niej i dodaję: – Masz na niego świetny wpływ.

Leslie z uśmiechem bierze go za rękę.

– Naprawdę tak myślisz? – pyta.

– Jasne. Ale oto prawdziwy sprawdzian: nakłonicz go, żeby poszedł z nami do Johnny's.

Sydney wybucha śmiechem, bo zna mój sekretny plan zakończenia dzisiejszego wieczoru w moim ulubionym lokalu, a tak się składa, że Gabe szczerze nienawidzi tego miejsca.

– O nie – zastrzega się mój przyjaciel. – Zapomnijcie.

– A co to za miejsce? – pyta zaciekawiony Pete.

– Nie znasz Johnny's Hideaway? – dziwię się. – Od jak dawna mieszkasz w Atlancie?

– Od czterech lat – odpowiada. – I nie, nie znam.

– Ja też nie – wtóruje mu Leslie.

– Niczego nie straciliście – informuje ich Gabe.

– To jakiś bar? – dopytuje Pete.

– Klub – wyjaśniam. – A w Atlancie prawdziwa instytucja.

– Błagam cię – obrusza się Gabe. – To miejsce roi się od śliskich, podtatusiałych typków słuchających Abby i Neila Diamonda.

– Ja lubię Neila Diamonda – mówi Pete.

Posyłam Gabe'owi radosny uśmiech, ale on tylko kręci głową.

– Neila Diamonda można słuchać w samochodzie. Ale dyskotekowe kule i banda ryczących pięćdziesiątek wyrzaskująca *Sweet Caroline*, obserwowana przez obleśnych staruchów z cygarami?

Niezbyt miły widok.

Pete wybucha śmiechem.

– Brzmi całkiem zabawnie.

Gabe przygląda mu się przez chwilę, po czym odwraca się do mnie i suchym, pozbawionym intonacji głosem pyta:

– Dalej chcesz dać mu się zapłodnić?

Wszyscy się śmieją z wyjątkiem Meredith, która poprosiła już o rachunek i teraz niecierpliwie wypatruje kelnera.

– Tam jest całkiem fajnie – upieram się. – To takie ironiczne mrugnięcie okiem w stronę lat siedemdziesiątych.

– Połowa tamtejszych bywalców ma siedemdziesiąt lat – mówi Gabe. – A wszyscy są naprawdę obciachowi.

– Nieprawda – protestuję, upierając się, że klientela się wymieszała i można tam teraz spotkać całkiem modne towarzystwo.

Meredith wyciąga z portfela kartę kredytową i oznajmia:

– Popieram Gabe’a. Johnny’s Hideaway to podła tancbuda.

Gabe pstryka palcami i woła:

– Wreszcie! W czymś się zgadzamy.

– W takim razie możecie iść do domu. Syd i ja wybieramy się do Johnny’s – odpowiadam, a potem pytam Shawnę, Pete’a i Leslie, czy do nas dołączą.

– Jasne. Ja się piszę – odpowiada Shawna bez wahania. Przypominam sobie, że właśnie to zawsze w niej uwielbiałam.

– Ja też – dodaje Pete. – Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Z uśmiechem patrzę na Leslie, spodziewając się odmowy. Ona jednak kiwa głową i zaczyna podśpiewywać *Sweet Caroline*. Syd i ja przyłączamy się do niej chórem.

– Na miłość boską – burczy Gabe.

– Chodź z nami, proszę cię – mówię przymilnie. – Zrobisz to dla mnie?

– Nie ma mowy – odpowiada takim tonem, jakbym mu zaproponowała narkotyki. Potem zwraca się do Pete’a: – Przykro mi, stary. Zostajesz sam.

*

Tuż przed północą Shawna, Sydney, Leslie, Pete i ja stajemy w kolejce do wejścia. Klub mieści się w nijakim budynku na końcu pierzei sklepów przy Roswell Road. Przed nami rechocze donośnie stadko pięćdziesięciolatek w obcisłych kieckach z motywami zwierzęcymi. Sydney szybko zawiera z nimi znajomość i dowiadujemy się, że świętują wieczór panieński. Szarfa okalająca pierś przyszłej

panny młodej oznajmia, że to jej ostatnie łowy.

– Kiedy ślub? – pytam.

– W przyszłą sobotę – odpowiada kobieta, poprawiając opaskę na włosach. Przyjrząwszy się jej z bliska, odkrywam, że to wcale nie opaska, lecz majteczki w lamparci wzór. – Do trzech razy sztuka, jak mówią!

Wybuchamy śmiechem i życzymy jej szczęścia. Płacimy po pięć dolarów odzianemu w garnitur bramkarzowi i wchodzimy do pogrążonej w półmroku czarno-czerwonej sali, pulsującej w rytm piosenki *Little Red Corvette*. Wirująca pod sufitem dyskotekowa kula rzuca na parkiet rozmigotane błyski.

– Fantastyczne miejsce – mówi Pete, przesuając wzrokiem po ścianach obwieszonych zdjęciami rozmaitych sław, od Franka Sinatry, przez Arnolda Palmera, po Britney Spears i George’a Clooneya (który najwyraźniej odwiedził kiedyś klub, bo uwieczniono go z naszym bramkarzem).

– A nie mówiłam? – odpowiadam z dumą.

Leslie, która również jest tu pierwszy raz, kiwa głową, mamrocząc pod nosem, że Gabe naprawdę dużo traci. Trzeci raz jej powtarzam, że zrobiła na mnie wielkie wrażenie, decydując się przyjść tu bez niego.

– To naprawdę super z twojej strony – zapewniam ją wylewnie i w typowo pijackim przypływie szczerości wyznaję, że lubię ją o wiele bardziej niż na początku.

– Dzięki – odpowiada. – Gabe mówił, jaka jesteś dla niego ważna...

– A więc to strategiczny ruch? Tak jak droga do serca każdego mężczyzny prowadzi przez żołądek, tak do serca Gabe’a prowadzi przez Josie? – wtrąca się Sydney.

Leslie wybucha śmiechem.

– Szczerze mówiąc, chciałam po prostu zobaczyć to miejsce.

– I nie zawiodłaś się? – pytam.

– O nie – odpowiada.

Przeciskamy się przez zasnutą dymem z cygar salę do baru i sadowimy na kręconych stołkach z czerwonymi obiciami.

– Czego się napijecie, dziewczyny? – Pete wyciąga kartę kredytową i kładzie ją na barze. – Coś w stylu retro? Harvey Wallbanger? Manhattan? Tequila sunrise?

– Wiesz co? Ja poproszę whisky sour – mówię.

Shawna rozpromienia się i woła:

– Zapomniałam, że kiedyś cały czas to piłyśmy! Dla mnie to samo.

Syd i Leslie poprzestają na czerwonym winie, a Pete wybiera piwo Miller Lite i otwiera rachunek, choć Shawna nalega, że powinien postawić tylko pierwszą kolejkę. Kilka chwil później, z drinkami w dłoniach, wciskamy się na parkiet, pełen tańczących ludzi w różnym wieku. Obok studentek płasają

palące cienkie papierosy rozwódki i biznesmeni w pomiętych garniturach. DJ funduje nam podróż przez dekady, poczynając od lat pięćdziesiątych, a kończąc na dziewięćdziesiątych. Tańczymy w zwartym, spoconym kręgu, raz po raz mieszając się z podrygującymi nieznajomymi lub pozując do wyzywających grupowych selfie. W pewnej chwili czuję nawet, że lewa pierś wychyla mi się z dekoltu.

Kilka drinków później, tuląc się do Pete'a przy *Every Rose Has Its Thorn* zespołu Poison, czuję nagły przypływ radości. Choć wiem, że to zapewne euforia spowodowana alkoholem i szlagierami z lat osiemdziesiątych, zastanawiam się, czy nie ma w tym czegoś więcej. Może ta radość ma coś wspólnego z Pete'em.

– Tak się cieszę, że cię poznałam – mówię z uśmiechem.

– Ja też – odpowiada, szczerząc zęby. – Niezależnie od tego, jak to się skończy.

– To znaczy? – pytam. – Zamierzasz się wycofać?

– Nie – stwierdza stanowczo i przechyla mnie do tyłu. – Miałem na myśli dzisiejszy wieczór.

Wybucham śmiechem.

– Czy ty mnie podrywasz?

– Na to wygląda – mruczy, kładąc mi rękę na tyłku. – Chociaż tutejsi bywalcy powiedzieliby raczej, że się do ciebie dostawiam. Czujesz to, mała?

– Czuję, czuję – odpowiadam, usiłując przypomnieć sobie młodzieżowy język z lat siedemdziesiątych. – Prawdziwy z ciebie casanova.

Pete posyła mi uśmiech podrzędnego uwodziciela i okręca mnie z wprawą.

– Żebyś wiedziała.

Uśmiecham się szeroko.

– Wiesz co? – pytam.

– Co takiego?

– Pomyślałam sobie, że jesteś seksowny. Naprawdę seksowny... Ale to pewnie przez ten alkohol.

– Alkohol skłania do najszczerzych wyznań, skarbie – mówi, przyciągając mnie do siebie.

– Właściwie – stwierdzam – to chyba jednak nie alkohol. Po prostu zaczęły odrastać ci włosy.

– Zołza – mówi, udając obrażonego.

– Alkohol skłania do najszczerzych wyznań – przypominam mu, patrząc na dołek w jego brodzie. – Ale poważnie: naprawdę dobrze dziś wyglądasz.

– Na tyle dobrze, żebyś mnie pocałowała? – pyta.

Rozlegają się pierwsze dźwięki mojej ukochanej *Jessie's Girl*.

– Kto wie – odpowiadam i uśmiecham się kokieteryjnie.

– To jak będzie? – pyta.

Rick Springfield zaczyna refren, a ja postanawiam dać się ponieść nastrojowi chwili. Wspinam się na palce i całuję Pete'a, na tyle długo, by stwierdzić, że mi się to podoba.

– Hej – mówi Pete, nie otwierając oczu. – To było całkiem miłe.

– Całkiem? – powtarzam.

– Bardzo – odpowiada, pochyla się i całuje mnie jeszcze raz.

– O Jezu, nie przy ludziach! – Dobiegający gdzieś z za moich pleców okrzyk Shawny przywodzi mi na myśl czasy college'u.

Odsuwam się od Pete'a, szybko ocieram usta wierzchem dłoni i mówię do niej:

– Niczego nie widziałaś.

– A właśnie, że widziałam – droczy się ze mną Shawna i wskazuje na Leslie oraz Syd. – One też.

– To nic nie znaczyło – oznajmiam wszystkim trzem. – Mały prezent urodzinowy. Prawda, Pete?

Pete z powagą kiwa głową.

– Prawda – zaświadcza.

Ciekawe, czy blefuje, czy mówi szczerze? Chyba jednak to drugie. Przeszywa mnie lekkie ukłucie rozczarowania. W końcu nie tak łatwo porzucić marzenia o wielkiej miłości, a przynajmniej miłoby poczuć, że ktoś cię pożąda. Przypominam sobie jednak, że mój cel jest inny. Nie pozwolę, żeby głupi pocałunek zamącił mi w głowie. Któregoś dnia będę się z tego śmiała, opowiadając córce (lub synowi) o moich trzydziestych ósmych urodzinach i o tym, jak pocałowałam jej (jego) biologicznego ojca na parkiecie w Johnny's Hideaway.

*

Wychodzimy z klubu jako ostatni (to nie lada wyczyn). Jadę taksówką do domu. Jestem głodna jak wilk, więc od razu pędzę do kuchni. Gdy otwieram lodówkę w poszukiwaniu resztek z obiadu, słyszę za plecami kroki i podskakuję, upuszczając na podłogę pudełko z chińszczyzną.

– Cześć – rozlega się głos Gabe'a.

– Chryste, ale mnie przestraszyłeś. – Schylam się, żeby podnieść pudełko i dużą grudkę sklejonego ryżu. – Musiałeś się skradać?

– Przecież ja tu mieszkam – przypomina mi Gabe.

– Tak czy siak – odpowiadam, dwoma kopnięciami pozbywając się szpilek. Wiem, że nogi będą mnie bolały jeszcze przez kilka dni. – Czemu nie śpisz?

– Nie mogę.

– Głodny jesteś?

– Nie.

– A ja, cholera jasna, umieram z głodu – mówię. Po kilku drinkach zawsze zaczynam kłąć. – Mamy coś oprócz ryżu?

– W lodówce powinna być wołowina i brokuły.

Zaglądałam jeszcze raz i za kartonem jego pełnotłustego mleka dostrzegam kolejny biały pojemnik.

– Jest – mówię i stawiam pudełko na blacie. Z szuflady wyciągam widelec, po czym uznaję, że nie warto przekładać jedzenia na talerz ani podgrzewać go w mikrofalówce. Rzucam się na nie z zapalem.

– Paskudne zwyczaje – mruczy pod nosem Gabe.

Nigdy nie tyka zimnych resztek, poza tym uważa, że nawet o trzeciej nad ranem należy jeść wyłącznie z talerza, zachowując przy tym minimum dobrych manier.

– Gadaj zdrów – burczę. – I popatrz na siebie.

– Nie, to ty popatrz na siebie. Cuchniesz jak popielniczka.

Rzuca mi znaczące spojrzenie, a kiedy nie reaguję, dodaje:

– Słyszałam, że paliłaś dziś cygara.

– Spotkałam Paula Jolly’ego. Wiesz, naszego dawnego sąsiada. Dał mi się zaciągnąć, ale tylko raz.

Kto ci doniósł? – pytam.

– Rozmawiałem z Leslie – przyznaje.

– Już zdążyła do ciebie zadzwonić? – dziwię się.

Leslie wyszła z klubu zaledwie dwadzieścia minut przed nami.

– Nie. To ja do niej zadzwoniłem.

– Chciałeś ją namówić na szybki numer w środku nocy? I co, nie udało się?

– Skąd. Mnie się zawsze udaje – odpowiada i podejrzewam, że to prawda.

– To czemu jej tu nie widzę? – pytam.

– Bo jej nie zaprosiłem. Martwiłem się... I najpierw usiłowałem dodzwonić się do ciebie. Sprawdź telefon.

– Rozładował się. Sporo nagrywałam... Przyłapałam nawet Leslie na gorącej akcji z dziewczyną – oznajmiam, wspominając, jak seksownie podrygiwała razem z Sydney przy *Pour Some Sugar on Me*. Wiadomo, Syd zaczęła, ale mimo to...

– Tak? A ja słyszałam, że ciebie przyłapano na akcji z chłopakiem – odbija piłeczkę Gabe. – Macanki na parkiecie, co?

– Pieprzona donosicielka. – Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Chciałaś to przede mną ukryć?

– Nic podobnego – odpowiadam z pełnymi ustami. – Ale Leslie przesadza.

– Jasne. – Gabe krzyżuje ramiona na piersi. – Wiesz co, Josie? Johnny’s Hideaway to wstrętna buda. Ale obściskiwanie się z facetami na parkiecie takiej budy to już naprawdę przesada.

– Z nikim się nie obściskiwalam – protestuję, wyskrobując resztki jedzenia z pudełka.

Gabe przekrzywia głowę.

– To znaczy, że nie całowałaś się z Pete’em?

– Owszem, całowałam. – Przewracam oczami. – Ale to nie miało nic wspólnego z obściskiwaniem się.

Gabe spogląda na mnie z dezaprobatą.

– No co? Nie patrz tak na mnie – mówię. A po chwili dodaję: – Wiesz co? Gdybym cię nie znała, to pomyślałabym, że jesteś zazdrosny.

Nigdy nie powiedziałabym czegoś takiego na trzeźwo. I tu pojawia się pytanie: czy w głębi ducha naprawdę tak myślę?

– Zazdrosny? Niby o co? – oburza się Gabe. – Jeśli naprawdę chcesz skorzystać z jego przeciętnych plemników, proszę bardzo. Ale jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że tego pożałujesz.

Wybucham śmiechem.

– Z przeciętnych plemników! Cholera. Ty rzeczywiście jesteś zazdrosny. Rozkoszne.

– Nie jestem zazdrosny – odpowiada z naciskiem. – Uważam tylko, że obściskiwanie się z gościem, który ma ci użyczyć swojej spermy, to wyjątkowo kiepski pomysł. Jeśli chcesz się z nim umawiać, to się umawiaj, ale w takim razie tamto powinnaś odłożyć.

– Nie chcę się z nim umawiać. Chcę urodzić dziecko.

– Okej. Zatem, szczerze mówiąc... uważam, że mogłaś lepiej wybrać.

– Wredny jesteś – odpowiadam. – Pete to bardzo miły facet.

– Wiem. Ale mówimy o spermie. Naprawdę nie stać cię na kogoś lepszego? Josie...

– A kto twoim zdaniem byłby lepszy? – pytam, zadowolona, że w odpowiednim momencie przerzuciłam się na wodę i jestem w stanie prowadzić sensowną dyskusję. – Tamten biegacz weganin? Daj spokój, przeczytaj sobie jeszcze raz jego esej. To jakiś dziwak. Poza tym... po prostu nie chcę korzystać z usług obcego faceta. Wolę wybrać kogoś, kogo znam.

Gabe wpatruje się we mnie, kiwając głową, a potem mocno opiera dłonie na blacie i mówi:

– A porządku. W takim razie co powiesz na kogoś, kogo naprawdę znasz?

Wkładam puste pudełko po wołowinie do kosza i zaczynam pałaszować ryż. Gabe wrywa mi pojemnik i wyrzuca go do śmieci.

– Hej! – protestuję.

– Mówiłaś mi kiedyś, że w nocy nie należy jeść niczego białego. Więc powinnaś być mi wdzięczna... A wracając do tematu: czy bliski przyjaciel nie byłby lepszym wyborem od jakiegoś przypadkowego znajomego z internetu?

Mrużę oczy i patrzę na Gabe’a, nie wierząc w to, co słyszę.

– Jak bliski?

– No nie wiem... Najbliższy?...

Wyraźnie zdenerwowany, unika mojego wzroku.

– Żartujesz, prawda? – pytam ze śmiechem.

Gabe spogląda mi w oczy i ze śmiertelną powagą kręci głową.

Serce kołacze mi w piersi jeszcze mocniej niż wtedy, gdy całowałam Pete'a na parkiecie.

– Myślałam, że nie lubisz komplikować spraw.

– Bo nie lubię – przyznaje. – Nadal uważam, że najlepiej byś zrobiła, decydując się na nieznajomego. Ale jeśli nie... to powinnaś wybrać kogoś, komu ufasz. Komuś, kto zawsze będzie stał za tobą murem. I za twoim dzieckiem.

– Masz na myśli siebie? – upewniam się.

– Tak.

– Ale co to będzie znaczyło? – pytam, a przez moją głowę przelatuje z milion myśli.

– Nie rozumiem.

– Będziesz tylko dawcą? Czy może... ojcem?

Gabe przełyka ślinę.

– Chyba jednym i drugim.

– A więc kimś więcej niż tylko dawcą?

– Tak jest – potwierdza. – Kimś więcej. Kimś więcej, niż byłby Pete. Będę tatą.

– A co z nami? – pytam i przez ułamek sekundy zastanawiam się, czy nie wyzna mi za chwilę, że kochał się we mnie po kryjomu przez te wszystkie lata, jak Andrew McCarthy w *Ogniach św. Elma*.

– Co z nami? – powtarza.

– Chyba nie sugerujesz, że powinniśmy... – Urywam i wykonuję bezradny gest dłonią, ale on dalej patrzy na mnie pustym wzrokiem. – Chyba nie sugerujesz, że powinniśmy się ze sobą przespać? – kończę.

– O Boże, nie – krzywi się Gabe. – Nic z tych rzeczy. Pójdziemy do tej twojej pani doktor, tak jak było w planie. A jeśli chodzi o naszą przyjaźń, nic się nie zmienia.

– Okej – mówię. – Ale czy to nie będzie dziwne?

Gabe wzrusza ramionami.

– Może. Nie wiem... To będzie chyba coś podobnego do naszej wspólnej opieki nad Revisem.

– Ale Revis to pies.

– Wiem.

– Poza tym Revis jest mój.

– Tylko teoretycznie. Kto go częściej wyprowadza? Kto wypuszcza w nocy? Kto zapłacił monstrualny rachunek od weterynarza, kiedy ten idiota pożarł skarpetkę?

– To była twoja skarpetka – przypominam mu. – Zostawiłeś ją na podłodze.

– Daj spokój, Josie. W którym łóżku woli spać, jeśli ma wybór?

– Raz w twoim, raz w moim – upieram się.

– Bzdura. To mnie bardziej kocha i dobrze o tym wiesz.

Zaczynam protestować, ale Gabe dopiero się rozkręca.

– Najważniejsze, że kocham Revisa tak, jakby był moim psem. Wszystko dla niego zrobię. A jeśli coś ci się stanie, to się nim zaopiekuję.

– A gdybyśmy się pokłócili? – pytam.

– Przecież ciągle się kłócimy.

Kręcę głową.

– Nie chodzi mi o głupie sprzeczki o brudne naczynia w zlewie, tylko o poważną kłótnię.

– Co za głupoty. Wiesz, że to się nie zdarzy.

– Mogłoby się zdarzyć.

– Okej, masz rację. Mogłoby. Bylibyśmy wówczas jak para rozwodników, która dzieli się opieką. Tyle że nie jesteśmy małżeństwem, więc nie musielibyśmy się rozwodzić.

Kiwam głową, choć trudno mi uwierzyć w to, co słyszę.

– A co na to wszystko Leslie? – pytam.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

– Myślisz, że nie będzie miała nic przeciwko?

– Myślę, że nie – odpowiada natychmiast. Widocznie zastanawiał się nad tym wcześniej. – Przecież mógłbym już mieć jakieś dziecko. Sądzisz, że wtedy by się ze mną nie spotykała?

– Nie mam pojęcia – przyznaję. – Prawie jej nie znam.

– Musiałaby być strasznie płytka, gdyby jej to przeszkadzało. A mnie nie interesują płytkie dziewczyny. Zatem im wcześniej się przekonam, tym lepiej.

– W tej kwestii niekoniecznie się z tobą zgadzam – mówię. – Wcale nie jestem pewna, czy chciałabym być z facetem, który ma dziecko z inną kobietą.

– W takim razie to ty jesteś płytka – stwierdza Gabe z uśmiechem. – Poza tym... bardzo lubię Leslie, ale nie nakłoni mnie do zmiany zdania.

– Naprawdę? – pytam. – Myślałam, że się w niej zakochujesz.

– Możliwe – odpowiada. – To teraz bez znaczenia. Jeśli postanowimy to zrobić, to będzie nasza decyzja. Tylko nasza. Twoja i moja.

Wpatruję się w niego przez kilka oszłamiających sekund, usiłując pojąć to, co przed chwilą powiedział.

– Czy to znaczy, że ty chcesz mieć dziecko?

- Nie. Tego nie powiedziałem. Chcę, żebyś ty je miała, jeśli rzeczywiście tego właśnie pragniesz.
 - Nie brzmi to zbyt przekonująco.
 - Bo nie próbuję cię przekonać. Składałam ci pewną propozycję. Możesz ją przyjąć lub nie.
- Obejmuję go, wzruszona, i zapewniam, że to najmiłsza rzecz, jaką mi ktokolwiek kiedykolwiek zaproponował.
- Dobra, dobra – mówi, ziewając rozdzierająco.
- Zauważam jednak, że nie przymyka przy tym oczu, co stanowi najlepszy dowód na to, że to udawane ziewnięcie, że szuka wyjścia z niezręcznej sytuacji, zakłopotany moją wylewnością. Rzeczywiście, po chwili oznajmia, że idzie spać, obraca się na pięcie i gwałtownie wychodzi z kuchni.
- Dobranoc, Gabe – wołam za nim. – Kurwa mać, kocham cię!
 - Ja ciebie też, tylko już nie przeklinaj – mamrocze ze schodów Gabe.

ROZDZIAŁ 22

Meredith

Jest piątek, od urodzin Josie nie minął jeszcze tydzień. Zbieram się właśnie na lotnisko, gdy Harper zaczyna płakać. Nie ma to absolutnie nic wspólnego z moim wyjazdem ani z tym, że – co uświadomiłam sobie wcześniej i co wpędza mnie w spore poczucie winy – nie spędzimy razem Halloween. Okazuje się, że życie naśladuje sztukę: podobnie jak bohaterka jej ulubionej książeczki autorstwa Mo Willemsa mała najwyraźniej zgubiła ukochanego pluszaka.

– Gdzie go ostatnio widziałaś? – pyta Nolan.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, jaki sens tkwi w zadawaniu takiego pytania histeryzującej czterolatce.

– Chcę Królisiaa! – krzyczy na to Harper, zanosząc się płaczem.

– Wiem, kotku – uspokajam ją, zaglądając pod kanapę, choć dobrze wiem, że zabawka jest za duża, by się tam zmieścić. – Znajdziemy go. Obiecuję.

Nolan chrząka i mówi:

– Lepiej niczego nie obiecujmy.

Serce zamiera mi w piersi. Spoglądam na niego, wciąż na kolanach, i dociera do mnie, że przed chwilą wrócili z Legolandu.

– Nolan – cedzę przez zęby. – Czy ty mi próbujesz coś powiedzieć?

– Może?

Głos mu się załamuje, a na jego twarzy widać panikę.

– Na miłość boską, błagam, tylko nie mów, że Harper zabrała Królisia do Legolandu – mówię, wstając i patrząc mu prosto w oczy.

Nolan odwzajemnia spojrzenie, ale nie odpowiada. Ogarnia mnie chwilowe przerażenie. Przypominam sobie jednak, że Harper jest ze mną, że nikt nikogo nie porwał, a my mówimy o pluszowej zabawce. To tylko przedmiot.

– Mieliśmy go w samochodzie – mówi Nolan, ale mam wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwa wahanie.

– Jesteś pewien? – pytam.

– Tak. Pamiętam, że widziałem go we wstecznym lusterku.

Oddycham z ulgą, ale już po chwili pojawiają się nowe wątpliwości:

– Czekał. Widziałeś go, gdy jechaliście tam czy w drodze powrotnej?

Nolan drapie się po głowie i wzrusza ramionami.

– Tego... nie jestem pewien – odpowiada.

– Nolan! – Z jękiem przyciskam palce do skroni. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie pozwalał jej wynosić Królisia z domu! Wiesz, że jeśli się rzeczywiście zgubi, to będzie katastrofa!

– Nie wiedziałem, że go wzięła.

Biorę głęboki oddech.

– Dzwoniłeś do Legolandu? – pytam. Tymczasem Harper szlocha coraz głośniej.

– Oczywiście – odpowiada z naciskiem. – Kilka razy. Zostawiłem dwie wiadomości, rozmawiałem też z recepcjonistą.

– Co ci powiedział?

– Że nikt niczego nie znalazł.

– Czyli jednak go tam zostawiliście!?

– Nie wiem, Meredith. Zabrałem ją tam, żebyś się mogła w spokoju spakować...

– Ach tak, więc to moja wina?

– Tego nie powiedziałem.

Odwracam się do córki i mówię:

– Harper, kochanie. Już dobrze.

– Chcę Królisiaaaa! – zawodzi mała, trąc piąstkami oczy, cała zasmarkana i mokra od łez.

– Wiem, kotku. Tatuś i ja robimy, co możemy.

Harper powtarza, że chce Królisia i że bardzo, ale to bardzo za nim tęskni.

– Wiem, koteczku.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Patrzą na zegarek.

– O której masz lot? – pyta Nolan po raz trzeci, jeśli nie czwarty.

– O siódmej. Ale przecież nigdzie nie polecę.

– Czemu?

Potwierdza, gdy pytam go, czy mówi poważnie.

– Twoja obecność niczego tu nie zmieni.

Przygryzam wargę i kiwam głową.

– To miłe z twojej strony, Nolan. Wielkie dzięki.

– Miałem na myśli cholernego królika – mamrocze pod nosem.

Otwieram usta, ale wtedy dzwoni telefon. Niestety, odruchowo zerkam na wyświetlacz, i dostrzegam na nim imię Josie. Myślę, że gorzej już być nie może, i odbieram.

– Cześć, Josie. Przepraszam, ale mamy tu mały kryzys – rzucam pospiesznie.

– Co się stało? – pyta.

– Zgubiliśmy Królisia.

– Hm – mówi.

Najwyraźniej uznała, że Króliś po prostu gdzieś się zapodział.

Odchodzę na bok, tak żeby Harper nie mogła mnie słyszeć, i osłaniając telefon dłonią, wyjaśniam, na czym polega problem.

– Do tego wszystkiego – dodaję – za kilka godzin mam samolot...

– Dokąd lecisz? – pyta Josie.

– Do Nowego Jorku.

– Służbowo?

– Nie.

– To po co?

Przez moment się waham. Sama nie wiem, dlaczego wcześniej nie przygotowałam sobie odpowiedzi.

– Po prostu muszę wyjechać na kilka dni.

– Kilka dni? Nie wrócisz na Halloween?

– Nie, ale przygotowałam już dla Harper kostium motylka. Poza tym to Nolan zawsze chodzi z nią po domach. Ja siedzę tutaj i rozdaję cukierki. Sama widzisz, że to nic takiego – mówię, bezskutecznie próbując przekonać nie tylko ją, ale też samą siebie.

– Okej, okej. Jedziesz z Ellen?

– Nie, sama... Ale teraz nie wiem, czy nie powinnam zostać w domu.

– Z powodu Królisia? – pyta Josie.

– Tak – potwierdzam, spoglądając gniewnie na Nolana. – Z powodu Królisia.

– Mam przyjechać? – pyta Josie po chwili wahania.

– Po co? – wypalam i natychmiast tego żałuję.

– Nieważne.

– Przepraszam – mówię. – Myślałam, że chcesz pomóc z Królisiem. Chyba przepadł na dobre...

– Nie, za to mogę zająć się Harper. Żebyś mogła pojechać. Odwrócę jej uwagę...

Milknę, nie dlatego, że nie chcę skorzystać z propozycji, ale dlatego, że trudno mi przyznać, że potrzebujemy Josie. Ja jej potrzebuję. Troska o Harper jest jednak silniejsza.

– Byłoby super...

– Dobrze – odpowiada dziarsko Josie. – Za chwilę będę w domu. Muszę tylko wypuścić Revisa, więc u was zjawię się za czterdzieści pięć minut. Może być?

– Tak. Dziękuję. Powiem Nolanowi.

– No to świetnie – rzuca, a po dłuższym milczeniu proponuje coś jeszcze lepszego: – Mogłabym zostać na noc... jeśli Nolan zechce? Jako zastępstwo Królisia.

Mam ochotę odpowiedzieć, że pluszak jest niezastąpiony, lecz gryzę się w język, ponieważ ciocia Josie stanowi prawdopodobnie jedyny wyjątek od tej reguły.

– Naprawdę, mogłabyś? – pytam, chowając resztki dumy do kieszeni. – Byłoby cudownie. Dzięki, Josie.

*

Samolot ląduje na LaGuardii kilka minut po dwudziestej drugiej. Natychmiast włączam telefon i sprawdzam esemesy, modląc się o dobre wieści w sprawie Królisia. Nic. Ani słowa z Atlanty, poza wiadomością od Ellen, która życzy mi miłego pobytu i prosi, bym dzwoniła w razie jakichkolwiek pytań o mieszkanie. Dziękuję jej, a potem piszę do Josie i Nolana: „Króliś wciąż zaginiony w akcji? Jak Harper?”.

Pół godziny później, gdy już odzyskałam bagaże i stanęłam w wyjątkowo krótkiej kolejce do taksówek, nadal czekam na odpowiedź. Zakładam najgorsze, ale powtarzam sobie w duchu, że nic nie mogę zrobić. Wrzucam więc telefon do torby, zamykam oczy i wciągam w nozdrza wspaniały zapach Queens: mieszaninę odoru spalin i śmieci oraz woni falafeli.

Nagle ogarnia mnie znużenie i jedyne, na co mam ochotę, to sen. Przypominam sobie, że nic nie stoi na przeszkodzie. Jutro mogę przespać choćby cały dzień. Właściwie mogę przespać cały tydzień. Pierwszy raz od narodzin Harper nie wiszą nade mną żadne obowiązki, w każdym razie nie takie, które trzeba wypełnić w określonym czasie. Jednak gdy wsiadam do taksówki i podaję kierowcy adres Ellen, dociera do mnie, że ani sen, ani poczucie wolności nie wystarczą, by rozwiązać moje problemy. Patrząc na billboardy i budynki przesuwane się za oknem samochodu i czuję się równie zagubiona jak biedny Króliś, gdziekolwiek się znajduje.

ROZDZIAŁ 23

Josie

Następnego ranka wciąż leżę zwinięta w kłębek obok Harper w jej szerokim łóżku, gdy dzwoni do mnie Meredith.

– Znaleźliście Królisia? – pyta od razu.

– Nie – szepczę, odwracając się do ściany, cicho, żeby nie obudzić Harper, choć małej pewnie nie obudziłby nawet wybuch bomby. – Jeszcze nie.

– Cholera... – wzdycha Meredith. – Jak ona się ma?

– Całkiem dobrze. Śpi. Leżę obok niej.

– W jej łóżku?

– Tak.

– W nocy cię nie pokopała?

Parskam śmiechem i odpowiadam, że nie było tak źle.

– Gdzie Nolan?

– Nie wiem. Jeszcze nie wyszłam z pokoju.

Zapada milczenie, po czym moja siostra oznajmia:

– Pisałam do was wczoraj wieczorem. Nie dostałaś esemesa?

– Położyłyśmy się z Harper bardzo wcześnie – wyjaśniam. – A Nolan wyszedł.

– Ooo... – dziwi się Meredith. – Dokąd?

– Nie wiem. Nie pytałam... – Po chwili wahania dodaję łagodnym tonem: – Czy między wami wszystko w porządku?

– Tak – mówi. – Wszystko gra.

Ta pełna napięcia odpowiedź w połączeniu z wczorajszym rozdrażnieniem Nolana wzmagają tylko moje podejrzenia, że zbliżają się kłopoty. Wiem jednak, że Meredith woli nie rozmawiać o swoim małżeństwie i wypytywanie nic nie da. Zmieniam więc temat:

– Założę się, że Króliś dziś do nas wróci, ale na wszelki wypadek... zamówiłam drugiego.

– Drugiego Królisia!?

Wyjaśniam, że przypomniałam sobie nazwę producenta i po krótkich poszukiwaniach w Google znalazłam na stronie sklepu Nordstrom identycznego beżowego pluszaka.

– Powinni go przysłać jeszcze dzisiaj – dodaję.

– Przecież Harper od razu się zorientuje – zauważa Meredith. – Pamiętasz, jak mama próbowała podmienić Bonga?

Z uśmiechem przypominam sobie zupełnie przypadkowe imię, które nadałam naszej żółtoniebieskiej rybce.

– Rzeczywiście. Tamten fortel nie wypalił.

– No właśnie – przytakuje Meredith. – A Harper jest o wiele sprytniejsza niż my w jej wieku...

– Wiem. Ale uznałam, że warto spróbować. Dam go Revisowi do zabawy na kilka dni... żeby go wytarzał w błocie... a potem wrzucę do suszarki...

– I tak się zorientuje – wzdycha moja siostra.

– Pewnie tak – przyznaję, choć byłoby miło, gdyby Meredith doceniła mój pomysł i wszystkie wysiłki. Nie wspominając już o tym, że właśnie leżę w łóżku z jej córką. – Co będziesz dzisiaj robić?

– Jeszcze nie wiem. A ty?

Oznajmiam, że nie jestem pewna, ale zamierzałam spędzić ten dzień z Harper.

– Mogę?

– Jasne – odpowiada nieco łagodniej. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Aha, Mere...

– Tak?

Milknę, szukając właściwych słów.

– Proszę, daj mi znać, jeśli będziesz chciała pogadać... o czymkolwiek.

– Dziękuję – powtarza. – Naprawdę to doceniam.

*

W ciągu kilku kolejnych godzin Harper trzy razy rozplakała się z powodu Królisia (na szczęście nie wtedy, gdy rozmawiałam z Meredith przez telefon). Akurat składałam pranie, gdy do salonu wszedł Nolan i zapytał, czy nie miałabym ochoty odwiedzić Daniela.

– Na cmentarzu?

Głupie pytanie, bo co innego mógłby mieć na myśli? Nolan odpowiedział łagodnie:

– Tak... Chciałbym zabrać tam Harper... i bardzo bym się ucieszył, gdybyś pojechała z nami. Co ty na to?

Spojrzałam na niego, bardzo zaskoczona bezpośredniością tej prośby, i mimowolnie pokiwałam głową.

– Zgoda – powiedziałam, choć serce załomotało mi z przerażenia.

*

Kilka godzin później, mimo moich licznych prób storpedowania tego pomysłu, docieramy do kolistego podjazdu przed Arlington Memorial Park. Wsiadamy z samochodu, każde ze swojej strony, a potrójny trzask zamykanych drzwi maści spokojną atmosferę malowniczego cmentarza. Ze ściśniętym żołądkiem staram się powstrzymać wspomnienia z dwudziestego szóstego grudnia 2001 roku, czyli dnia, w którym byłam tu po raz ostatni. Ale one i tak nadchodzą. Kąsające zimno. Obcasy zapadające się w mokrą ziemię. Ziejący dół koloru gliny. Samotny drozd na nagim dębie nad trumną mojego brata.

W milczeniu podchodzimy do grobu Daniela. Nolan prowadzi, za nim idzie Harper z bukietem kwiatów, ja na końcu. Mam słaby zmysł orientacji, ale dzięki staremu dębowi to miejsce potrafię odnaleźć bez niczyjej pomocy. Na częściowo zacienionym nagrobku dostrzegam imię brata. Wokół grobu leży trochę opadłych liści. Nolan je podnosi i wciska do kieszeni kurtki. Zakłopotana, trzymam się z boku. Nie znam się zupełnie na cmentarnej etykietce, ale dochodzę do wniosku, że nie należy stać nad samym grobem.

Świecące od rana słońce teraz schowało się za chmury i robi się chłodno. Przechodzi mnie dreszcz. Zapinam polarową bluzę pod samą szyję i przyciskając ręce do piersi, zmuszam się, by spojrzeć na nagrobek. Na płaskim szarym granicie wykuto imię i nazwisko Daniela, datę urodzenia oraz śmierci. Pod spodem widnieje krzyż oraz krótkie epitafium, ułożone przez mamę, gdy siedziała w kuchni z ojcem i naszym pastorem: „Ukochany syn, brat i przyjaciel”.

Pamiętam, że wtedy uznałam ten napis za zbyt prosty. Uważałam, że powinno się tam znaleźć znacznie więcej słów, takich jak: wnuk, siostrzeniec, kuzyn, narzeczony. Prawie im o tym powiedziałam w wybuchu czegoś, co przypominało pourazowe symptomy zespołu Tourette’a, lecz zdołałam się powstrzymać. Schowałam się w pokoju i siedziałam tam do samego pogrzebu, z dala od wszystkich.

Nolan chrząka i cichym, spokojnym głosem mówi:

– Harper, kochanie, połóżysz kwiatki?

Mała kiwa głową, poważna niczym dziecięca aktorka w scenie pogrzebu, a potem klęka i powoli opuszcza bukiet na ziemię. Wiązanka róż i goździków z supermarketu wygląda tanio, niemal tandetnie, owinięta w zielony celofan ściśnięty gumką. Meredith inaczej by to załatwiła: kupiłaby kwiaty w eleganckiej kwiaciarni, a Harper miałaby na sobie sukienkę zamiast poplamionej koszulki, ale przede wszystkim mnie by tutaj nie było, ponieważ jej przytłaczające wymagania to więcej, niż potrafię znieść.

– Świetnie, kotku – szepcze Nolan, klękając obok córki i ostrożnie kierując główki kwiatów w stronę nagrobka. – Pomodlimy się?

Wyraźnie obznajomiona z całym obrzędkiem dziewczynka składa dłonie, zaciska powieki i mówi:

– Panie Boże, pobłogosław wujka Daniela.

– Panie Boże, pobłogosław wujka Daniela – powtarza jak echo Nolan.

Choć często wyobrażam sobie nienarodzone dzieci brata, nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak na jego śmierć patrzy moja siostrzenica. Wpisuję to na długą listę smutnych spraw, o których pomyślę później. Teraz w miarę możliwości staram się zachować spokój i nie poddawać emocjom.

Nolan odmawia *Ojciec nasz*, co moim zdaniem brzmi dziwnie oficjalnie albo w najlepszym razie staroświecko. Wiem, że powinnam modlić się razem z nim, ale tego nie robię. Nie idę też za przykładem Harper, która słucha modlitwy z zamkniętymi oczami. Wreszcie powtarza za ojcem przeciągle „Amen”.

Oboje wstają i Harper odbiega gdzieś na bok, na powrót przeistaczając się w beztroskie dziecko. Nolan obejmuje mnie jednym ramieniem i na chwilę przygarnia do siebie.

– W porządku?

Uświadamiam sobie, że wstrzymuję oddech. Wypuszczam powietrze z płuc i odpowiadam, że tak, wszystko dobrze.

– Kiedy tu byłaś ostatni raz? – pyta, a ja zastanawiam się, czy zna odpowiedź. Podmuch wiatru rozwiewa mi włosy, które opadają na oczy. Zakładam pasma za uszy i dopiero wtedy wyznaję:

– Nie byłam.

– Nigdy?

– Ostatni raz w dzień pogrzebu – odpowiadam ze wstydem.

– Aha – rzuca i nie zamyka ust.

– To okropne, prawda?

Wreszcie zaciska wargi i kręci głową.

– Nie – mówi, choć podejrzewam, że kłamie.

– Ja po prostu nie wyobrażam go sobie tutaj, pod ziemią – bąkam.

Od zawsze podawałam tę wymówkę – matce, siostrze, a nawet samej sobie, gdy tłumaczyłam, dlaczego nie odwiedzam brata.

Nolan, jak zwykle wyrozumiały, kiwa głową i zapewnia mnie, że rozumie. Mrużąc oczy, patrzę w niebo i dodaję:

– Lubię myśleć, że jest gdzieś tam, w górze.

Nolan podąża za moim spojrzeniem.

– Rozumiem, o co ci chodzi... mimo to czuję go jakoś silniej, gdy tu przychodzimy. Niektórzy mówią, że cząstka ludzkiej duszy zawsze zostaje w miejscu pochówku.

Kiwam głową, wsłuchana w ciszę, lecz po kilku sekundach dociera do mnie, że wcale nie jest tak cicho, jak mi się zdawało. Liście szeleszczą na wietrze. W oddali szczeka pies. Gdzieś warczy silnik. Nolan wciąż na mnie patrzy i czeka na odpowiedź.

– Co kto lubi – mówię w końcu, nieco się obawiając, że zabrzmiało to zbyt lekceważąco. Meredith na pewno tak by to odebrała.

Na szczęście Nolan to nie Meredith.

– No tak, każdy inaczej podchodzi do tych spraw... – mamrocze, zamyślony. – Ale chyba wierzysz, że Daniel gdzieś jest, prawda? – Marszczy brwi i spogląda mi prosto w oczy.

Waham się, ponieważ nie zawsze jestem o tym przekonana.

– Nie wiem – wyznaję.

Spogląda na mnie, poruszony:

– Ale Josie, musisz wierzyć. Inaczej...

– Inaczej co? – rzucam zaczepnie.

– Inaczej jak odnaleźć w tym sens?

– Ja go nie odnajduję – mruczę pod nosem, bo bardziej niż cokolwiek innego drażni mnie idea „boskiego planu”.

Ratuje mnie dzwonek telefonu. Nolan wyciąga aparat z kieszeni i zerka na wyświetlacz. Chyba oboje spodziewamy się, że to Meredith. W każdym razie ja jestem tego prawie pewna. Jednak na wyświetlaczu widnieje nieznaną numer zaczynający się od 404. Nolan mamrocze pod nosem, że nie ma pojęcia kto to, ale odbiera.

– Halo? – rzuca, a w jego głosie brzmi niepokój całkiem podobny to tego, który sama odczuwam.

Słyszając monotony kobiecy głos, przez chwilę myślę, że to telemarketerka, ale wtedy Nolan się uśmiecha.

„Kiedy się uśmiecha, wygląda to tak, jakby właśnie wyszło słońce”, powiedziała kiedyś o nim moja matka, jeszcze przed śmiercią Daniela, w czasach gdy lubiła wyrażać się w poetycki sposób. Tamta uwaga była i nadal jest niezwykle trafna.

– Cudownie! Dziękuję! – woła do słuchawki podekscytowany Nolan. – Już jedziemy. Serdecznie pani dziękuję.

Rozłącza się, wsuwa telefon do kieszeni i spogląda na nas zażawionym wzrokiem.

– Harper, kochanie! Zgadnij, co się stało.

– Co? – odkrzykuje mała, przysłaniając oczy dłonią.

– Znaleźli Królisia! Czeka na nas bezpieczny w Legolandzie – oznajmia Nolan.

Dziewczynka podbiega z radosnym piskiem, a Nolan uśmiecha się szeroko i rzuca mi spojrzenie z rodzaju: „A nie mówiłem?”.

– Widzisz? – pyta.

– Co? – odpowiadam, choć wiem, co mu chodzi po głowie. Nieraz twierdził, że Daniel jest aniołem stróżem jego córki i że opiekuje się nami wszystkimi.

Zupełnie jakby Bóg w swoim zamyśle gotów był bez skrupułów odebrać życie młodemu mężczyźnie, a za to koncentrował się na losie pluszowych zabawek.

*

Tego wieczoru udaje mi się dosyć szybko uśpić Harper, której oczywiście towarzyszy już Króliś. Potem schodzę na dół i przyłapuję Nolana na wyjadaniu drewnianą łyżką wprost z żaroodpornego naczynia pozostawionych przez małą resztek zapiekanki makaronowej. Nolan uśmiecha się do mnie, zmieszany, i ociera usta wierzchem dłoni.

Odwzajemniam uśmiech.

– Nie przejmuj się, też tak robię. Ciekawe, czemu wszystko lepiej smakuje prosto z garnka?

– Nie wiem, ale to prawda – odpowiada i bierze ostatni kęs. – Jesteś głodna? Może zamówimy pizzę?

– Nie, nie bardzo. Chyba już pójdę...

– Już? – Wygląda na zawiedzionego. – Masz jakieś plany?

Zaprzeczam, chociaż Pete jakąś godzinę temu przysłał mi esemesa z pytaniem, co porabiam.

– Skoro odzyskaliśmy Króliś, chyba nie jestem już potrzebna?

– Niby nie, ale może zostaniesz jeszcze trochę?

Przypominam sobie słowa Meredith, że jej mąż nie znosi samotności.

– Tak na jedno piwo?

– Jasne. Czemu nie.

Nolan uśmiecha się i rusza do lodówki. Z półki na drzwiach wyciąga dwa budweisery, wręcza mi jednego i sadowi się przy kuchennej wyspie. Staję naprzeciwko, opieram się o blat i odkręcam kapsel.

– Jak leci? – pyta Nolan i upija pierwszy łyk.

– W porządku – odpowiadam, wzruszając ramionami.

Mam ochotę powiedzieć mu, co się ostatnio stało i co zaproponował Gabe, ale się powstrzymuję.

– A u ciebie? – pytam.

– U mnie bosko.

Ironicznym gestem unosi oba kciuki. Przyjmuję to jako zaproszenie, by zapytać go wprost, co się dzieje z Meredith.

– A kto to może wiedzieć – wzdycha Nolan.

Upijam łyk piwa i ostrożnie dobierając słowa, drążę:

– Po co właściwie pojechała do Nowego Jorku?

– Chciała zrobić sobie małą przerwę...

– Czy... dzieje się coś złego? Między wami? – naciskam, bo wiem, że sytuacja musi być naprawdę

poważna, skoro Meredith zrezygnowała z Halloween, które jest równie ważne jak Boże Narodzenie, jeśli jest się matką czteroletniego dziecka.

Nolan patrzy w lewo, co zdaniem ekspertów od mowy ciała wskazuje na nieszczerość.

– Nie – mówi. – Nic złego.

– Okej. Ale tak przy okazji, żebyś wiedział – rzucam od niechcienia – kłamcy zawsze kierują wzrok w lewo.

Nolan uśmiecha się bez przekonania.

– Swój swego rozpozna – mówi.

– Ale serio? – dopytuję delikatnie. – Co się z wami dzieje?

– Nie wiem, Josie – przyznaje, kręcąc głową. – Mere nie jest szczęśliwa.

– To żadna nowina – pryham. – Moja siostra od urodzenia jest w złym humorze.

– Fakt – potwierdza. – Ale ostatnio jest gorzej niż zwykle.

Pytam, dlaczego. Irytuje mnie to, że Meredith nie może po prostu wziąć się w garść i być szczęśliwa, zwłaszcza że ma ku temu mnóstwo powodów.

– Myślisz, że wpadła w depresję? Taką prawdziwą?

– Nie, to chyba nie to... Na pewno miała depresję po narodzinach Harper...

Milknie, a ja przypominam sobie, jaka była wówczas przybita. Moim zdaniem nie było z nią tak źle, ale mama bardzo się o Meredith martwiła.

– Tym razem jest inaczej – ciągnie Nolan. – Przypomina mi to bardziej kryzys wieku średniego.

Spoglądam na niego, zdziwiona, bo ten złowieszczy zwrot często odnosi się do jakiejś odmiany niewierności. Oznajmiam, że moja siostra nigdy by go nie zdradziła.

– Wiem – odpowiada, wpatrzony w etykietę na butelce. – Nie o to mi chodziło... Tylko... możliwe, że Meredith wolałaby być sama, niż być moją żoną.

– Chce się z tobą rozwieść!?! – pytam, osłupiała.

– Chyba tak – potwierdza Nolan i patrzy mi prosto w oczy.

– Niemożliwe.

Potrząsam głową z niedowierzaniem. Nolan rzuca mi spojrzenie, w którym czai się głęboki smutek.

– Nie sądzę, Josie... W zasadzie powiedziała mi to wprost.

– Przecież jesteś idealnym mężem – wypalam i ogarnia mnie nagła niechęć do siostry. Jak śmie mu to robić?

Nolan uśmiecha się leciutko, lecz nadal jest smutny.

– Dzięki. Ale oboje wiemy, że to tak nie działa. Kiedy teraz o tym myślę... wydaje mi się, że nigdy mnie nie kochała.

– Jasne, że kochała. I nadal kocha.

Nagle powraca dawno zatarta w pamięci scena: jesteśmy w salonie sukien ślubnych i Meredith mówi, że obleciał ją strach, że nie jest pewna, czy chce tego ślubu. Wtedy uznałam to za niedorzeczność, i nadal tak uważam. Nie mogła lepiej trafić. Żadna z nas nie mogła.

– Co się dzieje? – pyta Nolan. – O czym myślisz?

Odwracam wzrok.

– O niczym.

– Spojrzałaś w górę, a potem w lewo – uświadamia mi. – Teraz to ty kłamiesz.

Przełykam ślinę. Już mam mu opowiedzieć o tamtej rozmowie w przymierzalni, ale w ostatniej chwili uznaję, że to nie moja sprawa. Poza tym... co by to teraz dało? Oddycham więc głęboko i mówię:

– Moim zdaniem Meredith jest z natury niezadowolona. Zawsze kwestionowała wszystkie swoje decyzje. Weźmy pracę... Od dziecka marzyła o aktorstwie, więc dlaczego poszła na prawo?

– Masz rację – przytakuje Nolan. – Właśnie o to mi chodzi, Josie. Nasze małżeństwo to odpowiednik tych jej studiów. Żałuję, że została prawniczką. Żałuję, że mnie poślubiła. Żałuję wszystkiego, co zrobiła w życiu.

– Nie to miałam na myśli – protestuję, uświadomiwszy sobie, że tylko pogorszyłam jego samopoczucie. – Meredith jest trudna... Zawsze była, a po śmierci Daniela tylko jej się pogorszyło.

Nolan patrzy na mnie, zaskoczony.

– No co? To chyba nie jest żadne odkrycie? – pytam, myśląc, że po śmierci Daniela pogorszyło się nam wszystkim. Różnica polega na tym, że Meredith już wcześniej miała w sobie coś mrocznego.

– Nie... – odpowiada Nolan. – Zdziwiłem się, bo po raz pierwszy w rozmowie ze mną wspomniałaś o Danielu. Zawsze to ja o nim mówiłem.

Kiwam głową i żołądek ściska mi się tak samo jak na cmentarzu.

– Czemu? – pyta Nolan. – Czemu nigdy nie chciałaś o nim rozmawiać?

Przełykam ślinę i czuję, że zaczynam się pocić.

– Nie wiem... Chyba tak jak mówiliśmy na cmentarzu... każdy człowiek reaguje inaczej... i inaczej radzi sobie ze stratą.

– Owszem, ale zawsze mnie to uderzało. Sądziłem, że będziesz raczej jak Meredith... a Meredith jak ty... Wiesz?

Marszczę brwi. Nie rozumiem.

– Dlaczego?

– Bo z was dwóch to ty jesteś bardziej otwarta. A twoja szklanka jest zawsze w połowie pełna.

– Może – rzucam, lekko wzruszając ramionami. Z nadzieją na zmianę tematu pytam, jakim cudem

przeszedł od swojego małżeństwa do mnie.

– Uważam, że to wszystko się ze sobą wiąże – odpowiada bez chwili wahania.

Zmuszam się do śmiechu.

– Co ja mogę mieć wspólnego z waszym związkiem?

Nolan nie daje się zbić z tropu.

– Nic. Mówię o waszej rodzinie. O tym, jak śmierć Daniela ją zmieniła. Jak zmieniła nas wszystkich.

Wiem, do czego zmierza, i bardzo nie chcę tego usłyszeć. Ale tym razem nie udaje mi się uciec.

– Josie, czy możemy porozmawiać o tamtym wieczorze? – pyta Nolan, patrząc mi prosto w oczy.

Mam zbyt ściśnięte gardło, żeby odpowiedzieć, więc tylko kręcę głową.

– Minęło prawie piętnaście lat. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Czy to nie jest dziwne?

– Nie – wykrztuszam i odwracam wzrok. – Niby po co? – Załamuje mi się głos i milknę.

– Josie – powtarza Nolan. – Oboje dobrze wiemy po co. Musimy pogadać. Właśnie teraz.

Serce wali mi jak oszalałe i dudni w uszach. Ostatni raz próbuję odepchnąć od siebie te myśli, jak zawsze, odkąd zrodziły mi się w głowie. Od tamtej nocy, gdy Will zastał mnie w łóżku z Gabe'em.

– Naprawdę musimy? – chlipię cichutko.

– Naprawdę. Cholera, Josie... Byliśmy razem tamtego wieczoru, kiedy zginął Daniel. A mimo to nigdy nie rozmawialiśmy o...

– Nie byliśmy razem – przerywam mu z nadzieją, że może, ale tylko może, moje podejrzenia okażą się mylne. – Byliśmy w jednym barze. A wokół nas bawiło się mnóstwo innych ludzi.

– Zgadza się. Ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z Danielem... – mówi Nolan, bawiąc się kapslem od piwa. Pstryka i kapsel zaczyna wirować, aż wreszcie się zatrzymuje. Dopiero wtedy znów na siebie spoglądamy.

– Josie – zaczyna Nolan i nagle krew odpływa mu z twarzy. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie.

Serce tłucze mi się w piersi, a instynkt podpowiada ucieczkę. Robię kilka kroków do tyłu, rozglądając się wokół siebie, ale Nolan przyskakuje do mnie i kładzie mi ręce na ramionach.

– Muszę ci coś powiedzieć – powtarza, bardziej stanowczo.

– Wiem, co powiesz – mówię i oczy zachodzą mi mgłą.

– Nie sądzę – odpowiada, nie puszczając.

– Ależ wiem – upieram się, strząsając jego ręce i walcząc ze łzami paniki. – Daniel wcale nie pojechał po hamburgera.

Przez chwilę Nolan patrzy na mnie, znieruchomiały, a potem wolno kręci głową.

– Nie – mówi.

– Jechał po mnie, prawda?

Wyraz udręki na twarzy Nolana potwierdza moje najgłębsze lęki, jeszcze zanim dostrzegam, że kiwa głową.

– Cholera – mówię, cała drżąc. – Wiedziałam... Wiedziałam, że to moja wina. Ja pierdołę.

– Nie, Josie – przerywa mi Nolan. – To nie była twoja wina.

– Oczywiście, że tak – odpowiadam, dusząc w sobie szloch. – Przecież to po mnie jechał.

– Nie rozumiesz.

– Czego?

– To ja do niego zadzwoniłem. Kazałem mu wsiąść w samochód i zabrać cię do domu. To była moja wina. Nie twoja.

– Ale gdybym się nie upiła...

– Ale ja nie byłem pijany, Josie. Zrozum to wreszcie! Sam mogłem cię odwieźć do domu... Gadałem z jakąś dziewczyną i nie chciałem sobie psuć zabawy. Zadzwoniłem więc do Daniela... i wyszedłem. Nawet na niego nie zaczekałem. Nie miałem pojęcia, że nie dotarł na miejsce.

Twarz mu się wykrzywia i zaczyna szlochać. Nigdy nie widziałam, żeby dorosły mężczyzna tak płakał, nawet ojciec po śmierci Daniela.

Pragnienie ucieczki staje się coraz silniejsze i tym razem wrywam się z uścisku Nolana, pędzę do salonu i rzucam się na sofę, kryjąc twarz w dłoniach. Słyszę za sobą jego kroki. Widzę go kątem oka i czuję, jak poduszka zapada się pod jego ciężarem. Nolan obejmuje mnie ramieniem.

– Josie – mówi, a w jego głosie jest tyle bólu... – Proszę, spójrz na mnie, Josie.

Robię to. Dla niego.

– Tak mi przykro. – Twarz ma wciąż mokrą od łez. – Cholera jasna, Josie, tak mi przykro.

– Mnie też – odpowiadam, ponieważ nie zamierzam pozwolić, by wziął na siebie całą winę. – Zawsze mi powtarzał, że mam tyle nie pić. Ostrzegał, że skończę jak tata...

– A mnie dzień wcześniej powiedział, żebym przestał uganiać się za idiotkami i znalazł sobie kogoś, na kim naprawdę będzie mi zależało. Jak jemu na Sophie...

– Wygląda na to, że żadne z nas go nie posłuchało.

– Gdybym sam zabrał cię wtedy do domu... To moja wina.

Jeszcze przez jakiś czas przerzucamy się wyznaniem: „Kiedy ginął, pieprzyłem się z jakąś dziewczyną... Kiedy ginął, byłam zalana... Dowiedziałem się dopiero następnego ranka... Dowiedziałeś się wcześniej niż ja...”.

Gdy nie zostaje już nic do powiedzenia, Nolan sięga po moją dłoń, a ja mu ją podaję. Powinno mi się nieswojo, trzymając za rękę męża siostry, ale jest wręcz przeciwnie. W tej chwili Nolan jest dla mnie jak brat. Nie jak Daniel, ale jak drugi brat. Długo siedzimy w milczeniu. W końcu zadaję

pytanie, które wypala mi dziurę w sercu:

– Meredith wie?

Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu na odpowiedź, myśląc, że wyjaśniłoby to, dlaczego mnie tak nie lubi. Jednak nie potrafię sobie wyobrazić, że mogła przez tyle lat dusić to w sobie, zarzucając mnie w tym czasie tyłoma pomniejszych pretensjami.

I rzeczywiście, Nolan odpowiada:

– Nie. Meredith o niczym nie wie. Nikt nie wie... Wszyscy myślą, że Daniel naprawdę pojechał wtedy na hamburgera. – Głos mu drży, ale mówi dalej: – Następnego dnia, kiedy twoi rodzice poprosili, żebym zadzwonił do jego znajomych, wziąłem jego telefon... znałem hasło, 4265...

– Czemu takie? – pytam. Nie ma to żadnego znaczenia, ale chcę wiedzieć.

– Te cyfry na klawiaturze odpowiadają literom H, A, N i K. Jak Hank Aaron.

– Ach...

Przypomina mi się kolekcjonerska karta, którą Daniel trzymał w portfelu. Rodzice wetknęli mu ją do przedniej kieszonki marynarki tuż przed zamknięciem trumny. Przełykam ślinę, usiłując powstrzymać mdłości.

– Znałem jego hasło – ciągnie Nolan. – Wszedłem w spis połączeń. Tak bardzo chciałem zobaczyć, że po rozmowie ze mną zadzwonił jeszcze do kogoś... może do Sophie, zanim wsiadła do samolotu... Ale nie. – Kręci głową i bierze głęboki wdech, usiłując opanować drżenie głosu. – Ostatnie dwie rozmowy odbył ze mną.

– Dwie? – pytam.

– Tak. Najpierw to ja do niego zadzwoniłem. Rozmawialiśmy pięćdziesiąt dwie sekundy. Wtedy poprosiłem, żeby po ciebie przyjechał.

– A potem zadzwoniłeś jeszcze raz? – pytam cicho.

– Nie. Piętnaście minut później to on zadzwonił do mnie. Powiedział, że właśnie wychodzi z domu, że wkrótce będzie na miejscu.

– Pamiętasz tę rozmowę?

– Oczywiście. Wtedy po raz ostatni słyszałem jego głos. To był ostatni raz, kiedy ktokolwiek słyszał jego głos...

– Jak długo rozmawialiście? – pytam, pewna, że Nolan zna odpowiedź.

– Czternaście sekund. Czternaście pierdolonych sekund. Wiesz, dlaczego tak krótko?

– Bo prowadził? – pytam, przypominając sobie, jak bardzo Daniel był w tej kwestii zasadniczy, zresztą podobnie jak w każdej innej.

– Nie. – Nolan kręci głową. – Dlatego, że się spieszyłem... Ta dziewczyna już wychodziła z baru... i nie chciałem, żeby mi zniknęła.

– I zniknęła?

– Prawie. Ale złapałem ją po drodze do drzwi. Załadowałem ją do taksówki... pojechaliśmy do jej mieszkania... i przespałem się z nią. A teraz...

Ściskam go za rękę, żeby dodać mu sił.

– A teraz nie pamiętam nawet, jak miała na imię.

ROZDZIAŁ 24

Meredith

W niedzielę rano budzą mnie odległe dzwony kościoła i przejmujący chłód prostej sypialni o pobielonych ścianach. Drżąc, podciągam kołdrę pod brodę i odwracam się do okna. Zastłony są zaciągnięte, ale tak cienkie, że dostrzegam za szybą powykręcane, nagie gałęzie miłorzębu.

Mdłe światło za wychodzącym na północ oknem nie pozwala mi określić, która jest godzina. Może siódma, a może już dziewiąta. Uznaję, że to nie ma znaczenia i ta świadomość bardziej mnie dezorientuje, niż uspokaja. Sięgnąwszy po telefon, ze zdumieniem stwierdzam, że kilka minut temu minęła dziesiąta. Nie obudziłam się tak późno od czasu narodzin Harper, może z wyjątkiem dni, gdy któraś z nas chorowała. Myśl o córce sprawia, że znów zaczynam tęsknić za domem. Choćby nie wiem, jak humorzasta była Harper o poranku, zawsze cieszy mnie widok jej zarumienionych policzków i potarganych włosów. Gdy zamykam oczy, niemal czuję zapach jej skóry po długim śnie, kojarzący się z syropem klonowym.

Gwałtownie zapragnąwszy usłyszeć jej zachrypnięty poranny głos, dzwonię do Nolana. Nie odbiera, tak samo jak nie odebrał wczoraj po południu. Jedyne wieści z domu pochodziły od Josie, która przysłała mi zdjęcie Harper tulącej Królisia, z podpisem: „Nareszcie razem!”. Ulżyło mi i natychmiast odpisałam, błagając o szczegóły. Wiadomość pełna była wykrzykników i znaków zapytania. Dopiero po trzech godzinach nadeszła gładka odpowiedź: „Znaleziony w Legolandzie. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Miłego urlopu”.

Dzwonię do Nolana jeszcze raz i słucham jałowego sygnału, a potem wesolutkiego powitania poczty głosowej. Tym razem, z trudem siląc się na opanowanie, proszę go, by oddzwonił, kiedy tylko będzie mógł. Wiem, że nie mam powodów, by się na niego złościć, a mimo to się złościę. Owszem, to ja leniuchuję na Manhattanie, ale to on mnie do tego namówił. Niemal zmusił. A teraz mnie za to karze. Odciął się ode mnie. Chce coś udowodnić. Właśnie tak będzie wyglądało twoje życie beze mnie, bez nas. Zmuszam się, by wstać z łóżka, i postanawiam żyć chwilą, w pełni wykorzystać tę podróż w poszukiwaniu własnego ja.

Po szybkim prysznicu wskakuję w swój wielkomiejski uniform: džinsy, czarny sweterek, czarną skórzaną kurtkę i czarne kozaki. Wkładam duże ciemne okulary i związuję włosy w praktyczny kucyk. Pokonuję cztery piętra i wychodzę z kamienicy obłożonej piaskowcem, by odetchnąć rześkim jesiennym powietrzem. Ku mojemu zaskoczeniu silny wiatr nie jest upajający, raczej nieprzyjemny,

ale uznają, że wkrótce się rozgrzeję. Muszę się po prostu ruszać.

Przez następne pięć godzin błąkam się bez celu po mieście, chodzę albo jeżdżę metrem, od Greenwich Village przez Chelsea aż do skraju Upper West Side, potem przez Central Park do Piątej Alei i w głąb SoHo. Po drodze, jeśli mam taki kaprys, wstępuję to do kawiarni, to do butiku, albo siadam na przypadkowych ławkach i obserwuję przechodniów. Odzywam się tylko wtedy, kiedy muszę, żeby zamówić w barze kanapkę, zadać pytanie sprzedawcy w sklepie albo podziękować człowiekowi, który zrobił mi miejsce w zatłoczonym metrze. Poza tym nic nie zakłóca mojej wielkomiejskiej samotności i wewnętrznego monologu, w którym przypatruję się własnemu życiu pod każdym możliwym kątem.

Wspominam przeszłość, zwłaszcza tę nowojorską, i wydaje mi się ona równie odległa jak czasy college'u oraz marzenia o aktorstwie. Nie mam najmniejszej ochoty dzwonić do nikogo z dawnych znajomych, z nikim nie chcę nawet umówić się na drinka. Mimowolnie zastanawiam się, jak to o mnie świadczy. Zazwyczaj uważam się po prostu za introwertyczkę, ale może chodzi o coś więcej? Czyżbym była patologiczną samotniczką? Beznadziejnym odmieńcem? Jeśli tak, to nic dziwnego, że moje małżeństwo wydaje mi się puste, jakby wiecznie czegoś w nim brakowało. Nic dziwnego, że nie dogaduję się z siostrą. Może to głównie ja ponoszę winę za tarcia między nami. Myślę o jej urodzinowej kolacji, o tym, jaka była szczęśliwa, o tym, że zawsze potrafi znaleźć okazję do dobrej zabawy, i o tym, jak bezwzględnie lojalni są wobec niej przyjaciele, zwłaszcza Gabe. Pocieszam się, że mam przecież Ellen, ale w głębi ducha wiem, że to nie to samo. Ellen ma bowiem Andy'ego i to on jest dla niej najbliższym człowiekiem na świecie. Przychodzi mi do głowy, że jedynie terapeutce opowiadałam o wszystkim. Nie mam prawdziwych przyjaciół i nigdy nie miałam.

Zmierzcha. Trzęsę się z zimna, stopy mam całe w pęcherzach i marzę już tylko o powrocie do domu i kąpieli. Zatrzymuję się jednak w drogerii Duane Reade na obrzeżach Chinatown, żeby kupić dietetyczny napój i paczkę plastrów. Po wyjściu ze sklepu łapię taksówkę.

– Dokąd? – pyta kierowca, gdy wsiadam do samochodu, w którym unosi się sztuczna woń sosnowego odświeżacza powietrza.

– Jeszcze nie wiem – odpowiadam. – Proszę po prostu jechać przed siebie.

Mężczyzna kiwa głową. Najwyraźniej dopóki bije licznik, jest mu wszystko jedno. We wstecznym lusterku przyglądam się kształtowi jego nosa oraz oczom, usiłując określić pochodzenie na podstawie rysów oraz nazwiska: Abrama. Nie wiem, czy jest Meksykaninem, Włochem, Portugalczykiem, Hiszpanem czy Izraelczykiem. Możliwości równie trudno zliczyć jak potencjalne cele mojej podróży.

– Skąd pan pochodzi? – pytam wreszcie, gdy nie mogę już wytrzymać z ciekawości.

Taksówkarz podnosi głowę i z dumą odpowiada:

– Z Kalabrii.

Przemawia takim samym tonem, jakim mówią ludzie chlubiący się tym, że ich rodziny od pokoleń

mieszkają w Atlancie.

– Piękne miejsce – mówię, choć nigdy nie byłam w tej części Włoch. – To na czubku buta, prawda? – dopytuję, ponieważ przyszło mi do głowy, że moja siostra zawsze nawiązuje pogawędki z nieznajomymi.

Pan Abrama znów kiwa głową. Moja wiedza geograficzna wyraźnie nie wywarła na nim wrażenia.

Po pięciu minutach pyta:

– Zdecydowała już pani?

– O czym?

– Dokąd chce pani jechać?

Odkasłuję, po czym mówię:

– Poproszę na Times Square.

*

Dwadzieścia minut później płacę i wysiadam o przecznicę od pulsującego, rozświetlonego neonami serca miasta. Od razu ruszam do kasy biletowej TKTS pod czerwonymi schodami, owładnięta nagłą chęcią obejrzenia jakiegoś spektaklu. Mam ochotę na coś spokojnego, opartego na dialogu, pozbawionego efekciarstwa i błyskotek, ale jest prawie siódma i nie zostało wiele możliwości, więc kończę z biletem na *Chicago*, przedstawienie, które widziałam już dwa razy, choć na pewno nie należy do moich ulubionych. Mimo to ruszam do Ambassador Theatre, siadam na balkonie, i czekając na podniesienie kurtyny, czuję, że coś we mnie ożywa.

Podczas antraktu jestem jak nowo narodzona, a może po prostu wróciłam do dawnej siebie. W teatralnym foyer sprawdzam telefon i widzę nieodebrane połączenie od Nolana. Wciskam się w jakiś w miarę spokojny kąt i oddzwaniam.

– Cześć. – Jego głos jest ledwie słyszalny. – Co robisz?

– Wybrałam się do teatru.

– Z kim?

– Sama.

– Hm... Dobrze się bawisz?

– Tak bym tego nie nazwała... ale jest miło. A co u ciebie? Jak Harper?

– Wszystko w porządku – mówi. – Znaleźliśmy Królisia.

– Słyszałam. Od Josie.

– Ach, tak.

– Dasz mi Harper? – pytam, choć właśnie rozległ się drugi dzwonek.

– Harper śpi – odpowiada Nolan. – Ma jutro szkołę. Wybieramy się na paradę z okazji Halloween.

- No tak. Wspaniale. Co jeszcze robiliście? – pytam, podczas gdy foyer pustoszeje.
- Razem z Josie zabraliśmy ją wczoraj na cmentarz. Położyć kwiaty.
- Razem z Josie? – powtarzam, zdumiona.
- Aha.
- Coś takiego. Domyślam się, że to był twój pomysł.
- Mhm – odpowiada. – Fakt. Ale poszła z nami. I pogadaliśmy od serca.
- O Danielu.
- Tak – potwierdza.

Kręcę głową, myśląc o tym, ile razy próbowałam ją przekonać, by poszła na cmentarz albo szczerze porozmawiała ze mną o bracie. Wszystko bez skutku. Wzbiera we mnie nagła niechęć zarówno do męża, jak i do siostry.

– No dobra, dzięki za telefon. Muszę lecieć... Skończył się antrakt – mówię, przypominając sobie z irytacją, że on zawsze nazywa ten moment „końcem pierwszej połowy”.

– Jasne – rzuca szybko Nolan. – Miłego przedstawienia.

ROZDZIAŁ 25

Josie

Po rozmowie z Nolanem przez kilka dni próbuję się oszukiwać. Jest to umiejętność, którą doprowadziłam do perfekcji. Powtarzam sobie, że moje poczynania tamtej nocy stanowiły zaledwie fragment gigantycznej, tragicznej układanki. Do śmierci Daniela przyczyniły się setki innych rzeczy. Tysiące. A gdyby wystarczająco daleko cofnąć się w czasie, to wręcz dziesiątki tysięcy.

Weźmy na przykład Scotta Donahue, kierowcę, który w niego wjechał. Nigdy nie widziałam faceta na oczy, ale z jakiegoś powodu znam jego część historii. Wiem, że tego wieczoru jechał do apteki Walgreens po lekarstwo na kaszel dla swojego trzyletniego syna. A zatem pan Donahue i jego żona najpierw musieli się poznać i wziąć ślub, a potem począc to właśnie konkretne dziecko, które zachorowało akurat w tamtym tygodniu w drugiej połowie grudnia (możliwe, że zaraziło się w jednym ze znienawidzonych przez Meredith parków trampolin). Ponadto w domu państwa Donahue musiało zabraknąć lekarstwa na kaszel (może oboje zapomnieli kupić je wcześniej). Pan Donahue musiał wyjść z domu dokładnie o tej godzinie, o której wyszedł (kto wie, czy nie ociągał się, by obejrzyć w wiadomościach reportaż o Richardzie Reidzie, „zamachowcu z bombą w bucie”, główny temat tamtego dnia). I tak dalej, i tak dalej.

A jednak, jak by na to nie patrzeć, niezależnie od tego, ile czynników złożyło się na wydarzenia tamtej pamiętnej nocy, fakt pozostaje faktem i nie sposób od niego uciec: Daniel nadal by żył, gdybym się nie upiła, a ściślej mówiąc, nie schlała, wieczorem dwudziestego drugiego grudnia 2001 roku.

Oczywiście przeszłości nie zmienię, mogę jedynie nauczyć się z nią żyć, lecz pozostaje rozpaczliwie bolesne pytanie o przyszłość. Czy powinniśmy razem z Nolanem powiedzieć Meredith, czy raczej powinnam zrobić to sama, nie oglądając się na niego? Czy wyznać prawdę reszcie rodziny, ponieważ zasługują na to, by poznać każdy szczegół ostatnich godzin Daniela? A może taka świadomość przysporzyłaby im tylko więcej bólu? Kto wie, czy ojciec nie obwiniałby się o moje pijaństwo. Myśli mamy z pewnością poszłyby tym torem. Niemal słyszę, jak się zżyma, że w latach mojego młodzieńczego buntu nie była dla mnie surowsza. Jednak przede wszystkim ponad wszelką wątpliwość wiem, że takie wyznanie dodatkowo pogorszyłoby moje stosunki z Meredith, może nawet doprowadziłoby do ich zerwania, a zarazem prawdopodobnie położyło kres jej małżeństwu. Znam swoją siostrę i nie potrafię sobie wyobrazić, że wybaczyłaby nam ukrywanie przed nią tak olbrzymiej

tajemnicy.

Po kilku dniach udręki i nocach bez snu, postanawiam porozmawiać z jedynym człowiekiem, któremu bezwarunkowo ufam. Któregoś wieczoru pukam do drzwi sypialni Gabe'a i nareszcie zastaję go samego, bez Leslie.

– Co tam? – woła znużonym głosem.

Lekko uchylam drzwi i zaglądam do pogrążonego w półmroku pokoju.

– Przepraszam. Spałeś?

– Nie. – Przewraca się na bok, żeby mnie lepiej widzieć. – Dopiero się położyłem. Wszystko gra?

– Tak, tak... Chciałam pogadać.

– No to wchodź – zaprasza mnie.

Po chwili wahania oddycham głęboko, siadam na łóżku i natychmiast zaczynam mówić, żeby już nie zmienić zdania, wyrzucając z siebie całe to nieuporządkowane, toporne wyznanie.

– Od zawsze to podejrzewałaś – mówi Gabe, gdy kończę, pełnym współczucia, choć jednocześnie rzeczowym tonem.

– Tak – odpowiadam, obejmując rękami kolana. – Ale miałam też nadzieję, że się mylę.

– Wiem... – wzdycha.

– Czuję się podle – oznajmiam.

– Ale z drugiej strony... nie ulżyło ci trochę, że już wiesz? – pyta. – Nie musisz się dłużej nad tym zastanawiać.

Kiwam głową, jak zwykle pod wrażeniem jego przenikliwości.

– Chyba tak. Trochę. Pewnie trzeba było porozmawiać z Nolanem dawno temu.

– On też powinien był z tobą pogadać – mówi Gabe, lojalnie rozkładając winę na pół. – Nie mogę uwierzyć, że nic nie powiedział Meredith... Niesamowite.

– Ja też to przed nią ukrywałam.

– Ale ty nie jesteś jej mężem.

Kiwam głową.

– Poza tym – ciągnie Gabe – Nolan znał prawdę. Ty mogłaś tylko podejrzewać...

– Może i racja – mówię, ponieważ niejednokrotnie rozważałam te wszystkie kwestie, usiłując się rozgrzeszyć lub przynajmniej znaleźć okoliczności łagodzące. – Ale to nie zmienia faktu, że oboje ponosimy winę.

Gabe podpira się na łokciu.

– Nikt tu nie jest winny, Josie. Przecież żadne z was nie usiadło po pijanemu za kierownicę... To był wypadek. I nikt nie mógł go przewidzieć.

– A jednak – mówię.

– A jednak co? – pyta Gabe, marszcząc brwi.

– A jednak odegrałam w tym swoją rolę. Muszę powiedzieć rodzinie. Zasługują na to, żeby poznać prawdę. – Patrzę mu w oczy z nadzieją, że mi to wyperswaduje, wytłumaczy, że to nie ma sensu, że niczego już nie naprawi. – Zgadzasz się ze mną? – pytam i wstrzymuję oddech.

Po chwili wahania Gabe powoli kiwa głową.

– Tak... Pewnie masz rację. Ale uważam, że powinnaś zrobić to bardziej dla siebie niż dla nich. Po to, żebyś mogła wreszcie zapomnieć i żyć dalej.

– Ale ja już zapomniałam – przerywam mu, myśląc, że właśnie to w dużym stopniu budzi moje poczucie winy: całkowicie zostawiłam za sobą przeszłość, nie odwiedzam grobu brata i prawie z nikim o nim nie rozmawiam.

Gabe kręci głową.

– Nie, Josie. Nie zapomniałaś. Wszędzie to ze sobą dźwigasz.

Wpatruję się w niego bez słowa. Ma rację, tylko skąd o tym wie?

– No zobacz, co się z tobą porobiło – kończy miękko.

– Niby co? – pytam, spuszczaając wzrok. Boję się jego odpowiedzi, jego jak zawsze brutalnej szczerości.

– Po pierwsze – zaczyna – nie powiedziałaś Willowi, czemu wtedy leżeliśmy w jednym łóżku.

– No i? – rzucam, jeżąc się na wzmiankę o byłym.

– Wolałaś, by myślał, że go zdradziłaś, niż żeby poznał prawdę o wieczorze, kiedy zginął twój brat. O czym to świadczy?

– Twierdzisz, że powinnam była mu powiedzieć? Że byłabym teraz jego żoną, gdybym wyjaśniła mu wtedy, co robiłaś w moim łóżku? I całą resztę?

Ta myśl przychodziła mi do głowy wiele razy w ciągu tych wszystkich lat, nie wspominając o ostatnich kilku dniach.

– Nie – stanowczo sprzeciwia się Gabe. – Nie o to mi chodziło. Uważam, że gdyby Will był dla ciebie właściwym mężczyzną, uwierzyłby, kiedy mu mówiłaś, że do niczego między nami nie doszło.

– Nie wyglądało to dobrze...

Ciekawe, dlaczego po tylu latach wciąż próbuję bronić Willa.

Gabe potrząsa głową. Mówi coraz głośniej i z coraz większą pasją:

– No i co z tego? Kogo obchodzi, jak to wyglądało? Nic się nie wydarzyło.

– O rany, Gabe, przecież wiem... Naprawdę wielokrotnie próbowałam mu to wyjaśnić...

Nagle wracają do mnie bolesne wspomnienia kilku ostatnich kłótni. To jednak nic w porównaniu z okropną samotnością i pustką, które przyszły później, gdy powoli uświadamiałam sobie, że Will już nigdy do mnie nie wróci.

– Przekonałabyś go, dobrze o tym wiesz, gdyby naprawdę był twoją bratnią duszą... – ciągnie Gabe. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by używał tego określenia. – Gdybyś mogła mu się zwierzyć... albo gdyby umiał ci uwierzyć na słowo i zaufać. A ty ufałabyś mu na tyle, żeby wyznać całą prawdę. Zamiast tego pozwoliłaś, żeby źle o tobie myślał... więc myślał.

– Zabicie brata jest gorsze niż zdrada.

Gabe wykrzywia się i opada na poduszkę.

– Nie zabiłaś swojego brata, Josie. Nigdy więcej nie waż się tak mówić.

– Nawet jeśli nie, to tak się właśnie czuję. Masz pojęcie, ile razy Daniel prawił mi kazania na temat picia? Ile razy powtarzał, że muszę uważać bardziej niż inni ze względu na tatę? Chryste, zaledwie kilka dni wcześniej próbował ze mną o tym porozmawiać... a ja go zbyłam.

– Byłaś dzieciakiem, Josie. Studentką. Prawie wszyscy studenci się upijają.

– On się nie upijał – upieram się. – Ani Meredith.

– Ale ty nie jesteś nimi. Ani swoim ojcem. Jesteś sobą. Czy tamtej nocy wypijałaś za dużo? Zdecydowanie. A ostatnio, gdy obściskowałaś się z Pete'em w Johnny's Hideaway?

Uśmiecha się, wyraźnie usiłując mnie pocieszyć.

– Z nikim się nie obściskowałam – protestuję kolejny raz, ale Gabe podnosi rękę i ciągnie:

– Moim zdaniem nigdy nie miałaś problemów z piciem. Może z nastawieniem do świata, ale nie z piciem.

– Moje zachowanie pod wpływem alkoholu przyczyniło się do śmierci Daniela – zaznaczam. – Nieważne czy pośrednio, czy bezpośrednio. I...

– I co?

– I zasłużyłam sobie na to, żeby stracić Willa – kończę kategorycznym tonem, w pełni o tym przekonana.

– Za karę? – pyta Gabe.

– Tak jest. Za karę.

Potrząsa głową.

– Nie zgadzam się. W najmniejszym stopniu. Ty i Will zerwaliście, bo on do ciebie nie pasował, Josie. To było jasne. Cholera, wiedziałem o tym na długo przed waszym rozstaniem. Przy nim nigdy nie byłaś sobą. Zachowywałaś się... jakoś sztucznie. Potem sama sobie nie pozwoliłaś nikogo więcej pokochać.

– Nieprawda – protestuję, myśląc o wszystkich mężczyznach, z którymi się umawiałam i uprawiałam seks, których próbowałam pokochać i nakłonić, by i oni mnie pokochali.

– Prawda. Przestań się w końcu karać.

Gabe patrzy na mnie z mieszaniną współczucia i miłości, a potem delikatnie kładzie rękę na mojej

dłoni. Ten gest i jego dotyk sprawiają, że oczy zachodzą mi łzami.

– Nie płacz, Josie – mówi. – Chodź tutaj.

– Gdzie? – pytam.

Rozpaczliwie pragnę, by mnie ktoś przytulił, nawet jeśli miałby to być ktoś, kto przytulać nie potrafi.

– Tu, do mnie.

Gabe klepie się po piersi, następnie przyciąga mnie do siebie i oplata ramionami.

– Tak mi smutno – mówię i przychodzi mi na myśl, że znaleźliśmy się dokładnie w tej samej pozycji, w której Will nakrył nas wiele lat temu. Od tamtej nocy właściwie nic się nie zmieniło.

– Wiem. – Gabe dmucha w moje ucho ciepłym oddechem. – Ale musisz wreszcie sobie wybaczyć.

Już najwyższy czas.

– A jeśli rodzina mi nie wybaczy?

– Wybaczy.

– A jeśli nie? – powtarzam, myśląc przede wszystkim o Meredith.

– Jeśli nie... to ja będę twoją rodziną.

– To znaczy tatusiem mojego dziecka? – pytam z uśmiechem.

– To też – odpowiada, chichocząc cicho.

– Mówisz poważnie? Naprawdę byś to dla mnie zrobił?

– Oczywiście, Josie. Dla ciebie zrobię wszystko.

Chcę mu podziękować, powiedzieć, że czuję to samo, ale nie potrafię wydobyć z siebie głosu, ogarnięta przytłaczającą falą wdzięczności. Zresztą Gabe nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, po prostu ujął w słowa coś, o czym wiedziałam od dawna. Zamykam oczy i wtulona w niego odpływam w niebyt, usiłując zapisać w pamięci tę chwilę, o której opowiem kiedyś córce lub synowi: „Wtedy podjęłam decyzję i wybrałam twojego ojca. Wtedy zyskałam pewność”.

ROZDZIAŁ 26

Meredith

Mijają cztery dni. Mam za sobą dwa przedstawienia niezależnych teatrów i niezliczone godziny wędrówek po mieście, ale nadal nie potrafię stwierdzić, czy czuję się nieco lepiej, czy znacznie gorzej. Odebrawszy telefon od Josie, zachwyconej tym, jak Harper słodko wygląda w kostiumie motylka, uznaję, że prawdą jest jednak to drugie.

– Dostałaś zdjęcia?

– Tak. Nie podziękowałam ci? – pytam, choć wiem, że to zrobiłam.

– A, tak – mówi Josie. – Rzeczywiście.

– Cieszę się, że wpadłaś, żeby ją zobaczyć, bo Nolan pstryknął tylko jedno ujęcie, oczywiście ciemne i zamazane.

Josie wybucha śmiechem.

– Typowy facet.

Mruczę coś twierdząco. Po dłuższej przerwie Josie porusza temat wizyty na cmentarzu.

– Tak, słyszałam – mówię, nieruchomiejąc. – Jak było?

– Dobrze – odpowiada. – Trudno, ale dobrze. Teraz czuję się trochę lepiej.

– Aha... To świetnie. Mama wie, że tam pojechałaś? – pytam, pewna, że zaprzeczy.

– Raczej nie... Chyba że Nolan jej powiedział. Ja jeszcze z nią o tym nie rozmawiałam.

– A może powinnaś? Od lat cię namawiała.

– Tak, wiem. Zrobię to – obiecuje Josie. – Właściwie chciałabym pogadać z wami obiema.

– Hm. O czym?

– O różnych sprawach. Kiedy wracasz?

Rozsiadam się wygodniej na sofie Ellen i wbijam wzrok w ciemną plamę na suficie. Po chwili odpowiadam, że jeszcze nie wiem.

– Ale niedługo? – naciska.

– Nie wiem – powtarzam, a w mój głos wkrada się irytacja.

Zapada długie milczenie. Obiecuję sobie, że nie przerwę go pierwsza.

– Ale wracasz? – pyta wreszcie Josie.

– Co to za pytanie? – wybucham, rozgniewana sugestią, że mogłabym porzucić własne dziecko.

– No dobra, przepraszam – wycofuje się Josie. – Nie chciałam cię urazić. Po prostu się martwię.

O ciebie, o Nolana i, rzecz jasna, o Harper.

– Niepotrzebnie – zapewniam ją. – Masz dość swoich zmartwień.

Wiem, że to było wredne, i czekam, aż zrobi mi awanturę albo swoim zwyczajem rozłączy się bez uprzedzenia. Jednak, o dziwo, Josie najwyraźniej postanowiła nie zniżać się do mojego poziomu.

– Masz rację, Mere – mówi. – Ale ja się naprawdę staram.

– To znaczy?

– Próbuję wziąć się w garść. I bardzo, ale to bardzo chcę się z tobą spotkać. Jeżeli nie wracasz, to może ja przyjadę do ciebie?

Potrząsam głową i przewracam oczami, bo nagle mam wrażenie, że Josie próbuje wykorzystać mój kryzys, by załapać się na wyjazd do Nowego Jorku i darmowy nocleg.

– To naprawdę takie pilne?

– Owszem, Mere. Naprawdę.

Wzdycham, usiłując nie wpaść w tę samą pułapkę, w którą za każdym razem wpada moja mama, zakładająca najczarniejsze scenariusze, zazwyczaj związane z tragedią lub chorobą.

– Powiesz mi przynajmniej, o czym chcesz rozmawiać? – pytam.

Założę się, że chodzi o Willa albo tę całą sprawę z dawcą nasienia i ich żalosnym planem, a może o jakiegoś jeszcze innego, nowego faceta. W życiu Josie kolejni mężczyźni pojawiają się dosyć szybko.

Następuje długie milczenie; przez chwilę zdaje mi się, że nas rozłączyło.

– Jesteś tam jeszcze? – pytam.

– Tak – odpowiada. – Jestem.

– No więc? O czym chcesz rozmawiać? – powtarzam.

– O Danielu – odpowiada Josie łamiącym się głosem. – Muszę z tobą porozmawiać o Danielu.

Wszystkie instynkty podpowiadają mi, że próbuje mną manipulować lub jakoś zwrócić na siebie uwagę. Jednak choć często dramatyzuje, nigdy nie wplątywała w to Daniela. Przypominają mi się dni zaraz po wypadku – na całe godziny znikwała w swoim pokoju, podczas gdy reszta rodziny snuła się po kuchni. Myślę o jej zachowaniu na pogrzebie, o tym, jaka była opanowana i zamknięta w sobie. Podczas nabożeństwa ani razu się nie rozpląkała i bardzo dobrze pamiętam, że na cmentarzu stała daleko od nas, aż wreszcie babcia zaciągnęła ją do pierwszego rzędu i praktycznie zmusiła do zajęcia miejsca na krześle.

Postanawiam zaryzykować. Wzdycham i zapraszam Josie na weekend do Nowego Jorku.

*

Moja siostraprzylatuje w piątek o dziewiętnastej. Niecałą godzinę później dociera na miejsce.

Akurat wracam do domu ze sklepu spozywczego na rogu. Dostrzega mnie pierwsza i woła po imieniu, machając z otwartego okna taksówki. Włosy wiją jej się naturalnymi falami wokół nietkniętej makijażem twarzy i nagle przychodzi mi do głowy, że wygląda zjawiskowo: o wiele ładniej niż z toną tapety i wyprostowaną, pozbawioną życia fryzurą. Chcę odmachać, ale w obu dłoniach dzierzę torby z zakupami, poprzestaję więc na zwykłym „cześć” i czekam, aż Josie wysiądzie z samochodu. Niezwykle długo płaci, wciąż gawędząc z kierowcą, a ja czuję, że ogarnia mnie rozdrażnienie. Josie jest typem osoby, która dokończy rozmowę telefoniczną i umaluje usta, gdy ktoś inny czeka beczynnie na wyjazd z zatłoczonego parkingu. Doprowadza mnie tym do szału.

Opanowuję się jednak i biorę głęboki oddech, mam bowiem wystarczająco dużo powodów do zdenerwowania. Kilka sekund później drzwi taksówki otwierają się i Josie stawia na chodniku stopę obutą w czarny zamszowy botek na koturnie, by po chwili wytaszczyć z siedzenia ogromną, wypchaną walizkę na kółkach.

– Widzę, że trafiłam na idealny moment! – woła, zatrzasnąwszy drzwi, i macha taksówkarzowi na pożegnanie.

– Tak, skoczyłam tylko do sklepu. – Uśmiecham się, ale jednocześnie podejrzliwie przyglądam walizce. – Sporo rzeczy jak na dwie noce – zauważam mimowolnie.

– Wiem, wiem... Nie potrafię się pakować. Wrzuciłam po prostu parę przypadkowych ciuchów dziś rano przed pracą.

Podchodzi do mnie i zarzuca mi ramiona na szyję.

– Jak dobrze cię widzieć, Mere.

Odstawiam plastikowe torby na chodnik i odwzajemniam uścisk: na początku sztywno, lecz po chwili się rozluźniam, bo dociera do mnie, że mimo wszelkich zastrzeżeń autentycznie cieszę się ze spotkania. Po chwili odsuwamy się od siebie, a Josie rozgląda się dookoła, jakby chciała zorientować się w nowej przestrzeni. Mruży oczy i spogląda na kamienicę Ellen.

– To tu, prawda?

– Tak. Czwarte piętro. Trzeba chodzić po schodach – mówię z udawanym grymasem. – Nie ma windy.

– Nie szkodzi. Przyda mi się trochę ruchu – odpowiada, prężąc muskuły, po czym wskazuje torby z zakupami i pyta, czy zjemy dziś w domu.

Miałam inne plany, ale odpowiadam twierdząco i badawczo obserwuję jej reakcję.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Skąd – mówi. Zdała egzamin, przynajmniej na razie. – Na co tylko masz ochotę...

Uśmiecham się, po czym prowadzę ją po kamiennych schodkach do wnętrza budynku. Mijamy skrzynki pocztowe w ascetycznie urządzonej holi i wchodzimy na klatkę schodową, przesiąkniętą lekką wonią stęchlizny. Josie przez cały czas trajkuje: że jest padnięta, że to był długi tydzień i że

praca w szkole to wyczerpujące zajęcie, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z małymi dziećmi, pozbawionymi samokontroli i szacunku do cudzej przestrzeni. Pokonawszy dwa piętra, dyszy ciężko, a wdrapawszy się na trzecie, musi odłożyć walizkę, żeby złapać oddech.

– Ile tam masz par butów? – pytam. – Tylko mów prawdę.

– Sama nie wiem... Cztery albo pięć.

Uśmiecha się nieśmiało, a jednocześnie – nie wiadomo dlaczego – z dumą.

– Włącznie z tymi, w których przyjechałaś?

– No dobra. Pięć albo sześć – przyznaje.

– A mimo to... nie masz nic przeciwko kolacji w domu? – pytam, pokonawszy ostatnią serię schodów.

– Powiedziałałam już, że nie. Po co wciąż o to pytasz?

– Zapytałam dopiero drugi raz.

– Może. Ale przecież już mówiłam... Zrobimy to, na co będziesz miała ochotę.

– W porządku.

Przekręcam klucz w zamku, popycham lekko drzwi i wchodzimy do środka. Odkładam zakupy i wolno zdejmuję buty, po czym stawiam je równiutko tuż przy wycieracze. Josie, rzecz jasna, nie idzie w moje ślady i radośnie stukając obcasami o drewnianą podłogę, wnosi do mieszkania brud z samolotu, lotniska i nowojorskiego chodnika.

– Hej, Josie – upominam ją. – Buty.

Przewraca oczami i oznajmia, że właśnie miała je zdjąć: może jednak dałabym jej szansę?

– Dobra, przepraszam – mówię, choć jej nie wierzę. – Wiesz, że jestem w tej kwestii przeczulona. Ty pakujesz za dużo do walizki, a ja mam obsesję na punkcie zarazków.

– Wiem, wiem – potwierdza, cofając się po własnych śladach. – Pamiętasz, jak mama przypominała nam ciągle, że mamy powiedzieć dziękuję, zanim zdołałyśmy choćby otworzyć usta?

– Pamiętam – odpowiadam ze śmiechem. – Na przykład nie zdążyła jeszcze podać nam babeczek, a już wołała: „Dziewczynki, co się mówi?”.

Josie siada na podłodze i zaczyna ściągać botki.

– No właśnie. A pamiętasz, jak nas to wkurzało? Bo przecież od początku miałyśmy zamiar podziękować! A ona nie pozwalała nam się wykazać dobrymi manierami. Wyglądałyśmy jak para nieokrzesanych przygłupów...

Wstaje i marszcząc czoło, wlepia we mnie wzrok.

Uśmiecham się i kiwam głową, nie po raz pierwszy myśląc, że choć duża część naszych dziecięcych antagonizmów wynikała z rywalizacji o uczucia matki, to jednocześnie chwile największej siostrzanej bliskości często wiązały się z tworzeniem wspólnego frontu wobec rodziców.

Przenoszę zakupy do maleńkiej wnęki kuchennej i odkładam kilka łatwo psujących się produktów do lodówki, po czym myję ręce. Josie robi to samo, tym razem nieponaglana, i z zapalem prosi, żeby oprowadzić ją po mieszkaniu.

– Cóż, w zasadzie to by było na tyle – odpowiadam, gestem wskazując salon. – Plus sypialnia z tyłu.

– Miło tu. – Josie podchodzi do okna i wygląda na ulicę. – Wdzięcznie i przytulnie. Dużo płacą za wynajem?

– To ich własne mieszkanie. Nie mam pojęcia, ile za nie dali.

Nie znoszę sposobu, w jaki Josie rozmawia o pieniądzach.

– Fajnie siedzieć na takich skarbach – mruczy pod nosem.

– Na pewno lepiej niż nie mieć nic – odpowiadam, powstrzymując się od wyświechtanej uwagi, że pieniądze szczęścia nie dają.

– Taa... delikatnie mówiąc – śmieje się Josie i podnosi ze stolika małego Buddę z brązu. – O, to całkiem słodkie.

Kiwam głową, myśląc, że mojej przyjaciółce prawdopodobnie nie o taki efekt chodziło.

– Ellen ma dobry gust.

– Jak byś określiła jej styl? – pyta Josie, odkładając Buddę i przesuwając dłonią po podstawie korkowej lampy.

– Czy ja wiem...? Eklektyczny? Przeciwnieństwo stylu Andy’ego? – zastanawiam się z uśmiechem.

Josie kiwa głową i nie hamując dłużej wścibstwa, przygląda się albumom na stoliku w salonie. Otwiera wielki tom z fotografiami i odczytuje tekst, który Andy wpisał na karcie tytułowej. Potem przewraca strony i na chybił trafił zatrzymuje się na czarno-białym portrecie Lenny’ego Kravitz.

– Fajna fotka – mamrocze.

Potakuję.

– Są tu zdjęcia Ellen? – pyta, kartkując album.

– Nie sądzę... ale kto wie?

Josie zawsze podchodziła do mojej przyjaciółki z mieszaniną podziwu i niechęci, trochę tak jak ja w czasach licealnych do Shawny. Ellen ją fascynuje, budząc jednocześnie pogardę, co często sprowadza się po prostu do zazdrości.

– Robiła sesje kilku sławnym ludziom – dodaje.

– Tak, wiem. Mówiła mi – rzuca Josie, przewracając oczami, jakby chciała zasugerować, że Ellen się przechwala, co jest całkowitą nieprawdą. – Wie, że przyjechałam?

Kiwam głową.

– Mhm.

– Co jej powiedziałaś?

– Nie pamiętam dokładnie. Tylko tyle, że wpadniesz na weekend.

– No i?

– I co?

– Wspominałaś, po co przyjeżdżam?

Unoszę brwi i znacząco na nią spoglądam.

– Nie... Bo niby skąd mam wiedzieć?

Josie patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Przecież mi nie powiedziałaś – uświadamiam jej.

Odwraca głowę, zaplata ramiona na piersi i siada po przeciwnej stronie sofy.

– Boże, jak okropnie – mówi. Przez moment mam wrażenie, że chodzi jej o sytuację między nami, ale wtedy dodaje: – Po cholere kupować taką twardą kanapę?

– Może Ellen się podoba – odpowiadam. – Co kto lubi.

– Nie wierzę. Co za straszny mebel.

Wzruszam ramionami.

– Nie sędzę, żeby długo na nim przesiadywała. Kiedy tu przyjeżdża, głównie pracuje albo śpi.

– Czyli... nie miała nic przeciwko mojej wizycie? – pyta Josie takim tonem, jakby pragnęła usłyszeć, że owszem, miała.

– Nie, zupełnie jej to nie przeszkadza – mówię, siadając na drugim końcu sofy.

Rzeczywiście, nie przeszkadza, choć przemilczam to, że razem z Ellen analizowałyśmy ten temat przez prawie pół godziny, zachodząc w głowę, jaka dotycząca Daniela sprawa może wymagać tak pilnego spotkania.

– Wątpię – mruczy pod nosem Josie.

Choć dobrze wiem, że to bez sensu, pytam ją, czemu zawsze podejrzewa Ellen o najgorsze.

– Nic podobnego – protestuje Josie. – Ja ją lubię. Po prostu czuję, że źle o mnie myśli.

Kręcę głową.

– Nieprawda – mówię i to nie jest kłamstwo. – Często cię broni... – Urywam.

Josie mruży oczy.

– Serio? A dlaczego musi to robić?

Gorączkowo zastanawiam się nad błyskotliwą ripostą, ale bez skutku.

– Bo doprowadzasz mnie do szału – mówię wreszcie ze złośliwym uśmiechem. – Właśnie dlatego.

– Ty mnie też – odpowiada Josie, lekko wydymając usta. – Ale i tak się cieszę, że cię widzę.

– Ja też – przyznaję, zastanawiając się, skąd we mnie te wszystkie pomieszane uczucia i jak to możliwe, że zmieniają się tak błyskawicznie i radykalnie, wręcz z minuty na minutę. – Jak myślisz, ile

czasu wytrzymamy bez awantury?

– O rany – chichocze Josie. – Ty chyba tylko o tym marzysz.

Odpowiadam, żeby nie była głupia, nie znoszę się z nią kłócić.

– To tak jak ja – zapewnia. – Boże. Czasami naprawdę się żarliśmy, nie?

Kiwam głową, wspominając to niemal z czułością.

– Pamiętasz Chick-fil-A?

– Oczywiście – odpowiadam ze śmiechem.

Przypominam sobie naszą najbardziej spektakularną awanturę. Ja miałam czternaście, a Josie szesnaście lat. Każdego ranka odwoziła mnie do szkoły starym volvo rodziców. Wysadzała mnie obok Pace, po czym jechała dalej, do Lovett. Problem polegał na tym, że nie potrafiłyśmy się porozumieć co do godziny wyjazdu. Josie wiecznie się spóźniała (z tego, co wiem, wśród uczniów i absolwentów Lovett wciąż jest rekordzistką, jeśli chodzi o liczbę spóźnień w ciągu jednego roku). Tamtego poranka przysięgała mi jednak wielokrotnie, że zrobi, co będzie mogła, by zawieźć mnie do szkoły jak najwcześniej, ponieważ poprzedniego dnia zostawiłam w szkolnej szafce podręcznik do matematyki i musiałam dokończyć zadanie domowe.

Wszystko szło gładko, póki nie zatrzymała się przy Chick-fil-A w Northside, oznajmiając, że ma ochotę na kanapkę z kurczakiem i że zajmie jej to „dosłownie sekundę”. Osłupiałam i próbowałam wybić jej to z głowy, zwłaszcza gdy zobaczyłam długą kolejkę aut na podjeździe. Zaczęłam ją błagać, bliska płaczu.

– Za późno – rzuciła, gdy kolejny samochód ustawił się w kolejce, blokując nam wyjazd. – Sorry Gregory.

– Rany, Josie, musisz być taką małą? – powiedziałam.

– A ty musisz być takim kujonem? – odparowała, po czym zaczęła szydzić z mojego strachu o nieodrobione zadanie.

Kłótnia szybko eskalowała, gdy w ślimaczym tempie posuwałyśmy się ku okienku, aż przesadziłam, wygłaszając złośliwą uwagę o tym, że doprawdy mogłaby sobie podarować „te zbędne kalorie”. Natychmiast tego pożałowałam, bo wiedziałam, że ma problemy z wagą i że z wielkim trudem walczyła o utratę kilku kilogramów przed zbliżającym się balem maturalnym. Zanim zdołałam przeprosić, ona wzięła zamach i trafiła mnie na odlew w lewą pierś. Bolało tak bardzo, że oczy wypełniły mi się łzami, i pamiętam swoją myśl, że taki cios musi być gorszy niż dla faceta uderzenie w jądra. Oddałam jej i w ciągu kilku sekund sprzeczka przekształciła się w regularną bijatykę, połączoną z wyzwiskami i szarpaniem za włosy. Tego ranka dotarłam do szkoły spóźniona, potargana i nieszczęśliwa. Przez wiele dni drżałam ze strachu, że cios w jakiś sposób spowoduje u mnie raka piersi. Mała częśćka mnie miała wręcz nadzieję, że wydarzy się coś tragicznego, choćby po to, by udowodnić rodzicom, że to ja jestem tą miłszą i lepszą córką, a ich średnie dziecko to

najprawdopodobniej najbardziej samolubny człowiek na świecie.

– O Boże, poszarpałyśmy się jak dwie tipsiary – śmieje się teraz Josie.

– Fakt – potwierdzam. – Dwie idiotki ze wsi.

Moja siostra nadal się uśmiecha, ale informuje mnie, że użyłam „wykluczającego języka”.

– Jak to wykluczającego? – pytam, znużona jej nadmierną polityczną poprawnością, którą oczywiście przejęła od Gabe’a.

– A czemu ze wsi? Czyżby sam fakt urodzenia się na wsi czynił człowieka ordynarnym?

Patrzę w sufit, po czym rzucam:

– To lekka przesada, ale niech ci będzie.

Przez kilka sekund niepewnie mierzymy się wzrokiem, w końcu Josie uderza się po udach i mówi:

– Wiesz co? Powinnyśmy jednak dokądś się wybrać. Jest tu w okolicy jakieś spokojne miejsce?

– Oczywiście. Jesteśmy w Greenwich Village, tu wszędzie jest spokojnie. Ale czy nie chciałaś porozmawiać najpierw o Danielu?

– E tam – rzuca, zbywając mnie machnięciem dłoni. – Mamy cały weekend... Zdamy.

Josie ma ochotę na hamburgera, więc wybieramy Minetta Tavern. Kolacja upływa nam w miłej, luźnej atmosferze, bez śladu napięcia, a jeszcze przyjemniej robi się wtedy, gdy wracamy do mieszkania Ellen. Wbrew wszelkim obawom zatapiamy się w serdecznej, jak rzadko, rozmowie. Dużo wspominamy, zwłaszcza beztrioskie i wolne od późniejszych nastoletnich utarczek dzieciństwo.

Raz po raz pada imię Daniela, ale wyłącznie w kontekście historii rodzinnych z czasów, gdy żył. Wreszcie kładziemy się do łóżka. Powoli zapadam w sen, gdy z pełną siłą uderza mnie myśl o tym, jak wiele wspólnie przeszliśmy. Przychodzi mi do głowy zwrot „od kołyski aż po grób” i uświadamiam sobie, że Josie jest jedyną osobą, z którą łączy mnie podobna więź.

Następnego ranka jest równie miło. Śpimy do woli, potem wstajemy, bierzemy prysznic i idziemy na śniadanie do mojej ulubionej knajpki. Ruszamy Park Avenue i wpadamy do butiku Henriego Bendela, gdzie Josie wydaje krocie na kosmetyki do makijażu.

Po wyjściu ze sklepu przecinamy Pięćdziesiątą Siódmą Ulicę, mijamy dom towarowy Bergdorf Goodman oraz hotel Plaza i skręcamy do Central Parku. Dzień jest chłodny, ale słoneczny i dochodzę do wniosku, że od wielu tygodni, a może nawet miesięcy, nie było mi tak lekko na sercu. Mam ochotę powiedzieć o tym Josie, ale gdy zatrzymujemy się, by usiąść na ławce i odetchnąć, moją uwagę przykuwa mała srebrna tabliczka przykręcona do drewnianego oparcia. Razem odczytujemy napis: „Dla Caroline, która kochała ten park, i George’a, który zawsze był przy niej”.

Josie przesuwając palcami po inskrypcji i mówi:

– Jaka śliczna dedykacja.

Potakuję i rozsiadamy się wygodniej na ławce, plecami do tabliczki.

– Myślisz, że to sprawka ich dzieci? – pytam z nadzieją, że i my dwie kiedyś tak się zjednoczymy,

gdy po śmierci rodziców będziemy miały już tylko siebie.

– Pewnie tak – odpowiada Josie z lekkim uśmiechem. – Wyobrażam sobie parę maleńkich staruszków, którzy siadywali tu każdego ranka, z psem i takimi samymi laskami... Aż pewnej nocy umarli we śnie. Razem...

Z uśmiechem kiwam głową.

– To chyba najszczęśliwsze zakończenie, jakie można sobie wymarzyć – mówię i nachodzi mnie refleksja, że nawet najszczęśliwsze zakończenie nieuchronnie prowadzi do śmierci.

Mówię to głośno, a wtedy Josie spogląda na mnie i potrząsa głową.

– O Boże, Mere. Ależ z ciebie ponurak.

Wzruszam ramionami.

– Co z tego? Taka jest prawda.

– Wiem, ale... O Jezusie.

Obie parskamy śmiechem, a potem przez jakiś czas siedzimy w milczeniu. Nagle Josie spogląda na mnie z powagą.

– To co... chcesz pogadać? – pyta miękko. – O tym, co się dzieje z Nolanem?

Po raz pierwszy od długiego czasu mam autentyczną ochotę, by zwierzyć się siostrze, więc po prostu to robię.

– Wydaje mi się, że poślubiłam niewłaściwego człowieka – wyznaję, mrużąc oczy i spoglądając w bezchmurne, kobaltowe niebo. Szkoda, że nie wzięłam ze sobą okularów przeciwsłonecznych.

Po chwili dostrzegam jej spojrzenie. Na twarzy Josie maluje się raczej smutek niż oburzenie, zupełne przeciwieństwo tego, czego oczekiwałam.

– Wiem – odpowiada, kiwając głową. – Nolan coś mi wspomniał...

– Naprawdę? – pytam, zaskoczona.

– Tak. Nie bądź na niego zła.

Potrząsam głową.

– Bez obaw – mówię. – Nie jestem.

Josie przetyka ślinę, wpatrzona w perłoworóżowy lakier na swoich paznokciach.

– Boi się, że chcesz rozwodu.

Zamieram. To słowo...

– Chcesz? – pyta Josie i przenosi wzrok z paznokci na mnie.

Powoli kiwając głową, mówię:

– Zdaje mi się, że to może być właściwa decyzja.

– Ale... czemu? – drąży, po dziecięcemu rozżalona. – Przecież on cię tak kocha...

– Po pierwsze, wcale nie jestem tego pewna...

– Oj, Mere, przestań – przerywa mi Josie. – Nie widzisz, jak na ciebie patrzy? Uwielbia cię. Szanuje. Rany, nawet nie wiesz, jaką szczęściarą jesteś!

Nagle, tak po prostu, mój smutek przeradza się w bunt i niechęć.

– Nie jestem szczęściarą – mówię. – Wyszłam za człowieka, w którym nigdy nie byłam naprawdę zakochana. W dzień swojego ślubu płakałam. Tak nie wygląda szczęście. To jest po prostu... żałosne.

Spoglądam na siostrę i sama nie wiem, czy chcę, żeby się ze mną kłóciła, czy żeby przyznała mi rację.

– Ale dobrze wam ze sobą – mówi Josie. – Prawda?

– Pod pewnymi względami – odpowiadam. – Okej, może nawet pod wieloma. Tyle że czasem chcę czegoś więcej, dla nas obojga. Czegoś prawdziwego. Takiego jak między Danielem i Sophie.

– Wiem – mówi cicho Josie. – Ja też zawsze stawiam ich sobie za wzór.

– Serio? – dziwię się. – Myślałam, że do tego celu używasz Willa.

– Robiłam to przez jakiś czas. Naprawdę bardzo chciałam, żeby Will okazał się moją Sophie. W teorii sprawiał nawet takie wrażenie. Ale teraz rozumiem, że tak nie było. – Spogląda na mnie niepewnie i dodaje: – Ona chce dziś zjeść z nami kolację.

– Sophie? – pytam, myśląc, że coś mi się pomyliło.

– Tak. Skontaktowałam się z nią kilka dni temu. Na Facebooku... Napisałam, że przyjeżdżam, i dałam jej swój numer telefonu. Wczoraj wieczorem przysłała wiadomość, że bardzo chętnie zje z nami kolację.

– Wczoraj wieczorem? – powtarzam głośniej. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– No tak... Nie byłam pewna, czy zechcesz się z nią spotkać.

Zamykam oczy i kręcę głową, mamrocząc cicho jej imię.

– No co? Myślałam, że tego chcesz – broni się Josie piskliwie. – Jak możesz się na mnie wściekać za coś, co razem z mamą planowałyście od dawna?

– Po pierwsze – odpowiadam – mamy tutaj nie ma.

– Wiem. Ale zawsze możemy to powtórzyć w grudniu, kiedy przyjedzie.

– Czekaliśmy piętnaście lat, żeby teraz spotkać się z Sophie dwa razy w ciągu kilku tygodni?

– Czemu nie?

– Nie wydaje ci się to lekką przesadą?

– A kto tak powiedział? Wybacz, nie sprawdzałam, jakie zasady obowiązują w tej materii...

Wyciąga z torebki telefon i informuje mnie burkliwie, że zaraz odwoła spotkanie.

Zdegustowana wypuszczam powietrze z płuc i kładę jej rękę na ramieniu.

– Przestań. Nie pisz, to by było niegrzeczne. Daj mi pomyśleć.

– O czym?

– O tym, czy starczy mi sił, żeby spotkać się dziś z Sophie zupełnie bez uprzedzenia.

– A co by ci dało, że wiedziałabyś o tym wcześniej? – nie rozumie Josie. – Co to za różnica: teraz czy w przyszłym miesiącu?

– Po prostu wolałabym wcześniej to przedyskutować – mówię.

– No to dyskutujemy. Może nie?

– Tak, ale...

– Ale co? Dlaczego wszystko zawsze musi się odbywać wyłącznie na twoich zasadach?

– Nie musi – odpowiadam i myślę o tym, ile razy zarzucała mi dyktatorskie zapędy tylko dlatego, że miałam inne zdanie niż ona. – Po prostu...

– Po prostu co, Meredith? Dlaczego jesteś ze mnie wiecznie niezadowolona?

Wstaje, wbija ręce w kieszenie i patrzy na mnie butnym wzrokiem.

– Wcale nie jestem – kłamię.

– Owszem, jesteś. Tak samo rodzice... Rany boskie, przykro mi, że nie urodziłam się ideałem jak ty i Daniel – mówi i rusza przed siebie.

Szybko ją doganiam.

– Czy mogłabyś przestać się nad sobą uzalać?

Staje i spogląda na mnie gniewnie.

– Nie uzalam się – mówi. – Mam po prostu serdecznie dosyć tych wiecznych pretensji. Przyjechałam, żeby pogadać o Danielu. To dlatego skontaktowałam się z Sophie. Próbuję zrobić coś dobrego. Nie rozumiesz?

Patrzę na nią bez słowa i przez króciutką chwilę dostrzegam wszystko z jej punktu widzenia. Ale jak w przypadku słynnej iluzji optycznej Rubina, szybko powracam do własnej perspektywy, ponieważ biały wazon jest o wiele bardziej oczywisty niż czarne profile.

– W porządku – mówię wreszcie. – Napisz do niej. Zjemy z nią kolację.

– Naprawdę tego chcesz? – pyta Josie i przychodzi mi do głowy, że chce mnie skłonić, bym to ja odmówiła Sophie spotkania.

– Jasne – odpowiadam i lekceważąco wzruszam ramionami. – Niech będzie.

ROZDZIAŁ 27

Josie

Powinłam była przewidzieć, że Meredith wkurzy się na mnie za nawiązanie kontaktu z Sophie. Nawet przeszło mi przez głowę, żeby to z nią wcześniej uzgodnić, ale potem stwierdziłam, że wezmę sprawy we własne ręce i raz w życiu załatwię coś sama. Poza tym nie sądziłam, że Sophie tak szybko zareaguje. Spodziewałam się odpowiedzi w przyszłym tygodniu albo jeszcze później, dzięki czemu mogłabym pochwalić się przed mamą i Mere dobrą wolą, ale nie musiałabym przeżywać kolejnego emocjonalnego spotkania.

Zeszłego wieczoru, gdy nadeszła odpowiedź od Sophie, nie chciałam poruszać z Meredith żadnych trudnych tematów. Tak dobrze się razem bawiłyśmy, żartując, śmiejąc się i ciesząc chwilami bliskości. To było takie miłe i naturalne, pełne swobody, którą tak często obserwuję między innymi siostrami. Pragnęłam chłonąć każdą minutę, zwłaszcza że czekało mnie przerażające wyzwanie i bardzo prawdopodobna możliwość, że Meredith nigdy nie wybaczy mi roli, jaką odegrałam w wypadku Daniela.

Oczywiście wszystko wzięło w łeb, jak zwykle. Kiedy tak idziemy przez park, patrzę, jak wykonuje nagłą woltę i jej radość błyskawicznie zmienia się w gorycz.

– Dobra – oznajmia. – Wracam do domu.

– Teraz? – pytam, ponieważ miałam nadzieję, że po drodze pozwolimy sobie jeszcze na szybkie zakupy.

– Tak. Ale nie musisz iść ze mną – odpowiada tonem, w którym dominuje bierna agresja. – Znasz drogę.

Kręcę głową, bo wiem, że to również wykorzystałaby przeciwko mnie. Już teraz dźwięczy mi w uszach jej tyrada: „Jak możesz w takiej chwili myśleć o zakupach?”.

Właściwie miałaby rację. Magia Manhattanu szybko blednie, a do mnie dociera, że maluje się przede mną nie jedna, a dwie rzeczy, o których myślę ze strachem.

– Nie, wrócę z tobą – mówię.

Meredith kiwa głową i przyspiesza. Maszerujemy ku zachodniemu skrajowi parku, w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszłyśmy.

– Dlaczego idziemy w tę stronę?

Muszę praktycznie biec, żeby za nią nadążyć.

- Tędy dojdziemy do metra.
- Nie chcesz wracać pieszo? – pytam.
- Nie. Chcę pojechać metrem.
- W porządku – mamroczę pod nosem.

Ponury, milczący kwadrans później schodzimy do podziemi na skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Siódmej i Siódmej. Wciąż milcząc, stajemy na zatęchłym peronie.

– Słuchaj – mówię w końcu, oddychając przez usta, by nie czuć smrodu moczu i śmietników – naprawdę nie musimy się dziś spotykać z Sophie. Możemy jej powiedzieć, że mamy inne plany. Że zobaczymy się następnym razem...

– Nie. Wszystko w porządku – odpowiada, co w praktyce oznacza, iż nic nie jest w porządku i zamierza odgrywać męczennicę.

– Czyli chcesz pójść? – pytam.

– Jasne. W porządku – powtarza.

Spoglądam na nią i wzbiera we mnie frustracja.

– Nie rozumiem, czemu się na mnie wściekasz – wołam, przekrzykując ryk nadjeżdżającego pociągu.

– Nie wściekam się – odpowiada głośno, na tle wibrującego szczęku metalu o metal.

– Okej. W takim razie co czujesz? – pytam.

Pociąg hamuje ze zgrzytem i wsiadamy do niemal pustego wagonu. Meredith czeka, aż usiądę, po czym wybiera miejsce naprzeciwko, po ukosie.

– Co teraz czujesz? – powtarzam, a gdy nie odpowiada, podsuwam jej kilka możliwości: – Jesteś smutna? Zła? Niezadowolona?

– Wszystko naraz – odpowiada, krzyżując ramiona na piersi.

– Ale czemu? – dopytuję. Naprawdę chcę wiedzieć. – Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Zacznijmy od początku... Po pierwsze, przez lata próbowałyśmy cię z mamą skłonić do wizyty na cmentarzu, a ty pojechałaś tam wtedy, gdy nie było mnie w mieście, i nawet nie uprzedziłaś mamy...

– Zdecydowałam się w ostatniej chwili – mówię.

– To jeszcze gorzej – odpowiada z naciskiem. – Pojechałaś bez nas, bo taki miałaś kaprys?

Wzdycham, znużona, po czym wyjaśniam:

– Byłam u ciebie w domu i opiekowałam się twoją córką, ponieważ twój mąż zgubił jej ukochaną zabawkę...

– No i co z tego wynika?

– Nic, po prostu tak się stało... Nolan poprosił, żebym z nim pojechała. Chciałam odmówić, ale

zrobiło mi się go żal, po tym wszystkim... Zgodziłam się... Jak możesz mieć do mnie pretensje o to, że nie chciałam robić mu przykrości?

Meredith nie odpowiada, patrzy tylko na mnie bez słowa, po czym przechodzi do następnego punktu:

– Po drugie, specjalnie ci powiedziałam, że chcemy z mamą zaplanować coś na ten grudzień... na piętnastą rocznicę...

Aż trzęsie mnie w środku na dźwięk słowa „rocznica” wypowiedzianego w takim kontekście.

– A ty wykręcasz mi taki numer – ciągnie Meredith. – Chodziło o to, żebyśmy we trójkę z mamą zrobiły coś razem. Żeby uczcić pamięć Daniela.

– Jesteśmy razem – zauważam.

– Wiem, ale nie ma z nami mamy i, cholera, Josie... – jęczy, wyrzucając w górę ramiona. – Czy ty nic nie rozumiesz? Nie rozumiesz, że zawsze wszystko robimy po twojemu? Na twoich warunkach?

– Rozumiem, że tak to wygląda... Ale świat się zmienia. Żadna z nas nie przypuszczała, że weźmiesz urlop i uciekniesz do Nowego Jorku, żeby planować rozwód...

– Czy mogłabyś nie mieszać do tego Nolana i mojego małżeństwa?

– Jasne – odpowiadam.

Przyłapuję jakąś starszą panią na tym, że się nam przygląda. Przesuwam się kawałek, by usiąść dokładnie naprzeciwko siostry, pochylam się w jej stronę i ściszam głos.

– Uważam jednak, że to wszystko się łączy.

Meredith potrząsa głową.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda – upieram się z walącym sercem. – Wszystko sprowadza się do Daniela. Naprawdę tego nie widzisz? Nolan, wasze małżeństwo, Sophie...

Mam ochotę opowiedzieć jej o wszystkim tu, w wagonie metra, mieć to już za sobą i wreszcie zamknąć jej usta. Żeby zobaczyła, że to wszystko jest ze sobą cholernie mocno powiązane. Ale ona patrzy na mnie z taką wrogością, że ogarnia mnie strach.

– Moje problemy też – dodaję więc po prostu. – I naprawdę chcę to z siebie wyrzucić, zanim zacznę starać się o dziecko... zanim zostanę matką.

– No właśnie! – woła Meredith, oskarżycielsko machając na mnie palcem jak typowa prawniczka.

Patrzę na nią, zachodząc w głowę, co takiego niby właśnie mi udowodniła.

– Co? – pytam. – Jest w tym coś złego? Boże, Mere. Czemu ty mnie tak strasznie nienawidzisz?

– Nie nienawidzę cię – odpowiada, lecz jej spojrzenie dowodzi czegoś dokładnie przeciwnego. – Po prostu mam serdecznie dosyć tego, że wszystko kręci się wokół ciebie i twoich planów. Dbasz tylko o siebie, Josie.

Czuję, jak płoną mi policzki.

– To naprawdę niesprawiedliwe – mówię. – Dlaczego zawsze spodziewasz się po mnie najgorszego? Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć i upewnić, że nie dzieje się nic złego. Miałam szczerą nadzieję naprawić nasze relacje i właśnie dlatego wczoraj nie chciałam psuć nam wieczoru.

Meredith otwiera usta, ale powstrzymuję ją, podnosząc dłoń.

– Przyjechałam tu także, ponieważ muszę porozmawiać z tobą o Danielu.

– Tak, już to słyszałam – wzdycha, kręcąc głową. – Można wiedzieć, kiedy do tego dojdzie?

– Zapewne dziś wieczorem – odpowiadam i ogarnia mnie przerażenie, bo wiem, że sprawy między mną a siostrą wkrótce przybiorą o wiele gorszy obrót.

*

Po powrocie do mieszkania piszę do Sophie, że chętnie się z nią spotkamy. Szybko mi odpisuje, proponując, żebyśmy wpadły do niej, na Upper West Side, na drinka przed kolacją w jakimś niezobowiązującym miejscu. Nagle nie ma odwrotu.

Przez kilka następnych godzin każda z nas po swojemu radzi sobie ze zdenerwowaniem: Meredith przebiera się w strój do ćwiczeń i oznajmia, że idzie pobiegać, a ja wkładam dres, zaszywam się w łóżku i zapadam w głęboki sen.

Budzi mnie wibrowanie telefonu. Zdezorientowana spoglądam na wyświetlacz i z jeszcze większym zmieszaniem spostrzegam, że dzwoni Pete. Nagle przypominam sobie, gdzie jestem i co mnie wkrótce czeka. Odbieram, zachrypniętym głosem rzucając:

– Halo?

– Cześć – odzywa się radośnie Pete. – Obudziłem cię?

– Nie – kłamię.

Sama nie wiem, czemu zaprzeczam, ilekroć ktoś sugeruje, że przed momentem spałam lub piłam alkohol.

Pete chce wiedzieć, co u mnie słyhać, informuję go więc, że pojechałam do Nowego Jorku odwiedzić siostrę. Przez kilka ostatnich dni nie kontaktowaliśmy się ze sobą, nie wie zatem, że postanowiłam skorzystać z nasienia Gabe'a. Mam wyrzuty sumienia, bo zabrnęliśmy razem już tak daleko, a on od samego początku niczego mi nie odmawiał. Nie chcę zranić jego uczuć ani wyjść na rozkapryszoną. Wiem jednak, że to zbyt ważna sprawa, by się przejmować takimi rzeczami. Wbrew temu, co myśli Meredith, nie mam złudzeń: mówimy o życiu dziecka. Zresztą kto wie, czy Pete'owi będzie to przeszkadzało; może nawet mu ulży. Na pewno też miał wątpliwości. Jednocześnie całkiem poważnie się martwię, że stracę szansę, by między nami coś się wydarzyło, może nawet zduszę w zarodku tę naszą dziwną, kiełkującą przyjaźń. Mam smutne, niepokojące przeczucie, że bardzo bym za nim tęskniła.

– O, fajnie – mówi. – Nie wiedziałem, że się wybierasz.

– Tak, zdecydowałam się w ostatniej chwili... Musimy z siostrą omówić pewne sprawy.

Nagle ogarnia mnie ochota, by o wszystkim mu opowiedzieć. O wszystkim bez wyjątku. Zamiast tego wspominam tylko zdawkowo o Sophie i naszym planowanym spotkaniu.

– Zobaczę ją po raz pierwszy od pogrzebu brata – dodaję.

Pete gwizdże z podziwem.

– Rany. Brzmi poważnie.

– Fakt, pewnie będzie niezręcznie...

Milknę.

– Sophie ma męża? – chce wiedzieć Pete.

Odpowiadam, że nie wiem, jej profil na Facebooku nie był aż tak szczegółowy. Wrzuca na niego głównie linki do artykułów lub żartobliwe spostrzeżenia w stylu Jerry'ego Seinfelda.

– Wygląda na to, że ma syna – dorzucam. – Sporo tam zdjęć jakiegoś chłopca. Ale oczywiście może to być bratanek albo dziecko znajomych... Wiesz, podobna sytuacja, jak z tobą i Toffi.

– No tak – mówi ze śmiechem Pete. – Kochana, stara Toffi.

– Dobrze... a co u ciebie? – pytam, odpierając w duchu oskarżenie Meredith, że skupiam się wyłącznie na sobie.

– Niewiele – odpowiada Pete. – Po prostu trochę się stęskniłem.

Uśmiecham się, mile zaskoczona.

– Naprawdę?

– Aha. Nie za mocno. Ale trochę tak.

– Trochę, hm?

– Właśnie. Odrobinę.

– Ja też się odrobinę za tobą stęskniłam – oznajmiam, czując jakieś nieoczekiwane, przyjemne mrowienie.

– Świetnie. Kiedy wracasz?

– Jutro. Samolot ląduje chyba koło siedemnastej.

– Przyjechać po ciebie? – pyta. – Chętnie podwiozę cię do domu.

– Dzięki – odpowiadam. – To miło z twojej strony. Ale zostawiłam na lotnisku samochód.

– No to... może kolacja? W poniedziałek wieczorem?

– Z przyjemnością. Właściwie chciałam z tobą o czymś pogadać...

– O? – pyta, nagle poważny. – O czym?

– O... różnych rzeczach – odpowiadam.

– Chodzi ci o dziecko? Czy o pocałunek?

Ze śmiechem przypominam sobie dotyk jego ust na moich.

– W zasadzie o jedno i drugie.

*

Dwie godziny później jedziemy z Meredith taksówką w stronę Upper West Side. Czuję się nieswojo, wiadomo dlaczego, a na dodatek lekko onieśmiela mnie perspektywa kolacji z osiagającą sukcesy, obdarzoną wyrafinowanym gustem brytyjską lekarką. Widzę, że Meredith również jest spięta, nieustannie sprawdza makijaż i poprawia włosy.

– Świetnie wyglądasz – mówię, zerkając na nią z ukosa.

Speszona tym, że przyłapałam ją na przeglądaniu się w lusterku, gwałtownie zamyka puderniczkę i wrzuca ją do torebki, mrużąc nieuważne podziękowanie.

– Przynajmniej jesteśmy dwie, a ona jedna. Na pewno denerwuje się bardziej od nas – dumam na głos.

– Ja się nie denerwuję – odpowiada szybko Meredith.

Rzucam jej sceptyczne spojrzenie.

– Daj spokój, Mere. Jak możesz się nie denerwować?

– Normalnie. Może nie do końca wiem, czego się spodziewać... To znaczy w pewnym sensie Sophie jest dla nas obca.

– Jest zupełnie obca. Nie widzieliśmy jej od pogrzebu Daniela. Ja chyba nawet wtedy z nią nie rozmawiałam.

– Z nikim wtedy nie rozmawiałaś – zauważa Meredith, a w jej głosie pobrzmiwa lekko oskarżycielska nuta.

Nie zwracam uwagi na przytyk i pytam, czy powinniśmy ustalić sygnał.

– Jaki sygnał?

– Taki, który będzie znaczył „zabieramy się stąd”.

Meredith wydyma usta i stanowczo kręci głową.

– Nie. Żadnych sygnałów. Musimy traktować ją serdecznie i z uwagą, choćby nie wiem co. Wywrzeć na niej dobre wrażenie. Ze względu na Daniela... Rozumiesz?

Mam ochotę wytknąć jej przesadną dbałość o pozory (bo to prawda) albo zauważyć, że jeśli Daniel patrzy na nas z góry, to do jego największych trosk raczej nie należy to, czy zrobimy dobre wrażenie na Sophie. Nie potrzebujemy jednak kolejnej sprzeczki, więc rzucam:

– Chyba masz rację.

Kilka minut później podjeżdżamy pod budynek przy Central Park West. Wsiadamy z taksówki i wkraczamy do marmurowego lobby wytwornej kamienicy z odźwiernym.

– „*Movin' on up!*” – podśpiewuję motyw przewodni serialu *The Jeffersons*, zafascynowana

widokiem wielkiego kryształowego żyrandola.

Meredith z sykiem każe mi przestać, a odźwierny uśmiecha się i pyta, czy może nam jakoś pomóc.

– Tak – odpowiada Meredith wysokim, afektowanym głosem. – Czy mógłby pan przekazać Sophie Mitchell, że przyjechały Meredith i Josie?

Mężczyzna dziarsko kiwa głową, podnosi słuchawkę staromodnego telefonu i mówi:

– Halo, tak, pani doktor Mitchell, są tu Meredith i Josie... Proszę bardzo. Zrobi się. – Odwiesza słuchawkę i oznajmia: – Ósme piętro.

Mere dziękuje i wsiadamy do windy. Drzwi się zamykają – najpierw zewnętrzne, a potem wewnętrzna, przypominająca akordeon krata – i winda z szarpnięciem powoli rusza do góry.

Docieramy na ósme piętro i wchodzimy do niewielkiego korytarza oddzielającego dwa mieszkania. Przez moment stoimy niezdecydowane, ale wtedy jedne z drzwi otwierają się i staje w nich zaskakująco wyblakła wersja narzeczonej Daniela. Nadal można ją nazwać atrakcyjną, na europejską modłę: ma na sobie niezwykle szykowny (choć średnio pasujący do okazji) kombinezon i lakierowane, płaskie czółenka z noskami w szpic. Zatraciła jednak dawną smukłość, a skórę ma wyraźnie zniszczoną od słońca.

– Cześć. Wchodźcie, wchodźcie.

Jej głos jest dokładnie taki, jak zapamiętałam, a lata spędzone w Stanach nie pozbawiły jej brytyjskiego akcentu. Widzę, że się denerwuje, kiedy robi krok w naszą stronę i obdarza każdą z nas, w kolejności wiekowej, sztywnym uściskiem.

– Jak miło znów was widzieć.

– Ciebie też – odwzajemnia się Meredith.

– Tak, dziękujemy za zaproszenie – dodaję.

Sophie prowadzi nas do salonu. Zauważam tam mnóstwo miejsc do siedzenia, w tym sofę w kształcie litery L, dwa duże fotele i kilka pluszowych otoman, a mimo to nigdzie nie dostrzegam telewizora. Przypomina mi się, że kiedyś wspominała, iż w dzieciństwie nie wolno jej było oglądać telewizji.

– Masz piękne mieszkanie – mówi Meredith.

– Dziękuję – odpowiada Sophie. – Właśnie skończyliśmy remont. Tutaj była wcześniej jadalnia... ale kto by w dzisiejszych czasach z niej korzystał? – Śmieje się i dodaje: – Ja nadal nie potrafię gotować.

Zwracam uwagę na to, że użyła liczby mnogiej, i jestem pewna, że Meredith również to zauważyła. Jednak nigdzie nie dostrzegam ani śladu męża, dziecka zresztą też nie, choć zauważam kilka oprawionych w ramki zdjęć chłopca, które widziałam już na jej Facebooku.

Wchodzimy za Sophie do białej, nowoczesnej kuchni. Gospodyni pyta, czego się napijemy.

– Drinka? Kieliszek wina?

Obie wybieramy wino.

– Czerwone czy białe?

– To, które masz otwarte – mówię, ale Sophie dalej dopytuje, na co mamy większą ochotę.

– Bardzo chętnie czerwone, dziękuję – decyduję wreszcie, zauważywszy, że sama Sophie pije czerwone. Kieliszek bez nóżki, ze śladem szminki na brzegu, stoi na blacie obok starannie skomponowanej deski wędlin. Może i nie gotuje, ale z pewnością znakomicie umie przyjmować gości.

– A dla ciebie, Meredith? – pyta pogodnie.

– Chętnie napiję się czerwonego – odpowiada moja siostra pretensjonalnym tonem.

Sophie zdejmuje z półki dwa kieliszki i napełnia oba mniej więcej do połowy. Sięgamy po nie, a ona wznosi własny z zastygłym na ustach uśmiechem. Po kilku sekundach niezręcznego milczenia uświadamiam sobie, że ma zamiar wznieść toast.

– Za stare znajomości – oznajmia wreszcie, spoglądając w oczy najpierw mnie, potem Meredith.

– Za stare znajomości – powtarzamy, zmuszając się do uśmiechu.

Przychodzi mi na myśl, że w tym zwrocie drzemie wewnętrzna sprzeczność: zasadniczo znajomości powinny być nowe, by przerodzić się w przyjaźń lub zginąć w otchłani niepamięci. Niemniej trudno o trafniejsze określenie naszych relacji, postanawiam więc puścić je mimo uszu. Przez kilka chwil sączymy wino w pełnej niepewności ciszy. Sophie odzywa się pierwsza:

– A więc jesteś prawniczką? – Spogląda na Meredith.

– Zgadza się – potwierdza Meredith. – Choć właśnie zrobiłam sobie dłuższą przerwę w pracy.

Wzdrygam się na dźwięk tych słów, zastanawiając się, czemu przestała nazywać to urlopem. Wtedy Sophie zwraca się do mnie:

– A ty zostałam nauczycielką?

– Tak, uczę w pierwszych klasach. Skąd wiesz? Z Facebooka?

Sophie kręci głową.

– Nie. Od waszej mamy. Z jej ostatniego maila...

– A kiedy to było? – pytam, bo nie mam pojęcia, jak często się komunikują.

– Kilka lat temu. W 2010 albo 2011... Nie pamiętam dokładnie. Jak ona się miewa? – pyta Sophie i z troską marszczy brwi.

– Dobrze – odpowiadam. – Niedawno dostała licencję pośrednika handlu nieruchomościami.

– Hmm – mruczy Sophie zwyczajem Brytyjczyków. Nigdy nie potrafiłam rozszyfrować tej reakcji. Czy oznacza „naprawdę”, czy może „opowiedz coś więcej” albo „wiem”.

– Słyszałaś też pewnie o rozwodzie rodziców? – pytam.

Sophie spuszcza wzrok i potakuje.

– Tak mi przykro – dodaje.

Z jakiegoś niepojętego powodu mam ochotę ją trochę podreńczyć.

– Taaa... Mama miała dość picia ojca. Długo był trzeźwy, ale w pewnym momencie wszystko się posypało.

– Dobrze – wtrąca dziarsko Meredith. – Dość już tego tematu.

Uśmiecham się i mówię w przestrzeń:

– Dobrze. Meredith mówi, że dość.

– Uważam po prostu, że można dyskutować o weselszych sprawach – dodaje moja siostra pod nosem.

Unoszę brwi i myślę: Czyżby? Na przykład o tym, że ostatni raz widziałyśmy się podczas pogrzebu Daniela?

– W każdym razie serdecznie cię pozdrawia – ciągnie Meredith. Jestem niemal pewna, że to kłamstwo, chyba że rozmawiała z mamą po południu, kiedy drzemałam.

– Przekażcie jej proszę, że też ją pozdrawiam.

Sophie kiwa głową z uśmiechem, ale nie potrafi ukryć bolesnego, współczującego spojrzenia. Znam je dobrze, bo wielu ludzi patrzyło tak na mnie jeszcze długo po wypadku, i ogarnia mnie irytacja, choć wiem, że niesprawiedliwa. Jak inaczej miałyby na mnie patrzeć? Czy naprawdę nie chcę, by nam współczuła?

Uznawszy w duchu, że Sophie znalazła się na przegranej pozycji, sięgam po plasterek szynki serrano i wkładam go do ust.

– A ty? – pytam, przeżuając. – Wyszłaś za męża?

Meredith parska piskliwym, nerwowym chichotem i zauważa:

– To dość obcesowe pytanie.

– Nic nie szkodzi – uspokaja ją Sophie.

Przypominam sobie jeden z jej listów do mamy, przysłany mniej więcej rok po śmierci Daniela. Długi, spisany po obu stronach kilku arkuszy papieru pięknym charakterem pisma, poruszał każdy możliwy temat: od rodziny przez staż w szpitalu po podróże. Mimo to nie było w nim najmniejszej wzmianki o jej życiu uczuciowym, nie licząc niezręcznego akapitu, w którym napisała, że nadal „każdego dnia bez wyjątku” myśli o Danielu. Pamiętam, że uznałam to wtedy za coś oczywistego, o czym nie warto wspominać. Pomyślałam również, że takie zapewnienia prawdopodobnie świadczą o tym, iż zaczęła się z kimś spotykać.

Moje pytanie nie zbija jej z tropu.

– Właściwie to jestem rozwiedziona. Ale byliśmy razem całkiem długo... prawie dziesięć lat.

– Bardzo mi przykro – mówi Meredith i spuszcza głowę.

Przynajmniej nie umarł, myślę.

– Dziękuję – odpowiada Sophie. – Było ciężko, ale teraz jestem w dobrym momencie życia.

Wyobrażam sobie, jak wypowiada te same słowa do byłego męża, mając na myśli Daniela, i to, jak łatwo radzi sobie z nieszczęściem. Znowu ogarnia mnie irracjonalna fala niechęci.

– Masz dzieci? – pyta Meredith.

– Owszem – odpowiada Sophie z uśmiechem. – Siedmioletniego syna. Calvina.

– Chyba widziałam jego zdjęcia na twoim Facebooku.

Sophie kiwa głową.

– Tak, to on.

– Ładne imię – stwierdza Meredith, a ja bezskutecznie usiłuję sobie wyobrazić, że Daniel mógłby nazwać tak swoje dziecko.

Szczerze mówiąc, w ogóle już nie jestem w stanie wyobrazić sobie Daniela z Sophie. Nawet gdy – co nie jest łatwe – próbuję postarzyć go w myślach, po prostu nie widzę go w towarzystwie kobiety, która stoi teraz przede mną.

– Dzięki. Jest kochany. – Sophie ożywia się jak typowa matka, gdy rozmowa schodzi na jej pociechy. – A wy macie dzieci?

– Ja mam córkę, Harper. Ma cztery lata – odpowiada Meredith, a po jej twarzy przemyka wyraz dumy i radości.

– Cztery lata, cudowny wiek – mówi Sophie.

Meredith kiwa głową, a potem dodaje:

– Josie też planuje dziecko...

Spoglądam na nią zaskoczona, a Sophie woła:

– Ojej! Jesteś w ciąży?

– Nie – odpowiadam. – Zamierzam poddać się sztucznemu zapłodnieniu.

Gospodyni przekrzywia głowę, obdarzając mnie spojrzeniem, w którym lśni wyraźny szacunek.

– To wspaniale. Gratuluję.

– Dzięki – odpowiadam. – Już nie mogę się doczekać.

– W pełni to rozumiem – rzuca.

Pograżamy się w ożywionej rozmowie na temat ciąży, porodów i macierzyństwa, a ja przez cały czas się zastanawiam, kiedy jedna z nas wspomni wreszcie o Danielu.

Prawie godzinę później siadamy w przytulnym narożnym boksie w Cafe Luxembourg, tłoczonym bistro, gdzie – wszystko na to wskazuje – Sophie jest stałą bywalczynią. Zamawia butelkę wina, które zdecydowanie ułatwia nam rozmowę. Kiedy na stół wjeżdżają przystawki, a żadna z nas nadal nie wypowiedziała imienia Daniela, uznaję, że nie mogę dłużej czekać. Rozważam właśnie, jak zacząć, gdy Meredith nieświadomie mi pomaga, komplementując wybrane przez Sophie wino.

– Cieszę się, że ci smakuje – odpowiada Sophie. – Właściwie się na tym nie znam, ale miałam kiedyś okazję odwiedzić tę konkretną winnicę.

– Nie znasz się na winie? Dziwne... Daniel zawsze opowiadał o tym, jaka jesteś światowa – mówię.

Sophie się uśmiecha.

– Zdaje mi się, że zwiódł go mój akcent. Kiedy poznałam Daniela, wciąż byłam dość zielona.

– Akurat – rzucam, czując dziwną radość, że wreszcie wypowiedziała jego imię.

– Ależ tak – upiera się Sophie.

Przewracam oczami i parskam śmiechem, ale z sympatią.

– Daj spokój, Sophie. Studiowałaś medycynę na Yale... a przedtem chyba byłaś w Oksfordzie?

I jeszcze wcześniej w jakiejś ekskluzywnej szkole z internatem?

– Rzeczywiście – potwierdza, popychając kawałek marchewki widelcem po talerzu. – Ale tylko się tam uczyłam, nie mieszkałam w internacie.

– Ach – uśmiecham się. – To wszystko zmienia.

Sophie też parska śmiechem, ale potem nagle poważnieje.

– Właściwie dorastałam w domu podobnym do waszego. Wśród wygód, ale bez luksusu. – Po chwili wahania dodaje: – Uwielbiałam wasz dom. Atlanta to takie piękne miasto. Nowoczesne, a jednocześnie mnóstwo tam zieleni... Miałyście naprawdę idylliczne życie. – Urywa gwałtownie, speszona. – To znaczy tak myślałam, przyjeżdżając w odwiedziny... z Danielem...

Milknie, czerwona jak burak, i wbija wzrok w talerz. Wiem, że miała na myśli okres poprzedzający dzień, w którym musiała przyjechać na pogrzeb. Robi mi się jej żal i dotykam jej ramienia.

– Wiemy, co miałaś na myśli – zapewniam ją, także w imieniu Meredith, i po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, jak to wyglądało z jej perspektywy.

– Gdzie byłaś, kiedy się dowiedziałaś? – pytam i upijam duży łyk wina.

Sophie kilka razy oddycha miarowo i mówi:

– Jechałyśmy z babcią do Royal Albert Hall, na koncert świąteczny. Taka nasza mała rodzinna tradycja... – Przygryza wargę, zapatrzona przed siebie, nagle nieobecna. – Zadzwoiła moja komórka. Zobaczyłam imię Daniela, bardzo czekałam na jego telefon. Cały dzień opowiadałam babci, jaki jest wspaniały, i od rana próbowałam się z nim skontaktować. Ale oczywiście to nie był Daniel. Dzwonił jego przyjaciel Nolan.

Nie odrywając od niej wzroku, skinieniem podbródka wskazuję na siostrę.

– Meredith wyszła za Nolana.

Sophie spogląda na mnie, zaskoczona.

– Naprawdę?

– Mama ci o tym nie pisała? – pytam. Mam ochotę przyłapać ją na tym, że zapomniała.

– Chyba rzeczywiście – przyznaje Sophie i przenosi wzrok na Meredith. – Jak miło. Dla całej waszej rodziny.

Meredith sztywnieje, a jej spojrzenie staje się twarde i pozbawione wyrazu.

– Tak. Wzięliśmy ślub i wprowadziliśmy się do mojego rodzinnego domu.

– To piękny dom – przyznaje Sophie. – W ogóle uwielbiam Atlantę.

– Zamieszkałabyś tam? – pytam. – Gdybyś wyszła za Daniela?

Sophie mruga powiekami. Otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

– Nie wiem – mówi niepewnie.

– Myślisz, że byś za niego wyszła? – drązę.

Zapada trudna do zniesienia cisza, ale nie mam zamiaru odezwać się pierwsza, nie mam zamiaru jej odpuścić. Z ulgą stwierdzam, że Meredith też nie.

– Josie – mówi wreszcie Sophie. Na jej twarzy maluje się poczucie winy. – Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Było tyle czynników...

– Na przykład?

– Na przykład rezydentura. Nie wiadomo, czy udałoby się nam odbyć ją w tym samym miejscu. Potem egzaminy specjalizacyjne... Byliśmy wtedy młodzi, to były trudne lata.

– Ale kochałaś go? – pytam, bo przecież jest tylko jeden czynnik, który powinien mieć znaczenie.

– Kochałam, ale... sama nie wiem...

Ta odpowiedź oraz towarzyszący jej wyraz niepewności potwierdzają moje podejrzenia. Choć doceniam szczerść Sophie, nie mogę uwolnić się od poczucia krzywdy wyrządzonej mojemu bratu. Niemal mam ochotę krzyknąć: „Jak śmiesz mówić coś innego niż to, że Daniel był miłością twojego życia, najlepszym człowiekiem, jakiego znałaś, i że nigdy nie pogodziłaś się z jego śmiercią?”.

Zerkam na Meredith i natychmiast dostrzegam, że czuje to samo, co w pewnym sensie podnosi mnie na duchu. Przychodzi mi do głowy, że choć bardzo się różnimy pod względem zachowania i podejmowanych decyzji, to nasze najbardziej podstawowe, odruchowe reakcje na najważniejsze zdarzenia są zadziwiająco podobne. W takich chwilach wspaniale jest mieć siostrę.

Meredith chrząka, a następnie podejmuje rolę przesłuchującej, najwidoczniej postanowiwszy porzucić fasadę uprzejmości.

– Tego wieczoru, gdy wróciłaś do Londynu... tuż przed wypadkiem... Daniel rozmawiał o tobie z mamą. Wspominała ci o tym?

Sophie potrząsa głową i znów odpowiada zupełnie nie tak, jak powinna:

– Może. Nie jestem pewna.

Moja siostra unosi podbródek i mocnym, stanowczym głosem mówi:

– Powiem ci, o czym rozmawiali. Daniel twierdził, że jesteś najbardziej niezwykłą osobą, jaką w życiu spotkał, i chce się z tobą ożenić, z wielu powodów, ale między innymi dlatego, że będziesz fantastyczną matką.

– Ojej. To niesamowicie miłe – wzdycha Sophie, nareszcie przejęta.

– Tak – potwierdza Meredith. – Sądzę, że właśnie dlatego wciąż jesteś dla mamy kimś ważnym. Bo byłaś ważna dla Daniela... – Głos jej się załamuje.

– Po prostu chcemy wiedzieć, czy naprawdę go kochałaś – mówię, by dać Sophie jeszcze jedną szansę. – A może dla ciebie to był tylko przelotny romans?

Sophie drży, otula się ciasno kaszmirowym szalem i po długim namyśle odpowiada:

– Kochałam go. Tylko że trudno... trudno mi to sobie dobrze przypomnieć. Tyle się od tego czasu wydarzyło...

– Dla wszystkich oprócz Daniela – wtrącam, pragnąc ją zawstydzić.

Chyba mi się udaje, bo kiwa głową i znów poprawia szal. W głębi ducha wiem, że jestem niesprawiedliwa. To nie jej wina, że Daniel zginął, a ona żyje. Wyraźnie stara się, jak może. Niestety, jej starania nie wystarczą.

– Czy twój mąż był podobny do Daniela? – pytam.

Nie wydaje mi się to zbyt brutalne, biorąc pod uwagę, że są po rozwodzie. Bez trudu mogłaby wykazać wyższość naszego brata nad tamtym człowiekiem.

– Pod pewnymi względami – mówi. – Ale właściwie nie bardzo.

– Jest Amerykaninem? Lekarzem? – dopytuje Meredith.

– Tak, Amerykaninem i lekarzem. Ale nie chirurgiem.

– A kim?

– Dermatologiem. Rzeczywiście, potwierdzają się tu wszystkie stereotypy. Mój mąż jest o wiele bardziej beztroski... towarzyski... Za to Daniel przewyższał go intelektem.

Założę się, że tak, myślę, kiwając głową.

Sophie wzrusza ramionami i kończy:

– Nie wiem... Bardzo się od siebie różnią.

– Czy był zazdrosny o Daniela? – Wypowiedziawszy to pytanie, natychmiast uświadamiam sobie, jakie jest niedorzeczne. – To znaczy, czy był zazdrosny o to, co was łączyło?

– Nie. Todd nie myśli w ten sposób. Właściwie nigdy nie był zazdrosny... Nie jest szczególnie wrażliwy. Chyba właśnie dlatego nam nie wyszło. – Śmieje się nerwowo. – Gorzej było z moim poprzednim chłopakiem.

– Był zazdrosny o Daniela?

– Tak.

Nareszcie zadowolająca odpowiedź.

– Czy teraz się z kimś spotykasz? – pyta Meredith.

Biorę ostatni kęs filetu z polędwicy, tylko umiarkowanie zaciekawiona. Z jakiegoś powodu jestem niemal pewna, że Sophie powie „nie”. Ale kiedy na nią spoglądam, nagle ożywa, nawet bardziej niż wtedy, gdy opowiadała o Calvinie. Tak, ma kogoś.

– On jest lekarzem? – pyta Meredith.

– Ona – poprawia ją Sophie. – Nie, jest pisarką.

Z zapałem wyjaśnia, jak się poznały – na obozie jogi w Arizonie – ale ja już jej nie słucham. Wymieniamy z Meredith przelotne spojrzenia i wiem, że czujemy to samo. Dla nas wieczór się skończył. Mało nas obchodzi uczucie Sophie do kogoś, kto nie jest naszym bratem, nieważne czy to mężczyzna, czy kobieta.

Meredith wykorzystuje kolejną chwilę milczenia, żeby odnaleźć wzrokiem kelnerkę i gestem poprosić o rachunek. Potem osłania usta dłonią w sztucznym ziewnięciu.

– Ależ ze mnie gaduła – uśmiecha się Sophie. – Wybaczcie.

– Nie szkodzi – odpowiada Meredith. – Bardzo się cieszymy twoim szczęściem.

– Oczywiście, że tak – potwierdzam. – Bardzo.

– Ale robi się późno, a Josie jutro rano ma samolot – zmyśla Mere.

– Skoro świt – dodaję, spoglądając siostrze w oczy. Chyba nigdy wcześniej tak jej nie kochałam.

ROZDZIAŁ 28

Meredith

– Tego się nie spodziewałam – mówię, gdy docieramy do domu.

Jazda taksówką upłynęła nam właściwie w milczeniu. Teraz ostrożnie zdejmuję kozaki i wieszam płaszcz na haczyku, postanawiając nie zwracać siostrze uwagi na buty. Może w nich nawet spać, jeżeli ma ochotę.

– Ja też nie. To znaczy, przypuszczałam, że zapomniała o Danielu, ale... cholera. – Z ponurą miną opada na sofę. – Zachowywała się tak, jakby nic dla niej nie znaczył.

– Niekoniecznie – protestuję, myjąc ręce nad kuchennym zlewem. – Możliwe, że naprawdę go kochała, po prostu nie była w to tak bardzo zaangażowana jak on.

– Może. Ale czułaś to? Bo ja nie. Do kolacji nawet nie wypowiedziała jego imienia. Odniosłam wrażenie, że zapomniała o nim już po kilku miesiącach od wypadku.

– Pamiętaj, że opowiedziała nam o wszystkim w dużym skrócie. No i wspomniała, że jeden z jej chłopaków był zazdrosny o Daniela. Kto wie, może przez lata miała złamane serce?

– Jeśli tak, miło byłoby to usłyszeć – stwierdza Josie.

Kiwam głową, myśląc, jakie to przewrotne: mnie też byłoby miło usłyszeć kilka rzeczy od siostry. Miło byłoby porozmawiać o naszych uczuciach. Odwiedzić razem cmentarz. Zauważyć jakoś rocznice urodzin Daniela, a także bolesne rocznice jego śmierci.

Jednak uciekam się do bardziej konstruktywnego spostrzeżenia, które wynika z moich własnych doświadczeń:

– Nie da się w pełni zrozumieć czyjegoś związku. Wydawali się razem tacy szczęśliwi... Może na tym powinniśmy się skupić. Na tym, że Daniel zginął szczęśliwy.

– Złamałaby mu serce – mówi Josie.

– Pewnie tak – przyznaję.

Josie wzdycha, zasepiona.

– Naprawdę mówiłaś mamie, że spotkamy się z Sophie?

Zaprzeczam.

– Wiedziałam. Powinniśmy jej powiedzieć?

Wzruszam ramionami. Sama po wyjściu z restauracji już kilka razy zadałam sobie to pytanie.

– Może, ale bez szczegółów.

Josie kiwa głową.

– Zdenerwowałyby się jeszcze bardziej niż my.

– Na pewno... Sophie to dla niej symbol. A w każdym razie pocieszenie... Zawsze wszystkim opowiada o tamtej wizycie i o rozmowie z Danielem przy kuchennym stole. Cieszy ją myśl, że był szczęśliwy i zakochany, że doświadczył tej słodczy...

– Nawet jeśli kochał Sophie bardziej niż ona jego?

– Tak. – Moje myśli dryfują ku bratu i zastanawiam się, czy nie lepiej być tym, które bardziej kocha. – Masz ochotę na herbatę? Albo kawę bez kofeiny?

Josie kręci głową.

– Nie. Ale napiłabym się burbona... Jest tu jakiś alkohol?

– Masz szczęście – odpowiadam, stając na kuchennej drabince i sięgając do barku. Wyciągam butelkę whisky i szklankę z grubym denkiem. Po chwili namysłu wydaję drugą dla siebie. Nalewam do szklanek po dwie miarki trunku i dorzucam kostki lodu z zamrażarki.

– Boże, jakie to przygnębiające – mówię. Podchodzę do sofy, wręczam siostrze drinka i siadam obok niej. – Co my tu w ogóle robimy?

– Ty zrobiłaś sobie przerwę od pracy – rzuca Josie z przekąsem. – Nie pamiętasz?

– Tak, tak – rzucam. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Spójrz na nas. Minęło piętnaście lat... a my, nieszczęśliwe, mamy komuś innemu za złe jego szczęście. Może powinniśmy dać sobie spokój i zająć się własnym życiem?

Josie zrzuca buty, byle jak ciskając je pod stolik kawowy, i upija spory łyk whisky. Krzywi się, odstawia szklankę i kiwa głową.

– Wiem, wiem. Powinniśmy na pewno... To właśnie miałam na myśli, gdy mówiłam, że wszystkie nasze problemy łączą się z Danielem. Chyba nigdy nie pogodziłyśmy się z jego stratą... A Sophie się udało.

Kiwam głową.

– Racja. Ale nie można porównywać krótkiego romansu, choćby intensywnego, do więzi między rodzeństwem.

– To prawda. – Jej twarz zmienia się w wyrazie głębokiego smutku. – Nie można.

Mija długa chwila milczenia, a potem Josie wypowiada moje imię i spogląda na mnie, opierając się o poręcz sofy.

– Meredith?

– Tak?

– Muszę ci o czymś powiedzieć...

Marszczy brwi i wpatruje się we własne splecione na kolanach dłonie.

– Dobrze – mówię i sadowię się na kanapie bokiem, przodem do siostry.

– Właśnie po to przyjechałam... To coś związanego z Danielem – zaczyna, zerkając na mnie z niepokojem.

Nagle robi mi się zimno. Sięgam po leżący na oparciu koc i okrywam nim nogi.

– O co chodzi?

Duże niebieskie oczy Josie zachodzą łzami, dolna warga drży. Przypomina mi się, jak w dzieciństwie płakała na zawołanie tylko po to, żeby wpędzić mnie w kłopoty. Jednak tym razem nie udaje. Naprawdę zbiera jej się na płacz, a ja czuję nagłą potrzebę, by ją chronić, i biorę ją za rękę. Przez dobrą minutę oddycha miarowo, ściskając moje dłonie i patrząc mi w oczy. A potem otwiera usta i zaczyna opowiadać. O wieczorze, kiedy zginął nasz brat. O tym, jak się upiła w Five Paces. O tym, jak ktoś zadzwonił po Daniela, prosząc, żeby zabrał ją do domu. Opowieść ma więcej szczegółów, ale trudno mi za wszystkim nadążyć.

– Nie. – Puszczam w końcu jej rękę i potrząsam głową. – To nie było tak. Daniel pojechał po hamburgera. Tak powiedział mamie.

– Skłamał. Chciał mnie kryć. – Twarz Josie wykrzywia się w dzielnej, ale bezskutecznej próbie powstrzymania szlochu. Gdy znów zaczyna mówić, łzy płyną jej już po policzkach. – Pojechał, żeby mnie stamtąd zabrać.

– Ale to tylko teoria – upieram się, a serce łomocze mi w piersi. – Prawda? Bo przecież skąd możesz wiedzieć? Zginął, zanim dotarł na miejsce... Możliwe, że jednak pojechał na hamburgera.

Josie nie odpowiada. Jest całkowicie nieruchoma, nie ociera nawet łez.

– Josie? – ponagliam ją. – Nie wiesz tego na pewno, prawda?

– Wiem – szepcze. – Tak się składa, że wiem.

– Skąd?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Czemu nie? – niecierpliwie się, czując wzbierający gniew.

– Bo obiecałam...

Zrzucam koc, wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem koło stolika.

– Jak to obiecałaś? Najpierw dostaję w twarz czymś takim, a potem nie mogę się dowiedzieć, skąd to wiesz? Cholera jasna, urządzasz sobie zabawy w dziennikarkę śledczą, czy co?

Josie kryje twarz w dłoniach i stłumionym głosem powtarza, że nie może, że obiecała.

– On był naszym bratem! – wołam i natychmiast żałuję, że użyłam czasu przeszłego, bo przecież Daniel jest i będzie naszym bratem, już na zawsze. – Zdradzasz mi najważniejsze szczegóły tej nocy, której zginął, i martwisz się obietnicą złożoną nie wiadomo komu? Kto to był? Shawna?

– Nie – szlocha Josie. – Nie Shawna.

– To kto?

Potrząsa głową, nieszczęśliwa, wystraszona, zrozpaczona. I nagle wiem, kogo próbuje chronić.

– Nolan – szepczę. Serce wali mi jak szalone i kręci mi się w głowie. – To Nolan do niego zadzwonił.

To stwierdzenie, nie pytanie, i Josie nie może zaprzeczyć.

– Zatem – mówię chłodno i spokojnie, choć w środku wszystko mi się kotłuje – wychodzi na to, że moja siostra... i mój mąż... oszukiwali mnie przez piętnaście lat!?

– Nie byłam pewna – tłumaczy Josie, ocierając łzy. – Aż do zeszłego weekendu.

– Nie wierzę ci. Zresztą nawet jeśli ty nie byłaś, to Nolan o wszystkim wiedział. Przecież pamiętał, do kogo dzwonił?

– Proszę, nie mów mu, że ci powiedziałam. On chciał to zrobić sam...

– Gównu mnie to obchodzi. – Niedowierzenie przeradza się w gniew i wlewam w swój głos tyle jadu, ile tylko jestem w stanie. – Wy też mnie gównu obchodzicie.

– Meredith – jęczy Josie. – Proszę cię...

– To się dopiero nazywa zdrada – mówię.

Josie zaczyna zawodzić i błagać. Jej szlochy, rżenie, lśniąca od łez i smarków twarz tylko wzmagają moją wściekłość. Łapię jeden z jej botków i z całej siły rzucam przed siebie. Trafiam w ścianę, na której zostaje czarny ślad obcasa.

– Ile razy mam ci, cholera jasna, powtarzać, żebyś nie łąziła po domu w butach?

– Przepraszam – łka Josie. – Przepraszam, przepraszam.

– Za to, że chodzisz w butach? Czy za to, że mi nie powiedziałaś, że Daniel zginął przez was?

– O Boże, nie mów tak – błaga Josie ze zgrozą w oczach i drżącą dolną wargą. – Proszę, nie mów tak.

– Cóż – stwierdzam. – Każdy kij ma dwa końce. Przynajmniej będzie mi teraz trochę łatwiej rozwiązać się z Nolanem.

– Meredith, przestań... Nie możesz... Przecież się kochacie.

Josie zaczyna bełkotać coś o tym, jak ta sprawa niszczyła wszystkie jej związki. O tym, że od wielu lat próbowała się ukarać. Coś o Willu i ich zerwaniu. Coś o Gabie.

Przerywam jej:

– Znów to samo. Dbasz tylko o siebie. Liczy się tylko to, jak śmierć Daniela wpłynęła na ciebie i twoje życie.

– Nie – protestuje. – Po prostu nie chcę, żeby to wpłynęło również na twoje małżeństwo.

– Za późno – mówię.

– Tak mi przykro. I jemu też. Potrafisz nam wybaczyć?

– O wybaczeniu pogadaj z Danielem. Pogadaj o tym z Bogiem.

– Gadałam – odpowiada.

Zgrabny fortel. Dobrze wiem, że jest ateistką.

– A co z rodzicami? – pytam. – Wiedzą?

Josie kręci głową.

– Myślisz, że ci wybaczą? – pytam. – Myślisz, że mamie spodoba się ten niespodziewany zwrot akcji?

– Nie wiem – odpowiada jęklwym głosem, z twarzą w czerwonych plamach i w smugach. – Mam nadzieję, że się na to zdobędą. Oboje.

– Możliwe – rzucam drżącym głosem, powstrzymując łzy. – Ale ja ci nigdy nie wybaczę, Josie. Nie wybaczę ci, póki żyję.

ROZDZIAŁ 29

Josie

Jeszcze długo siedzę na sofie Ellen. Piję whisky i walczę z zawrotami głowy, a w myślach układam słowa przeprosin. Wiem, że nie skłonię Meredith do zmiany zdania na temat tego, co zrobiłam – i tego, czego nie zrobiłam – przez tyle lat. Uzna mnie tylko za jeszcze większą egoistkę. Przychodzi mi na myśl, że może ma rację, że cała ta wyprawa miała na celu wyłącznie poprawę mojego samopoczucia. Nagle jednak wzbiera we mnie gniew, bo przypominam sobie, że w przypadku Meredith działa swoisty paragraf dwudziesty drugi: cokolwiek zrobię i tak skończy się to dla mnie źle.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Nolana, żeby go ostrzec, ale obawiam się, że to tylko pogorszy całą sytuację: Meredith uzna, że spiskujemy za jej plecami. Mam bowiem wrażenie, że mojej siostrze bardziej przeszkadza fakt, że jej nie powiedzieliśmy, niż to, co zdarzyło się tamtego wieczoru. Próbuję sobie wyobrazić, co bym poczuła, dowiedziawszy się, że ona i Gabe mają przede mną jakąś wielką wspólną tajemnicę. Bolałoby, na pewno, a przecież ja i Gabe nie jesteśmy nawet małżeństwem.

A jeśli ukryliby coś, żeby mnie chronić? Czy w takim przypadku bym ich rozgrzeszyła? Mówię sobie: tak, i przez chwilę mam ochotę obudzić Meredith, żeby jej to oznajmić. W końcu to ona sugerowała, byśmy nie dzieliły się z mamą szczegółami spotkania z Sophie, ponieważ uznała, że mamie byłoby przykro. Czy nie tak postępują ludzie, gdy kogoś kochają? Próbuję wzbudzić w sobie słuszne oburzenie, ale bezskutecznie. W głębi ducha wiem, że istnieje różnica między zatajeniem naszego spotkania z Sophie a kłamstwem, choćby nie wprost, na temat wieczoru, kiedy zginął Daniel. Nie sposób zaprzeczyć, że to ja popełniłam błąd.

W pewnym momencie zapadam w sen, a kiedy się budzę, na zewnątrz wciąż panuje ciemność. Minęła czwarta. Postanawiam, że muszę wyjechać. Nie zdołam rankiem stanąć oko w oko z siostrą. Wślizguję się więc do pogrążonej w mroku sypialni Ellen, gdzie Meredith cicho pochrapuje, zbieram swoje rzeczy i wciskam je byle jak do walizki. Odwróciwszy się, przypominam sobie, że przywiozłam Meredith prezent. Przyświecając sobie latarką w telefonie, przekopuję torbę, aż znajduję drugiego Królisia. Ma lśniące oczka i puszyste, nowiutkie futerko. Kładę zabawkę obok jej poduszki i szepczę słowa pożegnania. Coś mi mówi, że to starcie różni się od wszystkich poprzednich. Choć mam nadzieję, że się mylę, podejrzewam, że mogła to być nasza ostatnia kłótnia.

Kilka minut później mknę taksówką w stronę LaGuardii. Na ulicach nie ma ruchu i wyjątkowo

szybko docieramy na miejsce. Płacę taksówkarzowi i wchodzę do opustoszałej hali odlotów. Uprzejma kobieta przy stanowisku linii lotniczych Delta pociesza mnie, że w samolocie o szóstej na pewno zostały wolne miejsca, i wpisuje mnie na listę rezerwową.

– Powodzenia – mówi, patrząc na mnie ze współczuciem. Pewnie zakłada, że ktoś, kto zjawia się na lotnisku tak długo przed planowanym lotem znalazł się w mało sprzyjających okolicznościach.

Przechodzę przez kontrolę bagażu i kieruję się do łazienki, gdzie szczotkuję zęby i ochlapuję wodą twarz. Obliczam, że do wejścia na pokład pierwszego lotu do Atlanty została mi ponad godzina, więc podchodzę do bramki i zwijam się w kłębek w kącie sali. Zanim zmorzy mnie sen, przychodzi mi do głowy myśl, że Meredith uznałaby siedzenie na podłodze lotniska, nie mówiąc już o spaniu, za obrzydliwość.

Budzę się z pijackim bólem głowy, piekącymi oczami i zdrętwiałą szyją, ale wkrótce ogarnia mnie ulga, gdy pracownica lotniska wyczytuje moje nazwisko i wręcza mi ostatni wolny bilet. Postanawiam uznać to za dobry znak, który zwiastuje, że od teraz wszystko zacznie się układać.

ROZDZIAŁ 30

Meredith

Mówią, że człowiek nie powinien chodzić spać w złości, ale gdy kłóciłyśmy się z Josie, nasza mama zarządzała zawsze coś przeciwnego. Odsyłała nas do pokoi, nakazując „przespać się z problemem”, ponieważ „rano wszystko będzie wyglądało inaczej”. Rada ta działała, ponieważ po przebudzeniu udawałyśmy zazwyczaj, że nic się nie wydarzyło (oczywiście do następnego razu). Zdarzało się nawet, że śmiałyśmy się z tego i łącząc siły, orzekałyśmy zgodnie, że mama przesadza.

Gdy budzę się około wpół do piątej rano i odkrywam usadzonego na skraju poduszki pluszowego królika, nie czuję się ani odrobinę lepiej. Przeciwnie, oprócz wściekłości i żalu targają mną wyrzuty sumienia oraz niepokój. Jestem pewna, że nie zastanę siostry w salonie. Rzeczywiście, kiedy wstaję i rozglądam się po mieszkaniu, odkrywam, że zostały po niej tylko butelka z szamponem do włosów stojąca na brzegu wanny oraz wystająca spod łóżka pasiasta skarpetka. Szukam liściku, ale nic nie znajduję. Podnoszę królika i zaczynam panikować, zastanawiając się, dokąd Josie poszła w środku nocy i czy nie leży gdzieś w rowie. I choć nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłaby zrobić sobie krzywdę, przez głowę przelatuje mi myśl o siostrze Lewisa.

Mimo postanowienia, by nigdy więcej się do Josie nie odezwać, wybieram jej numer. Na dźwięk poczty głosowej rozłączam się, nie zostawiwszy wiadomości, i wracam do łóżka, wciąż ściskając w dłoni pluszowego królika. Zasypiam. Budzę się po dwóch godzinach, złana potem, dławiąc się szlochem, ze śladami snu o Danielu pod powiekami – pierwszym od wielu lat. Siedzieliśmy na peronie metra, śmiejąc się i rozmawiając, gdy nagle Daniel zniknął. Puff! Rozpłynął się w powietrzu. Przez wiele dni rodzice, Josie i ja rozwieszaliśmy ogłoszenia, obklejając jego twarzą całe miasto, jak ludzie szukający bliskich po jedenastym wrześniu. Ale Daniel się nie znalazł. Oczywiście nie trzeba eksperta, by rozszyfrować ten koszmar. Zdaję sobie sprawę, że złożyły się nań wyjazd Josie i śmierć Daniela oraz ponura myśl o siostrze Lewisa, która rzuciła się w objęcia śmierci na podziemnych torach. Wiem, że to był tylko sen, a jednak zaczynam się martwić, by nie okazał się czymś w rodzaju złowieszczej zapowiedzi, i zadaję sobie pytanie, co bym zrobiła, gdybym już nigdy więcej miała nie ujrzeć Josie. Opowiedziałabym matce o naszej kłótni, czy historia by się powtórzyła i trzymałabym to przed nią w tajemnicy?

Wstaję i zaczynam nerwowo przechadzać się po mieszkaniu, szukając nieistniejących wskazówek. Potem jeszcze raz dzwonię do Josie. Znowu włącza się poczta. Wybieram numer linii lotniczych Delta

w nadziei, że złapała po prostu wcześniejszy lot, ale w informacji nie chcą mi nic powiedzieć. Rozłączam się i ponownie wybieram numer, tym razem udając Josie, ale bardzo szybko zaczynam się płatać i zostaję zdemaskowana oraz surowo pouczona na temat ochrony danych osobowych. Wpadam w coraz większą panikę i doprowadzona do ostateczności postanawiam zwrócić się do Gabe'a.

– Cześć – mówię, kiedy odbiera, przygotowana na najgorsze.

– Wszystko w porządku? – pyta Gabe.

Albo nie ma pojęcia, co się dzieje, albo jest w zмовie z moją siostrą: oba scenariusze są tak samo prawdopodobne.

Pytam, czy Josie się z nim kontaktowała, zdeterminowana, by nie dać się zgasić komuś, kogo zawsze traktowałam jak równego sobie przeciwnika.

– Nie – odpowiada Gabe. – Myślałem, że jesteście razem?

– Byłyśmy – potwierdzam, czując, jak pocą mi się dłonie. – Pokłóciłyśmy się. Josie wyjechała.

Uznałam, że złapała wcześniejszy samolot...

– Nic o tym nie wiem – rzuca oschle Gabe. – Nie odzywała się do mnie.

– Rozumiem. Czy możesz dać mi znać... kiedy się odezwie?

Zapada milczenie. Nie mijają trzy sekundy, gdy ogarnia mnie złość.

– Domyślam się, że nie – wybucham. – Dobra, jak sobie chcesz.

– Rany boskie, Mere, wyluzuj – mówi.

– Wyluzuj? – wrzeszczę w słuchawkę. – Gabe, ona znikła w środku nocy!

– Jest dorosła.

– Oczywiście. Swoją drogą, wyjawiała mi wczoraj swoją wielką tajemnicę – mówię, pewna, że Gabe wie o wszystkim.

Cisza.

– O wieczorze, kiedy zginął Daniel – dodaję.

– Rozumiem.

– Rozumiesz!? I to wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia na temat tego, jak moja siostra przyczyniła się do śmierci mojego brata?

– Mere, gadasz głupoty.

– Uważasz, że miała prawo trzymać to w sekrecie?

– Nie – stwierdza. – Cieszę się, że wreszcie ci powiedziała.

– Piętnaście lat za późno, nie sądzisz?

– Nie, moim zdaniem na takie rzeczy nigdy nie jest za późno – odpowiada świętoszkowatym, pełnym wyższości i nieznośnie opanowanym tonem. – Ale to tylko moje zdanie.

– Łatwo ci mówić – pryham. – Prawdopodobnie inaczej byś śpiewał, gdyby to twój brat zginął,

a twoja siostra ukrywała przed tobą szczegóły dotyczące jego śmierci.

– Może – przyznaje.

Przez moment zdaje mi się, że zwyciężyłam, ale wtedy on dodaje drwiąco.

– Swoją drogą, przede mną Josie nic nie ukrywała.

– Co to ma znaczyć? – krzyczę do słuchawki.

– Dokładnie to, co słyszysz... Opowiedziała mi o wszystkim już wiele lat temu. To mnie się zwierzyła. Nie tobie. Myślę, że nie bez powodu.

Gorączkowo szukam w głowie celnej riposty, tymczasem Gabe ciągnie:

– Może więc powinnaś zastanowić się nad sobą i przestać obwiniać o wszystko Josie.

– Świnia z ciebie, wiesz? – syczę, zaczerwieniona z wściekłości.

– Tak, tak – rzuca. – Ale przynajmniej Josie wie, że może mi zaufać. Czego nie da się powiedzieć o tobie.

Rozłączam się, drżącymi dłońmi ciskam telefon na podłogę, rzucam się na sofę i wybucham płaczem. Płacę tak samo jak po śmierci Daniela, choć rozpacz, która mną teraz owładnęła, jest inna, złożona z wielu warstw. W pewnym momencie kończą mi się łzy, ale zostaję na kanapie, pogrążona w rozważaniach o życiu i o tym, co doprowadziło mnie do tego punktu. Oczywiście myślę o wypadku Daniela i małżeństwie z Nolanem. I o tych wszystkich latach pomiędzy. O aktorstwie, studiach prawniczych, oczekiwaniach rodziców i domu, w którym mieszkam od urodzenia. Myślę o Josie oraz naszych pogmatwanych relacjach i dochodzę do wniosku, że może Gabe ma rację. Może to moja wina. Zdaniem Josie wszystko jest ze sobą powiązane i sprowadza się do tamtej grudniowej nocy, nasze decyzje, marzenia i błędy nierozzerwalnie się ze sobą wiążą. Zastanawiam się nad telefonem do Nolana, do matki, Ellen, Amy, nawet do ojca. Ale właściwie nie mam ochoty rozmawiać z żadnym z nich, z różnych powodów, i uderza mnie refleksja, że jeszcze nigdy nie czułam się tak samotna.

Nagle, w chwili największego przygnębienia i rozpacz, przychodzi mi na myśl jedyna na świecie osoba, którą kocham bezwarunkowo. Jedyna część tej tragicznej historii, która jest nieskazitelnie piękna, nieskalana żalem ani wątpliwościami.

– Jestem matką Harper – mówię głośno. Nagle ogarnia mnie spokój. Wstaję i zaczynam się pakować, nareszcie gotowa, by wrócić do domu.

ROZDZIAŁ 31

Josie

Mija kilka godzin. Po wylądowaniu w Atlancie odbieram bagaż i samochód. Jadę niemal pustą autostradą, a zatrzymawszy się przed domem, z ulgą dostrzegam, że na podjeździe nie ma auta Leslie.

– Hej! – wita mnie w progu Gabe, ubrany w flanelowe spodnie od piżamy i koszulkę. Wygląda na zadowolonego z mojego widoku, choć nie może się to równać z radością Revisa, który opiera łapy na moich ramionach i liże mnie po twarzy.

– Cześć, chłopaki – odpowiadam ze śmiechem, tuląc psa.

– Dzwoniłem do ciebie – mówi Gabe. Odbiera mi walizkę i wciąga ją do przedpokoju.

– Padł mi telefon – wyjaśniam. – Zostawiłam ładowarkę w Nowym Jorku...

– W takim razie możesz się z nią pożegnać. – Gabe krzyżuje ramiona na piersi. – Meredith nigdy ci jej nie odda.

Unoszę brwi.

– Mówiła ci o naszej kłótni? – pytam, myśląc, że właściwie trudno to nazwać kłótnią, to raczej jednostronne zerwanie stosunków.

– Dzwoniła rano. Szukała cię.

Wzdycham i wyjaśniam, że wyszłam, gdy spała, by złapać wcześniejszy samolot.

– Co mówiła? – pytam, siadając po turecku na podłodze. Revis sadowi się obok mnie, a Gabe zajmuje miejsce na obrotowym stołku kuchennym.

– Martwiła się – mówi.

Przewracam oczami.

– Akurat – mrużę pod nosem.

– Obiecałem, że dam jej znać, kiedy się zjawisz... więc chyba jedno z nas powinno to zrobić.

Wzruszam ramionami i odpowiadam, że jeśli chce, może do niej napisać. Meredith jasno dała mi do zrozumienia, że nie życzy sobie kontaktu ze mną.

– Na mnie też była niezłe wkurzona. Ale napiszę...

Gabe sięga po leżący na blacie telefon i zaczyna stukać w niego kciukiem.

– Co ona ma do ciebie? – pytam, drapiąc Revisa po głowie, szyi i brzuchu.

– Trochę jej nawrzucałem... – odpowiada Gabe, nie przerywając pisania. – Chciałem ją

zawstydzić.

Ożywiam się nieznacznie, podbudowana jego lojalnością.

– Ciekawe, jak się zawstydzą świętą Meredith?

– Zabiłem jej ćwieka – wyjaśnia Gabe. – Powiedziałem, że gdyby wiecznie cię nie krytykowała, może zwierzyłabyś się jej wiele lat temu.

– Co ona na to?

– Chyba dotarło...

– Spuściła z tonu?

– Może trochę. – Gabe odkłada telefon. – Poza tym na pewno dużo bardziej wściekła się na Nolana. Zakładam, że o nim też jej powiedziałaś?

– Tak.

Wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia, choć przecież nie mogłam postąpić inaczej.

– Będzie na ciebie zły?

Wzruszam ramionami. To doprawdy najmniejsze z naszych zmartwień.

– Mam nadzieję, że nie. Napiszę do niego... Żeby wiedział, czego się spodziewać. Na pewno zrozumie, może nawet mu ulży... W każdym razie dobrze, że jej powiedziałam.

– To prawda – przytakuje Gabe. – Jestem z ciebie dumny.

– Dzięki – wzdycham.

Opowiadam mu o naszym spotkaniu z Sophie, trzymając się suchych faktów (mówię, że wyszła za męża, urodziła syna, rozwiodła się, a teraz jest w związku z kobietą). Niczego nie pomijam ani nie ubarwiam, bo chcę zobaczyć jego autentyczną reakcję.

– Lepiej ci teraz? – pyta Gabe, wbrew moim oczekiwaniom.

Kręcę głową.

– Nie. Wręcz przeciwnie. Obie z Meredith spodziewaliśmy się, że Sophie nadal będzie w żałobie. Że będzie tęsknić za Danielem... W pewnym sensie miałyśmy chyba nadzieję zobaczyć zbolaną kobietę... Chciałyśmy usłyszeć, że to złamało jej życie. – Urywam i dodaję w myślach: tak jak nam.

Gabe patrzy na mnie przez chwilę i potrząsa głową.

– Nie, w to nie uwierzę. Chciałyście po prostu usłyszeć, ile on dla niej znaczył. Że wywarł na nią jakiś głęboki i trwały wpływ.

Tym razem ma rację, bo rzeczywiście to by nam wystarczyło.

– To prawda – wzdycham, po czym wstaję i siadam na stołku obok niego. – A zatem nie, nie jest mi lepiej. Czuję za to, że zamknęłam pewien rozdział.

– W stosunkach z Sophie?

– Tak, ale też z Meredith. Mam nadzieję, że zmieni zdanie. A jeśli nie...

– Zmieni. Zawsze zmienia.

– Tym razem może być inaczej. Ale tak czy siak... zrobiłam to, co musiałam. Wreszcie mogę zapomnieć i żyć dalej. Jestem gotowa na dziecko. Już teraz.

Gabe obraca się o dziewięćdziesiąt stopni. Robię to samo.

– Teraz, hm?

– Tak. – Kiwam głową i patrząc mu w oczy, czuję przypływ adrenaliny. – Teraz. Z tobą, Gabe. Chcę mieć dziecko właśnie z tobą.

– Coś podobnego?

Jego uśmiech jest ledwie dostrzegalny, ale oczy aż lśnią radością.

– Tak – potwierdzam, owładnięta przyjemnym poczuciem pewności. – O ile propozycja jest wciąż aktualna?

– Aktualna – uśmiecha się Gabe. – Coś mi się zdaje, że oboje zwariowaliśmy... ale jest aktualna.

– Wyobrażasz to sobie? – pytam.

Sama wreszcie naprawdę zaczynam widzieć to oczami duszy. Nie tylko macierzyństwo, o którym na różne sposoby marzyłam od czasów, gdy jako mała dziewczynka bawiłam się lalkami, ale związenie się z Gabe'em na stałe, a także ciemnowłose, brązowookie, genialne dziecko, które powstanie za sprawą jego genów.

– Tak się składa, że owszem – odpowiada bez wahania.

– Naprawdę?

Ze wzruszenia aż dławi mnie w gardle.

Gabe kiwa głową.

– Tak. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Josie. A nawet kimś więcej. Tak jak już mówiłem, jesteś moją rodziną.

– A ty moją – odwzajemniam się. – Ale musisz być pewny.

– Jestem pewny – oznajmiam. – Jestem pewny, że doprowadzisz mnie do szaleństwa. I że dziecko odbierze mi swobodę. Ale odkąd pierwszy raz o tym wspomniałaś, dużo myślałem, i jestem również pewny, na sto procent, że to najlepsze, co mógłbym zrobić ze swoim życiem. To dziecko będzie dla mnie wszystkim. Będzie wszystkim dla nas obojga.

Uśmiecham się szeroko i ściskam go z całej siły. Potem oznajmiam, że to koniec, nie może się już wycofać. Jutro z samego rana zadzwonię do doktor Lazarus.

*

– Jak to będzie właściwie wyglądać? – pyta Sydney następnego popołudnia.

Siedzimy na naszej ławeczce obok placu zabaw, pilnując dzieciaków podczas przerwy. Opowiedziałam jej właśnie, że za kilka dni mamy z Gabe'em umówioną wizytę u doktor Lazarus oraz

że zdecydowałam, by skorzystać z jego nasienia.

– Masz na myśli całą procedurę? – pytam.

– Tak. Będziesz musiała poddać się *in vitro*?

– Nie. Na razie nie. Mam lekko obniżoną rezerwę jajnikową, ale postanowiliśmy spróbować najpierw zwykłej inseminacji.

– Nie będziesz łykać leków?

– Nie. Wstrzykną mi tylko hormon HCG, żeby wywołać owulację.

– A potem?

– Tyle. Będziemy czekać – wzdycham, bo z każdą godziną mocniej dociera do mnie ciężar podjętej decyzji.

– Zatem nie zaangażujesz prawnika? Tak jak chciałaś zrobić z Pete’em?

– Nie.

Na dźwięk jego imienia czuję łaskotanie w żołądku. Dziś wieczorem mamy zjeść razem kolację. Odsuwam od siebie tę myśl i mówię:

– Pobiorą od Gabe’a próbkę nasienia. Potem wyselekcjonują plemniki tak, aby zmaksymalizować szansę zapłodnienia... I wszczepią mi je do macicy. To dziecinnie prosty zabieg. – Z uśmiechem klepię się po brzuchu. – Jak zwykle zajście w ciążę, tyle że bez użycia penisa.

– O, tak. Najzwyklejsze na świecie.

Sydney wybuchła śmiechem, tymczasem do naszej ławki podbiega Edie, wołając mnie żałośnie, tak samo jak mniej więcej dwa razy każdego tygodnia.

– Proszę pani! Proszę pani!

– Co się stało, skarbie? – pytam z markowanym niepokojem.

– Wesley mówi, że jestem głupia – woła dziewczynka, zalewając się łzami. – On jest taki niedobry...

Obejmuję ją ramieniem i oznajmiam to, co zauważyłam, obserwując ich przez kilka miesięcy:

– Kochanie, Wesley ci dokucza, bo cię lubi.

– Nieprawda, nie znosi mnie – odpowiada mała, a ja kątem oka dostrzegam Wesleya, który stoi obok drabinek i obserwuje nas z psotnym uśmiechem na twarzy.

– Zaufaj mi... naprawdę cię lubi.

Wyobrażam sobie, jak któregoś dnia, za kilkanaście lat, zaczynają się spotykać i opowiadają wszystkim, że poznali się w pierwszej klasie, w grupie panny Josie. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

– A do tego... wiesz co? – mówię tajemniczym, radosnym tonem.

– Co? – pyta Edie, ocierając łzy i spoglądając na mnie wielkimi, ufnymi oczami.

– Ja też cię lubię – szepczę jej do ucha. – I to jak!

Edie natychmiast się rozchmurza. Uśmiecha się do mnie szeroko i zmyka, znowu szczęśliwa.

– Pupilka pani wychowawczynie – rzuca Sydney, szturchając mnie łokciem.

– Masz mnie – przyznaję z uśmiechem. – Jest taka słodka... zupełnie jak jej mama.

– Szkoda, że tatuś się nie udał – zauważa Sydney.

Wzruszam ramionami. Jakie to cudowne, że tatuś Edie nic mnie już nie obchodzi.

– Czy ja wiem? – mówię. – Will nie jest zły. Tyle że to pozer. Cieszę się, że za niego nie wyszłam.

– O cholera. Naprawdę zrobiłaś postępy – stwierdza Syd.

– Chyba tak.

Przychodzi mi do głowy, jak bardzo zmieniło się moje życie od początku roku szkolnego, kiedy drżałam przed Edie, zżymałam się na Willa i pokładałam wszystkie nadzieje w jakimś mężczyźnie, którego mogłam nigdy nie spotkać.

*

Kilka godzin przed naszym spotkaniem w mojej ulubionej włoskiej knajpce Sotto Sotto Pete dzwoni z pytaniem, czy może po mnie przyjechać. Odpowiadam, że bardzo mi miło, ale nie ma sensu, żeby jechał aż do Buckhead, skoro mieszka w Inman Park, nieopodal restauracji.

– To może ja po ciebie wpadnę? – pytam.

Zaczyna protestować, zapewniając mnie, że lubi jeździć samochodem, ale go powstrzymuję:

– Kiedy do ciebie dotrze, że masz do czynienia z kobietą wyzwoloną?

Pete parska śmiechem.

– W porządku. Słuszna uwaga. Może umówimy się trochę wcześniej, na drinka?

– Jasne – odpowiadam. – Siódma?

– Doskonale. Mieszkam przy Druid Circle 87, tuż za Krog Street Market.

Zapisuję adres w notesie.

– Dobrze. Do zobaczenia.

– Nie mogę się doczekać – mówi Pete.

*

Kilka minut po siódmej staję na ganku urokliwego parterowego domku Pete'a i naciskam dzwonek. Drzwi otwierają się natychmiast i w progu zjawia się gospodarz, przystojniejszy niż kiedykolwiek.

– Cześć – rzucam z uśmiechem.

– Cześć. – Odwzajemnia uśmiech i przesuwają się na bok, przytrzymując drzwi. – Pięknie

wyglądasz.

– Dzięki – odpowiadam i wchodzę do środka.

Pete obejmuje mnie na powitanie i nie wiem, czy spryskał się wodą kolońską, czy to tylko mydło, ale zapach jest cudowny.

– Ładnie pachniesz – mówię. – I podoba mi się twoja fryzura.

– To sarkazm? – pyta, przeczesując włosy palcami, uroczo speszony. – Właśnie miałem pójść do fryzjera...

– Nie, naprawdę mi się podoba – zapewniam go. – Lubię u mężczyzn trochę dłuższe włosy.

– U mężczyzn, tak? – rzuca figlarnie Pete.

– U ciebie – precyzuję.

Uśmiecha się i dziękuje za komplement, a potem prowadzi mnie do kuchni, gdzie czeka niezbyt wymyślny półmisek z serem, krakersami i winogronami.

– Napijesz się czegoś? Kieliszek wina? Piwo?

– Piwo bardzo chętnie – odpowiadam.

Siadam przy małym, okrągłym stoliku. Patrzę, jak Pete wyciąga z lodówki dwie butelki. Otwiera je i przelewa zawartość do schłodzonych w zamrażarce kufli. Podaje mi jeden i siada obok mnie.

– Jak ci minął dzień? – zagaja.

Opowiadam mu pokrótce, co się zdarzyło, i pytam o to samo. Oznajmia, że dzień minął mu wspaniale, i opowiada budującą historię o jednym ze swoich ulubionych klientów, nastoletnim baseballiście, który odzyskuje sprawność po zerwaniu łąkotki. Nagle przychodzi mi do głowy, że nigdy nie widziałam Pete'a w złym nastroju.

– O czym chciałaś porozmawiać? – pyta wreszcie.

Spoglądam na niego, zmieszana, więc szybko dodaje:

– Kiedy byłaś w Nowym Jorku, wspomniałaś, że chcesz o czymś pogadać.

– Ach, tak – rzucam, próbując zyskać na czasie.

Tamta rozmowa przez telefon wydaje mi się niebywale odległa. Choć cząstka mnie pragnie wszystko mu wyznać, tu i teraz, bez ogródek, inna część ma po prostu ochotę wybrać się na kolację z człowiekiem, który mi się podoba.

– W zasadzie chodziło o kilka spraw... ale to może poczekać – mówię, zerkając na zegarek. – Nie powinniśmy już wychodzić?

– Jasne – odpowiada. – Jedziemy twoim samochodem?

– Tak – odpowiadam z uśmiechem.

– Może jeszcze otworzysz przede mną drzwi?

Wybucham śmiechem i zapewniam go, że tak, oczywiście.

Dwie godziny później, po sympatycznej, a zarazem romantycznej kolacji, parkuję przy krawężniku obok domu Pete'a.

– Dzięki za cudowny wieczór. I za kolację – mówię.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada. Przygryza wargę i zerka na mnie z powagą. – Wejdiesz na chwilę? Obiecuję, że nie zatrzymam cię długo. Wiem, że jutro musisz wstąpić.

Waham się, rozdarta. Choć bardzo chciałabym zakończyć ten wieczór w miłej atmosferze – i jeszcze trochę oddalić w czasie to, co nieuniknione – wiem, że to nie byłoby w porządku wobec Pete'a. Zasluguje na to, by usłyszeć prawdę. Ze ściśniętym żołądkiem kiwam więc głową i przyjmuję propozycję. Wsiadamy z auta. Stajemy w progu, Pete otwiera drzwi i nasze ramiona się stykają.

Wewnątrz natychmiast bierze mnie w objęcia, a ja nie umiem się oprzeć jego upajającemu, ciepłemu dotykowi. Serce bije mi z pożądania i niecierpliwości, gdy dotykamy się czołami, a potem policzkami i nosami. Wstrzymuję oddech. Jego usta muskają moje i Pete szeptem zaznacza, że to jest nasz pierwszy pocałunek, tamten na parkiecie się nie liczył. Lekko załamana myślę: pierwszy i ostatni. Cofam się i wypowiadam jego imię.

– Tak? – mówi, spoglądając mi w oczy.

– Możemy na chwilę usiąść? I porozmawiać?

Kiwa głową i prowadzi mnie do salonu pełnego pamiątek związanych z drużyną Packers oraz rodzinnych fotografii – wszyscy krewni Pete'a wyglądają na równie zadowolonych z życia i prostolinijnych jak on. Siadamy obok siebie na sofie. Pete bierze mnie za rękę.

– Chciałam z tobą pogadać – zaczynam. Serce łomocze mi szaleńczo, pełne sprzecznych emocji.

Czuję na sobie wzrok Pete'a. Oddycham głęboko i mówię, że nie wiem, od czego zacząć.

– Wszystko jedno – odpowiada. – Wyrzuć to z siebie.

Tak robię, a słowa wylewają się ze mnie potężną falą. Zaczynam od najtrudniejszego, od wieczoru, kiedy zginął mój brat, potem w przyspieszonym trybie przechodzę do spotkania z Sophie i kłótni z Meredith, następnie cofam się do chwili, gdy Will zerwał ze mną, zastawszy mnie w łóżku z Gabe'em. Pete słucha uważnie, zadając po drodze nieliczne pytania, głównie o chronologię zdarzeń. Wreszcie biorę głęboki wdech i mówię:

– Proszę bardzo. Oto, w dużym skrócie, ostatnie piętnaście lat mojego życia.

Bierze mnie za rękę i patrzy mi w oczy.

– Bardzo mi przykro, Josie.

– Dzięki. I dzięki, że wysłuchałeś... tych bzdetów.

Wybucham śmiechem, żeby się nie rozpłakać.

– To nie bzdety, to samo życie – odpowiada z naciskiem, puszcza moją rękę i mnie obejmuje. – Co

teraz? – pyta.

Kręcę głową.

– Nie wiem... Jedyne, czego jestem pewna, to że chcę otworzyć nowy rozdział. Zostać matką. Założyć własną rodzinę. Nie po to, żeby zrobić wszystko lepiej, ale może po to, żeby wyleczyć rany... – Wiem, że brzmi to samolubnie. Bo jest samolubne. – Chcę mieć dziecko.

Pete potakuje i zapewnia mnie, że rozumie.

– Jeszcze ci nie mówiłam, ale dostałam wyniki testów. Z moimi jajeczkami nie jest najlepiej jak na mój wiek... więc muszę to zrobić teraz. Natychmiast.

– Rozumiem – mówi i przełyka ślinę. – Czy... wybrałaś już dawcę?

– Tak – odpowiadam. Czuję nowy przypływ głębokiego smutku, lecz nie towarzyszy mu niepewność.

– No i? – Pete patrzy na mnie z nadzieją, od której niemal pęka mi serce.

Oddycham głęboko i zmuszam się, by powiedzieć mu wszystko, do końca:

– Postanowiłam, że chcę mieć dziecko z Gabe'em.

– Z Gabe'em? – powtarza, zaskoczony. – Zostaliście parą?

– Nie – zaprzeczam, potrząsając głową. – Nic z tych rzeczy. W takim sensie nigdy nią nie będziemy. Ale Gabe jest moim najlepszym przyjacielem i wiem, że zawsze mogę na niego liczyć. To bezpieczniejsze... i mniej skomplikowane.

– Mniej skomplikowane? Serio? – Pete marszczy brwi.

– Mniej skomplikowane, niż byłoby z tobą – uściślam, czując ukłucie wyrzutów sumienia. Mam nadzieję, że go nie zraniłam. Nie chcę, by pomyślał, że lekceważę jego uczucia, choć sama nie wiem, jakie one właściwie są.

– A twoja propozycja była zupełnie serio? – pytam.

– Oczywiście – oznajmia, patrząc mi prosto w oczy. – Przecież wiesz.

– Dziękuję ci, Pete. – Mrugam powiekami, żeby powstrzymać łzy. – Jesteś niesamowitym człowiekiem.

– Ty też, Josie – odpowiada szeptem.

Na kilka sekund zapada nieznośne milczenie, a potem stwierdzam, że powinnam już pójść. Pete kiwa głową, wstaje i odprowadza mnie do drzwi.

– Dobranoc, Josie – mówi w progu, obejmując mnie niezgrabnie.

– Dobranoc, Pete.

Nachylam się i całuję go w policzek, a w sercu trzepocze mi tęsknota za tym, co – być może – mogłam mieć.

ROZDZIAŁ 32

Meredith

Po długiej, pełnej emocji telefonicznej rozmowie z Amy w niedzielne popołudnie ustalamy, że powinnam spędzić jeszcze dzień albo dwa w Nowym Jorku. Może to moja ostatnia szansa, żeby rozważyć to wszystko w samotności i spokoju. Następne czterdzieści osiem godzin spędzam więc na rozmyślaniach, modlitwach, płaczu i odtwarzaniu w głowie wydarzeń ostatnich kilku dni, a także poprzedzających je piętnastu lat.

We wtorek po południu docieram do domu. Znajduję Nolana i Harper w niewyobrażalnie zabałaganionej kuchni: pieką ciasteczka i słuchają piosenki *Little Drummer Boy*. Są zwrócenii plecami do mnie i przez chwilę przyglądam im się niezauważona. Nolan podnosi córkę, pozwalając jej włączyć piekarnik – ta błoga domowa scenka rozgrywająca się w rytmie powtarzanego w refrenie „pa ram pam pam pam” tak mnie urzeka, że prawie zapominam, jak bardzo zazwyczaj drażnią mnie kolędy puszczane jeszcze przed Świętem Dziękczynienia, prawie zapominam o wszystkim oprócz tego, jak mocno kocham moje dziecko. Po chwili Nolan odstawia Harper na ziemię, oboje się odwracają i mnie dostrzegają, wyrywając z transu. Ku mojej olbrzymiej uldze Harper promienieje czystą radością.

– Mamo! – woła, podbiegając i rzucając mi się w objęcia.

– Harper – odpowiadam i tulę ją tak długo, jak długo mi na to pozwala.

W końcu wyslizguje się z mojego uścisku i wraca na swój stołeczek przy kuchennym blacie. Oznajmia, że pieką właśnie kruche ciasteczka z czerwono-zieloną posypką w ramach „sesji treningowej” (jedno z określeń Nolana) przed porcją, którą w przyszłym miesiącu upieką dla Świętego Mikołaja. Słucham i kiwam głową, chłonąc każde słówko, zastanawiając się, jak to możliwe, że w zaledwie półtora tygodnia aż tak wydorosłała. Przysięgam sobie w duchu, że nigdy więcej nie zostawię jej na tak długo. Twardo postanawiam, że będę uważniejsza, cierpliwsza i wdzięczniejsza za to, co dostałam od losu. Jednocześnie unikam wzroku Nolana i czuję, że on też unika mojego spojrzenia.

– Mamo, mamo, zgadnij co! – woła tymczasem Harper. To jej ulubiony wstęp.

– Słucham, kochanie.

Podchodzę do blatu i patrzę, jak niezdarnie miesza ciasto drewnianą łyżką: jej drobniutkie ramię nie jest jeszcze na tyle silne, by poradzić sobie z wciąż nierozmieszaną mączną masą.

– Tata mówi, że można jeść surowe ciasto! – Jej oczy błyszczą triumfalnie.

Mam ochotę zaprotestować, jak zwykle przypomnieć jej o salmonelli, która może się kryć w surowych jajkach. Ale kiwam tylko głową i mówię:

– Dobrze. Ale tylko ten jeden raz.

– Balansujemy na krawędzi – mruczy pod nosem Nolan.

Wreszcie na niego spoglądam, uśmiechając się zaciśniętymi wargami, pełna sprzecznych emocji.

– Cześć – mówię.

– Cześć – odpowiada, uśmiechając się z takim samym napięciem. – Jak urlop? Dobrze się bawiłaś?

Nie jestem pewna, co kryje się w tym tonie, czy to lekceważenie, czy ostrożność.

– Urlop był w porządku... ale nie nazwałabym tego zabawą. Za bardzo tęskniłam za Harper.

– A za tatusiem też? – pyta mała.

Spoglądam jej w oczy, nie potrafiąc stwierdzić, czy podyktowała jej to intuicja, czy to po prostu zwykły element dziecięcego szczebiotu.

– Tak. Za tatusiem też – kłamię, choć maleńka cząstka mnie rzeczywiście się za nim stęskniła. Jeśli nie za mężem, to za ojcem mojego dziecka.

– Pomożesz nam piec ciasteczka? – pyta Harper.

– Z przyjemnością – odpowiadam i podwijam rękawy, żeby umyć ręce.

Mała jest jednak szybsza. Celuje we mnie końcem łyżki i upomina surowo:

– Najpierw umyj ręce, mamó. W samolotach jest strasznie brudno.

Kątem oka dostrzegam uśmiech Nolana.

– Jaka matka, taka córka.

– Tak – odpowiadam, podchodząc do zlewu. – Bez wątpienia.

*

Pieczemy i ozdabiamy ciasteczka, prawie się do siebie nie odzywając. Wymieniamy jedynie swobodne uwagi, które za każdym razem kierujemy do Harper. „Opowiedz mamie o naszej wizycie u dentysty”. „Czy ty i tatuś zgadniecie, kto odwiedził mnie w Nowym Jorku?”.

Zadawszy to ostatnie pytanie spoglądam na Nolana, bo jestem pewna, że Josie go ostrzegła. Kiedy zerka na mnie, skruszony, moje przypuszczenia się potwierdzają.

– Ciocia Josie – zgaduje, a może stwierdza Harper.

Potwierdzam i patrzę, jak Nolan dźga łopatką ciastko, które wyszło większe od pozostałych. Nie zdążyło jeszcze ostygnąć, ale on nie przestaje, aż udaje mu się je rozłamać. Wrzuca połowę do ust i wreszcie zwraca się do mnie bezpośrednio.

– Co robiłyście? – pyta.

– Myślę, że wiesz – odpowiadam, czując przypływ gniewu.

Nolan otwiera usta i zaraz je zamyka.

– Pogadamy za chwilę – mówi, wskazując na Harper, która wychodzi właśnie do salonu z ciastkami w obu dłoniach.

Kręcę głową.

– Dopiero kiedy mała pójdzie spać.

Dobrze wiem, że nie da się odbyć tej rozmowy bez podnoszenia głosu. Przynajmniej ja nie będę potrafiła.

– Za jakąś godzinę przyjeżdżają po nią moi rodzice – mówi Nolan, zerkając na zegar kuchenki mikrofalowej.

– Co? Jak to? Dopiero wróciłam do domu. Chcę spędzić trochę czasu z moją córką.

– Cóż, nie poinformowałaś nas o swoich planach. A ja już ich poprosiłem, żeby się nią zajęli.

– I co niby masz zamiar robić? – rzucam.

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak oskarżycielsko. Powody do oskarżeń pojawią się później.

Nolan spogląda na mnie spod zmrużonych powiek.

– Hm. Na przykład trochę odetchnąć. – Mówi spokojnie, ale w jego głosie pobrzmiewa gorzkość. – Wiesz, Meredith, przez ostatnie dwa tygodnie byłem samotnym rodzicem...

– Po pierwsze – przerywam mu z narastającą niechęcią, krzyżując ręce na piersi – nie dwa tygodnie, tylko jedenaście dni. Po drugie, z chęcią przejmę ją na kolejnych jedenaście. Zaczynając od dzisiaj. Powiedz rodzicom, że nie będą nam potrzebni.

– Tak się składa, że będą. Musimy porozmawiać. A oni w tym czasie zajmą się Harper – odpowiada Nolan z rzadką u siebie stanowczością.

Patrzę na niego przez chwilę, a potem wzruszam ramionami.

– Jak chcesz – mówię, pozwalając mu postawić na swoim, bo równie dobrze możemy już dzisiaj przeciąć więzy naszego fikcyjnego małżeństwa. – Ale to ja położę ją wieczorem spać.

Znikam w łazience, żeby uniknąć spotkania z teściami. Bez pośpiechu biorę prysznic, suszę włosy, ubieram się i maluję. Trochę zwlekam, a trochę próbuję podbudować swoją pewność siebie, jak zwykle w obliczu konfliktu. Jedno jest pewne: nie upiększam się dla męża. Nie udaje mi się również przewidzieć jego reakcji: kiedy wchodzę do salonu, Nolan taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Ładnie wyglądasz – mówi.

– Dzięki – odpowiadam, mimowolnie ułagodzona komplementem, choć tylko na kilka sekund. – Rodzice zabrali już Harper? – upewniam się.

– Tak. Przed chwilą – uspokaja mnie Nolan. – Masz ochotę gdzieś wyskoczyć? Może coś zjemy?

Mrużę oczy, kręcę głową i oznajmiam, że nie jestem głodna. Mam nadzieję, że dotarło do niego to, co naprawdę chciałam powiedzieć: jak możesz w takim momencie myśleć o jedzeniu?

– W porządku. Tylko zapytałem – wycofuje się Nolan. – Zazwyczaj nie chodzisz tak po domu...

Zastanawiam się, czy to zawołany zarzut, lecz postanawiam skupić się na ważniejszych sprawach.

– Możemy porozmawiać tutaj – mówię, zdjęta nagłym niepokojem, i przysiadam na skraju kanapy.

– Dobrze – odpowiada i patrzy na mnie wyczekująco.

– Chciałeś gadać. Zaczynaj – polecam, gotowa go wysłuchać, ciekawa, w jaki to pokrętny sposób będzie usprawiedliwiał utrzymywaną przez piętnaście lat tajemnicę.

Nolan kiwa głową, bierze głęboki wdech i zupełnie mnie zaskakuje, mówiąc:

– Wiem, że Josie ci o wszystkim powiedziała. Chciałem tylko przyznać, że postąpiłem źle.

Milknie, czekając na moją odpowiedź. Kiedy się nie odzywam, ciągnie:

– To był wielki błąd. Nie powinienem ukrywać tego przed tobą i twoimi rodzicami. Właściwie nie skłamałem, ale to i tak było kłamstwo.

– Owszem, było – potwierdzam z naciskiem i gryzę się w język, wystraszona, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

– Dobrze. Masz rację – przyznaje, kiwając głową, i znów mnie tym rozbraja. – To było kłamstwo. A ja źle zrobiłem. I bardzo cię za to przepraszam.

Czekam na jakieś „ale” i rzeczywiście po chwili słyszę:

– Ale przysięgam, Meredith, że nie zrobiłem tego ze względu na siebie.

Jego okrągłe, szeroko otwarte oczy są pełne żalu.

– A ze względu na kogo? – pytam.

– Na początku głównie na Josie – odpowiada cicho.

Ta odpowiedź, o dziwo, jest jak cios prosto w serce.

– To nie Josie jest twoją żoną – mówię.

Pewnie mogłabym mu wybaczyć, że krył ją przez pierwsze kilka lat, ale później, gdy zostaliśmy parą, lojalność wobec mnie powinna była przeważać.

– Wiem – przyznaje.

Po chwili wahania pytam go o coś, co od dawna nie dawało mi spokoju:

– A żałujesz? Że to nie z nią się ożeniłeś?

– Słucham? – W jego spojrzeniu dostrzegam prawdziwe przerażenie. – Nie gadaj bzdur, Meredith.

Oczywiście, że nie marzę o małżeństwie z twoją siostrą. Chryste Panie...

– Jesteś pewien? – pytam, bo nie mogę się powstrzymać. – Nigdy ci się nie podobała? Nawet na początku? Zawsze miałam wrażenie, że się w niej durzyłeś... a jeśli nie ty w niej, to ona w tobie.

Nolan waha się tak długo, że żołądek ściska mi się boleśnie.

– No dobra. Słuchaj – zaczyna. – Dawno, dawno temu... rzeczywiście uważałem, że jest

atrakcyjna.

– Kiedy?

– Bardzo wcześnie. W liceum i w college’u.

– A tamtego wieczoru? – naciskam, choć sama nie wiem, czemu ma to dla mnie znaczenie.

– Tak. Tamtego wieczoru również – przyznaje. – Josie to ładna dziewczyna. Bardzo ładna. Tylko co z tego? Ładnych dziewczyn jest na pęczki.

– Ale nigdy się w niej nie kochałeś?

– Nie. Nic podobnego. Nigdy nie myślałem o niej w ten sposób. Daj spokój, Mere. Skąd w ogóle ten pomysł?

– Okłamywałeś mnie przez piętnaście lat. A teraz twierdzisz, że robiłeś to dla niej. Co miałam sobie pomyśleć? Jak twoim zdaniem się teraz czuję?

Przeczesuje włosy palcami i mówi:

– Beznadziejnie. Rozumiem. Ale nie chodziło tylko o nią. Również o twoich rodziców... O całą waszą rodzinę. I o ciebie, Meredith.

Prycham wzgardliwie.

– O mnie? Niby jak miało mi to pomóc?

Nolan kilka razy oddycha głęboko, a potem mówi:

– Zastanówmy się... Wyobraź sobie, że rankiem po wypadku, po naszej rozmowie w samochodzie, wchodzę do was do domu i oznajmiam wszystkim, że Josie poprzedniej nocy upiła się do nieprzytomności.

– I że kazałeś Danielowi po nią przyjechać – dodaję podniesionym głosem, oskarżycielsko wyciągając w jego stronę palec. – Nie zapominaj o tym szczególe.

– Nigdy o nim nie zapomniałem. Nawet na chwilę – odpowiada. Bierze kilka uspokajających oddechów i ciągnie: – No więc siadamy wszyscy i opowiadam wam tę historyjkę...

– Historyjkę? – znów mu przerywam. – To nie jest żadna historyjka, Nolan. To się po prostu wydarzyło.

– Dobrze, Meredith – wzdycha, znużony. – Przestań się zachowywać jak prawniczka i pozwól mi dokończyć. Proszę.

– W porządku. Słucham. – Zaciskam usta i krzyżuję ramiona na piersi.

– No więc opowiadam wam, co się wydarzyło... Że Josie była pijana i zadzwoniłem po Daniela...

– Dobra – mówię, myśląc jednocześnie, że dokładnie to powinien był nam powiedzieć. – I co dalej?

– Jak by to wpłynęło na waszą rodzinę? Sądzisz, że którekolwiek z was poczułoby się lepiej?

Wpatruję się w niego w milczeniu.

– Co twoja mama pomyślałaby o Josie? Mylisz, że byłaby w stanie naprawdę jej wybaczyć? A twój ojciec? Właśnie stracił jedyne syna, a teraz... – urywa.

– A teraz? – powtarzam. – Dokończ.

– Właśnie stracił jedyne syna – podejmuje Nolan. – A teraz zaczyna się zastanawiać, czy jego własny alkoholizm nie wpłynął jakoś na zachowanie jego córki. Oprócz bólu do końca życia towarzyszyłoby mu poczucie winy. A co z tobą i Josie? Jak by to wpłynęło na wasze stosunki?

– Tak samo jak wpływa teraz – stwierdzam, wpatrując się w swoje kolana.

– No właśnie – mówi Nolan takim tonem, jakby chciał coś udowodnić.

– Ale co z nami? – pytam. – Z tobą i ze mną?

Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby odebrało mu mowę.

– Dlaczego się ze mną ożeniłeś? – pytam, a serce bije mi jak oszalałe.

– Już ci powiedziałem. Powiedziałem ci w Blackberry Farm...

– Powiedz jeszcze raz.

– Bo się w tobie zakochałem – odpowiada, odrobinę zbyt automatycznie.

Potrząsam głową.

– Nie wierzę ci, Nolan. Myślę, że podobał ci się pomysł poślubienia siostry Daniela. Łagodził twoje poczucie winy w związku z tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Pomógł odnaleźć sens w tym, co bezsensowne i okropne...

Nolan zaprzecza, ale bez przekonania.

– Daniel był dla ciebie jak brat – kontynuuję – więc próbowałeś pomóc jakoś mojej rodzinie.

– Naszej rodzinie – poprawia mnie. – Teraz to nasza rodzina.

Oznajmiam mu, że to bez znaczenia.

– Nieprawda – protestuje z narastającym zniecierpliwieniem. – Właśnie, że ma znaczenie. Jesteś moją rodziną, Meredith. Ty i Harper, twoi rodzice, twoja postrzelona siostra i to dziecko, które zamierza wydać na świat. Wszyscy jesteście moją rodziną. Kocham was...

– Dobrze – przerywam mu ostro. – Ale czy jesteś we mnie zakochany?

Nolan wydaje z siebie pełen frustracji jęk.

– Nie wiem, Mere. Czasami strasznie mi to utrudniasz.

Zakładam, że to oznacza zaprzeczenie, i drążę dalej:

– A czy kiedykolwiek byłeś?

– Tak – odpowiada natychmiast, po czym szybko się wycofuje. – Przynajmniej tak mi się wydaje...

– Wydaje ci się? – powtarzam.

– Tak mi się wydaje... ale może rzeczywiście nie – stęka, wyraźnie udręczony. – Może masz rację.

Kiwam głową. To wyznanie napełnia mnie zarazem ulgą i głębokim smutkiem.

– Tak myślałam – mówię.

– Ale kocham cię, Meredith – zapewnia, łapiąc mnie za rękę. Pozwalam na to i patrzę mu prosto w oczy. – Dla ciebie i Harper zrobię wszystko. Dosłownie wszystko. To ci nie wystarczy?

Długo się w niego wpatruję. Na tym polega problem i właśnie to pytanie zadawałam sobie od lat. Czy wystarczy mi, że jesteśmy partnerami i wspólnie wychowujemy dziecko? Że dzielimy przeszłość i wyznajemy te same wartości? I, co najważniejsze, że łączy nas głęboka, trwała miłość do córki oraz do naszej rodziny? Czy to wszystko utrzyma nas przy sobie i pozwoli zapomnieć o tym nieuchwytnym brakującym elemencie układanki, którego nigdy nie umiałam nazwać, ale wiem, że to coś, czego między nami nie ma?

Rozpaczliwie pragnę, by tak było, i przez chwilę niemal udaje mi się przekonać samą siebie. Jednak w głębi ducha wiem, że to tak nie działa, przynajmniej nie dla mnie. Nagle w mojej głowie krystalizuje się odpowiedź, jasna jak nigdy wcześniej.

– Nie, Nolan – mówię, kręcąc głową. – Przykro mi, ale nie wystarczy.

ROZDZIAŁ 33

Josie

Nadeszło Święto Dziękczynienia. Dokładnie dwa tygodnie temu doktor Lazarus wszczepiła mi nasienie Gabe'a. Powiedziała, że dziś test ciążowy powinien dać wiarygodne wyniki. Przebudziwszy się, ruszam prosto do pokoju Gabe'a. Stoi bez koszuli przed szafą z ubraniami.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia – mówię, szczęśliwa, że spędzimy go razem, niezależnie od tego, co się wydarzy.

– Wszystkiego najlepszego – odpowiada, zerkając na opakowanie z testami, które trzymam w dłoni.

– Spróbujemy od razu? – pytam, lekko potrząsając paczuszką. – Czy jeszcze poczekamy?

Gabe wzrusza ramionami i wyciąga z szafy zieloną koszulkę do rugby, którą nosił jeszcze w college'u.

– Jeśli ty jesteś gotowa, to ja też.

– Może powinniśmy poczekać – rzucam, bo nagle obleciał mnie strach. – Żeby sobie nie zepsuć świąt, jeśli się nie uda.

– Myślisz, że to by je nam zepsuło? – pyta, a mnie nie po raz pierwszy przychodzi do głowy, że potajemnie liczy na negatywny wynik. – Przecież cały dzień będziemy siedzieć z moimi rodzicami i twoją mamą, a i tak nie mieliśmy zamiaru im mówić... Tak postanowiliśmy, prawda?

Kiwam głową.

– Tak postanowiliśmy... ale na pewno byłabym rozczarowana. Ty nie? – pytam, bacznie obserwując wyraz jego twarzy.

– Trochę – przyznaje. – Ale szczerze mówiąc, zdziwię się, jeśli się uda. Co mówiła doktor Lazarus? Że mamy pięćdziesiąt procent szans?

– W najlepszym razie.

– No właśnie – stwierdza. – Jeśli nie jesteś w ciąży, a pewnie nie jesteś, to po prostu spróbujemy jeszcze raz. Może tym razem dostaniesz jakieś leki.

Jeśli podejść do tego racjonalnie, to wiem, że ma zupełną rację. Minął miesiąc, zrobiliśmy dopiero jedną próbę, choć, nie ukrywam, dość kosztowną. Myślę o wszystkich parach, które latami starają się o dziecko, poddając się niezliczonym próbom zapłodnienia *in vitro*, i wiem, że nie mam prawa się

zniechęcać. A jednak wciąż czuję, że to mogła być moja jedyna szansa. Pierwsza i ostatnia. Że jeśli nie uda się w ten sposób, teraz, z Gabe'em, może nigdy się nie uda.

Kiedy mu o tym mówię, spodziewam się, że będzie mnie pocieszał albo oskarży o melodramatyzm. Ale on kiwa tylko głową i rzuca:

– Tak. Rozumiem, o co ci chodzi.

– To znaczy, że czujesz to samo? – wzdycham, przygnębiona.

– Może trochę – przyznaje, siadając obok mnie na brzegu łóżka. – To znaczy... nie wątpię, że w końcu będziesz miała dziecko, tylko nie wiem, czy ze mną.

Żołądek ściska mi się z rozczarowania.

– Z powodu Leslie? – pytam.

Nie można powiedzieć, by Leslie choć przez chwilę była zła albo zazdrosna. Przeciwnie, podeszła do tej dziwacznej sprawy z dużą klasą i życzliwością, przez co Gabe lubi i szanuje ją jeszcze bardziej.

Teraz kręci głową i odpowiada, że to nie ma nic wspólnego z Leslie.

– W takim razie z kim?

Spogląda na mnie z powagą i wreszcie mówi:

– Z Pete'em.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Nie, Pete nie ma nic przeciwko. Cały czas nam kibicuje.

Rzeczywiście, w ostatnich tygodniach bardzo mnie wspierał, a tuż przed zabiegiem zadzwonił, by życzyć mi powodzenia.

Gabe uśmiecha się pod nosem.

– Przestań się zgrywać, Josie. Przecież widzę, jak mu się podobasz.

– Wiem. On mnie też. Ale ustaliliśmy, że... nie będziemy mieszać pewnych spraw.

– W porządku. Zatem na co czekamy?

– Chyba na nic.

Przez chwilę wpatruję się w paczuszkę, a potem powoli rozrywam celofan i wydobywam ze środka magiczną pałeczkę. Mrużąc oczy, odczytuję instrukcje, wypisane maczką z tyłu opakowania.

Gabe wybuchając śmiechem, wytrąca mi je z ręki i delikatnym szturchnięciem spycha mnie z łóżka.

– Daj spokój. Nie udawaj, że nigdy tego nie robiłaś. Przestań się ociągać i idź sprawdzić, czy zmajstrowałem ci dzieciaka.

*

Niecałe pięć minut później, gdy już nasiusiałam na patyczek, a potem starannie odłożyłam go na blat szafki, wracam do sypialni Gabe'a i spoglądam na niego przeciągle. Odwzajemnia spojrzenie,

równie pozbawione wyrazu, i pyta:

– Wynik negatywny?

Potrząsam głową.

– Pozytywny? – Jego głos unosi się z niedowierzania.

Znów potrząsam głową.

– Nie wiem. Nie spojrzałam... Możesz pójść zobaczyć?

Potakuje i wstaje, pobladły, co przy jego smagłej cerze jest sporym wyczynem.

– Czeka. – Chwytam go za ramię. – A ty czego byś chciał?

Gabe przełyka ślinę, waha się przez moment, po czym wykonuje sprytny unik:

– Chcę, żebyś miała dziecko...

– Daj spokój. Przestań się migać – mówię. – Masz nadzieję, że wynik jest negatywny? Czy pozytywny?

Wzdycha głęboko.

– No dobra. Chcę, żeby był pozytywny.

– Dlaczego? – pytam, czując, jak serce łomocze mi w piersi.

– Dlaczego? – powtarza. – Jak to: dlaczego? Po co miałbym robić to wszystko, gdybym nie chciał, żeby się udało?

– Nie boisz się? – dopytuję. – Nawet trochę?

Gabe potrząsa głową.

– Owszem, denerwuję się, bo to wszystko jest dosyć zwariowane... a nawet bardzo... ale pieprzyć to. Teraz już nie zamierzam się cofnąć – oznajmia, spoglądając na mnie hardo.

– Pieprzyć to? – powtarzam, oszołomiona. – Serio?

– Wiesz, co miałem na myśli. – Uśmiecha się. – Za późno na wątpliwości.

– Nie, jeśli się nie uda – zauważam. – Będziesz wolny. Nie musimy próbować drugi raz.

– To prawda – przyznaje, wyraźnie starając się pohamować zniecierpliwienie. – Ale jeśli się uda...

– Jak się będziesz z tym czuł? – drażę.

– Nie wiem, Josie – mówi i kręci głową, zapatrzony gdzieś w dal. – Szczęśliwy... podekscytowany... wstrząśnięty... przerażony jak cholera... i tak dalej, i tak dalej.

– Ale nie będziesz żałował?

– Nie. Nie będę.

– Obiecujesz?

– Przysięgam – oznajmia, wyciągając w górę trzy palce, chociaż nigdy nie należał do skautów.

– W porządku – mówię, spoglądając na niego z ukosa. – Bo, Gabe, muszę ci coś powiedzieć...

– Tak? – pyta i wyczekująco mruży oczy.

– Tak naprawdę to sprawdziłam – wyznaję, a serce łomocze mi jak szalone.

– I?

– Udało się.

– Bujasz – woła i biegiem rzuca się do łazienki.

Po chwili wraca, wymachując patyczkiem, na którym bez najmniejszej wątpliwości widnieją dwie równoległe różowe kreski. Oczy mu błyszczą, a twarz promienieje czystym szczęściem, które rzadko u niego widuję i którego w żadnym razie się nie spodziewałam.

– Cholera jasna – mówi, obejmując mnie i ściskając tak mocno, że tracę oddech. – Będziemy mieli dziecko.

– Tak – potwierdzam, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Będziemy mieli dziecko.

*

Jestem w ciąży. Jestem w ciąży, jestem w ciąży, jestem w ciąży!

Przez kilka następnych dni powtarzam to sobie w duchu niemal bez przerwy. Gabe i ja nie rozmawiamy właściwie o niczym innym. Z trudem dociera do nas ogrom tego, co nas czeka. Jednocześnie w pewnym sensie wciąż wydaje mi się to nierealne. Czuję, że będzie tak dopóty, dopóki nie podzielę się nowiną przynajmniej z jeszcze jedną osobą.

Dawniej zawsze myślałam, że najpierw powiem rodzinie, potem bliskim znajomym, a po mniej więcej trzech miesiącach reszcie świata. Wyobrażałam sobie również, że wszystko odbędzie się w tradycyjny sposób – miłość, małżeństwo, a dopiero potem pieluszki – ale na to nie ma już szans.

W związku z tym, kilka dni później postanawiam, że postąpię jeszcze bardziej nieortodoksyjnie i jako pierwszego powiadomię Pete'a. To po części pragmatyczna decyzja, ponieważ tego wieczoru spotykamy się po raz pierwszy od kilku tygodni i wiem, że prawdopodobnie o to zapyta (co nie zmienia faktu, że gdy wypytywała mnie Sydney, skłamałam, twierdząc, że jeszcze nie zrobiłam testu). Ale co ważniejsze, i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, po prostu chcę, by to Pete dowiedział się pierwszy.

Z szacunku dla Gabe'a, po drodze do domu Pete'a dzwonię, by się upewnić, że nie ma nic przeciwko.

– Nie powinniśmy poczekać, aż zacznie bić serce? – zastanawia się Gabe.

– Chyba nie wytrzymam tak długo. Poza tym na pewno będzie mnie pytał...

– Jak chcesz. Cokolwiek postanowisz, zgadzam się.

– A ty powiedziałaś Leslie?

– Nie.

– Zamierzasz jej powiedzieć?

– Kiedyś w końcu tak – śmieje się Gabe. – Trudno będzie to ukryć, nie sądzisz?

Postanawiam nie rozdzielać włosa na czworo i nie dopytywać, czy chciałby to ukryć, gdyby mógł. Zamiast tego obiecuję, że zadzwonię do niego później.

– Dobrze. Później – odpowiada, po czym bez uprzedzenia się rozłącza.

Przewracam oczami, przypominając sobie, że to, iż noszę w sobie jego dziecko, wcale nie oznacza, że Gabe nagle się zmieni.

*

Kilka minut później przestępuję próg do domu Pete'a. Gospodarz wita mnie z promiennym uśmiechem.

– Miło cię widzieć – mówi.

– Ciebie też – odpowiadam.

Choć planowałam poczekać z nowiną na właściwy moment, mówię mu od razu, nawet nie zdjawszy kurtki.

– Jestem w ciąży – oznajmiam, czując nagle coś, co z pewnością jest pierwszą falą ciążowych mdłości.

Pete patrzy na mnie, osłupiały, z uśmiechem zastygłym na ustach.

– Bez żartów.

– Jestem poważna jak atak serca... albo pozamałżeńska ciąża – odpowiadam dowcipem, wymyślonym kilka dni temu przez Gabe'a.

Patrzę, jak to do niego dociera, jak robi się smutny, a oczy zachodzą mu mgiełką.

– O cholera... – mówi. – Szybko poszło.

– Wiem – przytakuje z nerwowym chichotem. – Pierwsza próba.

– Moje gratulacje... Bardzo się cieszę.

– Dzięki.

Pete się uśmiecha i obejmuje mnie niezgrabnie, poklepując po plecach, po czym pomaga mi zdjąć kurtkę i wiesza ją w szafie w przedpokoju. Następnie prowadzi mnie do kuchni i zaczyna bombardować pytaniami:

– Jak się czujesz? Jesteś podekscytowana? A jak Gabe? – Głos ma wesoły, choć po jego minie widzę, że jest spięty.

– Trudno nam przywyknąć do tej myśli – wyznaję i w tym momencie zauważam na kuchennym blacie otwartą butelkę czerwonego wina oraz dwa kieliszki. – Ale oboje się cieszymy. I jesteśmy wdzięczni losowi.

– To fantastycznie. Naprawdę fantastycznie.

Pete nalewa wino do kieliszków, lecz nagle nieruchomieje.

– Szlag by to trafił. Co ja wyrabiam? Nie możesz tego pić, prawda?

Kręcę głową, zakłopotana, choć trudno mi stwierdzić, z jakiego powodu.

Pete przelewa wino do jednego kieliszka, upija trochę, przełyka i uśmiecha się.

– W takim razie czego się napijesz?

– Niczego, dzięki – odpowiadam.

Przez chwilę patrzymy na siebie i przychodzi mi do głowy, żeby grzecznie się pożegnać i wyjść.

– Należę ci przynajmniej wody – mówi Pete. Wyciąga z szafki szklanek i napełnia ją wodą z kranu.

Po chwili wahania wylewa zawartość do zlewu i wydobywa z lodówki butelkę mineralnej.

– Dzięki – mówię, odkręcając nakrętkę.

– Dać ci szklanek?

– Nie trzeba.

Uśmiecha się, nie otwierając ust, kiwa głową i pyta o termin porodu.

– Trzeciego sierpnia – informuję go. – Zgodnie z naszymi wyliczeniami... Ale w przyszłym tygodniu idziemy do pani doktor, która jeszcze to potwierdzi.

– To znaczy, że jeszcze nie byłeś u lekarza?

Zaprzeczam.

– Zatem skąd pewność, że jesteś w ciąży? – pyta, z cieniem nadziei w głosie, choć nie jestem pewna, czy nie powstał on tylko w mojej głowie.

– Bo pięć razy zrobiłam test. – Zmuszam się do uśmiechu.

Pete również się uśmiecha, kiwa głową, a potem pyta, jak zareagowali moi rodzice.

– Zakładam, że się cieszą?

– Jeszcze im nie powiedziałam.

– A siostrze?

– Też nie. Nie rozmawiałam z Meredith od powrotu z Nowego Jorku. Właściwie to dowiadujesz się jako pierwszy – oznajmiam z nerwowym śmiechem i ogarniają mnie wątpliwości, czy aby na pewno to był dobry pomysł.

– Josie... dzięki... bardzo mi miło... Naprawdę, czuję się zaszczycony. I wzruszony – mówi Pete.

Kiwam głową i odwracam wzrok, mamrocząc pod nosem, że to nic wielkiego.

– Ależ oczywiście że tak – zapewnia mnie ze szczerą sympatią i nagle znów jest sobą. – Naprawdę się cieszę. Tak bardzo tego chciałeś i udało się. Wspomniała nowina. – Jeszcze raz mnie przytuliła i tym razem jest to autentyczny, pełen ciepła uścisk.

– Dziękuję. Naprawdę to doceniam – mówię. – Ale na horyzoncie pojawiły się dwa problemy...

Cichnę, choć wciąż staram się patrzeć na niego wesoło.

– Jakże? – pyta.

– Cóż... po pierwsze... zrobię się strasznie gruba – odpowiadam ze śmiechem.

– Będziesz w ciąży. Nie gruba – protestuje Pete.

Właśnie to należało powiedzieć. Mówię mu o tym.

Uśmiecha się i żartobliwie przybija mi piątkę.

– Grunt to umieć rozmawiać z ciężarnymi kobietami. A ta druga sprawa?

Popijam wodę, zwlekając kilka sekund, ale wreszcie wyznaję mu, co naprawdę czuję:

– Jest mi też trochę smutno.

– Dlaczego?

– Chodzi o nas... To zmieni stosunki między nami.

Pete kiwa głową. On również wyraźnie posmutniał.

– Tak – mówi. – Pewnie rzeczywiście zmieni.

Ogarnia mnie przygnębienie, choć jednocześnie jego szczerść działa krzepiąco. Owa autentyczność to cecha, którą chyba lubię w nim najbardziej. Zadaję mu więc pytanie, które nie dawało mi spokoju od poranka w Święto Dziękczynienia.

– Powiedz. Gdybym nie wybrała tej drogi... nie zdecydowała się na Gabe'a... gdybym nie zaszła w ciążę... – Urywam raptownie i potrząsam głową nad jałowością takiego gdybania. – Nieważne.

– Nie. Mów dalej – zachęca mnie Pete, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Proszę.

– W porządku. – Biorę głęboki wdech i kończę: – Gdybym nie spodziewała się dziecka, czy widziałbyś dla nas jakąś przyszłość?

Jego oczy mówią mi wszystko, zanim jeszcze pokiwa głową i wypowie bardzo wyraźne „tak”.

Przygryzam wargę, z całych sił powstrzymując żal za tym, co straciłam. Powtarzam sobie, że równie dobrze moglibyśmy zerwać już po kilku miesiącach, a ja tylko straciłabym czas, zbliżając się do ostatecznej, nieuchronnej bezpłodności. Przypominam sobie, że przecież od zawsze pragnęłam być matką, i że macierzyństwo to dar, ale zarazem poświęcenie – największe, o jakim można pomyśleć. Powinnam się do tego przyzwyczaić.

– Cóż – stwierdzam w końcu, wzruszając ramionami i zmuszając się do uśmiechu. – Takie moje cholerne szczęście.

Mija kilka długich sekund. Wreszcie Pete odkasłuje.

– Zadaj mi to pytanie inaczej.

Waham się, zbita z tropu.

– Jak to?

– Zapytaj, czy wciąż wyobrażam sobie dla nas przyszłość – mówi i nagle się czerwieni.

Serce łomocze mi jak szalone i patrząc mu prosto w oczy, pytam:

– Czy nadal wyobrażasz sobie dla nas przyszłość?

Ujmuje mnie za rękę.

– Owszem. Nie będzie łatwo... ale wszystko jest możliwe.

Drzę. Na ramionach, nogach i karku wyskakuje mi gęsia skórka.

– Naprawdę? – pytam wzruszona. – Naprawdę tak sądzisz?

Pete kiwa głową, poważny jak nigdy, a to nie byle co.

– Tak, Josie. Naprawdę. Dużo o tym myślałem... Nie przeszkadza mi dziecko. Wręcz przeciwnie, sprawia, że jeszcze bardziej mi na tobie zależy.

Trudno mi uwierzyć w to, co słyszę, a jednak wierzę.

– Dlaczego? – szepczę.

Pete marszczy brwi, zamyślony.

– Ponieważ teraz widzę, jaka jesteś naprawdę – mówi. – Widzę, że jesteś silna, niezależna i prawdziwie oddana najpiękniejszej rzeczy, jaką może zrobić kobieta... Jestem zachwycony. – Uśmiecha się. – I nigdzie się nie wybieram.

– Nawet jeśli wszystko stanie się naprawdę skomplikowane? – pytam, przypominając sobie niechęć, jaką Will żywił do Gabe'a. I wszystkiego, co nie zgadzało się z jego opinią na temat tego, jak należy żyć.

– Tak – stwierdza Pete. – Miłość ma to do siebie, że pokonuje przeciwności. Nawet te największe.

– Czekał – przerywam mu, czując, jak mimowolny uśmiech wypływa mi na usta. – Czy ty mi właśnie wyznałeś miłość?

– Nie. – Pete szczyrzy zęby w uśmiechu i łapie mnie za drugą rękę. – Ale jej nie wykluczam. Potrafię sobie wyobrazić, że cię kocham... że kocham was oboje.

Przez chwilę mam wrażenie, że mówi o Gabie, dopiero po jakimś czasie orientuję się, że ma na myśli dziecko.

– To zabawne – mówię z uśmiechem, ściskając jego dłonie – bo ja zdecydowanie jestem w stanie sobie wyobrazić, że i my cię kochamy.

ROZDZIAŁ 34

Meredith

– Nie ma innego sposobu? – pyta Nolan pewnego dnia. Jest początek grudnia, a my spacerujemy po ogrodzie botanicznym, gdzie wybraliśmy się z Harper, by zgodnie z rodzinną tradycją obejrzyć świąteczną iluminację.

– Jakiego innego sposobu? – mówię, nie spuszczając wzroku z córki, która idzie jakieś dziesięć metrów przed nami.

– Żebyśmy byli szczęśliwi? Mimo że mnie nie kochasz?

Wzdycham. Męczą mnie te jego płaczliwe uwagi.

– Kocham cię, Nolan.

– Jasne. Ale nie jesteś we mnie zakochana – odpowiada i znów bezsensownie zaczynamy kręcić się w kółko.

Ty też nie jesteś we mnie zakochany.

„Jestem”.

Nie jesteś.

„Ale jestem szczęśliwy w naszym małżeństwie”.

To niemożliwe.

„Jestem wystarczająco szczęśliwy”.

„Wystarczająco” nie wystarczy.

„Mnie wystarczy, dlaczego tobie nie może?”

Od kilku tygodni każda nasza rozmowa kończy się tak samo. Mój gniew już zelżał i zgodnie postanowiliśmy do świąt nie podejmować żadnych istotnych decyzji, ale to pytanie wciąż pozostaje: czy wystarczy nam to, co mamy?

Myślę o ostatnich szczerych rozmowach, które odbyłam z Ellen, i o kilku pełnych emocji sesjach w gabinecie Amy. Raz zagadnęłam nawet jego mamę, choć nie powiedziałam jej, jak poważna jest nasza sytuacja. Wszystkie zgodziłyśmy się, że na szczęście w małżeństwie nie ma metody. Że wszystko zawsze zależy od samych zainteresowanych.

Z jednej strony zdarzają się, choć rzadko, bratnie dusze, ludzie, którzy szaleją na swoim punkcie i darzą się niegasnącą namiętnością. Z drugiej strony istnieją małżeństwa okropne, naznaczone

dysfunkcjami, podłością, nawet przemocą – nieodmiennie kończą się bądź rozwodem, bądź tragedią.

Gdzieś pośrodku jest szara strefa. Czasem są to małżeństwa aranżowane przez rodziny, tworzone na bazie wspólnych wartości, lecz pozbawione romantycznego uczucia. W innych z biegiem lat płomień się wypala i zmieniają się w układy czysto partnerskie, dwójka ludzi żyje wspólnie dla swoich dzieci, w imię religijnej instytucji małżeństwa lub idei rodziny i wierności. Czasem ludzi łączy samotność albo brak wyboru, ponieważ nikt inny ich nie zechciał.

Wszystkie te scenariusze można by z łatwością odrzucić jako godne pożałowania bądź sprowadzające się do jakiegoś rodzaju pozostawiającego niedosyt kompromisu. Ja również byłam kiedyś tego zdania. Teraz jednak zaczynam rozumieć, że przeróżne układy mogą bardzo dobrze działać, o ile obie strony są z nich zadowolone. Ale to muszą być obie strony, jedna nie wystarczy, i wydaje mi się, że to właśnie próbuje mi teraz powiedzieć Nolan. Czy nie mogę zaakceptować tego, co mamy, kim razem jesteśmy, i znaleźć sposobu na to, by być szczęśliwą mimo tego, czego nam brakuje? Czy nie mogę choć raz wziąć jego strony i spróbować się dogadać?

Patrzę, jak dopija gorącą czekoladę i wrzuca kubek do śmietnika. Wyciąga telefon i woła Harper:

– Chodź tu na chwilę, kochanie. Stań tutaj, przed tym drzewem – mówi, wskazując na dużą magnolię obwieszoną tysiącami maleńkich fioletowych i zielonych lampek.

Harper spełnia polecenie z szerokim uśmiechem, a potem znów biegnie do przodu. Tymczasem Nolan ogląda zdjęcie, marszczy brwi, wybiera jeden z filtrów i pokazuje mi skończone dzieło.

– Fajne ujęcie, nie?

– Bardzo fajne. Prześlij mi je. Wrzucę na Instagram – mówię, żałując, że życie nie jest równie proste. Bierzesz kiepski obrazek, przycinasz, rozjaśniasz, zwiększasz nasycenie kolorów, wreszcie dodajesz stylowy filtr. Czynisz go takim, jakim chcesz. Nolan tak właśnie podchodzi do życia. Zawsze patrzy na nie przez różowe okulary.

Teraz mówi, jakby czytał mi w myślach:

– Wiem, że nasze małżeństwo nie jest idealne. Wiem, że mamy nad czym pracować. Ale dobra z nas ekipa, Meredith. Czy nie możemy po prostu bardziej się postarać, żeby... zapalić tę iskierkę?

Zwracam uwagę, że powiedział „zapalić”, nie „rozniecić na nowo”. Oznajmiam mu, że to tak nie działa. Iskierka jest albo jej nie ma.

– Poza tym – dodaję – czy nie to próbowaliśmy zrobić przez ostatnie siedem lat?

Nolan kręci głową.

– Nie. Nie próbowaliśmy. Ponieważ nie byliśmy ze sobą szczerzy.

– Ja byłem – odpowiadam obronnym tonem.

– Wcale nie – odpowiada, nagle wzburzony. – Tam, w łoży dla zawodników, kiedy powiedziałaś „tak”, nie byłaś wobec mnie szczerą. Ani w dzień naszego ślubu... A wcześniej nie byłaś szczerą wobec siebie.

Wiem, że mówi o moim aktorstwie w Nowym Jorku i studiach prawniczych, może nawet o powrocie do Atlanty, do domu, w którym spędziłam dzieciństwo. Nie potrafię odeprzeć tych oskarżeń. Wzruszam więc ramionami i stwierdzam, że prawdopodobnie ma rację.

– Ale teraz znasz prawdę o wieczorze, kiedy zginął Daniel – ciągnie Nolan. – A ja znam prawdę o twoich uczuciach. Teraz oboje ją znamy. Czy to nie oznacza, że możemy zacząć od nowa?

– Chyba tak – mówię, choć wcale nie jestem pewna, co taki nowy początek miałby oznaczać, poza wybaczeniem i zrozumieniem. To oczywiście ważne sprawy, ale nie na tyle, by zapalić iskrę. – Tylko co dalej? – pytam.

– Po pierwsze, myślałem o naszym domu. Uważam, że powinniśmy go sprzedać.

– Nie możemy – protestuję, ale jednocześnie czuję silny przypływ ulgi na myśl, że mogłabym zamieszkać gdzie indziej, gdziekolwiek indziej.

– Jasne, że możemy.

– Mama się załamie. Tato też.

– Z czasem im przejdzie. To tylko dom... Mieszkanie tam źle na nas działa. Ilekroć przechodzę koło jego pokoju...

– Wiem – przerywam, żeby oszczędzić mu dalszego ciągu.

– Moim zdaniem powinniśmy też rozważyć wyjazd z Atlanty. Przynajmniej na trochę. Potrzebna nam przygoda. Tylko naszej trójce. Pieniądzy nam wystarczy... Ja mam pracę, do której zawsze będę mógł wrócić – mówi z coraz większym zapalem.

– Dokąd byśmy pojechali? – pytam, postanawiając przez moment zagrać w tę grę.

– Dokąd byśmy zechcieli. Do Nowego Jorku? Mogłabyś wrócić na scenę...

Potrząsam głową i oznajmiam, że przestałam kochać to miasto i aktorstwo.

– W porządku. To gdzie chciałabyś zamieszkać? Czym się zajmować?

Odpowiadam, że nie wiem, byle nie prawem. Po Święcie Dziękczynienia wróciłam do pracy, ale podjęłam już decyzję, by z niej zrezygnować. Nagle uświadamiam sobie, że o wiele łatwiej stwierdzić, czego się nie chce, niż czego się chce.

– Pomyślmy – mówi Nolan, przyspieszając kroku, żeby nadążyć za Harper. – Dobrze się zastanówmy. Wyjdźmy poza utarte schematy. Jak Josie...

Na dźwięk imienia siostry natychmiast nieruchomieję. Nie miałam z nią kontaktu, odkąd w środku nocy opuściła Nowy Jork.

– Mów o niej, co chcesz... – ciągnie Nolan. – Zresztą, mogę cię zrozumieć. Potrafi być naprawdę upierdliwa. Ale dziewczyna umie myśleć niestandardowo.

– Jest egoistką – stwierdzam jak zwykle.

– Na pewno? A może po prostu próbuje być wobec siebie uczciwa? Samotne wychowywanie dziecka to odważny krok.

– Nie zdecyduje się na to – orzekam. – Nie jest aż tak odważna.

– Może jest, a może nie jest. Ale my możemy być. Bądźmy odważni razem, Meredith. Spróbujesz podejść do tego z otwartą głową i dać nam jeszcze jedną, ostatnią szansę?

Dotychczas wszystkie jego próby trąciły fałszem, wręcz kłamstwem. Kolejne dziecko. Uszczęśliwianie rodziców. Rodzinne wakacje w Disney World i nad oceanem, uśmiechy i pozowanie do zdjęć, udawanie idealnej rodziny. Siostra Daniela i jego najlepszy przyjaciel, połączeni w obliczu tragedii, a jednak jakby dla siebie stworzeni. *#błogostan*.

Teraz jego pomysł brzmi prawdziwie i dostrzegam w nim maleńki przebłysk szansy.

– Może – mówię.

Bierze mnie za rękę, przystaje i spogląda mi w oczy.

– Nie mów „może”. Powiedz „tak”, Meredith. Nie dla Daniela, nie dla rodziców ani nawet dla Harper. Dla nas.

Spoglądam mu w oczy i przychodzi mi na myśl, że stoimy tu jak w dzień naszego ślubu, gdy przed rodziną i przyjaciółmi przysięgaliśmy sobie wspólną wieczność. O dziwo, gdy dotarliśmy do rozstaju dróg, czuję, że jesteśmy sobie bliżsi.

Waham się jeszcze przez chwilę, wstrzymuję oddech, aż w końcu kiwam głową i mówię „tak”. Choć ciche i drżące, to „tak” jest bardziej szczere niż tamto, które wiele lat temu wypowiedziałam w loży dla zawodników. I nagle, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, to ja biorę go za rękę i ruszamy przed siebie, podążając migoczącą od świateł ogrodową ścieżką za naszą córeczką.

ROZDZIAŁ 35

Josie

Jest dwudziesty drugi grudnia. Gdyby Daniel żył, dziś skończyłby czterdzieści lat. Czekam na Meredith przy barze w Blue Ridge Grill. Nie rozmawiałyśmy od mojego wyjazdu z Nowego Jorku, nie licząc maili wymienionych, by ustalić szczegóły dzisiejszego spotkania. To ja wyszłam z inicjatywą. O ósmej dołączają do nas rodzice oraz Gabe i Nolan z Harper, ustaliśmy jednak, że musimy najpierw porozmawiać tylko we dwie, spróbować wyjaśnić nieporozumienia i zażegnać nasz konflikt, przynajmniej na ten jeden wieczór.

Meredith nie znosi wielu różnych rzeczy, w tym spóźniałstwa, więc zjawiam się – co u mnie rzadkie – aż piętnaście minut przed umówioną godziną i wykorzystuję ten czas, by przygotować się mentalnie na to, co mnie czeka. Gabe i ja zamierzamy ogłosić dziś, że jestem w ósmym tygodniu ciąży. Jednak teraz zaczynają mnie gnębić wątpliwości. Meredith pewnie znów stwierdzi, że wykorzystuję tę emocjonalną rocznicę, by znaleźć się w centrum uwagi. Mogłabym przyznać jej rację, gdyby nie to, że to może być moja jedyna szansa, żeby się z nią zobaczyć – i boję się, że się nie powtórzy, w każdym razie w najbliższej przyszłości.

Siedzę w kącie baru, wolniutko popijając wodę sodową z limonką. Nie spuszczam oczu z drzwi i zauważam siostrę, gdy tylko staje w progu. Ona również od razu mnie spostrzega i lekko macha ręką. Oddycham głęboko i modlę się o powodzenie.

– Cześć – mówię, kiedy podchodzi bliżej. Patrzy na mnie poważnie, ale bez gniewu, i uznaję to za dobry znak.

– Cześć – odpowiada Meredith. Powoli rozpina i zdejmuje granatowy płaszcz, po czym wiesza go na stołku. Siada, zakłada nogę na nogę, po chwili znów zmienia pozycję.

– Chciałam zamówić ci coś do picia – mówię, kiedy podchodzi do nas barman. – Ale nie byłam pewna, na co masz ochotę.

Meredith rzuca, że nic nie szkodzi, uśmiecha się obojętnie do barmana i prosi o cabernet.

– Mamy dwa rodzaje – mówi barman, podając jej iPada, żeby zobaczyła *menu*.

Meredith odsuwa urządzenie i mówi:

– Niech pan wybierze.

Dopiero wtedy odwraca się i spogląda mi w oczy.

– Jak się miewasz, Josie? – zagaja drżącym z napięcia głosem.

– W porządku – odpowiadam, czując podwójne mdłości: te ciężowe i te, które dręczą mnie od rana na myśl o tym wieczorze. – A ty?

Wzdycha, ale potem informuje mnie, że u niej też wszystko w porządku.

– Wróciłaś do pracy? – pytam.

Kręci głową.

– Nie. Właściwie to wczoraj ją rzuciłam.

– O kurczę – mówię. – Moje gratulacje.

Od razu widzę, że na to czekała, bo szczerze się do mnie uśmiecha.

– Dzięki. Powinnam była to zrobić dawno temu.

– Zastanawiałaś się, czym chcesz się teraz zająć? – pytam, myśląc, że moja siostra jest w stanie zrobić, co tylko zechce.

– Jeszcze nie – odpowiada. – Pomyślę o tym w nowym roku. Na razie chcę się skupić na Harper i świętach.

Kiwam głową.

– A jak Harper? – pytam.

– Świetnie – odpowiada Meredith i jej twarz się zmienia, łagodnieje. – Nie może się doczekać wizyty Mikołaja. Co rano dostaję nową, udoskonaloną wersję listu.

– Tęsknię za nią.

– Ona za tobą też. I to bardzo.

– Mogę się z nią zobaczyć? Pomyślałam, że zabiorę ją na łyżwy w St. Regis.

Meredith kiwa głową, a barman przynosi jej wino.

– To bardzo miłe... Będzie zachwycona.

Biorę głęboki wdech.

– Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór... – zaczynam piskliwym ze zdenerwowania głosem. – Chciałam z tobą porozmawiać, zanim zjawi się reszta...

Meredith upija pierwszy łyczek wina. Czeka.

– Chciałam porozmawiać o tym, co się zdarzyło w Nowym Jorku – ciągnę. – O naszej kolacji z Sophie... i o kłótni... O wszystkim.

– W porządku. – Meredith upija kolejny łyczek. Patrzy zachęcająco, ale najwyraźniej nie zamierza ułatwiać mi zadania.

– Rozmawiałaś z mamą? – pytam.

– Nie.

– Nie powiedziałaś jej o Sophie? Czy o naszej kłótni?

– Ani o jednym, ani o drugim.

Kiwam głową, tłumiąc pokusę, żeby delikatnie jej uświadomić, iż robi to samo, co zrobiliśmy z Nolanem. Próbuje oszczędzić bólu komuś, kogo kocha.

Chyba czyta w moich myślach, bo mówi:

– Minęło dopiero kilka tygodni. Muszę to przetrwać...

– No tak. – Rozumiem ją, ale sama dobrze wiem, jak łatwo kilka tygodni zmienia się w kilka lat.

Nie odpowiada, zapatrzona w przestrzeń, a potem nagle przenosi wzrok na moją szklanę.

– Pijesz wódkę? – pyta.

Przełykam ślinę.

– Nie. To tylko woda sodowa

Meredith unosi brwi.

– No coś ty, w ciąży jesteś?

Trudno mi sobie wyobrazić bardziej rozczarowujący sposób, w jaki mogłabym obwieścić jej swoją nowinę, ale ostatnie, czego teraz pragnę, to okłamać siostrę. Kiwam więc głową i mówię, że tak, jestem w ciąży.

Meredith parska śmiechem, ale natychmiast poważnieje, uświadomiwszy sobie, że nie żartuję.

– Serio? – pyta.

– Serio – odpowiadam. Serce wali mi jak szalone. – Ósmy tydzień.

– Z Pete'em?

Kręcę głową.

– Nie. Z Gabe'em.

– Z Gabe'em?

– Tak – potwierdzam. – W zeszłym miesiącu zrobiliśmy inseminację... i mieliśmy szczęście.

Patrzę, jak to do niej dociera, a na jej twarzy oszołomienie zmienia się w coś, co przypomina radość. Uśmiecha się i mnie obejmuje, szepcząc do ucha gratulacje.

– Dziękuję – mówię. – Bardzo się cieszymy... I mamy okropnego pietra. Traktujemy to poważnie, Meredith. To nie jest kaprys.

Kiwa głową i zapewnia mnie, że wie. Ale ja nie jestem pewna, czy ją przekonałam, więc mówię dalej, usiłując wyjaśnić, co się dzieje w moim sercu, osobie, która najczęściej ze wszystkich okazuje mi brak zrozumienia:

– Przez wiele lat nie potrafiłam zapomnieć o Willu i błędach, które popełniałam w tamtym związku. Nie byłam wobec niego szczerą. Tak samo, jak nie byłam szczerą z tobą.

Patrzy na mnie, słuchając uważnie.

– Naprawdę, naprawdę żałuję, że nie pogadałyśmy o tamtym wieczorze wcześniej.

– Tak – potwierdza ze smutkiem. – Wiem. I wierzę ci.

Jej słowa dają mi siłę, by mówić dalej:

– Gdybym mogła cofnąć czas, wiele rzeczy zrobiłabym inaczej. Ale nie mogę. Nikt z nas nie może. Możemy tylko iść do przodu. To właśnie próbuję zrobić. Chcę być matką. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale będę się starać z całych sił. To dlatego wybrałam Gabe’a. Zawsze był dla mnie cudownym, prawdziwym przyjacielem. Zawsze stał za mną murem. Uważam, że te cechy, ta lojalność, uczynią go wspaniałym ojcem...

Zmuszam się, by umilknąć.

– Bardzo się cieszę – mówi Meredith. – I uważam, że dobrze wybrałaś.

Tym razem czuję, że to szczerze słowa.

– Dzięki – mówię. – Twoje zdanie dużo dla mnie znaczy. – Uśmiecham się i dodaję: – Choć myślałam, że nie lubisz Gabe’a.

– Cóż... Przyznaję, w przeszłości nie był moim faworytem... – Urywa, a potem kończy z uśmiechem: – Ale z drugiej strony, ty też nie.

– Trafiony, zatopiony – mówię i stukam szklanką w jej kieliszek.

Przez chwilę uśmiechamy się do siebie, wreszcie obie odwracamy wzrok. Mija kilka długich sekund, zanim, usiłując się nie rozkleić, przerywam milczenie:

– Przepraszam, Meredith. Tak bardzo mi przykro.

Meredith mruga i zagryza wargę. Wygląda, jakby miała się rozplakać.

– Przepraszam, że się wtedy upiłam. Że nie powiedziałam ci od razu całej prawdy. Przepraszam, że nie byłam lepszą siostrą.

Na te słowa spogląda mi prosto w oczy i mówi – po raz pierwszy w życiu, a w każdym razie odkąd pamiętam:

– Ja też cię przepraszam.

– Naprawdę? – pytam, nie kryjąc zdumienia.

– Naprawdę – odpowiada. – Tamtej nocy... Pamiętasz, jak się pokłóciłyśmy?

Kiwam głową. Jasne, że pamiętam. Chodziło o naszyjnik, który chciałam od niej pożyczyć.

– Powinnam była ci go dać.

Czuję, do czego zmierza. Potrząsam głową i uświadamiam jej, że to niczego by nie zmieniło.

– Może nie. A może tak. – Zamyśla się. – Może to do mnie byś zadzwoniła z tego baru. A może nie wypiłabyś aż tyle. Zazwyczaj pijesz więcej, gdy jesteś wkurzona... – Głos jej drży.

Znów z przekonaniem potrząsam głową.

– Nie. To nie o to chodziło. Ty i ten twój tani, brzydki naszyjnik nie mieliście z tym nic wspólnego... – Próbuję ją rozbawić, żeby się nie rozplakała.

– Tak, ale ty i Nolan też nie – przyznaje. – Nie mogliście przewidzieć, co się wydarzy.

Przepraszam, nie powinnam była mówić, że przyczyniliście się do śmierci Daniela. To nieprawda. Byłam okrutna.

Kiwam głową, czując, jakby zdjęto mi z ramion ogromny ciężar.

– A co z Nolanem? – pytam. – Pogodziliście się?

– Pracujemy nad tym. Staramy się... Ale sama nie wiem... – Cichnie i potrząsa głową, ogarnięta głębokim smutkiem.

– Chodzi o nasze kłamstwo? – pytam.

– Chodzi o wiele spraw, a przede wszystkim o to, że nie jestem pewna, czy do siebie pasujemy.

Ale będziemy próbować. Z całych sił. Dla Harper. Dla nas wszystkich.

Kiwam głową. Wiem, że mówi o całej naszej rodzinie. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy to nie była jedna z rzeczy, które przez tyle lat jej ciążyły i napełniały niechęcią do świata: poczucie, że w jakiś sposób jest odpowiedzialna za to, by spajać nas wszystkich w całość.

– Mam nadzieję, że wam się uda, Meredith. Ale jeśli nie... To też będzie w porządku.

Spogląda na mnie z wdzięcznością. Podniesiona na duchu świadomością, że choćby ten jeden raz z nas dwóch to ja jestem silniejsza, mówię dalej:

– Niezależnie od tego, co się wydarzy, ty również dobrze wybrałaś. Dobrze wybrałaś ojca swojego dziecka.

Obracam się na stołku i ją obejmuję. Czekam, aż się wyrwie i z ulgą stwierdzam, że nie ma takiego zamiaru. Podnosi tylko głowę i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Wiem, Josie – mówi. – Dziękuję.

Potem zmieniamy temat, udając, że nic się nie stało, jak zwykle po największych nawet awanturach. Może to rodzaj wyparcia. A może najlepszy sposób, by pogodzić dwie tak różne osoby, jak Meredith i ja. Z drugiej strony, może to po prostu nasz dziwaczny sposób okazywania sobie miłości i przebaczenia, które często są jednym i tym samym.

Gdy pojawiają się pozostali i siadamy przy stoliku – tym samym okrągłym stole przy kominku, przy którym piętnaście lat temu, co do godziny, siedzieliśmy z Danielem i Sophie – dociera do mnie z całą mocą, że prawdziwa jest ta ostatnia teoria, że wszystko sprowadza się do miłości. W końcu to miłość do Daniela połączyła Nolana i Meredith i miłość sprawia, że są gotowi spróbować jeszcze raz. Miłość do rodziny powoduje, że tak bardzo pragnę być matką. A miłość Gabe'a dała mi odwagę, by to pragnienie urzeczywistnić.

Kiedy kończymy składać zamówienia, a kelner nalewa szampana wszystkim oprócz taty, Harper i mnie, wznosimy toast na cześć Daniela. Wspominamy naszego brata, syna i przyjaciela. Płaczymy i śmiejemy się, aż w pewnej chwili Meredith dotyka mojej dłoni i szepcze:

– No dalej. Powiedz im.

Ogłaszam więc swoją nowinę, z pomocą Gabe'a, przerażona wizją podróży w nieznane, a zarazem

owładnięta błogim spokojem. Wiem, że nie da się w pełni kontrolować swojego życia, choćby nie wiem, jak bardzo się tego chciało. Wiem, że prędzej czy później ludzie odchodzą, sprawiają nam zawód albo umierają. Ale jest jedna stała rzecz, na którą zawsze można liczyć: miłość. To ona jest najważniejsza i zostaje z nami na zawsze.

PODZIĘKOWANIA

Ta książka jest przede wszystkim o rodzinie i o nienaruszalnej więzi między rodzeństwem. Od najwcześniejszego dzieciństwa, przez całe życie, miałam to ogromne szczęście, że u mojego boku stała Sarah Giffin. Trudno sobie wymarzyć cudowniejszą, bardziej wspierającą siostrę. Zawsze też będę wdzięczna za moją niezwykłą matkę Mary Ann Elgin. Zaszczepiła we mnie nie tylko miłość do opowiadania historii, ale też żywe zainteresowanie związkami międzyludzkimi w całej ich pogmatwanej wspaniałości. Bez niej nie byłabym tą osobą ani tą pisarką, którą jestem dzisiaj.

Nancy LeCroy Mohler przeanalizowała w bólach każdą linijkę moich ośmiu powieści. To ona jako pierwsza, jesienią 2001 roku, poznała Rachel i Darcy i ona jako ostatnia przypatrywała się Josie i Meredith. Jestem jej niezwykle wdzięczna za prawdziwą przyjaźń i tytaniczną pracę.

Dziękuję mojej redaktorce Jennifer Hershey za zrozumienie i przenikliwą mądrość, a także za historię jej macierzyństwa, którą się ze mną szczerze podzieliła.

Dziękuję mojej wspaniałej ekipie z Random House za twórczą energię i profesjonalizm – zwłaszcza Ginie Centrello, Karze Welsh, Kim Hovey, Scottowi Shannonowi, Mattowi Schwartzowi, Theresie Zoro, Susan Corcoran, Jennifer Garzy, Kate Childs, Sanyu Dillon, Debbie Aroff, Kesley Tiffey, Melissie Milsten, Denise Cronin, Toby Ernst, Paolo Pepe, Belinie Huey, Loren Noveck, Victorii Wong, Anne Speyer, Cynthii Lasky, Allyson Pearl i całemu działowi sprzedaży.

Nie potrafię sobie wyobrazić, bym mogła napisać tę książkę – albo przedstawić ją czytelnikom – bez pomocy Stephena Lee. Specjalista od reklamy, czytelnik każdej kolejnej wersji powieści i zaufany przyjaciel stał przy mnie od początku mojej literackiej przygody.

Ogromnie dziękuję mojej asystentce Kate Hardie Patterson za jej pracowitość, lojalność i niezwykły dar czynienia wszystkiego wokoło jasnym i pięknym.

Dziękuję mojej niezrównanej agentce, Theresie Park, za słowa pocieszenia i krytyki, a także za to, że wierzy we mnie nawet wtedy, gdy dopada mnie zwątpienie.

Dziękuję Emily Sweet, Abby Koons i całej ekipie Park Literary, a także Mollie Smith, twórczyni mojej strony internetowej.

Jestem wdzięczna moim cudownym rodzicom: ojcu Billowi i macosze Kristinie; kochającej dalszej rodzinie; także wszystkim czytelnikom i czytelniczkom, dawnym i nowym, daleko i blisko. Szczególnie dziękuję tym osobom wokół mnie, które przyczyniły się do powstania tej książki: Julie Porterze, Allyson Jacoutot, Jennifer New, Jeffowi MacFarlandowi, Marcie Arias, Glennowi Saksowi, Lisie Ponder i Steve'owi Fallonowi.

Wreszcie dziękuję tym, którzy stoją najbliżej: Buddy'emu, Edwardowi, George'owi i Harriet. To wy przypominacie mi każdego dnia, że miłość jest najważniejsza.